RENÉ STAUFFER

ROGER FEDERER

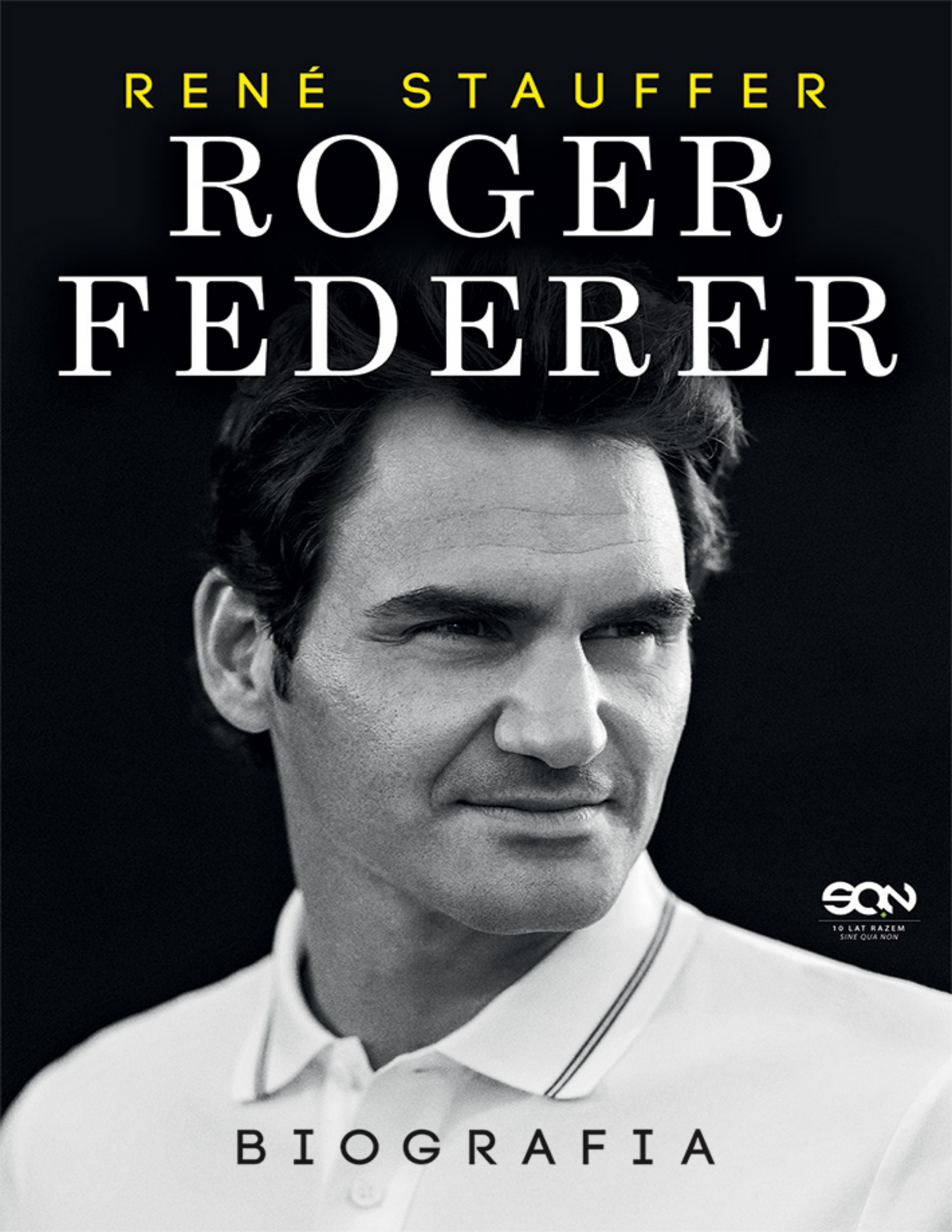

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

BIOGRAFIA

ROGER FEDERER

BIOGRAFIA

RENÉ STAUFFER

ROGER FEDERER

BIOGRAFIA

TŁUMACZENIE:
BARBARA TOCZEK

KRAKÓW 2020

SŁOWO WSTĘPU

W momencie ukazania się oryginalnego niemieckiego wydania tej książki minęły prawie 23 lata, odkąd po raz pierwszy ujrzałem na korcie Rogera Federera na własne oczy. Były to lata pełne superlatywów i peanów wznoszonych pod jego adresem, pozwalające 15-latkowi stać się mężczyzną, który po i tak niesamowitych już sukcesach dokonał jeszcze bardziej niewiarygodnego comebacku. Czasami mam wrażenie, że to jakaś bajka, że miałem szczęście towarzyszyć tej wyjątkowej karierze tak długo i z tak bliska, jak to tylko możliwe dla dziennikarza. Choć tak naprawdę na początku obrałem zupełnie inny kierunek, a tenis był dopiero moją drugą miłością.

Pierwszą był hokej, a doszło do tego, zanim jeszcze odkryłem klub tenisowy Weinfelden z jego trzema kortami położonymi obok browaru i strumyka, osłoniętymi przez murki i zarośla. Sprawiający światowe wrażenie obiekt – tenis był wówczas jeszcze sportem wyłącznie dla pięknych i bogatych – zadziałał na mnie z magiczną mocą przyciągania, którą potęgował fakt, że sam nie mogłem go trenować. Od wczesnej młodości należałem do klubu hokeja na lodzie, a według moich rodziców członkostwo w dwóch klubach jednocześnie nie wchodziło w grę. Dlatego też ja i mój brat Kurt chodziliśmy na lodowisko, a Jeannine, moja starsza siostra, udzielała się w klubie tenisowym.

Dzięki niej miałem jednak – luźny, bo luźny – związek z tenisem i klubem oraz pretekst, żeby go odwiedzać. Coraz

częściej wkradałem się na betonowe stopnie niewielkiej trybuny mieszczącej się na dachu klubowego budynku. Najpierw tylko gdy grała moja siostra, bo przecież nikt by mnie w takim momencie stamtąd nie wyrzucił, ale potem również wtedy, kiedy chciałem obejrzeć innych grających amatorów. Zafascynowany próbowałem zrozumieć ich zagrania i wyobrażałem sobie, że kiedyś sam znajdę się tam na dole i będę odbijał piłki.

Siostra musiała wyczuwać moją tęsknotę. Od czasu do czasu pożyczała mi jedną ze swoich starych rakiet i na dziedzińcu przed domem odbijałem piłki od ściany. Z niewielkiej odległości, jedno odbicie po drugim, aż puls mi szalał, pot lał się strumieniami, a mama wołała mnie na kolację. Rakieta była wspaniałym okazem – wykonana ze szlachetnego, lśniącego drewna, firmowana przez niejakiego Stana Smitha.

Stan Smith? Wtedy było to dla mnie tylko nazwisko, ale takie które rozbudzało moją fantazję. Co wiedziałem w tamtym momencie o świecie tenisa? Nic. Był to czas czarno-białych telewizorów, transmisje sportowe należały do rzadkości, a jeśli już się pojawiały, pokazywano raczej piłkę nożną, narciarstwo, a niekiedy boks. Cóż to były za czasy, gdy cała rodzina spotykała się w jednym pokoju, by mimo senności śledzić, czy może tym razem Cassius Clay zostanie trafiony… Również w gazetach praktycznie nie było miejsca na tenis, w przeciwieństwie do piłki nożnej, hokeja na lodzie, narciarstwa czy Formuły 1.

Nie wiem dokładnie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem telewizyjne migawki z Wimbledonu. Doskonale jednak pamiętam, że kort centralny ze swoimi pełnymi trybunami, idyllicznym, dostojnym parkiem i atmosferą natychmiast mnie zafascynował. Ta sceneria zadziałała na mnie jak objawienie: a więc jednak tenis jest ważny, ma swoich wyznawców, a nawet miejsca kultu. Wimbledon był dla mnie jak katedra, z tysiącami

ludzi, którzy – jak ja w klubie Weinfelden – w skupieniu i z fascynacją śledzili lot piłek i walkę pomiędzy dwoma samotnymi przeciwnikami.

Na spokojnych, wypielęgnowanych obiektach sportowych, na których organizacja działała bez zarzutu, a wszystko było na swoim miejscu, dwójka wyjątkowych ekspertów, prezentując sprawność, taktykę, wyczucie piłki, wytrzymałość, siłę nerwów, spryt i postawę fair play, pojedynkowała się za pomocą piłki i rakiet na oczach zafascynowanych widzów. Był to dla mnie rzut oka na świat, o którego istnieniu nie wiedziałem. Przeżyć Wimbledon, choćby raz, myślałem sobie. Kiedy lata później zostałem dziennikarzem sportowym, moja pierwsza relacja nosiła tytuł *Bogowie tenisa nadciągają do swojej świątyni*.

Klub tenisowy Weinfelden ustąpił tymczasem miejsca osiedlu domków jednorodzinnych i został wypchnięty na obrzeża miasta. Czy siedząc w pojedynkę na betonowych stopniach, mogłem przypuszczać, że moim powołaniem będzie obserwowanie z boku, co dzieje się na korcie, że tenisowa karuzela stanie się również moim światem, a turnieje wielkoszlemowe moją drugą ojczyzną? Czy mogłem sobie wyobrazić, że szwajcarski tenis wkrótce ogarnie fala sukcesu, która poniesie i mnie? Że gdzieś w RPA właśnie nawiązuje się relacja, dzięki której pojawi się najbardziej utytułowany sportowiec w Szwajcarii, a ja sam będę miał szczęście przyglądać się z bliska jego rozwojowi – i to na stopie zawodowej – już od czasów juniorskich?

Kiedy na początku lat 80. zaczynałem pisać o tenisie, z fascynacją śledziłem, jak John McEnroe, Boris Becker i Stefan Edberg zostawali mistrzami na trawiastych kortach Wimbledonu i odbierali złote trofea. Gdy w 1985 roku Heinz Günthardt – rok przed bajecznym Wimbledonem Beckera – przedarł się do ćwierćfinału, był to dla Szwajcarii czas

rozkwitu, a dla mnie jako reportera naprawdę wielka rzecz. Federer miał wtedy prawie cztery lata. Moje najśmielsze marzenia w tamtym czasie kończyły się na próbach wyobrażenia sobie, jak byłoby pięknie, gdyby Szwajcar znalazł się w Top10 i/lub zdołał dotrzeć do finału turnieju wielkoszlemowego. Choćby raz, i mógłby w nim nawet przegrać…

Jak mógłbym przypuszczać, że pojawi się mój rodak, który na największych Kortach Centralnych będzie triumfował, wzruszał do łez i znajdował się w centrum uwagi? I że do tego będzie jedną z najmilszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem?

Wtedy zaczął się helwecki tenisowy cud. Günthardt, który z powodu przewlekłej kontuzji stawu biodrowego musiał przerwać singlową karierę w wieku 27 lat, był pionierem, wybudził tenis w Szwajcarii z głębokiego snu. Później pojawił się Jakob Hlasek, który pod koniec lat 80. jako pierwszy Szwajcar dostał się do Top 10 i uczestniczył w turnieju Masters. Następny był Marc Rosset, mistrz olimpijski z 1992 roku, który wraz z Hlaskiem wdarł się do finału Pucharu Davisa i został pierwszym szwajcarskim półfinalistą turnieju wielkoszlemowego. W 1997 roku, dzięki 16-letniej wówczas Martinie Hingis, Szwajcaria dołączyła do krajów, których reprezentanci triumfowali w turnieju wielkoszlemowym. W grze pojedynczej wygrała pięć imprez tej rangi i została najmłodszym numerem 1 w tenisie.

A w końcu pojawił się on. Federer. Największy sportowiec, jakiego miał – i pewnie kiedykolwiek będzie miał – nasz mały kraj, i najlepszy ambasador, jakiego można sobie tylko wyobrazić. To, że za sprawą jego siły przyciągania w Szwajcarii pojawił się trzeci triumfator turnieju wielkoszlemowego, Stan Wawrinka, wydaje się niemal surrealistyczne.

Niniejsza biografia jest moją drugą książką o Federerze. *Das Tennisgenie* (Tenisowy geniusz) została wydana w 2006 roku, była wielokrotnie uzupełniana, tłumaczona i zmieniana. Najnowsza wersja kończy się na jego 17. tytule wielkoszlemowym, zdobytym w 2012 roku. Im więcej czasu mijało od tamtego momentu, tym bardziej klarowne stawało się, że kolejnym dużym rozdziałem będzie koniec jego kariery.

Ale również bogowie tenisa musieli być pod wrażeniem wytrwałości Federera. I tak oto w wieku, w którym większość zawodników już dawno zakończyła karierę, podarowali mu comeback, jakiego sam Roger nie mógłby sobie nawet wyobrazić, raz jeszcze pozwalając mu na osiągnięcie niewiarygodnych sukcesów i na napisanie tenisowej historii na nowo. Dali mi tym samym motywację i materiał do stworzenia od nowa biografii Federera, bo wiadomo było, że jeden albo dwa nowe rozdziały nie wystarczą, by sprostać opowieści o jego karierze, życiu, a także roli, jaką odgrywa w tenisie. Zbyt wiele zdarzyło się w trakcie tych dziesięciu lat i da się to przeanalizować i uporządkować dużo klarowniej. Zbyt piękna i cudowna była historia jego powrotu.

Swoją otwartością i przystępnością Federer zawsze ułatwiał i uprzyjemniał pracę mnie i moim kolegom. Dzień po dniu, turniej po turnieju wzbogacał codzienność wielu ludzi, odnosząc niepowtarzalne sukcesy, a także prezentując człowieczeństwo, uczciwość i cierpliwość. Moje podziękowanie kieruję przede wszystkim do niego – nawet jeśli w ostatnim czasie nie brał czynnego udziału w tworzeniu tej biografii. Ale on albo robi coś z pełnym zaangażowaniem, albo wcale. Dzięki tej prostolinijności praca z nim jest tak przyjemna. Podziękowanie składam również jego rodzicom, Lynette i Robbiemu, a także Severinowi Lüthiemu, Pierre'owi Paganiniemu i Tony'emu Godsickowi, który podobnie jak

Federer wszystko traktuje ze szczyptą humoru. Dziękuję też moim współtowarzyszom wyjazdów, dzięki którym te wszystkie tygodnie, miesiące i lata na tenisowym korcie stały się niezapomnianymi podróżami. W szczególności Simonowi Grafowi, Heinzowi Günthardtowi i Danielowi Huberowi, którzy byli dla mnie wsparciem także w trakcie tworzenia tej książki. Moje podziękowania wędrują też do niezliczonych rozmówców i osób, z którymi przeprowadzałem wywiady i które były gotowe podzielić się ze mną swoim doświadczeniem i wiedzą. Dziękuję również wydawnictwu Piper, szczególnie Anne Stadler, Angeli Gsell i Steffenowi Geierowi. Na koniec największe podziękowania kieruję do mojej wspaniałej rodziny, Eni i Jessiki, które bez słowa skargi akceptowały to, że często pakuję walizkę tuż po tym, gdy niewiele wcześniej ją rozpakowałem, bym mógł znów podążyć śladem Federera.

Müllheim, luty 2019

CZĘŚĆ I

POWRÓT

1

NADCHODZI KONIEC

Dwudziestego szóstego lipca 2016 roku Roger Federer zamieszcza na Twitterze i Facebooku wiadomość, która wstrząsa światem tenisa, a wśród jego fanów sieje panikę – Szwajcar decyduje się przerwać sezon. Tak po prostu, w środku roku, a na dodatek tuż przed igrzyskami olimpijskimi w Rio de Janeiro, które od dawna były pewnym punktem w jego sportowym kalendarzu. Pod Głową Cukru i Corcovado chciał przecież zostać mistrzem olimpijskim w singlu! Poza tym dzięki Martinie Hingis i Stanowi Wawrince otwierały się przed nim ogromne medalowe szanse także w deblu i mikście. W dodatku teraz miał nie wystąpić w US Open, Swiss Indoors, ATP Finals w Londynie… Czy w ogóle wróci jeszcze na kort?

Federer za dwa tygodnie ma świętować 35. urodziny. W tenisie to – zwłaszcza w singlu – sędziwy wiek. On w tym sporcie wygrał już prawie wszystko, co było do wygrania. Siedemnaście tytułów wielkoszlemowych, począwszy od Melbourne, przez Paryż i Wimbledon, a skończywszy na Nowym Jorku, i 71 innych wygranych turniejów. Na korcie zgarnął ponad 100 milionów dolarów nagród i zarobił wielokrotność tej kwoty dzięki sponsorom oraz wpływom z innych źródeł. Jest zwycięzcą Pucharu Davisa, sześciokrotnym triumfatorem ATP Finals, czterokrotnym najlepszym sportowcem na świecie (Laureus World Sports Awards), mistrzem olimpijskim w grze podwójnej i przez 302 tygodnie

prowadził w rankingu ATP – dłużej niż jakikolwiek inny tenisista. Ponadto w tym czasie został ojcem czwórki dzieci, prezesem wciąż rozwijającej się Roger Federer Foundation i wspólnikiem Tony'ego Godsicka w agencji Team8.

Po 20 latach w tourze, ponad 1200 meczach na zawodowym poziomie i potężnych obciążeniach, jakim tenisiści poddawani są w trakcie wielkich turniejów – a odpoczywają tylko przez kilka tygodni w roku – ciało Rogera zaczyna jednak wysyłać wyraźne sygnały świadczące o „zmęczeniu materiału".

Kłopoty pojawiają się pod koniec stycznia 2016 roku. Dzień po tym, jak został wyeliminowany przez Novaka Đokovicia w półfinale Australian Open, w hotelu Crown w Melbourne ma właśnie zamiar wykąpać córki, Mylę i Charlene, gdy nagle czuje strzyknięcie w lewym kolanie. „Stało się to w trakcie bardzo prostego ruchu, który wykonywałem wcześniej milion razy" – opowiada potem. Tego dnia razem z rodziną przechadza się jeszcze alejkami zoo w Melbourne, ale zauważa, że kolano zaczyna mu puchnąć. Po powrocie do Szwajcarii idzie się przebadać. Diagnoza spada na niego jak grom z jasnego nieba: uszkodzenie łąkotki. Artroskopia jest nieunikniona.

Dla Federera to przełomowy moment w życiu. „Myślałem, że przetrwam karierę bez operacji. Byłem zszokowany i rozczarowany, słysząc to rozpoznanie". Gdy wybudza się po zabiegu, czuje lęk. Doznaje dziwnego odczucia w okolicy kolana. Jak gdyby nie było już jego. Lęk nie trwa długo, ale jest potężny. Czy to dla niego koniec kariery?

Dwanaście dni chodzi o kulach. Najpierw musi odzyskać pewność, że kolano znów jest sprawne. Postępy widać jednak każdego dnia, a pierwsze tygodnie rekonwalescencji w Szwajcarii przebiegają pomyślnie. Federer jest ucieszony, ale i niecierpliwy. Już siedem tygodni po operacji leci do Miami, gdzie chce wrócić na tour. Z powodu problemów żołądkowych,

które dopadły go na krótko przed startem, musi jednak zrezygnować.

Roger powraca na kort trzy tygodnie później w Monte Carlo. Dociera nawet do ćwierćfinału, w którym tylko o włos przegrywa z Jo-Wilfriedem Tsongą. Wprawdzie jest jeszcze daleki od typowej dla siebie formy, a jego ciało wciąż nie wydaje się w pełni sprawne, ale Roger się nie poddaje. W Madrycie strzyka go w plecach, więc także ten turniej musi odpuścić. Nie należy jednak do osób, które szybko rezygnują. W Rzymie męczy się dwa mecze, aż stwierdza, że z jego lewym kolanem jest coś nie tak.

„Coś się musiało stać po Monte Carlo" – zastanawia się później. Z ciężkim sercem decyduje się zrezygnować ze startu na Roland Garros. Tym samym po 65 wielkoszlemowych turniejach z rzędu – to rekord – po raz pierwszy traci szansę na udział w jednej z czterech najważniejszych imprez tenisowych. Startujący po Paryżu krótki sezon na kortach trawiastych, który zwykle był dla niego punktem kulminacyjnym w roku, także nie zaczyna się tak, jak mógłby sobie wymarzyć – czyli porażką z Dominikiem Thiemem w Stuttgarcie i Alexandrem Zverevem w Halle.

Federer przechodzi trudny okres i nie odzyskuje formy również podczas Wimbledonu. Pokazuje tam za to wolę walki. W ćwierćfinale z Chorwatem Marinem Čiliciem broni trzy piłki meczowe i wygrywa 6:7, 4:6, 6:3, 7:6, 6:3. W kolejnej rundzie nie udaje mu się już jednak pokonać Kanadyjczyka Milosa Raonica – 8 lipca odpada w półfinale, po prowadzeniu w setach 2-1 i upadku, po którym pojawiają się spekulacje, że odnowiła mu się kontuzja.

Kiedy 18 dni później ogłasza koniec sezonu, nasuwają się nieuniknione i zrozumiałe pytania: czy to już koniec, czy właśnie tak wygląda zakończenie wyjątkowej kariery? Tak po

prostu: *arrivederci*, *finito*, *goodbye*? Bez ostatniego fajerwerku, bez żadnych emocji związanych z pożegnaniem i bez kolejnego tytułu wielkoszlemowego? To już cztery lata, odkąd daremnie się za nim ugania, a często brakuje mu naprawdę bardzo niewiele. Przypominają mi się słowa ojca Rogera, Roberta, który wiosną 2016 roku zapytany przeze mnie, jak długo według niego jego syn może jeszcze grać w tenisa, odpowiedział: „Może to trwać nawet kilka lat, ale może i szybko się skończyć. Nigdy nie wiadomo".

A przecież w oświadczeniu Federera dotyczącym jego długiej przerwy nic nie wskazywało na to, że mógłby to być początek końca. „Potrzebuję po prostu dużo więcej czasu, by wyleczyć kolano". Decyzję podjął z lekarzami i członkami swojego teamu, jednomyślnie. Kontaktuję się telefonicznie z Tonym Godsickiem, jego menedżerem. Ten uspokaja: „Jeżeli chce pograć jeszcze kilka lat i nie musieć przy tym ciągle zajmować się swoim ciałem i kontuzjami, musi zafundować sobie teraz dłuższą przerwę, niestety w środku sezonu. To oznacza krótkotrwałe poświęcenie się na rzecz osiągnięcia długoterminowych celów". Po czym dodaje: „Patrząc na to w ten sposób, to nawet dobra wiadomość dla jego fanów". Piękne słowa, ale czy nie mają one tylko załagodzić sytuacji, uspokoić opinii publicznej, a Federerowi dać czas na znalezienie odpowiedniego momentu, by ogłosić zakończenie kariery?

Potem szybko robi się o nim cicho, jak zawsze zresztą, gdy zanurza się w prywatności. Tymczasem reprezentacja Szwajcarii wyrusza do Brazylii nie tylko bez swojego lidera, światowej gwiazdy i wielkiej nadziei, ale i bez innego wybitnego mistrza – Stana Wawrinki. Honor helweckich tenisistów srebrnym medalem w grze podwójnej kobiet ratują na szczęście Martina Hingis i Timea Bacsinszky.

Mniej więcej w tym czasie Federer rozmawia ze swoją żoną Mirką o tym, czy nadszedł moment na zakończenie kariery. Dokładnie opisuje tę sytuację: „To było przy kolacji, siedzieliśmy sami przy stole. Nie pamiętam, czy zapytałem ją, czy mam już dać sobie spokój, czy może jednak myśli, że mógłbym jeszcze wygrać coś znaczącego. A ona powiedziała: »Jeśli nadal to lubisz, jesteś w tym dobry i dobrze się czujesz, nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś wygrać dużego turnieju albo nawet i pokonać wszystkich«. I to był koniec tematu. Zapytałem jeszcze tylko: »OK. A jak jutro robimy z dziećmi?«”.

2

W UKRYCIU

Przez kolejne sześć miesięcy do opinii publicznej docierają jedynie strzępki informacji na temat Federera. Po Wimbledonie odkłada rakietę na kilka tygodni, a tenis przestaje dla niego istnieć. Natychmiast mobilizuje się jednak do zrobienia planów na najbliższy czas – bez narzekania na los i podglądania igrzysk olimpijskich w Rio czy US Open w Nowym Jorku, bo to mogłoby boleć. Myśląc pozytywnie, taką ma bowiem naturę, traktuje ten time-out jako niepowtarzalną okazję do gruntownego wyleczenia się i regeneracji. Bo ma teraz coś, co jest luksusem dla każdego zawodowego sportowca – czas.

„Nie czułem się już wystarczająco dobry, ani fizycznie, ani mentalnie – wyjaśnia później przyczyny swojej przerwy Federer. – Dlatego powiedziałem sobie: dość, chcę znów w stu procentach cieszyć się tenisem, ze wszystkim, co się z tym wiąże: treningami, regeneracją, meczami, z całą tą rutyną i podróżami. Kiedy goni się ostatkiem sił, nie ma mowy o najmniejszej radości”.

Motywacją i tym, w jaki sposób chciał wykorzystać przerwę od turniejów, zaskoczył nawet swój team. „To niewiarygodne, jak szybko potrafi zmienić nastawienie i znów spoglądać w przyszłość – opowiada jego trener Severin Lüthi pod koniec roku. – Powiedział sobie: »Sytuacja jest taka, a nie inna, ale wykorzystamy ją najlepiej, jak się da«. I już cieszy się, że w 2017 roku wróci w topowej formie”.

Na tym trudnym etapie Lüthi zdaje sobie sprawę, jak bardzo Federer kocha sport i swoje życie zawodowego tenisisty. „To niesamowite, że nadal ma w sobie tak wiele optymizmu i potrafi wciąż tak inspirować. Jest fenomenem. To, jak chętnie trenuje, podróżuje, rozgrywa turnieje… Kiedy obserwuje się niektórych młodych zawodników, w przypadku wielu odnosi się wrażenie, że tak naprawdę wcale nie czerpią radości z tenisa". Za to Federer, mimo upływu lat, w każdy trening i każdy plan wkłada całą energię. „Jest zawodnikiem, któremu gra daje najwięcej radości. Podczas gdy tenis w wykonaniu innych przypomina ciężką pracę, dla niego to wciąż przyjemność i zabawa. To jest w nim głęboko zakorzenione".

W lipcu i na początku sierpnia najważniejszą osobą dla Federera jest jego fizjoterapeuta Daniel Troxler, którego Roger włączył do teamu w październiku 2014 roku. Daniela znał już jednak od czasów igrzysk olimpijskich w Sydney w 2000 roku. Spokojny i powściągliwy Troxler wywodzi się z lekkiej atletyki i przez lata współpracował z maratończykiem Viktorem Röthlinem. Początkowo najważniejszy jest odpoczynek, „wyciszenie" ciała, wyleczenie mniejszych i większych ran. Ale Federer nie wyleguje się tylko na łóżku do masażu czy kanapie. Już na tym etapie ostrożnie rozpoczyna odbudowywanie swojej muskulatury, szczególnie lewej nogi i pleców. Cieszy się czasem spędzanym w Szwajcarii, dzień po dniu, tydzień po tygodniu; najpierw w górach w regionie Gryzonia, w swoim domku letniskowym w Valbelli, później w Wollerau nad Jeziorem Zuryskim, gdzie ma przepiękne mieszkanie. Wykorzystuje okazję, by spotykać się z przyjaciółmi, pobawić z dziećmi, wybrać na wędrówkę i pielęgnować nieoczekiwanie usystematyzowany porządek dnia.

Dwudziestego czwartego sierpnia znów na krótko pojawia się publicznie: w Nowym Jorku bierze udział w evencie promującym Puchar Lavera, nowy turniej, który stworzył wraz z Godsickiem i Australijskim Związkiem Tenisa. Dwudziestego siódmego sierpnia rozpoczyna drugi etap odbudowy – trening siłowy, koordynacyjny i szybkościowy – podczas którego najważniejsze role odgrywają trener od przygotowania fizycznego i doradca Pierre Paganini. „To dla nas bardzo intensywny czas. Pracujemy ze sobą o wiele więcej niż zwykle – opowiada mi w listopadzie. – Wszyscy w teamie są znacznie bardziej zaangażowani niż wcześniej".

Choć od Wimbledonu, a tym samym ostatniego meczu Federera minęło już ponad sześć tygodni, trening wciąż jest dozowany bardzo ostrożnie. „Na początku w ogóle nie mógł wykonywać niektórych ćwiczeń – mówi Paganini w tym samym wywiadzie. – Działamy krok po kroku, a na każdy z nich przeznaczamy więcej czasu, niż byłoby to konieczne normalnie. Za jednym zamachem mogłoby się źle skończyć".

Tak ostrożny nie jest już jednak ojciec Federera, Robert. Pewnego letniego dnia na wspólną górską wędrówkę w kantonie Appenzell we wschodniej Szwajcarii wybiera trasę, którą określa jako dość prostą: najpierw kolejką na Ebenalp, stamtąd pieszo na Äscher, do zjawiskowej, zbudowanej na ścianie skalnej górskiej gospody, później na dół do jeziora Seealpsee i z powrotem do miejscowości Wasserauen. Ale jak się wkrótce okazuje, trasa nie jest lekkim niedzielnym spacerkiem. W końcu do pokonania jest wysokość 800 metrów.

„Wyruszyliśmy i przez sześć godzin musieliśmy iść pod górę – opowiada Federer jesienią. – To nie było do końca mądre, okazało się za to optymalnym sprawdzianem dla mojego kolana. Choć wszyscy, także Mirka i dziewczynki, następnego dnia mieli zakwasy, ja czułem się dobrze. Gdy było już po

wszystkim, powiedziałem sobie: w takim razie z moim kolanem nie jest tak źle”.

Razem z Paganinim nadal w pierwszej kolejności pracuje w siłowni, z taśmami treningowymi, wykorzystując ciężar swojego ciała, albo z piłkami. Paganini jest zachwycony jego zaangażowaniem: „Nic nikomu nie jest dłużny, ale pracuje każdego dnia, jak gdyby każdemu był coś winien. Niezwykle poważnie, intensywnie, a mimo to na luzie. Nie ma dnia, w którym nie pojawiłby się na treningu bez uśmiechu na twarzy”.

Dziewiętnastego października, razem z dwoma czy trzema innymi dziennikarzami ze Szwajcarii, spotykam Federera w Manacor na Majorce, gdzie jest gościem honorowym podczas otwarcia imponującej Akademii Tenisowej Rafaela Nadala. Także tutaj bije od niego optymizm i radość, o której cały czas mówi jego team. „Działamy ściśle według naszego »rozkładu jazdy«” – zdradza sam zainteresowany, sprawiając wrażenie pełnego wiary i spokoju. Spekulacje, że mógłby już nie powrócić do zawodowego tenisa, rozwiewa na tarasie klubowego budynku:

– Już wcześniej wiedziałem, że życie jest piękne nawet i bez tenisa. Mam jednak przeczucie, że coś mnie jeszcze w nim spotka.

– Planujesz zbudować odpowiednią formę, która pozwoliłaby ci odejść w blasku wspaniałego sukcesu, takiego ostatniego „wow”? – pytam go w drodze powrotnej na lotnisko.

Odpowiada spontanicznie, zupełnie bez zastanowienia:

– Moje ostatnie „wow”? To może potrwać lata. W innym wypadku nie planowałbym tak długiej przerwy.

Ma nadzieję, że wspomniana pauza wyjdzie na zdrowie jego ciału i całej karierze.

– Taki długi time-out raz na dwadzieścia lat jest naprawdę okej.

Ale i on pozostaje ostrożny. Wie, że jego ciało ma za sobą długą podróż, a zegar tyka. We wrześniu prawie w ogóle nie gra w tenisa, w sumie może dziesięć–dwanaście godzin, żeby się nie przeforsować.

– Najważniejsze tygodnie moich treningów są jeszcze przede mną.

Tego, kto przepowiedziałby mu, jak spektakularny będzie jego powrót do rywalizacji, prawdopodobnie by wyśmiał. W tamto jesienne popołudnie na Majorce wybiega jednak w przyszłość:

– Najpierw muszę rozegrać z pięć turniejów, żeby zacząć myśleć o wygraniu tytułu. Po takiej kontuzji nie ma powodu do euforii. Do Australian Open mam jeszcze około osiemdziesięciu dni. To dużo, ale dopiero najbliższe sześć–osiem tygodni pokaże, czy moje kolano faktycznie znów jest w dobrym stanie.

W ten październikowy dzień Federer i Nadal, dwaj najlepsi tenisiści ostatnich 12 lat, chcieli jeszcze rozegrać charytatywny mecz pokazowy, ale nie było na to szans. Żaden z nich nie jest w stanie zaprezentować czegoś, co przypominałoby światową klasę. Tego dnia wyglądają raczej jak dwaj weterani, którzy spotykają się po długiej przerwie, by powspominać pełną chwały przeszłość, porozmawiać o wspólnych przeżyciach i nawzajem zasypać się komplementami. Ludzie przeszłości – ale na pewno nie gracze, którzy mieliby bezwzględnie zdominować kolejny sezon. Kończy się na odbiciu kilku piłek z juniorami z klubu na minikorcie tenisowym.

W listopadzie Federer pozwala sobie na dziesięciodniowy urlop. Opuszcza Szwajcarię i leci do Dubaju na ostatnią i najważniejszą część fazy odbudowy. Także na tym etapie

najważniejszą rolę odgrywa Paganini, choć trening fizyczny powoli schodzi na dalszy plan. Roger zaczyna za to robić to, co potrafi najlepiej, czyli grać w tenisa. Treningi nad Zatoką Perską również przebiegają bez zakłóceń. Ma tam do dyspozycji dobrych sparingpartnerów, na przykład Amerykanina Ernesto Escobedo czy Francuza Lucasa Pouille'a. Im bliżej końca roku, tym jest silniejszy. Jakoś w grudniu Lüthi mówi mu: „Jeśli w Melbourne będziesz grał tak dobrze, możesz nawet wygrać Australian Open". Rzucił to oczywiście z przymrużeniem oka.

Federer nie może się już doczekać, kiedy znów zagra w jakimś turnieju. Te liczne sety treningowe są niezłe, a jeszcze lepsze jest to, że prawie wszystkie je wygrał. Ale one i tak nie zastąpią prawdziwego turnieju. Dwudziestego drugiego grudnia za pomocą live streamu na Twitterze umożliwia kibicom śledzenie swojego treningu w Dubaju. Przypina sobie mikrofon i komentuje wszystko, co robi. Jest przy tym tak zmotywowany, jak gdyby był juniorem, który nie posiada się z radości, bo wkrótce będzie mógł zagrać z największymi – w każdym razie zupełnie nie sprawia wrażenia, że jest utytułowanym 35-latkiem, który zdobył już wszystko, co możliwe.

3

NIEDOSZŁY AUSTRALIJCZYK

Comeback Federera ma się odbyć w Australii, gdzie każdego roku w styczniu rozpoczyna się tenisowy sezon, a po dwóch tygodniach mniejszych imprez odbywa się Australian Open, pierwszy wielkoszlemowy turniej. Okoliczności i lokalizacja są odpowiednie, bo właśnie z tym miejscem Roger jest szczególnie związany. Niewiele brakowało, by jako 13-latek wraz z rodziną przeniósł się do Sydney – co równie dobrze mogłoby oznaczać, że świat tenisa, jeśli w ogóle, podbiłby nie jako Szwajcar, ale jako Australijczyk. Nieźle by to brzmiało: „Please welcome: Roger Federer from Australia…”.

Fakt, że ostatecznie nie doszło do przeprowadzki, zawdzięczają programowi o nazwie Entscheidungsmethodik z St. Gallen. Mowa tu o systemie, który został wdrożony w kantonie St. Gallen, rodzinnym regionie Roberta Federera. Wskazuje on, w jaki sposób odnaleźć właściwe rozwiązanie w trudnej sytuacji. A w takim właśnie położeniu w 1995 roku znajdowali się on i jego żona Lynette, ponieważ 48-letniemu wówczas laborantowi chemicznemu złożono ofertę pracy w Australii. „Pociągała mnie wizja życia w Sydney. Zwłaszcza że to jedno z najpiękniejszych miast na świecie” – opowiada z błyskiem w oku. Wcześniej przez trzy miesiące pracował w Melbourne i z Australii wrócił zachwycony.

Robert Federer podróżowanie miał we krwi. Swoją przyszłą żonę poznał w Johannesburgu w RPA, dokąd rzuciło go w latach

70. i gdzie oboje pracowali w szwajcarskim przedsiębiorstwie chemicznym Ciba-Geigy. Później, gdy mieszkali już w Szwajcarii, jego służbowe wyjazdy – specjalizował się w produkcji papieru – z ramienia tego samego przedsiębiorstwa wiodły go przez pół świata, w szczególności do Afryki, na Bliski Wschód i do Australii.

Roger miał 13 lat, jego siostra Diana 15. Rodzice zdążyli ich już zachwycić planami związanymi z Australią. Dianę, która uwielbiała konie, wabili tym, że mogłaby mieć własne zwierzę. Rogera kręciła przygoda, pociągało go nieznane, nowe.

Ale właśnie – system Entscheidungsmethodik z St. Gallen. „Na jego podstawie oceniliśmy różne kryteria pod kątem ich ważności i na koniec otrzymaliśmy wynik – opisuje procedurę ojciec. – Granica była bardzo cienka. Jednego dnia opowiadaliśmy się za wyjazdem do Australii, następnego już nie. To całe rozważanie za i przeciw trwało około czterech tygodni". „To była jedna z tych decyzji pół na pół" – potwierdza Lynette. Koniec końców doszli do wniosku, że korzystniej będzie, jeśli zostaną w Szwajcarii. Decydujące okazały się dwa czynniki: środowisko i perspektywy gry w tenisa dla Rogera. W Sydney musieliby zaczynać wszystko od początku, a poza tym wyjazd oznaczałby zerwanie kontaktu z większością dotychczasowych znajomych. „Kiedy ma się 50 lat lub więcej, nie tak łatwo nawiązuje się przyjaźnie – dzieli się swoimi przemyśleniami ojciec Federera. – Wartościowe relacje masz z ludźmi, których znasz już od dawna, z którymi studiowałeś lub wspólnie wychowywałeś dzieci".

Decydujące było także pytanie, czy Roger miałby w Australii tak samo dobre możliwości gry w tenisa jak w Szwajcarii. „Nie orientowaliśmy się w tamtejszej sytuacji, ale wiedzieliśmy jedno: w Bazylei miał idealne warunki, z Peterem Carterem w roli trenera i wsparciem Szwajcarskiego Związku

Tenisowego – wspomina Robert. – Do tego dochodził jeszcze fakt, że w Szwajcarii odbywały się turnieje dla wszystkich kategorii wiekowych, co było po prostu idealne. Roger był już wtedy mistrzem kraju do lat 14".

„Myślę, że podjęliśmy właściwą decyzję – mówi Lynette. – Roger robił w tamtym czasie ogromne postępy w tenisie i był bardzo dobrze prowadzony przez sztab trenerski. Poza tym mieliśmy sympatyczne grono przyjaciół. Większość z nich była Szwajcarami, ale część poznaliśmy jeszcze w RPA. Nie daliby rady odwiedzać nas co parę miesięcy, gdybyśmy zamieszkali w Australii".

Gdy przekazali decyzję dzieciom, okazało się, że to dla nich dramat. „Ciągle nas pytały: »Dlaczego nie jedziemy, dlaczego?« – wspomina ojciec. – Rogerowi zawalił się świat i ciągle płakał".

W ramach pocieszenia i rekompensaty za pozostanie w kraju latem 1995 roku rodzina Federerów pozwoliła sobie na urlop w Australii. Rozpoczęli go od Sydney, gdzie ojciec pracował już kiedyś przez trzy miesiące. Stamtąd udali się na północ, do Parku Morskiego Wielkiej Rafy Koralowej. Roger był zachwycony Sydney i umieścił je nawet na liście swoich ulubionych miast. Czy już wtedy przypuszczał, że kilka lat później znajdzie tu miłość swojego życia?

To, że Australia stała mu się tak bliska, wiązało się też z faktem, iż pochodził stamtąd Peter Carter, jego najważniejszy trener z czasów juniorskich. Za sprawą tego zawsze miłego i skromnego byłego tenisisty z miasteczka Nuriootpa w Barossa Valley, położonego niedaleko Adelajdy, został najlepszym na świecie juniorem i wskoczył do pierwszej pięćdziesiątki światowego rankingu.

Choć w 2001 roku już ze sobą nie współpracowali, informacja o jego śmierci była dla Federera szokiem. Australijczyk, który został właśnie wtedy kapitanem szwajcarskiej ekipy Pucharu

Davisa, zginął tragicznie 1 sierpnia, krótko przed 37. urodzinami, w trakcie podróży poślubnej w RPA. Razem ze swoim przyjacielem podróżował land roverem w pobliżu Parku Narodowego Krugera. Żona Cartera, Silvia, Szwajcarka, była w samochodzie jadącym jako pierwszy. „Nasz przyjaciel musiał wyminąć nadjeżdżający z naprzeciwka minibus, który wykonując ryzykowny manewr wyprzedzania, jechał prosto na nas" – opisywała wypadek. Przy próbie uniknięcia kolizji kierowca stracił kontrolę nad pojazdem, samochód przebił poręcz na moście i spadł trzy metry, dachując.

Śmierć Cartera jeszcze bardziej umocniła związek Federera z Australią. Zaczął zapraszać jego rodziców, Boba i Dianę, na Australian Open. Gest ten stał się już tradycją. Australijski i szwajcarski team Pucharu Davisa umówiły się, że podczas swoich spotkań będą walczyć o tak zwany Puchar Petera Cartera.

Obejmujące cały kontynent państwo zafundowało Federerowi wiele rozczarowań, choć przeżył tam też sporo przełomowych momentów. W 1998 roku jako junior wygrał w Australii swój pierwszy turniej, rozgrywany w stanie Wiktoria. Zaraz potem w juniorskim Australian Open awansował do półfinału, w którym uległ jednak swojemu rówieśnikowi Andreasowi Vinciguerrze, mimo że miał meczbola. Szwed uchodził za wyjątkowy talent, nigdy jednak nie zdołał wedrzeć się do czołówki w zawodowym tenisie.

Od tamtego momentu Federer musiał mierzyć się w Australii przede wszystkim z rozczarowaniami. Jak choćby wtedy, gdy nie przebrnął kwalifikacji do Australian Open w 1999 roku albo gdy rok później we łzach żegnał się z igrzyskami olimpijskimi w Sydney. W swym najlepszym do tego czasu turnieju w życiu, wciąż jeszcze będąc nastolatkiem, od razu miał dwie szanse na

zdobycie medalu. Najpierw przegrał jednak w półfinale z Tommym Haasem, a później także mecz o brąz z Francuzem Arnaudem Di Pasquale'em.

Pobyt w Sydney w 2000 roku był dla niego pamiętny także z przyjemniejszych powodów. To właśnie tam, przy okazji turnieju olimpijskiego, zbliżył się do starszej o trzy lata Miroslavy Vavrinec, również należącej do szwajcarskiego teamu, która potem stała się najważniejszą osobą w jego życiu. Rok później w Australii swój największy dotychczasowy sukces świętował u boku innej kobiety, kiedy to ze starszą o rok Martiną Hingis, najmłodszym numerem 1 kobiecego tenisa, triumfował w Pucharze Hopmana.

Tym bardziej przykra była dla niego podróż do Melbourne jesienią 2003 roku, gdy – jako świeżo upieczony zwycięzca Wimbledonu – razem ze szwajcarskim teamem na Puchar Davisa w półfinale trafił na Australię. Był w znakomitej formie i w tych zawodach miał za sobą dziesięć zwycięstw i 31 wygranych setów z rzędu, kiedy na Rod Laver Arena prowadził z Lleytonem Hewittem 7:5, 6:2, 5:3 i serwował, a mimo to przegrał i Szwajcaria odpadła. Federer był wstrząśnięty. Lot powrotny do Europy stał się jednym z najdłuższych w jego życiu. „W samolocie czułem się wykończony. Wszystko mnie bolało".

Prawdopodobnie nie uważał wtedy za możliwe, że jego przyszłe triumfy w Melbourne znacznie przeważą tę gorzką porażkę. Albo że kilka miesięcy później, 30 stycznia 2004 roku, na tym samym korcie padnie na kolana po zwycięstwie w półfinale Australian Open nad Juanem Carlosem Ferrero, wiedząc, że po raz pierwszy zostanie numerem 1 w rankingu ATP. Że dwa dni później pobije w finale Marata Safina i zdobędzie swój drugi wielkoszlemowy tytuł. Że w tym samym miejscu odniesie jeszcze niezliczone ważne zwycięstwa i sięgnie

po wielkoszlemowe puchary. I że to tutaj w jego karierze, w wieku 35 lat, nastąpi kolejny nieoczekiwany zwrot.

4

CUDOWNA PRZEMIANA

Na tle innych metropolii świata Perth uchodzi za najbardziej odosobnioną. Gdy spogląda się nocą na to leżące w zachodniej Australii miasto, mieni się ono jak diament na pustkowiu. Puchar Hopmana, który odbywa się tutaj od 1988 roku, też nie jest raczej pępkiem tenisowego świata – to turniej pokazowy z udziałem reprezentacji ośmiu krajów, składających się z tenisistki i tenisisty, w którym chodzi przede wszystkim o „rozegranie się" przed zbliżającym się Australian Open. Nie są w nim przyznawane punkty do rankingów WTA i ATP, za to już przed rozpoczęciem zmagań wiadomo, że każde z uczestników może zagrać co najmniej po trzy single i miksty. Mimo jego nieoficjalnego formatu kochająca sport lokalna społeczność uwielbia ten turniej.

Fakt, że Federer wybrał akurat to miasto na miejsce swojego comebacku w styczniu 2017 roku, ma sens. Nie potrzebuje teraz punktów, ale przede wszystkim „ograniа". Perth przyjmuje go tak, jak tylko spragnione sportowej gwiazdy miasto mogłoby go przyjąć. „To było jak państwowa wizyta ważnego polityka" – opowiada australijskiej dziennikarce. Powitania, przemowy, policyjne eskorty – będący pod wrażeniem tego obezwładniającego zainteresowania Federer decyduje, że jego pierwszy trening będzie otwarty dla publiczności. Sześć tysięcy fanów nadciąga do Perth Arena, by śledzić, jak po raz pierwszy od 15 lat Roger odbija kilka piłek w ich mieście. Wtedy nie miał

jeszcze na koncie zwycięstw w turniejach wielkoszlemowych i nie zwracając raczej niczyjej uwagi, reprezentował Szwajcarię w Pucharze Hopmana wraz ze swoją dziewczyną, a późniejszą żoną Miroslavą Vavrinec.

Kiedy 2 stycznia 2017 roku Federer rozpoczyna turniej, na trybunach pojawia się 13 600 widzów. To rekord imprezy. Kibice witają go owacją na stojąco na jego pierwszym meczu od półfinału w Wimbledonie, który odbył się 177 dni wcześniej. Federer zdecydowanie wygrywa z Anglikiem Danielem Evansem i razem ze swoją partnerką Belindą Bencic pokonuje Wielką Brytanię 3:0. Także w meczu przeciwko Alexandrovi Zverevowi, z którym przegrywa po trzech rozstrzygniętych w tie-breaku setach, oraz po wyraźnym zwycięstwie z Richardem Gasquetem, pokazuje, że dobrze wykorzystał przerwę od gry. „To było idealne przygotowanie przed Australian Open" – podsumowuje. Rywalizował z trzema różnymi typami zawodników i jest bardzo zadowolony ze swoich występów. To, że on i Bencic nie zdołali sięgnąć po zwycięstwo grupowe i awansować do finału, jest drugorzędne.

W Melbourne mieszka w tym samym hotelu, w którym przed rokiem w łazience nabawił się kontuzji kolana – ale nigdy nie był przesądny. Zgiełk podczas turnieju wielkoszlemowego jest potężny, wakacyjna atmosfera i luz z Perth uleciały. Dla Federera wiele rzeczy stanowi nowość. Nagle nie jest już uznawany za jednego z głównych faworytów, a w oficjalnym programie turnieju krótka informacja o nim zostaje zamieszona na tej samej stronie co wzmianki o pięciu innych zawodnikach. Za nim pół roku bez turnieju zaliczanego do rankingu ATP, a dla zawodowych tenisistów to wieczność. Spadł na 17. miejsce, na liście rozstawionych zajmuje też tę odległą, niecodzienną dla niego pozycję i ma odpowiednio niełatwą drabinkę.

Gdyby turniej miał przebiegać bez niespodzianek, już (o to tutaj chodzi) od trzeciej z siedmiu rund mógłby grać wyłącznie z tenisistami z pierwszej dziesiątki rankingu. Jego mocny występ w Pucharze Hopmana podkręcił atmosferę wokół niego. Rod Laver, najsłynniejsza australijska legenda tenisa, daje się ponieść emocjom i prognozuje: „Jeśli Federerowi wszystko dobrze pójdzie, może zdobyć tytuł". To wypowiedź, która sprawiła, że wielu zaczęło wątpić w odpowiedzialność za słowo tego uprzejmego człowieka.

Federer zwyczajnie się cieszy, że występuje w Melbourne w roli zawodnika. Zapytany o losowanie, które gazeta „Melbourne Age" określiła jako „Highway to hell", zaskakuje odpowiedzią: „To dobre losowanie, bo znalazło się w nim moje nazwisko". Niepewność, na co go stać, sprawia, że jest bardziej nerwowy niż zwykle, za to ma znacznie mniejsze oczekiwania. „Byłoby pięknie, gdyby udało mi się awansować do ćwierćfinału – mówi. – Półfinałów nie mogę sobie jeszcze stawiać za cel". To sukces, że w ogóle pojawił się na starcie.

Te niecodziennie niskie oczekiwania potwierdza Severin Lüthi: „Obojętnie, jak potoczy się ten turniej: jesteśmy po prostu szczęśliwi z przebiegu ostatnich miesięcy. Nie możemy jeszcze mówić o zdobyciu tytułu". Ponieważ rok temu Federer był tu w półfinale, w przypadku wczesnej porażki spadnie w rankingu i pożegna się z Top 30. Lüthi potrafi sobie dokładnie wyobrazić, co by się wtedy działo: „Znowu by mówili: »Nie zdążył się wycofać«". Ale trener wierzy w Federera: „Technicznie to znów ten sam Roger, potrafił odtworzyć każde ze swoich uderzeń".

Nie widać tego jednak na samym początku turnieju. Federer startuje w przypominającym umaszczenie zebry białym, nieregularnie prążkowanym T-shircie. Sprawia wrażenie niespokojnego, a według „Daily Mail" wygląda jak migający ekran telewizora. Jego pierwszym przeciwnikiem jest jeden

z niewielu w stawce zawodników starszych od niego, austriacki kwalifikant Jürgen Melzer. Tenisista raptem numer 300 na świecie. Mecz rozgrywany w poniedziałkowy wieczór rozpoczyna się dla Rogera alarmująco: traci pierwsze cztery punkty, wszystkie z powodu piłek, które zagrywa nieczysto, krawędzią rakiety – wszystko to przez nerwy. Rozkręca się burzliwy pojedynek, który jednak Federer ostatecznie wygrywa 7:5, 3:6, 6:2, 6:2. „Byłem spięty. Musiałem się dopiero wyluzować" – mówi potem. Zdaje się tak szczęśliwy i wdzięczny, że znów może zagrać w turnieju, że nawet porażka byłaby zadowalająca. „To nie są odczucia, jakich chciałby doświadczać tenisista. Muszą zniknąć tak szybko, jak to możliwe" – przyrzeka.

W środę czeka go pojedynek z kolejnym kwalifikantem, Amerykaninem Noahem Rubinem, tym razem numerem 200 w rankingu. I znów nie jest łatwo. W trzecim secie Federer musi bronić dwóch piłek na 2:6, ale dzięki swojemu doświadczeniu wygrywa 7:5, 6:3, 7:6. I tak oto rozgrzewkę ma już za sobą. W kolejnej rundzie trafia na Tomáša Berdycha, gracza z Top 10, z którym przegrywał już sześciokrotnie. Federer sam stwierdza: „Muszę się podnieść, i to szybko".

I dokładnie tak się dzieje, w cudowny niemal sposób. Powracający po długiej przerwie Roger w obliczu niebezpieczeństwa, jakie stanowi dla niego Berdych, przemienia się z nieudacznika w magika. Jego czar nagle powraca. Nie daje Czechowi żadnych szans, zwycięża 6:2, 6:4, 6:4, w ciągu 90 minut zagrywa 40 winnerów. Natychmiast powraca mu pewność siebie – to zwycięstwo jest sygnałem, którego potrzebował. Nadal to potrafi. Ciągle jeszcze jest w stanie pokonać nawet topowych graczy, i to wyraźnie, jak za swoich najlepszych czasów.

W meczu 1/8 finału z Keiem Nishikorim, numerem 5, rozkręca się na tyle, że wygrywa w pięciu setach, potwierdzając w ten sposób, że również jego ciało znów jest odpowiednio przygotowane do ambitnych zadań. „Gra w cwany sposób – chwali go Michael Chang, trener Nishikoriego. – Głęboko w środku ma świadomość, że jest mistrzem, który może wygrać wszędzie".

Wtedy nagle zaczyna się trząść turniejowa drabinka. W ćwierćfinale Federer spotyka się nie, jak oczekiwano, z mocnym Andym Murrayem, ale outsiderem Mischą Zverevem, który atakami przy siatce nieustannie wyprowadzał w pole szkockiego lidera rankingu. Federera to nie dotyczy. Jest czujny w stosunku do leworęcznego Niemca i zasypuje go uderzeniami mijającymi przy siatce tak często, że z pewnością rywalowi kręci się w głowie. Tym samym Roger jest w półfinale, wyrównuje swe osiągnięcie sprzed roku i zapobiega potężnemu spadkowi w rankingu. Jego gra przerasta wszystkie oczekiwania.

Turniej jest tymczasem gorszy dla jego zeszłorocznego pogromcy Novaka Đokovicia, który niespodziewanie odpada w drugiej rundzie z Uzbekiem Denisem Istominem. W półfinale Federer mierzy się za to z innym starym znajomym, rodakiem Stanem Wawrinką, który pod skrzydłami szwedzkiego trenera Magnusa Normana stał się mistrzem. To z nim w Pekinie w 2008 roku w turnieju deblowym zdobył złoty medal. Pochodzący z zachodniej części Szwajcarii zawodnik, będący numerem 4 na świecie, nie tylko wyraźnie wyprzedza Federera w rankingu, ale w latach 2014, 2015 i 2016, w przeciwieństwie do Rogera, sięgał po tytuł wielkoszlemowy, najpierw tutaj, w Melbourne, potem w Paryżu i w końcu w Nowym Jorku. Wawrinkę uznaje się już za numer 1 w Szwajcarii.

Drugi raz dwóch Szwajcarów walczy o miejsce w finale wielkoszlemowego turnieju; za pierwszym, podczas US Open w 2015 roku, wyraźnie zwyciężył Federer. Także w Melbourne wygrywa dwa pierwsze sety, ale potem dzieje się coś dziwnego: Wawrinka ze łzami w oczach opuszcza kort, jest rozczarowany, czuje ból w lewym kolanie. Potem wraca jednak odmieniony, w 20 minut wygrywa trzeciego seta i zdobywa też czwartego. Teraz to Federer opuszcza kort. Już od kilku dni bolą go przywodziciele lewej nogi.

„Spotkałem się ze ścianą, której obawiałem się już od dłuższego czasu" – pomyślał w tamtym momencie, o czym opowiada później. Udaje mu się jednak przez nią przebić. Dzięki doświadczeniu i mentalności zwycięzcy zyskuje przewagę. W piątym secie broni dwóch piłek na przełamanie, na koniec wygrywa 7:5, 6:3, 1:6, 4:6, 6:3 i tym samym jest w finale – po raz pierwszy od siedmiu lat w Melbourne, jako 35-latek i w swoim pierwszym turnieju rozegranym od pół roku.

„To potwierdzenie tego wszystkiego, czego dokonałem w ciągu ostatnich 12 lat – mówi w euforii. – Moja praca z Pierre'em Paganinim zawsze była ukierunkowana na długą karierę". W tamten czwartek jeszcze nie zna rywala, z którym zmierzy się w finale. Wyłoni go dopiero piątkowy pojedynek pomiędzy Rafaelem Nadalem i Grigorem Dimitrowem. Ich półfinał, całe pięć setów, Federer będzie śledził razem ze swymi trenerami Ivanem Ljubičiciem i Severinem Lüthim, by wyciągnąć cenne wnioski. Bułgar zawsze grał podobnie do Rogera i teraz do końca dotrzymuje kroku Hiszpanowi, ale ostatecznie przegrywa. Gdy tego wieczoru Nadal awansuje w końcu do finału, Federer razem ze swoimi trenerami, bystrymi tenisowymi analitykami, rozpracowuje go w głowie już od kilku godzin.

5

LAVER I INNE LEGENDY

Australia fascynuje Federera nie tylko dlatego, że kiedyś omal do niej nie wyemigrował. Ceni również jej bogatą tenisową historię oraz fakt, jak duże znaczenie ma tam ten sport. Wcześnie dostrzegł, że ten kraj wydał nieproporcjonalnie wielu legendarnych mistrzów, i robi to nadal. Z początku liczni australijscy zwycięzcy turniejów wielkoszlemowych i triumfatorzy Pucharu Davisa byli dla niego tylko nazwiskami i niewyraźnymi czarno-białymi obrazami, które wyryły się w historii jego dyscypliny i które podziwiał: Rod Laver, Roy Emerson, Ken Rosewall, John Newcombe, Neale Fraser, Lew Hoad, Frank Sedgman, Ashley Cooper, Tony Roche… Z biegiem lat jednak osobiście poznawał coraz więcej tych ważnych figur, co jeszcze bardziej wzbudzało jego podziw i zainteresowanie.

Jak wiele znaczy dla Federera historia australijskiego tenisa, odzwierciedla jego przedmowa zamieszczona w wydanej w 2013 roku biografii Roda Lavera. „Jeśli naprawdę kochasz dyscyplinę, którą uprawiasz, musisz poznać jej historię, by móc zrozumieć, w jaki sposób stała się dokładnie taka, jaką znasz dzisiaj” – napisał na początku. Federer opowiada o swoim pierwszym spotkaniu z Laverem, do którego doszło kilka dni przed finałem Australian Open w 2006 roku; Szwajcar zmierzył się wtedy z Marcosem Baghdatisem, a Laver wręczył Rogerowi przechodni Puchar Normana Brooksa za wygranie singla

mężczyzn. Ów moment do tego stopnia poruszył Federera, że na oczach wszystkich wybuchnął płaczem.

„Poczułem wtedy namacalnie wagę tej chwili i zdałem sobie sprawę, jakim jestem szczęściarzem, że puchar wręcza mi osobiście Rod" – wspomina. Jego ówczesnym trenerem był inny triumfator turniejów wielkoszlemowych z Australii, Tony Roche. Przyjaźnił się z Laverem i umówili się, że Federer spotka się z nim kilka razy podczas turniejów, by bliżej się poznali. W trakcie długich wieczorów Roche opowiadał mu historyjki i anegdoty z czasów, gdy „Aussies" rządzili tenisowym światem. Fakt, że osobiście poznał Lavera i zauważył, że mają ze sobą trochę wspólnego („Na początku kariery obaj byliśmy nieśmiali"), okazał się dla Federera motywacją i inspiracją. Zresztą od razu przyznał: „Rod jest po prostu jedną z najmilszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem".

Tymczasem Federer wymieniany jest w jednym szeregu razem z Laverem, gdy mowa o najbardziej dominującym albo najlepszym tenisiście w historii. Australijczyk zdobył wprawdzie „tylko" 11 tytułów wielkoszlemowych, ale we wspomnianej przedmowie Federer zwraca uwagę, że „The Rocket" z Rockhampton w swoim najlepszym okresie, czyli pomiędzy 24. a 29. rokiem życia, w ogóle nie mógł występować w turniejach wielkoszlemowych. Mimo to jest jedynym człowiekiem, który dwukrotnie – w 1962 i w 1969 roku – wygrał te wszystkie cztery turnieje w tym samym roku, co zostało uznane za najtrudniejsze zadanie, a cykl nie bez powodu nosi nazwę „Grand Slam" – wielkie uderzenie. W 1963 roku Laver został zawodowym tenisistą i nie mógł startować w tych czterech wielkich imprezach, które stały otworem tylko dla amatorów, dopóki w 1968 roku nie dopuszczono do nich zawodowców. Powrót mającego raptem 173 centymetry wzrostu mańkuta był triumfalny. Tamtego roku grał w finale

w Paryżu i wygrał Wimbledon, rok później sięgnął po swoje drugie zwycięstwo w Wielkim Szlemie. Tym samym jest niemal osamotniony w historii męskiego tenisa; oprócz niego tylko Amerykanin Donald Budge w ciągu jednego roku (1938) wygrał wszystkie cztery turnieje. Nikt nie wie, ile pucharów w turniejach wielkoszlemowych zdobyłby Laver, gdyby nie musiał odpuścić 21 z nich, podkreśla Federer.

Laver był także idolem Johna McEnroe, leworęcznego, podobnie jak Australijczyk. Ale za czasów Amerykanina Laver nie był nikim więcej niż tylko nazwiskiem w pożółkłych tabelach z wynikami, które interesowały jedynie sentymentalnych nudziarzy. Zwycięzca ponad 200 turniejów rzadko pojawiał się na tourach, a w 1998 roku podczas udzielania wywiadu dostał udaru. Urodzony w 1938 roku pięciokrotny zwycięzca Pucharu Davisa, mieszkający wtedy w kalifornijskim Carlsbadzie, borykał się także z problemami finansowymi, co nie umknęło uwadze Federera.

Kiedy już się poznali, Laver i Federer zaczęli się częściej spotykać. Ósmego stycznia 2014 roku odbili też ze sobą kilka piłek. Federer rozgrzewał się z 75-letnim gościem honorowym, gdy w Melbourne brał udział w meczu pokazowym z Jo-Wilfriedem Tsongą, by zebrać pieniądze na założoną przez siebie przed dziesięcioma laty fundację. „Gra z Rodem to dla mnie spełnienie marzeń” – zauważył Szwajcar. Do tego pamiętnego momentu doszło na dodatek na Rod Laver Arena w Melbourne, głównym stadionie Australian Open, który w 2000 roku otrzymał imię legendarnego tenisisty.

Najważniejszy przejaw szacunku Federera dla Lavera miał jednak dopiero nadejść. Podczas Australian Open w 2016 roku on i jego menedżer, Tony Godsick, ogłosili, że z pomocą Australijskiego Związku Tenisa zorganizują nowe zawody – Puchar Lavera. Premiera w 2017 roku w Pradze okazała się

sukcesem, na dodatek grający dla Teamu Europa Federer w meczu przeciwko Australijczykowi Nickowi Kyrgiosowi zdobył punkt decydujący o zwycięstwie.

Godsick opowiada, jak doszło do organizacji tych zawodów: „Wracaliśmy kiedyś samochodem do hotelu w Szanghaju. Obudziłem się, bo zrobiło mi się gorąco w plecy. Roger, jak to ma w zwyczaju, gdy ktoś śpi, włączył podgrzewanie foteli". Tego wieczoru spotkali się także z Laverem. „Roger zapytał mnie: »Wiesz, że tak naprawdę w jeden wieczór, grając mecz pokazowy, zarobiłem więcej niż Laver w całej swojej karierze?«. Zaprzeczyłem, a on pytał dalej: »A wiesz, że on wygrał ponad 200 turniejów?«. Znów zaprzeczyłem".

Federer zaproponował wtedy podjęcie jakichś kroków, by upamiętnić Lavera, ale także wesprzeć go finansowo. Był to moment narodzin Pucharu Lavera, mającego stać się świętem tenisa, który jednak szybko spotkał się z oporem, choćby organizatorów touru ATP i turniejów wielkoszlemowych. Podczas wieczornej gali w Pradze Godsick powiedział do Lavera: „Twoja wielkość nas inspiruje".

Federer udowodnił, jaką siłę przyciągania ma dla niego pełna chwały przeszłość Australii w tym sporcie, także wtedy, kiedy zatrudnił Tony'ego Roche'a. W 2004 roku był nawet gotów spędzić święta Bożego Narodzenia w Australii, by móc trenować z liczącym wówczas 58 lat szkoleniowcem w Turramurra na obrzeżach Sydney. „Zrobiło na mnie wrażenie, gdy zadzwonił do mnie i był gotów się poświęcić, żeby trenować u mnie w okresie świąt Bożego Narodzenia. Pomyślałem, że może mógłbym znaleźć dla niego czas przez kilka tygodni" – opowiadał Roche. Na początku się jednak wahał. „Nie wiedziałem, czy dobrze wykonywałbym tę robotę w moim wieku ani czy chcę być tak często w rozjazdach, jak byłoby to

konieczne w przypadku współpracy”. Ale Federer zapewnił go, że sam będzie mógł określić, ile czasu mu poświęci.

Roche, mańkut z pomarszczoną skórą pochodzący z miejscowości o nazwie Wagga Wagga, w grze pojedynczej nie do końca dotrzymywał kroku takim tenisistom jak Laver, Emerson, Newcombe czy Rosewall. Niemniej wystąpił w sześciu finałach wielkoszlemowych w singlu i w 1966 roku zwyciężył w Paryżu. Był uznawany za jednego z najlepiej atakujących i grających wolejem zawodników swoich czasów i wygrał 13 turniejów wielkoszlemowych w deblu. Ponadto był doświadczonym trenerem, przez osiem lat pracował z Ivanem Lendlem, ośmiokrotnym wielkoszlemowym zwycięzcą z lat 80. i 90., a potem z Patrickiem Rafterem i australijskim zespołem startującym w Pucharze Davisa.

Współpraca Federera z Roche’em trwała dwa i pół roku, zanim w 2007 roku przed Roland Garros doszło do jej zakończenia. Był to czas pełen sukcesów. Pod skrzydłami Australijczyka Federer zdobył sześć tytułów wielkoszlemowych. „Kocham to pokolenie. To wspaniałe uczucie być wymienianym w tym samym szeregu co Laver, Rosewall, Emerson czy Roche” – mówi Szwajcar. Szacunek, który okazywał australijskim legendom, był hojnie odwzajemniany. „Roger gra w tenisa tak, jak powinno się w niego grać, w australijskim stylu – powiedział Roche w 2018 roku w wywiadzie dla australijskiego dziennika »Herald Sun«. – Gra w sposób tak wyluzowany, jakby robił to niemal bez wysiłku. Dlatego przypomina mi trochę Kenny’ego Rosewalla”.

Ken Rosewall, który za sprawą swojej mizernej budowy i niewielkiej siły fizycznej nazywany był ironicznie „Muscles” (Mięśniak), ustanowił wiele rekordów związanych z wiekiem, a mając 39 lat, grał w finale Wimbledonu i US Open. Każdego

roku przed Australian Open miał w zwyczaju wręczać Rogerowi odręcznie napisany list, w którym życzył mu powodzenia.

Dlaczego australijskie legendy tenisa tak bardzo fascynują się Federerem, wyjaśnia mi John Newcombe, kiedy zagaduję go o to podczas Wimbledonu: „Roger jest ucieleśnieniem wszystkiego, co my, Australijczycy, tak bardzo lubimy w sporcie. Po pierwsze kocha tenis, po drugie zachowuje się dokładnie w sposób, jakiego oczekiwalibyśmy od wszystkich naszych sportowców. Po trzecie jest olśniewającym graczem, a mimo to nie stracił skromności. Wie, jak wygrywać, i wie, jak przegrywać. My takie cechy podziwiamy".

Australijskiej legendzie nie umknął fakt, że Federer zaczął doceniać ich zasługi i sukcesy i starał się sprawić, by tenis, jak dawniej, znów stał się sportem dżentelmenów. „Imponuje pojmowaniem historii tenisa – powiedział Newcombe. – Ma świadomość, że ta dyscyplina nie ogranicza się tylko do teraźniejszości i że jej historia sięga ponad stu lat. On to wszystko rozumie, także tradycję naszego sportu, i to jest bardzo ważne".

Według Newcombe'a za jego czasów zawodnicy byli wychowywani tak, by szanować i cenić historię sportu, który uprawiają. „Kiedy jeszcze grałem, miałem poczucie, że reprezentuję dawnych mistrzów. I gdy moje zachowanie było niewłaściwe, obrażałem tym samym cały australijski tenis". Przy tym wszystkim zachowanie skromności może nie być dla Federera łatwe. „Gdziekolwiek się pojawię i rozmawiam z ludźmi, mają nadzieję, że wygra Federer. A mimo to nadal stąpa twardo po ziemi. Taka postawa wiele od niego wymaga. Jest po prostu dobrym facetem".

6

DŁUGIE OCZEKIWANIE

Cudowny awans Federera do finału Australian Open w 2017 roku, tuż po jego comebacku, otwiera przed nim niespodziewaną szansę, by zakończyć długie oczekiwanie na kolejny wielkoszlemowy tytuł. Liczba „18” zaczęła się nad nim unosić niczym pomnik, przypominający, że jego czas minął, że sięgnął swoich granic, że może być człowiekiem przeszłości. Choć tak bardzo się przed tym broni, ocenia się go przede wszystkim na podstawie wyników w turniejach Wielkiego Szlema. On też wyznaje motto, które przyświecało Pete’owi Samprasowi: dobry rok to taki, w którym wygrywasz chociaż jeden z nich. Przy czym Roger hołduje też odwrotnej zasadzie: wszystkie inne lata są złe.

Siedemnasty i ostatni tytuł wielkoszlemowy Federera jest już hen, daleko w historii tego krótkowiecznego sportu: od czasów zwycięstwa nad Andym Murrayem w lipcu 2012 roku w finale Wimbledonu minęło już cztery i pół roku. Mała wieczność. Prawdopodobieństwo, że sięgnie jeszcze po ten 18. puchar, z każdym turniejem zdaje się maleć. Argumenty tych, którzy wciąż w niego wierzą, są coraz bardziej wątpliwe, także wystawiona na pokaz wiara Federera i jego optymizm straciły na sile przekonywania. Odbyło się już 15 turniejów wielkoszlemowych, które jeden po drugim kończył jako przegrany, będąc w dodatku zmuszonym gratulować zwycięstwa kilku rywalom z drugiego rzędu: Serhijowi

Stachowskiemu, Tommy'emu Robredo, Ernestsowi Gulbisowi, Andreasowi Seppiemu…

Ale czy wszystko w trakcie tych czterech lat, od 2013 do 2016 roku, było faktycznie takie złe? W żadnym wypadku: z dwoma, trzema wyjątkami także w tamtych latach jego rywale z chęcią zamieniliby się z nim wynikami. Spoglądając wstecz, Federer wzbrania się przed mówieniem o przedłużającym się kryzysie. „Przegrałem wprawdzie kilka trudnych meczów, ale miałem też dobre momenty. Wygrałem wiele turniejów, pokonałem wielu czołowych graczy, właściwie wszystkich. No i zdobyliśmy Puchar Davisa, a to dla nas wielka sprawa. Nie wszystko było takie złe, jak przedstawiają to niektórzy ludzie, mówiący o głębokim kryzysie albo czarnej serii. Nie wygrałem po prostu żadnego wielkoszlemowego turnieju, i to głównie z powodu Novaka".

Już w 2013 roku z rytmu wybiły go problemy zdrowotne. Kłopoty zaczynają się 11 marca podczas turnieju Masters 1000 w kalifornijskim Indian Wells – w dniu, w którym trzęsienie ziemi osiągające siłę 5,2 stopnia w skali Richtera nawiedziło Coachella Valley. „Nagle wszystko zawibrowało – opowiada. – W pierwszych sekundach nie wiedziałem, co się dzieje, potem wybiegłem na zewnątrz. Na szczęście mojej rodziny nie było w domu. Ogarnęło mnie przerażenie. Nie wiedziałem, ile to jeszcze potrwa ani czy się nie nasili".

Trzęsienie ziemi nie miało następstw. Dużo bardziej znaczące konsekwencje niosło dla niego to, co tamtego dnia wydarzyło się później. Podczas gry z Ivanem Dodigiem, przy stanie 6:3, 4:1, Federer czuje w plecach ucisk. Nie przejmuje się tym zbytnio, gra dalej i zwycięża. Problemy z plecami towarzyszą mu przez całą karierę, na drodze do pierwszego zwycięstwa w Wimbledonie był bliski rezygnacji z turnieju właśnie z tego powodu. Niedobrze było także w 2008 roku, gdy w paryskiej

hali Bercy, grając z Jamesem Blakiem, po raz pierwszy w karierze oddał mecz bez walki. Także zdobywając 17. tytuł wielkoszlemowy, musiał pokonać silny ból pleców.

Ćwiczenia rozciągające i rozgrzewające plecy zajmują w jego planie dnia tak stałe miejsce jak mycie zębów (choć oczywiście wymagają znacznie więcej czasu), a Roger uznał, że może żyć z bólem, swoim starym towarzyszem. W Indian Wells duma zabrania mu odpuścić turniej. Dwa dni później zostaje wciągnięty w wyniszczającą walkę z Wawrinką, którą również wygrywa, aż odpada w ćwierćfinale, po przegranej 4:6, 2:6 z Nadalem.

Na początku Federer bagatelizuje sytuację, tym razem jednak problemy z plecami są znacznie bardziej uciążliwe niż dotychczas. Kilka tygodni później Pierre Paganini wyjaśnia, jak niełatwa była sytuacja Federera: „Po takiej kontuzji pleców świadomie albo nieświadomie naciskasz hamulec. Ten uraz wybił go z rytmu. Blok treningowy po Indian Wells, w trakcie którego przez siedem tygodni nie zagrał w żadnym turnieju, przyniósł frustrację. Roger każdego dnia poświęcał na ćwiczenia wiele godzin, ale niewiele to dawało jego grze". Roger musiał opuszczać pewne elementy w treningu siłowym, podobnie było także w zakresie treningu eksplozywnego, który odgrywa ważną rolę w tenisie. „Prewencja miała tak duży wpływ, że oddaliła nas od obranych celów" – przyznał Paganini.

Rok 2013 staje się dla Federera jego najgorszym sezonem od 11 lat. Szwajcar awansuje zaledwie do trzech finałów, a wygrywa tylko jeden z nich, w Halle na korcie trawiastym, gdzie po raz pierwszy od dziesięciu miesięcy może odebrać puchar za turniejowe zwycięstwo. To jego 77. tytuł, którym nawiązuje do osiągnięć Johna McEnroe, i przed Wimbledonem znów jest zaliczany do grona faworytów. Jak się okazuje, trochę przedwcześnie.

W All England Club siedmiokrotny mistrz i obrońca tytułu ponosi porażkę w starciu z Serhijem Stachowskim w drugiej rundzie, co wstrząsa tenisowym światem znacznie mocniej niż trzęsienie ziemi w Indian Wells. Numer 116 na liście gra mecz życia, atakując przy siatce 141 razy, zdobywa 110 punktów, i po trzech godzinach wygrywa cały pojedynek 6:7,7:6,7:5,7:6.

Ta porażka kończy jedną z najbardziej imponujących serii Federera. Po raz pierwszy od dziewięciu lat nie zagra w ćwierćfinale turnieju wielkoszlemowego, po 36 awansach do tej fazy z rzędu. To jeden z jego rekordów, który będzie później najtrudniej pobić. Jest na jednym poziomie z rekordem, jakim były awanse do 23 półfinałów z rzędu w turniejach wielkoszlemowych od Wimbledonu 2004 do Australian Open 2010.

Przegrana w drugiej rundzie to wynik daleki od perfekcji, pojawia się pesymizm. „Guardian" określa tę porażkę jako „największą sensację w historii turnieju, może nawet w historii całego tenisa". „Independent" rezultat ten postrzega jako „brutalne potwierdzenie, że jego czas już minął". A Simon Barnes, felietonista „Timesa" i zdeklarowany fan Szwajcara, daje się ponieść tej druzgocącej prognozie: dawnego Federera, pisze, już nie będzie. Łaskawie dodaje, że powinno się jednak szanować powody, które nadal pozwalają mu grać, nawet jeżeli trochę sam siebie oszukuje.

Federer reaguje przekornie. Zauważa, że ostatnie miesiące nie były takie złe, jak to wielu przedstawia. A to, że jego niepowtarzalna seria kolejno następujących po sobie awansów do ćwierćfinałów została przerwana, nim nie wstrząsnęło: 36 ćwierćfinałów z rzędu to przecież wspaniały wynik, z którego może być dumny.

Lecz i kolejne miesiące 2013 roku nie przebiegają tak, jak by sobie tego życzył. Jego kariera chwilowo zaczyna się nawet

walić. Po Wimbledonie Szwajcar pozwala sobie na coś, co wcześniej nie było w jego stylu – spontaniczną zmianę w programie. Zamiast jak zwykle w spokoju przygotowywać się do amerykańskich turniejów na kortach twardych, eksperymentuje z większą powierzchnią odbicia rakiety i wraca na dwa turnieje na mączce, w Hamburgu i Gstaad. Następny błąd. W północnych Niemczech po raz kolejny dają o sobie znać plecy i Federer znów ulega graczowi z trzycyfrowym numerem w rankingu, Argentyńczykowi Federico Delbonisowi. W Alpach Szwajcarskich, jeszcze bardziej niedomagając fizycznie, przegrywa z Niemcem Danielem Brandsem, i to w rundzie początkowej.

Kiedy Federer dociera do Cincinnati na kolejny turniej, przyznaje: „Ostatnie tygodnie były frustrujące". Terapia zamiast treningu – nie takie przygotowania są mu potrzebne. Turniej Masters 1000 w Ohio, który wygrywał już pięciokrotnie, kończy się dla niego na etapie ćwierćfinału przegranego z Nadalem. A jego wynik w US Open 2013 po raz kolejny wysyła sygnał sejsmiczny do świata sportu: tak jak w Wimbledonie, znów nie awansuje do ćwierćfinału – w Nowym Jorku po raz pierwszy od dziesięciu lat. Przegrywając z Robredo, i to 0-3 w setach, ulega nawet graczowi, którego dotychczas pokonywał we wszystkich dziesięciu pojedynkach. Jeden z moich kolegów tytułuje swoją relację z meczu *Horrorshow*. Chris Evert, wcześniejsza seryjna triumfatorka imprezy, zauważa w amerykańskiej telewizji, że Federer ewidentnie znajduje się w końcowej fazie kariery.

Po tym, jak 13 miesięcy wcześniej był jeszcze numerem 1, rok 2013 kończy poza Top 5, na szóstym miejscu. Po raz pierwszy od dziesięciu lat nie znalazł się w finale żadnego z turniejów wielkoszlemowych. W przeciwieństwie do 2012 roku, gdy w grudniu poleciał na mecz pokazowy do Ameryki Południowej, przed nowym sezonem znów skupia się tylko na

sobie. „Miałem kilka wyboistych etapów – mówi o ostatnich miesiącach. – Ale dopóki gram, moje oczekiwania są w dalszym ciągu wysokie. Jeśli fizycznie i mentalnie będę czuł się dobrze, nie ma powodu, dla którego nie miałbym znów wygrać jakiegoś znaczącego meczu. To nadal mój cel”.

7

NOWA CZARODZIEJSKA RÓŻDŻKA

Federer coraz częściej zadaje sobie kluczowe pytanie: czy powinien się przestawić na rakietę z większą powierzchnią odbicia? W swoich początkach grał sprzętem o powierzchni odbicia 85 cali kwadratowych, czyli mniej więcej 548 centymetrów kwadratowych. Największe triumfy święcił, używając modelu Wilson Pro Staff 90, którego mierząca 581 centymetrów kwadratowych główka była większa o sześć procent. Tą rakietą grał od wiosny 2003 roku, stała się jego magiczną różdżką, za pomocą której wygrał 71 turniejów, w tym 17 wielkoszlemowych. Odkąd ogólny trend zaczął kierować się w stronę coraz większych powierzchni odbicia, Federer jest jednym z ostatnich zawodników, którzy grają tak małą rakietą. Mats Wilander określa ją nawet mianem „rakiety-dinozaura".

Generalnie Federer jest skłonny dać szansę nowocześniejszemu sprzętowi z większą powierzchnią odbicia, ale starą rakietą nadal gra mu się tak dobrze, że nie forsuje zmiany. Zachęca go do niej jednak także Pete Sampras, który żałuje, że nie rozważył tego kroku na późnym etapie kariery. Radzi mu to również Paul Annacone, trenujący wówczas Amerykanina, a w swoim czasie należący do teamu Federera.

Za sprawą dodatkowej powierzchni odbicia Federer liczy na prostsze przyspieszenie piłki, także przy serwisie – mówi o zyskaniu na „easy power". Ponadto dzięki temu, co logiczne, mniej piłek będzie trafiał ramą (w żargonie określa się to jako „shank"). Te złe uderzenia nieustannie kosztują go ważne punkty, szczególnie gdy zagrywa bekhendem. Większa powierzchnia odbicia sprawia również, że rakieta jest stabilniejsza i mniej się odwraca w przypadku nieczystych kontaktów z piłką, szczególnie przy wolejach, półwolejach i bekhendach. Dzięki temu gracz ma poczucie, że lepiej kontroluje piłkę – co z reguły zwiększa jego pewność siebie i sprawia, że znów bardziej sobie ufa, gra konsekwentniej, bardziej „dopieszcza" uderzenia, działa agresywniej i ofensywniej.

Już w 2012 roku Federer przyjmuje w Zurychu przedstawicieli swojego producenta, aby przetestować powiększoną powierzchnię odbicia. Ale dopiero rok później, w Hamburgu i Gstaad, po rychłym odpadnięciu z Wimbledonu, odważa się na zmianę na rakietę z 98-calową główką. Eksperyment się jednak nie udaje, zwłaszcza że w tych turniejach znów prześladują go problemy z plecami. Za sprawą nowego sprzętu czuje się niekomfortowo i sprawia wrażenie, jakby rakieta była ciałem obcym w jego ręce. Przed kolejnym turniejem, w Cincinnati, spontanicznie decyduje się znów sięgnąć po swój wypróbowany model.

Nie rezygnuje jednak do końca z eksperymentu. W grudniu 2013 roku na wakacjach i w Dubaju podejmuje dalsze testy dwóch prototypów, które zostały dopasowane według jego wytycznych. To go przekonuje i decyduje się na jeden z modeli z powierzchnią odbicia wynoszącą 97 cali kwadratowych (626 centymetrów kwadratowych). Odpowiada to powiększeniu o 7,5 procent, a w porównaniu z rakietą, którą grał w młodości,

nawet o 14 procent. Potem wszystko dzieje się szybko. Wilson produkuje 12 takich rakiet, przed Bożym Narodzeniem zostają one przygotowane przez zajmującą się naciąganiem strun firmę Priority One z Florydy. Tak jak dotychczas na oś podłużną naciąga się struny jelitowe, ze względu na lepsze czucie, jakie daje ten naturalny wyrób, a na osi poprzecznej – struny syntetyczne, dla stabilności. Pod koniec 2013 roku Tony Godsick transportuje w bagażu podręcznym połowę rakiet z Cleveland, przez Los Angeles i Sydney, na turniej w Brisbane, gdzie czeka już na nie Federer. Pozostałe sześć wysłano do Melbourne, na Australian Open. „W Sydney nie chcieli mi pozwolić, bym wziął torbę do samolotu, ale się uparłem" – opowiada Godsick, posłaniec z rakietami.

Pierwszy odzew Federera brzmi obiecująco. „Tym razem zmiana przyszła mi dużo łatwiej niż po Wimbledonie – mówi w Melbourne. – To jak przesiadanie się do innego modelu samochodu tej samej marki". Według niego chodzi także o to, by przyzwyczaić się do zachowań rakiety w przypadku piłek uderzanych ramą, które od czasu do czasu jeszcze się zdarzają. Gdy używał starego sprzętu, wiedział, co musi robić, by jako tako skontrolować piłkę zagraną ramą. To jednak wyzwanie, przed którym z pewnością nie stają gracze amatorzy z klubu obok.

Zmiana rakiety staje się kluczem do złotej jesieni kariery Federera, szczególnie dzięki poprawieniu strony bekhendowej. Roger zaczyna wtedy rzadziej odbijać piłki slajsem, na rzecz topspina, co dodaje tym uderzeniom szybkości. Różnica jest ogromna przede wszystkim przy returnie, ponieważ w ten sposób może znacząco zmienić początek wymian, a nawet przebieg meczu. Świetnym przykładem są pojedynki z Nadalem.

Poza tym Federer może teraz częściej podejmować ryzyko wykonania ofensywnych uderzeń bekhendem wzdłuż linii – to wariant, z którym wcześniej jego przeciwnik nie musiał się za bardzo liczyć. Jednoręczny bekhend-drajw, zagrywany wzdłuż linii przez najwyższy punkt siatki, to jedno z najbardziej wymagających technicznie uderzeń, margines błędu jest przy nim minimalny. Wymaga pełnego zaangażowania, idealnego ustawienia w stosunku do piłki i bardzo wysokiej prędkości główki rakiety. Zwiększony sweetspot – punkt optymalnego trafienia piłki rakietą – i nowa stabilność rakiety ułatwiają Federerowi częstsze podejmowanie ryzyka, z jakim wiąże się wykonywanie tego zagrania.

W 2014 roku – kiedy to Federer po raz drugi został ojcem, i znów bliźniąt – wszystko generalnie szybko idzie do przodu. Wygrywa w sumie pięć turniejów, w tym – po ponad dwóch latach przerwy – dwa z serii ATP Masters Series 1000, w Cincinnati i Szanghaju. Ze Stanem Wawrinką po meczu przeciwko Francji w Lille zapewnia Szwajcarii pierwsze zwycięstwo w finale Pucharu Davisa. Rok później świętuje nawet sześć turniejowych zwycięstw, w tym jedno w Masters 1000, znów w Cincinnati.

Lata 2014 i 2015, mimo że są dobre, przyćmiewa siedem porażek w finałach przeciwko Novakowi Đokoviciowi. Wprawdzie Federer wygrywa w tej najintensywniejszej fazie ich rywalizacji sześć pojedynków, ale tylko dwa z nich w finałach, i to żadnego ważniejszego. We wszystkich trzech walkach o wielkoszlemowy tytuł, które toczył w tych latach, Đoković staje mu na drodze krótko przed triumfem, dwa razy w Wimbledonie, a w 2015 roku także w US Open.

Dwie z tych porażek są mało logiczne. Na Wimbledonie w 2014 roku walczą przez ponad cztery godziny i pięć setów, dopóki Federer nie ulegnie 7:6, 4:6, 6:7, 7:5, 4:6. Rok później

Roger przegrywa w Wimbledonie i w Nowym Jorku, obydwa mecze w czterech setach, ale wspaniałą okazję traci szczególnie w US Open. Zaczyna znakomicie, a do tego niesie go wsparcie trzymającej jego stronę euforycznej publiczności. Ale jego pewność siebie nie jest na najwyższym poziomie, w najważniejszych wymianach znów staje się spięty, w przeciwieństwie do rywala. Przegrywa po trzech godzinach i 20 minutach wynikiem 4:6, 7:5, 4:6, 4:6, choć wygrał tylko o dwie wymiany piłek mniej. „Liczyłem na znacznie więcej – mówi wkurzony po finale. – Za nic w świecie nie powinienem był dopuścić do tego, że przegrywałem 1-2 w setach".

Jak bardzo Federer dąży potem do tego, by znów poczuć radość z gry, wykorzystać bogactwo możliwości i poszerzyć swój arsenał techniczno-taktyczny, demonstruje latem 2015 roku, tworząc nowe zagranie, które odbija się szerokim echem – SABR. Wymyślony przez Tony'ego Godsicka skrót pochodzi od określenia „Sneak Attack by Roger", czyli „Podstępny Atak Rogera". Polegał on na podbiegnięciu od linii końcowej w kierunku siatki, podczas gdy rywal jeszcze serwował, tak by spróbować odebrać i odbić piłkę serwisową z półwoleja ze środka pola, a wymianę w miarę możliwości zakończyć wolejem w drugim uderzeniu. To zaostrzona forma chip and charge, klasycznego zagrania, w którym odbierający idzie po returnie do siatki i pozostawia przeciwnikowi minimum czasu na reakcję. Zagranie to często stosowano z sukcesem właśnie na szybkiej i trochę nierównej nawierzchni, niegdyś typowej przede wszystkim dla kortów trawiastych.

Za sprawą SABR-u, którego w ogóle nie rozważałby, grając rakietą z mniejszą powierzchnią odbicia, Federer na krótko, ale z przytupem, wywraca do góry nogami porządek w światowej hierarchii tenisa. W Cincinnati, gdzie w 2015 roku wprowadził to zagranie po raz pierwszy, stosuje ten „Kamikadze-półwolej-

serwis-return”, jak nazywa go „New York Times”, we wszystkich pięciu meczach i w finale wyprowadza w pole także samego Đokovicia. W wygranym 7:6, 6:3 pojedynku 11 razy returnuje w ten sposób piłkę i siedmiokrotnie zdobywa punkt, w tym rozstrzygający w tie-breaku pierwszego seta. Nie próbujcie jednak robić tego w domu: nawet na poziomie zawodowym tylko nieliczni decydują się na to wymagające zagranie.

Podczas US Open 2015 Federer w meczu z Đokoviciem przy sześciu atakach SABR-em zdobywa wprawdzie cztery punkty, ale mimo to przegrywa w finale. Rok później jego bekhend i kamikadze-return nie są już znaczącym tematem. Po operacji kolana boryka się z poważniejszymi problemami, aż do momentu, gdy latem musi zaciągnąć hamulec bezpieczeństwa i przerwać sezon.

Na drodze do finału Australian Open 2017 bekhend Federera zdaje się działać jeszcze lepiej. Pojawiają się spekulacje, że podczas swojej przerwy świadomie dokonał zmian w tym aspekcie gry. Roger obala jednak tę tezę: „Nie koncentrowałem się jakoś specjalnie na pracy nad bekhendem. Miałem po prostu możliwość trenowania ciurkiem przez sześć tygodni. Poza tym treningi odbywałem równocześnie z dwoma sparingpartnerami, co pomaga ćwiczyć zmianę kierunku. Istotne jest także to, że jestem szybki, bo wówczas mogę się odpowiednio ustawić do piłki”.

Podczas powrotu w styczniu 2017 roku Federer jest świeższy, bardziej zmotywowany, bardziej zainspirowany, ma w sobie więcej radości niż w poprzednich latach – i nie jest w żaden sposób obciążony. Szybko osiągnięte sukcesy sprawiają, że jego pewność siebie rozkwita na nowo, przez co próbuje grać jeszcze agresywniej, wcześniej atakując piłki, krótko po odbiciu, jeszcze

mniej wycofuje się do linii końcowej i stara się odcinać tlen przeciwnikowi – mimo że już rzadko stosuje SABR.

Ten rozwój podczas Australian Open 2017 wyraźnie obrazuje grafika australijskiego kanału Channel 7. W trakcie tego turnieju Federer odbija bekhendem 42 procent piłek granych mu na środek. Jeszcze trzy lata wcześniej wartość ta wynosiła 32 procent. W 2014 roku swój bekhend utrzymuje średnio na wysokości 97 centymetrów nad ziemią, teraz to tylko 88 centymetrów. Dodatkowa prędkość, którą poprzez to generuje, może zadecydować o zwycięstwie lub o porażce, ale tenis na światowym poziomie to w końcu gra, w której rozstrzygające mogą się okazać milimetry i setne sekundy.

Stephanie Kovalchik, analityczka Game Insight Group z Tennis Australia, poprawę bekhendu Federera może udowodnić w inny sposób. Przeanalizowała wszystkie uderzenia bekhendem, które zagrał w Australian Open w 2012 i 2017 roku. Różnice są wyraźne: średnia prędkość returnu wzrosła ze 102 do 106 km/h. Jej porównania pokazują także, że w 2017 roku grał z mniejszym marginesem bezpieczeństwa. W 2012 roku jego bekhendowe returny leciały przeciętnie 75 centymetrów nad siatką, a w wymianach 65 centymetrów; teraz wartości te spadły do 55 centymetrów. Także tutaj zyskał ułamki sekund, których nie mieli przeciwnicy.

8

CISZA PRZED BURZĄ

Weekendy, podczas których odbywają się finały wielkoszlemowych turniejów, mają szczególną, jedyną w swoim rodzaju atmosferę. Zakulisowe zamieszanie już ucichło, okolice kortów są puste, podczas gdy w pierwszych dniach turnieju nie sposób się gdziekolwiek przecisnąć. W kuluarach Kortu Centralnego, przed szatniami, w Players' Lounge i restauracji dla graczy panuje niespotykana cisza, wręcz jak po zakończeniu imprezy. Znaczna część stolików opustoszała, zniknęły kolejki do bufetu, nikt już nie korzysta z PlayStation, stołów bilardowych czy piłkarzyków. Większość tenisistów już wyjechała, skupiła się na kolejnych startach. Karawana ruszyła dalej, choć prawdziwy punkt kulminacyjny programu dopiero ma nadejść.

Nie inaczej jest w Melbourne w 2017 roku. W tę ciepłą słoneczną sobotę w Melbourne Park nic nie przypomina zgiełku z początku turnieju. Ktoś, kto kręci się tu w przeddzień finału mężczyzn, startuje albo w turnieju juniorskim, albo w grze podwójnej, albo w turnieju legend, jest przyjacielem bądź członkiem ekipy będącego tu jeszcze tenisisty lub tenisistki, jest z mediów lub sztabu organizacyjnego. Albo też walczy o jedno z dwóch najważniejszych trofeów, jak Serena z Venus Williams w sobotę i Rafael Nadal z Rogerem Federerem w niedzielę.

Federer ceni sobie ten spokój, z którym jest już od dawna obeznany. W końcu ma przed sobą swój 28. wielkoszlemowy

finał. Nerwowa krzątanina w pierwszych dniach turnieju, kiedy szatnie, „świetlica” i korty są przepełnione, a dziesiątki zawodniczek i zawodników ze swoimi trenerami, menedżerami, opiekunami i przyjaciółmi snują się równocześnie w wąskich pomieszczeniach, nakręceni ambicją, nadziejami, oczekiwaniami i nerwowością, jest dla niego podejrzana. Docenia przywileje, o których inni mogą tylko marzyć, i chętnie z nich korzysta. Prawie zawsze, kiedy tylko sobie zażyczy, może trenować na korcie, na którym chce, podczas gdy inni tenisiści często muszą we czterech dzielić najdalej położony plac do gry. Za to na każdym kroku jest śledzony przez niezliczone pary oczu; gdy idzie przez turniejowy kompleks, jest mniej lub bardziej dyskretnie fotografowany, ludzie nieustannie proszą go o autografy i selfie, wciągają w rozmowy.

Dzisiaj jest inaczej. Kiedy wczesnym popołudniem – w T-shircie, długich dresowych spodniach i sportowych butach – pojawia się w ogrodzie restauracji dla graczy, nikt nie zakłóca mu spokoju. W najbardziej ukrytym, osłoniętym kącie tarasu oczekują go w tymczasowym studiu telewizyjnym, by udzielił ostatniego krótkiego wywiadu przed finałem. Atmosfera jest luźna, pod koniec turnieju wszyscy są już trochę zmordowani. Poza tym nikt nie wie, że Federer w ogóle tu przebywa. Przedstawiciele prasy tego dnia niespodziewanie nie mają żadnej konferencji prasowej – choć zwykle organizowano ją z finalistą, który brał udział w pierwszym półfinale i który nie został jeszcze szczegółowo przepytany w kontekście finału. Niespotykane, że Federer nie oddał się do dyspozycji światowych mediów. Czy to oznaka jego nerwowości, napięcia? Nic takiego nie zauważam, przeciwnie – wygląda na spokojnego, wyluzowanego, opanowanego. Wprawdzie zwykle sprawia takie wrażenie, tym razem jest jednak trochę inny niż

zazwyczaj przed ważnym finałem. Wcale mu się nie śpieszy, by opuścić kompleks, jak to się normalnie dzieje w takie dni. Finaliści obchodzą się bardzo oszczędnie z własnymi siłami, starają się zminimalizować jakiekolwiek obowiązki, wyeliminować czynniki, które mogą ich rozpraszać, i raczej wycofują się do swojego najbliższego otoczenia.

Jestem w trakcie zbierania ostatnich informacji i przewidywań do przedfinałowego artykułu. Niespodziewanie Federer deklaruje gotowość udzielenia dodatkowego wywiadu dziennikarzom ze szwajcarskich gazet niedzielnych. Ale gdzie oni wszyscy się podziali? Moi koledzy nie wiedzą, jakie mieliby szczęście. Są w mieście, na stadionie, w hotelu, w biurze prasowym. Tony Godsick i Nicola Arzani, odpowiedzialny za komunikację z mediami podczas turniejów ATP, zamierzają skrzyknąć grupkę dziennikarzy. Trochę to potrwa i obawiam się, że ostatecznie nic z tego nie wyjdzie. Ale także ta ewentualna zwłoka nie przeszkadza Federerowi: może pojawić się jeszcze później, a tymczasem udzieli jeszcze dwóch wywiadów telewizyjnych. „Ogromnie się cieszę na ten finał, bo mam poczucie, że to mecz, na który czekali fani – mówi reporterce Schweizer Fernsehen. – Nadarzył się zupełnie nieoczekiwanie. A im jest się starszym, tym większa radość. Nigdy nie wiadomo, ile człowiekowi zostało jeszcze takich okazji”.

Kiedy Mats Wilander, ekspert Eurosportu, w kolejnym krótkim wywiadzie określa ten nadchodzący pojedynek jako być może najbardziej znaczący mecz w historii zawodowego tenisa, Federer macha ręką. „Z jednej strony rozumiem ten cały zachwyt. Z drugiej jednak wydaje mi się trochę przesadzony”. Dla niego wynik tego finału nie decyduje o wszystkim. „Cokolwiek się stanie, przeżyłem fantastyczny turniej. Właśnie z takim uczuciem chcę wyjść na kort: że nie mam nic do

stracenia. Jest tak po raz pierwszy od długiego czasu. I to nastawienie dotychczas bardzo mi tu popłacało”.

Powoli zaczynam rozumieć, na czym polega różnica w porównaniu z poprzednimi wielkoszlemowymi finałami, w których Roger mierzył się z Rafą: Federer nagle nie czuje presji, że koniecznie musi wygrać. Dlatego cieszy się tym jeszcze bardziej, chce świadomie smakować ten nieoczekiwany udział w finale i dzielić się tym wrażeniem. Nie ma w nim ani śladu niepewności, jak to było na początku turnieju – za to widać po nim szacunek i fakt, że docenia ten moment, wdzięczność, a także zaskoczenie, że dotarł tak daleko. Już samym awansem do finału przerósł wszystkie oczekiwania, także własne – i jest tego świadom. Ten mecz to bonus, niespodziewana gratka, na co ani trochę nie liczył. Ma wystarczające doświadczenie, by wiedzieć, że teraz wszystko jest możliwe. W końcu Nadal nie jest już potworem, którym był dla niego kiedyś. „Mam dla niego wiele szacunku – mówi w wywiadzie udzielonym Schweizer Fernsehen. – Rafa jest najtrudniejszym rywalem, z jakim kiedykolwiek się mierzyłem. Potrafiłem go jednak pokonać ponad dziesięć razy, na wszystkich rodzajach nawierzchni. Wiem, że będę miał szansę, jeśli właściwie wykonam swoją robotę”.

Federer zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt: to, że pojedynki między nim a Nadalem w ostatnim czasie stały się rzadkością, sprawia, że jego pozycja wyjściowa jest łatwiejsza. „Dzięki temu mam większy luz w głowie i mogę się skoncentrować na tym, co udawało mi się w meczach, w których go pokonałem. Nie mam z tyłu głowy myśli, że niedawno z nim przegrałem”. Ostatni pojedynek między nimi odbył się 15 miesięcy wcześniej, w finale Swiss Indoors, który Szwajcar wygrał. „Może to też będzie miało jakieś znaczenie”.

Sytuacja była zupełnie inna, kiedy po raz pierwszy trafił na Nadala w finale Australian Open. Wówczas, w 2009 roku, na przestrzeni dziesięciu minionych miesięcy przegrał z Hiszpanem cztery pojedynki z rzędu, z czego dwa ostatnie w finałach turniejów wielkoszlemowych. W Roland Garros 2008 był bez szans i poniósł jedną z najbardziej druzgocących porażek w karierze, przegrał także legendarny finał Wimbledonu, który zakończył się w piątym secie wynikiem 7:9. Mimo to w 2009 roku w Melbourne uznawano go za faworyta, zwłaszcza że przed ostateczną rozgrywką miał dwa dni odpoczynku, podczas gdy Nadal w piątkowy wieczór przez pięć godzin musiał walczyć z Fernando Verdasco i miał tylko jeden dzień na regenerację. Federer zdobył wtedy wprawdzie więcej punktów, ale przegrał walkę o tytuł po pięciu setach i przeżył jedną ze swoich najboleśniejszych porażek. „It's killing me" – powiedział podczas dekoracji zwycięzców, po czym zalał się łzami.

Tymczasem grupka szwajcarskich dziennikarzy zjawiła się w restauracji i już na niego czeka. Opinie są wyrobione: jego come-back był wprawdzie niesamowity, ale na jutro to już chyba nie wystarczy. Też byłem tego zdania i w piątkowy wieczór podzieliłem się taką opinią w rozmowie dla Westschweizer Fernsehen, dobrze ją, jak sądzę, uzasadniając. Po wszystkich przegranych przez Federera meczach z Nadalem, jakie widziałem, dlaczego tym razem miałoby być inaczej, zwłaszcza że znów chodzi o trzy wygrane sety, co dla dysponującego żelazną kondycją Hiszpana stanowi przewagę?

Równie często jak faworyzowaliśmy Federera w kontekście pojedynków z Nadalem, dostawaliśmy nauczkę i byliśmy rozczarowani. W 2009 roku w Melbourne razem z moim szwajcarskim kolegą, także dziennikarzem, przezornie nabyliśmy dobre czerwone wino z Barossa Valley, by w nocy,

gdy wszystkie pochwalne hymny zostaną już napisane, wypić za zwycięstwo Federera w finale. Wino było trochę bez smaku.

Kiedy Federer wraca z szatni, siadamy w szóstkę przy drewnianym stole, obok bufetu. Opowiada, jak przed takimi finałami wciąż dopada go i nie opuszcza napięcie i jak to uczucie się w niego, jak to określa, „wżera". „Odkąd wiem, z kim będę grał, wzrosło jeszcze bardziej. Ale mogę się przygotować psychicznie. Zdarza mi się myśleć, że poczuję zadowolenie, gdy będzie już po wszystkim. Jutro to uczucie jeszcze się nasili. A w dodatku finał zaczyna się dopiero wieczorem, więc zostaje do niego jeszcze bardzo dużo czasu".

Kiedy pytam, co zaskoczyło go bardziej: to, że Nadal awansował do finału, czy to, że zrobił to on, długo się zastanawia. „Wiem, co potrafi Rafa, i zawsze spodziewam się po nim czegoś wielkiego. Dlatego nie jestem jakoś szczególnie zaskoczony jego awansem. Nie wiem, czego ludzie spodziewają się po mnie. Ja w każdym razie nigdy bym nie pomyślał, że mógłbym tu walczyć o tytuł".

Sprawia wrażenie gotowego do zmagań, rześkiego i spokojnego. Ma także jasną strategię. „Grać ofensywnie, to się tutaj opłaci. Po dobrym uderzeniu przeciwnik musi się dwa razy lepiej bronić. Trzeba więc grać agresywnie, ale z głową". Jest wprawdzie zaskoczony, jak bardzo Dimitrow w spotkaniu z Nadalem dotrzymywał Hiszpanowi kroku w wymianach bekhendowych, ale mówi też: „Rafy nie pobije się bekhendem, no chyba że nazywasz się Murray, Đoković, Wawrinka albo Nishikori". On sam chce zdobyć przewagę dzięki serwisowi, forhendowi i taktyce.

Ta prognoza okaże się jedną z rzadkich błędnych ocen Federera. Ale skąd miał wiedzieć, że w finale, który był jego setnym startem w grze pojedynczej w Australian Open, to właśnie bekhend okaże się kluczowy?

9

MAGICZNE 30 MINUT

Nieoczekiwany finał retro pomiędzy 35-letnim Federerem i 30-letnim już Nadalem oczarowuje cały sportowy świat. Jeszcze trzy miesiące wcześniej obaj byli tak wyczerpani fizycznie, że podczas otwarcia tenisowej akademii Nadala nie zdołali nawet zagrać meczu pokazowego, a teraz walczą ze sobą o jedno z najbardziej pożądanych trofeów w ich dyscyplinie.

Federer, rozstawiony z numerem 17, o osiem pozycji niżej niż Hiszpan, rozpoczyna mecz porywająco. W siódmym gemie od razu wykorzystuje szansę na przełamanie i wygrywa pierwszego seta 6:4. Później nie przejmuje się tym, że liczba jego błędów rośnie i że w drugim secie przegrywa już 0:4, by ostatecznie ulec 3:6. Wciąż niezmordowanie atakuje, za wszelką cenę chce w pełni wykorzystać swoje uderzenia. W pierwszym gemie trzeciego seta broni trzy piłki na przełamanie – wszystkie asami posyłanymi na zewnątrz, na forhendową stronę Nadala, co dla Hiszpana jest najtrudniejszym atakiem. Przypomina to grę z lat, w których Federer był prawie nie do pokonania. To musi być znak: znów jestem w formie, nie zaimponujesz mi, jestem gotowy na wszystko, jestem silny psychicznie, skoncentrowany, w najlepszej dyspozycji – cały Roger.

Już przy kolejnej okazji, jakby było to dziecinnie proste, Federer przełamuje rywala. Wychodzi na prowadzenie 3:0, wygrywa tę partię 6:1 i po prawie dwóch godzinach prowadzi 2-1 w setach. To przecież musi wystarczyć… Czy nie? Chwila

dekoncentracji w czwartym secie przy stanie 1:2 skutkuje tym, że po raz trzeci traci gema przy własnym serwisie. I nagle Nadal znów gra lepiej, solidniej, czwartą partię wygrywa 6:3. Równowaga nie mogłaby być stabilniejsza: jest 2-2 w setach i obaj zdobyli dokładnie po tyle samo punktów – 110:110. „Tego dnia zaakceptowałbym remis, ale w naszym sporcie niestety ich nie ma" – powie później Federer podczas ceremonii wręczenia nagród.

Publiczność czuje, że pierwszy od prawie siedmiu lat finał wielkoszlemowy pomiędzy tymi dwoma gigantami przejdzie do legendy. Atmosfera na Rod Laver Arena jest elektryzująca. Nieco więcej wyrazów sympatii dostaje Federer, ale rozproszeni wszędzie fani Nadala dają głośny odpór. Także na Federation Square, na Flinders Street Station, w Garden Square przed kompleksem Laver Arena i w otwartej po raz pierwszy podczas finału Margaret Court Arena tysiące osób śledzą mecz na wielkich telebimach. Melbourne jak zaklęte spogląda na prostokątne pole tej walki, jest tak, jakby świat faktycznie się tu zatrzymał.

Przerwa przed decydującym setem trwa sześć minut. Obaj zawodnicy opuszczają kort, a kiedy wracają, Federer masuje udo. Jego fani są zaniepokojeni. Nadal po chwili gwałtownie go atakuje – i od razu zdobywa przełamanie! Federer reaguje opanowaniem, próbuje kontrować. Natychmiast ma trzy re-breakpointy na 1:1, wszystkie jednak przegrywa. Jest 0:2. Udaje mu się jeszcze zmniejszyć stratę do 1:2, zanim przy okazji zmiany stron medycy zajmą się jego udem.

Grają już trzy godziny, gdy chłopiec podający piłki musi ręcznikiem zetrzeć ciemną plamę za linią końcową Nadala. Hiszpan zwymiotował? Nie, to tylko odchody ptaków, których gromada zebrała się wysoko na krawędzi dachu stadionu;

najwyraźniej obserwują mecz z takim samym napięciem jak wszyscy inni.

W czwartym gemie Federer doprowadza do kolejnej piłki na przełamanie, ale i ją przegrywa. W decydującym, piątym secie, podobnie jak w przegranym przez niego czwartym, szybko robi się 1:3. Znów zdaje się, że w meczu z Nadalem wielkoszlemowy tytuł wymyka się Szwajcarowi z rąk jak oślizła ryba. A przecież tyle mu się udało w ten idyllicznie piękny, ciepły niedzielny wieczór w Melbourne, nad które tymczasem nadciągnął zmrok.

Los zdaje się biec sobie tylko znanym torem. Federer jeszcze raz zachwyca widzów wielkoszlemowego finału. Jeszcze raz, jak często zdarzało się to w ubiegłych latach, w decydującym momencie zdaje się jednak ulegać. Nagle odzywa się publiczność, potężnie, jak wielki głośnik ścienny, daje sygnał do ataku. „Let's go Roger, let's go!!!" – dudni przeraźliwie z trybun. Każdy na stadionie czuje, że ten mecz nie jest jeszcze rozstrzygnięty.

Federer już się nie oszczędza, nie zdradza żadnych oznak rezygnacji albo straconej szansy, gra dalej. Jest 2:3. Później tłumaczy, że jeśli już miałby ulec, to z powiewającymi sztandarami. „Powiedziałem sobie: graj jak wyzwolony. Omówiłem to już z Sevem i Ivanem. Graj piłką, nie przeciwnikiem. Atakuj, bo ten kort to wynagrodzi. Mimo pogrzebanych szans na przełamanie nadal wierzyłem, że mogę wygrać".

W kolejnym gemie Nadal broni także piątą piłkę na przełamanie i doprowadza do piłki gemowej, której wygranie dałoby mu odskok na 4:2. Nie wykorzystuje jednak tej szansy za sprawą niewielkiego pecha, bo zagrana forhendem piłka dotyka krawędzi siatki i wylatuje na aut. Czternasty winner z forhendu Federera, już drugi w tym gemie, obdarowuje go kolejną szansą na przełamanie. I w tym momencie popłaca jego wytrwałość.

Nadal popełnia kolejny błąd forhendowy, jest zbawienne przełamanie powrotne i 3:3! Po tym Federer błyskawicznie wygrywa także siódmego gema – obejmuje on tylko cztery punkty i trwa 78 sekund – i po raz pierwszy w tym secie wychodzi na prowadzenie: jest 4:3.

Rafa nie ma czasu odetchnąć, bo znów musi serwować. Federer węszy swoją szansę i rzuca na szalę wszystko, co ma. Hiszpan sprawia wrażenie, jakby był sparaliżowany, i za sprawą podwójnego błędu przegrywa już 0-40. Dochodzi jednak do siebie i także broni te trzy piłki na przełamanie. Federer nie okazuje żadnych emocji, a później wygrywa jedną z najbardziej spektakularnych i najdłuższych wymian tego meczu. Piłka przelatuje nad siatką 26 razy, z horrendalną niekiedy prędkością, punkt wielokrotnie zdaje się już przesądzony, ale walka toczy się dalej – i kończy się winnerem Federera, mimo że ten jest w ogromnej opresji, zagranym z forhendu wzdłuż linii, któremu ograny Nadal musi dać się minąć.

Publiczność szaleje, komentatorzy w kabinach wychodzą z siebie. Ten punkt był „nie z tej ziemi", mówi Jim Courier w relacji dla australijskiej telewizji Channel 7, podczas gdy Mirka wyskakuje z krzesła, wyciąga ręce do nieba, jak gdyby jej mąż zdobył puchar. „Właśnie dlatego sport jest najlepszym rodzajem *reality show*" – zachwyca się Robbie Koenig, znakomity reporter telewizyjny z RPA, a w amerykańskim Tennis Channel komentatorka wyjaśnia swoim widzom: „Nie wiadomo, czy jeszcze zobaczą państwo lepszą wymianę".

Nadal sprawia wrażenie wyczerpanego, bezradnego. W jaki sposób ma poskromić Federera, jeżeli ten wygrywa nawet takie akcje? Jeżeli gra tak swobodnie, jak w transie? Wprawdzie udaje mu się przetrwać także tę szansę na przełamanie, ale Szwajcar po chwili ma kolejną, piątą piłkę na przełamanie w tym gemie. I tym razem nie pozostawia Nadalowi żadnej

szansy: po jego wcześnie i ekstremalnie po krosie uderzony return Hiszpan sięga zbyt późno i nie przebija piłki przez siatkę. Federer wygrywa czwarty gem z rzędu – 5:3.

Tym samym ma na tacy 18. wielkoszlemowy tytuł, którego wyczekiwał z utęsknieniem od czterech lat, który często był na wyciągnięcie ręki, a jednak ciągle mu umykał. Bogowie tenisa raz jeszcze przysparzają mu pełnych trwogi chwil, najtrudniejszy sprawdzian jeszcze przed nim. Serwuje nowymi piłkami – i najpierw robi się 0-30, a potem 15-40. Czy zaraz znów będzie musiał oddać tę monumentalną, ciężko wypracowaną przewagę przełamania? Swoim 19. asem i forhendowym winnerem zażegnuje niebezpieczeństwo i osiąga równowagę. Wtedy udaje mu się zdobyć kolejny punkt serwisem – ma meczbol. Nie trafia pierwszym serwisem, także jego druga próba zostaje uznana przez sędziego liniowego za aut. Federer prosi o weryfikację wideo. Podwójny błąd? Nie, piłka jednak zahaczyła o linię, może powtórzyć serwis. Traci jednak w końcu ten punkt przez błąd przy uderzeniu z forhendu. Do licha!

Nerwy? Czy drży mu ręka na myśl o wygraniu z Nadalem w turnieju wielkoszlemowym po raz pierwszy od prawie dziesięciu lat? Czy wracają demony, które sprawiały, że mimo swojego korzystnego położenia wciąż przegrywał mecze, że w decydującym momencie rozpraszał się, a ręka mu sztywniała? Nie dzisiaj! Ten dzień jest inny, należy do Federera. Serwuje 20. tego wieczoru asa, co daje mu drugi meczbol.

Tym razem jego pierwszy serwis jest potężny i precyzyjnie zagrany do środka. Nadal od razu wpada w tarapaty i jest w stanie zareturnować tę piłkę tylko martwym bekhendem do środka kortu, w okolice skrzyżowania linii serwisowych. Stamtąd Federer z potworną zawziętością uderza forhendem po krosie, w kierunku linii bocznej, piłka jest nieosiągalna dla

Hiszpana, ale ten natychmiast pokazuje ręką, że według niego wypadła na aut, i prosi o weryfikację wideo. Albo to koniec meczu i Federer jest mistrzem, albo punkt zdobędzie Hiszpan i wszystko zacznie się od nowa.

Mija 19 zdających się nie mieć końca sekund, zanim obraz z elektronicznego systemu kontroli linii zostaje wyświetlony na telebimach. I powoduje niepodważalne, ostateczne orzeczenie sędziego: ostatnia piłka Federera, wizualizowana jako krzywa, leci w kierunku linii i pozostawia tam wyraźny, ewidentny ślad. Trafiła w kort! Meczowy zegar zatrzymuje się na 3:38, a tablica wyników na 6:4, 3:6, 6:1, 3:6, 6:3.

Nadchodzące sekundy, minuty i godziny Federer przeżywa, jakby był w delirium. Moment, w którym dociera do niego, że jego piłka faktycznie musnęła zbawienną białą linię, sprawia, że nagle i z pełnym impetem ogarnia go amok, który długo nie ustąpi. Szwajcar na krótko zaciska dłoń w pięść, podskakuje wysoko, tracąc kontrolę nad wyrazem twarzy. Mokre już spojrzenie kieruje w osłupieniu do swojego boksu, otwiera usta, z jego oczu bije konsternacja, niedowierzanie, ulga i wdzięczność, ale też szok człowieka, któremu właśnie przytrafiło się coś niesamowitego. To niepojęte zwycięstwo pozwala mu skakać jak kangur; głowa Szwajcara ucieka z obrazu kamery, ostatnie niepotrzebne piłki i rakietę wciąż ma w zaciśniętych dłoniach.

Po krótkim, ale serdecznym uścisku dłoni z Nadalem i podaniu ręki sędziemu Jamesowi Keothavongowi Federer znów jest na środku kortu. Ręce i twarz kieruje do nieba, nim znaczenie tej chwili, ciężar sukcesu rzuci go na kolana. W jego boksie Mirka, menedżer, trenerzy i przyjaciele padają sobie w ramiona, podczas gdy Roger wraca na krzesełko. Lecą mu łzy i nie może uwierzyć, że obok niego przygotowywana jest ceremonia wręczenia nagród.

Za nim pół godziny, które zmieniło wszystko, które równoważy prawie pięcioletnie oczekiwanie i daremnie podejmowane próby, nadzieje oraz obawy i jeszcze otwiera karierę ponad 35-letniego zawodnika. W tych bajkowych 30 minutach, kiedy wyszedł ze stanu 1:3 na 6:3, zdobył dokładnie dwa razy więcej punktów niż Nadal (26:13) – z czego osiem dzięki serwisowi, siedem dzięki forhendowi i sześć dzięki bekhendowi. Chociaż Nadal miał wcześniej dwa punkty więcej na koncie, w obliczu finiszu Federera okazał się bezsilny. Hiszpan w decydującej fazie pozwolił sobie na tylko cztery niewymuszone błędy, ale Szwajcar był jeszcze lepszy – mimo dużej gotowości do podejmowania ryzyka przytrafiły mu się w ciągu ostatniej półgodziny tylko trzy niewymuszone błędy, jeden z nich podczas zagrania bekhendem. Ostatecznie zanotowano mu łącznie ponad dwa razy więcej uderzeń kończących niż Nadalowi (73:35), według statystyk popełnił jednak także dwa razy tyle niewymuszonych błędów (57:28).

To tak, jak gdyby bogowie tenisa podarowali mu te niemal idealne 30 minut w dowód uznania dla jego wytrwałości, poświęcenia, ofiarności, miłości do gry. Jakby ustalili między sobą: „Roger Federer wystarczająco dużo już wycierpiał, wystarczająco długo czekał, wystarczająco walczył. Niech ma już ten tytuł i niech wykorzysta go w najlepszy możliwy sposób!”.

I dokładnie tak zrobi. Australian Open 2017 będzie dla niego trampoliną, z której jeszcze raz wzbije się w powietrze, odrodzi się jak feniks z popiołów. Będzie działał wolny od wszelkich obciążeń, emanował nieskończoną lekkością i euforycznie, wręcz urzekająco smakował długo utrzymujący się wyż emocjonalny. Będzie to nowy, nieoczekiwany wzlot, który zaczął się tutaj, w Melbourne, i którego pierwszą kulminacją jest to zwycięstwo w finale.

Przegrany Nadal pokazuje się z dobrej strony. „Prawdopodobnie Roger zasłużył na to zwycięstwo” – mówi podczas przekazywania pucharu, na co Federer reaguje tajemniczą uwagą: „Dziękuję wszystkim za wszystko i oczywiście mam nadzieję zobaczyć was za rok. Jeśli nie, to był wspaniały sukces i nie mógłbym być szczęśliwszy niż dziś wieczorem”.

Rod Laver wręcza mu Puchar Normana Brooksa. Roger zabiera go później do swojego boksu, gdzie przez chwilę może go potrzymać także Ivan Ljubičić, jego nowy trener, który na tym stanowisku przeżywał dotychczas tylko trudne chwile. Kiedy Federer wraca za kulisy stadionu, według Jima Couriera obejmuje puchar tak, „jakby to było jego piąte dziecko”. Trzyma go nadal, gdy Mirka długo i mocno go przytula. Następnie udaje się na rundę honorową po Margaret Court Arena, gdzie widzowie mogli śledzić jego zwycięstwo na telebimie, a teraz ujrzą jeszcze mistrza na żywo.

W korytarzu przed szatniami czeka poruszona Mirka. Także ją poraziła moc tego sukcesu. Pochodząca ze wschodniej części Szwajcarii żona Federera, na której raczej trudno jest zrobić wrażenie, cieszy się teraz prawie jak przy pierwszym zwycięstwie męża w Wimbledonie. „Osłupiałam, jestem w szoku i nie wiem, co powiedzieć” – wyznaje, ustalając, kto weźmie udział w pierwszym małym świętowaniu zwycięstwa. Przeprasza nawet za triumf swojego męża dziewczynę Nadala, Xiscę Perello, i mówi, że ma nadzieję, że kiedyś czwórka ich dzieci będzie trenowała w akademii Nadala. W tym momencie to dla Hiszpanki raczej marne pocieszenie.

Federer przechodzi do północnej części kompleksu, gdzie Channel 7 przeprowadza z nim wywiad w studiu na tarasie nad Garden Square. „Jedna ósma finału w tym turnieju miała być piękna, a ćwierćfinał wspaniały – mówi Roger w pierwszym

wywiadzie udzielonym Courierowi. – Ale wszystko mi sprzyjało. A dziś po prostu rzuciłem się naprzód. Powiedziałem sobie: uwierz w to, biegnij za każdą piłką, uderzaj i biegnij, uderzaj i biegnij. Walcz i obserwuj, czy masz szczęście. I miałem".

Kiedy uderzył ten ostatni forhend, wiedział, że piłka nie wyjdzie na aut. W momencie gdy zwycięstwo było już pewne, poczuł się niewyobrażalnie lekko. „Wiedziałem, że to jest warte wszystkiego. Nie wiesz, czy te chwile kiedykolwiek powrócą. Tak ciężko na to pracujesz: dla swojego kraju, Szwajcarii, dla teamu, dla rodziny, dla wszystkich. I w tym jednym momencie wszystko się ze sobą łączy".

10

NORMAN W ŚNIEGU

Reakcje na 18. wielkoszlemowy tytuł Federera są tak niesamowite, jakby pojawił się nowy film o Harrym Potterze, nowy iPhone lub odnalazł się zaginiony obraz Picassa. To przez wielu wyczekiwana, ale uznawana za coraz mniej prawdopodobną próba wyzwolenia; dowód, że Federer również w zaawansowanym jak na tenisistę wieku nie musi zadowalać się nagrodami pocieszenia czy niewiele znaczącymi, choć wzbudzającymi szacunek sukcesami, że jego magia wciąż działa, a ogień w nim nadal płonie, na najwyższym poziomie. Że Szwajcar w dalszym ciągu pisze swoją legendarną historię. Że przez te wszystkie lata oczekiwania był wobec siebie szczery i wytrwale wierzył w kolejne osiągnięcia, choć krytycy, snując mnóstwo pozornie pełnych współczucia, ale jednak katastroficznych wizji, od dawna chcieli jasno powiedzieć, że przegapił właściwy moment na zakończenie kariery.

Historia comebacku Federera jest jeszcze bardziej przejmująca, bo sam przyznał, że nawet on nie liczył na zdobycie tego trofeum, nie w tym turnieju. „Nigdy bym nie pomyślał, że moje ciało będzie jeszcze w stanie dokonać czegoś takiego – powiedział dzień po wygranej. – To, że na drodze do zwycięstwa potrafiłem pokonać tych wszystkich graczy z Top 10, sprawia, że był to dla mnie niezwykły turniej, który chyba najmocniej utkwi mi w pamięci”.

Mając 35 lat i 174 dni, został najstarszym zwycięzcą wielkoszlemowego turnieju od 45 lat. W trakcie rozpoczętej w 1968 roku Ery Open tenisa (otwartego dla amatorów i zawodowców) tylko Australijczykowi Kenowi Rosewallowi udało się zdobyć ten tytuł w jeszcze bardziej zaawansowanym wieku – dokładniej mówiąc, trzy tytuły, ostatni w 1972 roku, gdy miał 37 lat i dwa miesiące. Triumf Federera oznacza kilka innych wartych uwagi faktów. Szwajcar jest teraz pierwszym zawodnikiem, który pięciokrotnie lub częściej wygrywał trzy różne wielkoszlemowe turnieje: Australian Open, US Open i Wimbledon. Pomiędzy jego czwartym i piątym sukcesem w Melbourne pojawiła się siedmioletnia przerwa, i to także rekord. Jest do tego pierwszym graczem od 1982 roku i Matsa Wilandera, który w jednym z tych turniejów pokonał aż czterech zawodników spośród pierwszej dziesiątki rozstawionych.

Jego triumf zdecydowanie uszlachetnia to, że po zwycięstwo sięgnął w finale rozgrywanym właśnie z Nadalem. Bo na 12 pojedynków z Hiszpanem w turniejach wielkoszlemowych było to dopiero trzecie zwycięstwo Rogera z odwiecznym rywalem – i pierwsze, po które sięgnął nie w Wimbledonie. Od 2007 roku przegrał z Nadalem wszystkie sześć meczów wielkoszlemowych. Ogólny bilans ich spotkań jest w dalszym ciągu wyraźnie niekorzystny dla Szwajcara – 12:23. Jeśli chodzi o tytuły wielkoszlemowe, Federer prowadzi, ale tylko 18:14, co przecież i tak jest trochę bardziej uspokajające, niż gdyby wynik wynosił 17:15. Roger macha na to wszystko ręką, sugerując, że to dla niego drugorzędna sprawa.

Jego 18. wielkoszlemowy tytuł jest niezwykły także dlatego, że – przede wszystkim w początkowych rundach – w mniejszym stopniu zawdzięcza go przewadze technicznej niż woli walki, fizycznej świeżości, wytrzymałości oraz silnej psychice. Turniej

zaczynał pełen wątpliwości i w zasadzie bez meczowego ograniа. Pewność siebie i automatyzm musiał dopiero na nowo wypracować w ciągu dwóch tygodni. Na dodatek w tarapaty wpadał tak często jak w żadnym innym turnieju wielkoszlemowym, w którym odniósł zwycięstwo. Jako pierwszy wielkoszlemowy mistrz od czasów Gustavo Kuertena w 1997 roku w Paryżu na drodze do zdobycia pucharu musiał się pogodzić z siedmioma przegranymi setami. Jednego stracił w pierwszym meczu, z Jürgenem Melzerem, i po dwa w starciach z Nishikorim, Wawrinką i Nadalem. Pierwszy raz musiał też zagrać w jednym turnieju aż trzy pięciosetowe mecze.

Federer czuje wielką ulgę, kiedy po wielkim pojedynku wreszcie przychodzi do centrum prasowego. „To pokazuje, że nie dałem się niepowodzeniom zbić z tropu, jak to było na przykład w 2013 roku, gdy miałem kłopoty z plecami, albo rok temu, kiedy doskwierało mi kolano". To, co się wydarzyło, przypomina mu baśń. „Ten tytuł będziemy świętować jak prawdziwe gwiazdy rocka" – obiecuje. Ale ponieważ finał odbywał się dopiero wieczorem, gdy opuszcza Melbourne Park, jest już prawie druga w nocy. Z torbą tenisową udaje się do wyszukanego przez Mirkę i Tony'ego Godsicka klubu, w którym zjawia się dopiero o trzeciej nad ranem, i świętuje razem z przyjaciółmi i krewnymi, podczas gdy didżej spełnia ich muzyczne życzenia. *Don't Worry, Be Happy* to piosenka, która towarzyszyła mu podczas turnieju. Leciała codziennie w trakcie „Happy Slamu", jak Federer trafnie nazwał Australian Open kilka lat wcześniej.

Kiedy wraca z pucharem do hotelu, wschodzi już słońce. „Było cudownie i cichutko. Pierwszy spokojny moment. Ale wtedy obudziła się jedna z naszych córek, potem syn. Zapytaliśmy: »O rany, nie chcecie jeszcze trochę pospać?« –

opowiada kilka godzin później. – Ale żadne z dzieci już wtedy nie spało. Pytały, co jest napisane na pucharze. Po raz pierwszy dokładnie go obejrzałem i wszystko im wyjaśniłem”.

Z dziewczynkami Federer widział się krótko przez Facetime. Chłopcy przespali najbardziej znaczący triumf ojca od czasów, kiedy pojawili się na świecie. Teraz, skoro świt, zaczynają wpychać do pucharu zabawki, a siostry go glansują. Roger cieszy się jeszcze tym krótkim czasem z rodziną, zanim się na chwilę położy. „Kiedy obudziłem się po godzinie, pomyślałem: to prawda, wygrałem, to nie sen. W przeszłości pojmowanie takich sukcesów przychodziło mi łatwiej. Mam poczucie, że zainteresowanie opinii publicznej za każdym razem jest większe”.

Porusza go głębokie zadowolenie, które zauważa u wielu ludzi. Według niego także o to chodzi w tym sporcie – o dostarczenie fanom niezapomnianych momentów. „To jak z muzyką: nie grasz dla siebie, tylko próbujesz sprawić radość innym”. Właśnie dlatego najwięcej szczęścia w trakcie meczu dają mu te chwile, kiedy jego przyjaciele i rodzina padają sobie w ramiona.

Federer może zabrać ze sobą replikę pucharu oryginalnej wielkości, której nadaje imię Norman. Jest też przecież turniej Norman Brookes Challenge Cup, nazwany na cześć Australijczyka, pierwszego zwycięzcy Wimbledonu (z 1907 roku i 1914 roku), który nie pochodził z Wielkiej Brytanii i któremu nadano tytuł szlachecki. „Nie jestem pewien, czy na ten puchar nie zabukował dodatkowego miejsca w samolocie” – żartuje Godsick kilka tygodni później. W połowie lutego Federer zabiera nawet swoje trofeum w Alpy Szwajcarskie, by zrobić sobie z nim zdjęcie w śniegu.

Kiedy po trzytygodniowym pobycie w Szwajcarii wraca na tour w Dubaju i ponosi na wczesnym etapie turnieju porażkę

z Jewgienijem Donskojem, nadal jest jeszcze w euforii. „To był najbardziej niewiarygodny moment. Taki, w który nigdy bym nie uwierzył. Prawdziwa bomba, petarda. Cały czas z fascynacją spoglądam wstecz i myślę: stary, co się właściwie stało? – opowiada. – To przeszło wszelkie oczekiwania, nadzieje, nawet marzenia. Czasami budzę się rano i zadaję sobie pytanie: czy to wszystko wydarzyło się naprawdę?”

Uczucie rozradowania będzie mu towarzyszyło jeszcze długo. Pod koniec kwietnia, przy okazji meczu pokazowego w Seattle na rzecz swojej fundacji, mówi: „Wygranie po raz pierwszy Wimbledonu i Roland Garros było dla mnie czymś wyjątkowym i wspaniałym pod wieloma względami. Ale tytuł zdobyty podczas tego Australian Open okazał się dla mnie zaskakująco ważny, może zaraz obok zwycięstwa w Wimbledonie w 2003 roku. Bo w tym roku naprawdę ani przez chwilę nie pomyślałem, że zwyciężę w Melbourne. Turniej miał być tylko przygotowaniem na drodze do wygrania może jeszcze jednego turnieju wielkoszlemowego. Ale to nie podczas niego miałem odpalić z formą!”.

Wyniki oglądalności pokazują, jak bardzo ten turniej poruszył sportowy świat. W Australii stał się najpopularniejszym wydarzeniem sportowym roku. Finał, który na Channel 7 oglądało średnio 2 686 000 widzów, a w szczytowym momencie 4 370 000 ludzi, był trzecią pod względem oglądalności audycją 2017 roku. Mecz finałowy mężczyzn dotarł do 11,2 procent Australijczyków (finał kobiet pomiędzy siostrami Williams przyciągnął prawie połowę tej publiki). Pojedynki o tytuły mężczyzn w Paryżu (4,6 procent), w Wimbledonie (6,7 procent) i Nowym Jorku (0,5 procent) muszą się zadowolić znacznie skromniejszymi wartościami. Zdaje się, że nie tylko z punktu widzenia Federera jest to „Happy Slam”.

11

W SŁONECZNYM PASIE

Kiedy na początku marca Federer wysiada z prywatnego samolotu na Jacqueline Cochran Regional Airport na kalifornijskiej pustyni, jest blady i chwieje się na nogach. Lot z Dubaju do Los Angeles przebiegł bezproblemowo, w przeciwieństwie do tego z Los Angeles do Indian Wells. Jest wprawdzie krótki, ale właśnie w trakcie takich połączeń często zdarzają się turbulencje. Roger zna już to zjawisko z czasów, gdy na początku kariery latał liniami Crossair z Bazylei do Frankfurtu, ale niewiele mu to dzisiaj pomaga.

Dzień jest wietrzny, gdy Szwajcar dociera na miejsce drugiego turnieju sezonu – licząc te, na których w komplecie stawiła się światowa elita. Palmy uginają się pod silnym wiatrem, piasek unosi się w powietrzu, a ponad niezliczonymi golfowymi kurortami w tej okolicy i spektakularnym rejonem Coachella Valley – z pustyniami, oazami i pokrytymi śniegiem górami – utworzyły się powietrzne wiry. „Było naprawdę ostro – opowiada Federer. – Trzymałem jeszcze dziecko na kolanach i było rzeczywiście gorąco, a w powietrzu unosił się zapach nafty. Robiło mi się niedobrze. Kiedy wysiadłem z samolotu i poczułem podmuch wiatru, sytuacja znacznie się poprawiła”.

Dziesięciodniowy turniej mężczyzn i kobiet w kalifornijskiej pustynnej oazie, rozgrywany pod egidą software’owego miliardera Larry’ego Ellisona, rozwinął się w jedną z kilku najważniejszych imprez rangi tuż poniżej Wielkiego Szlema

i należy do ulubionych przystanków Federera. Z dala od zgiełku wielkiego miasta dobrze się tam czuje także jego rodzina. Tym razem na miejscu są też jego rodzice, dziewczynki, Ivan Ljubičić, fizjoterapeuta Daniel Troxler, Tony Godsick, kucharz… Potrzeba było czterech samochodów, by zabrać do wynajętego domu całą jego obstawę, liczniejszą niż drużyna futbolowa łącznie z trenerami. Od Tennis Garden, możliwe, że najpiękniejszego i najbardziej luksusowego turniejowego przystanku w świecie tenisa, dzieli to lokum odległość, którą można pokonać piechotą.

Burzliwa podróż nie jest jednak złym zwiastunem tego, co Federera czeka w USA za kolejne cztery tygodnie. Przeciwnie. Już w 1/8 finału dochodzi do „powtórki" meczu finałowego z Melbourne przeciwko Nadalowi – Federer bez wysiłku pokonuje rywala 6:2, 6:3. Dzięki zwycięstwu w finale nad swoim rodakiem Wawrinką po raz pierwszy od pięciu lat wygrywa także drugi pod względem znaczenia turniej w USA.

Zaledwie dwa tygodnie później w Miami, podczas trzeciego największego turnieju w Stanach Zjednoczonych, w finale znów spotyka się z Nadalem. Na Key Biscayne, wyspę leżącą na południe od Miami Beach, Federer przybywa po trzeci sukces sezonu osiągnięty w starciu z Hiszpanem – tym razem zwycięża 6:3, 6:4. W ten sposób po raz trzeci udaje mu się „Sunshine Double", jak nazywane jest zwycięstwo w dwóch najdłuższych i najważniejszych turniejach ATP Masters Series 1000 z rzędu, odbywających się w amerykańskim Słonecznym Pasie corocznie na przedwiośniu. Taki podwójny sukces wcześniej odnotował w 2005 i 2006 roku, a teraz jest zdecydowanie najstarszym zawodnikiem, który go osiągnął.

Federer w dalszym ciągu owładnięty jest australijską euforią. Dzięki długiej przerwie w ostatnim roku zyskał nową perspektywę. „Jestem bardziej wyluzowany – mówi. – W trakcie

przerwy zdałem sobie sprawę, jakie miałem szczęście w ciągu tych ostatnich lat. Comeback dał mi ogromnie dużo radości, podoba mi się także mój sposób gry. Przejmuję inicjatywę, gram agresywnie i jestem szczęśliwy, że w moim wieku mogę jeszcze występować na takim poziomie. W tym momencie sprawia mi to przypuszczalnie więcej przyjemności niż kiedykolwiek wcześniej".

Finał z Melbourne wciąż jeszcze odbija się echem, gdziekolwiek Federer się zjawia. Przypomina to trochę finał Wimbledonu z 2008 roku przeciwko Nadalowi, który wielu określało najlepszym meczem w historii tenisa. „Oddźwięk jest podobny, z tą różnicą, że tym razem to ja jestem zwycięzcą. Dlatego też mogę cieszyć się tym o wiele bardziej". Znów wszystko kręci się wokół niego. Nawet „New York Times" po raz pierwszy w historii wysyła do Indian Wells tenisowego eksperta Christophera Clareya, a robi to tylko z powodu Federera. „Teraz interesujące jest wszystko, co go dotyczy. Nawet to, co je na śniadanie" – stwierdza dziennikarz.

Tym samym Szwajcar po raz drugi – od 2006 roku – otwiera sezon zwycięstwem w trzech pierwszych znaczących turniejach. Jest zdecydowanym liderem rocznego zestawienia i znajduje się na dobrej drodze, by jeszcze raz stać się numerem 1 na świecie, jako najstarszy zawodnik w historii rankingu. Szybko okazuje się jednak, że ten cel nie jest dla niego nadrzędny – priorytet stanowi zdrowie. Federer odpuszcza wszystkie wstępne turnieje na kortach ziemnych i wraca dopiero pod koniec maja, na Roland Garros.

12

KOLACJA MISTRZÓW

Ktoś, kto ostatni dzień mistrzostw Wimbledonu może zakończyć kolacją mistrzów w Londynie, należy do około 400-osobowego uprzywilejowanego, elitarnego grona. I jeżeli jest tam jako zawodnik, oznacza to, że w turnieju musiał zajść dosyć daleko. Podczas tej prestiżowej, bogatej w tradycję gali uhonorowywani są najlepsi tenisiści i tenisistki „mistrzostw", jak organizatorzy zwykli nazywać swój klejnot w koronie. Wykorzystują tę okazję, by również poświętować – z uzasadnioną dumą, świadomością statusu społecznego, z pompą i brytyjską dostojnością. Kiedy w 1981 roku John McEnroe po swoim pierwszym zwycięstwie odrzucił zaproszenie, woląc celebrować wygraną na własną rękę, wraz z przyjaciółmi ze sceny rockowej, nie spotkało się to z uznaniem dystyngowanych dżentelmenów z All England Lawn Tennis and Croquet Club.

Roger był przez lata stałym gościem kolacji mistrzów i dokładnie zna jej przebieg. Zaproszenie otrzymał już w 1998 roku, gdy jako 16-latek podczas swojego debiutu w Wimbledonie wygrał turniej juniorów. Musiał jednak zrezygnować z pojawienia się na gali, ponieważ już dzień później miał wystąpić w Gstaad w Swiss Open. W swoim pierwszym turnieju z kategorii ATP, najwyższej rangą dla zawodowców, mógł wziąć udział dzięki „dzikiej karcie", jaką został wyróżniony przez organizatorów za osiągnięte sukcesy.

W 2017 roku jest już tam po raz ósmy – po raz ósmy jako odtwórca głównej roli męskiej, jako mistrz. Dla niego gala ta jest uroczystym zwieńczeniem milowego kroku, o którym marzył, ale na wykonanie którego tak naprawdę nie mógł liczyć: jeszcze raz, po raz ósmy, wygrać Wimbledon. Pięć lat po ostatnim zwycięstwie, i tylko rok po tym, jak ze względu na problemy z kolanem musiał przerwać sezon i pauzować przez sześć miesięcy, wszystko potoczyło się prawie jak w bajce. Jako pierwszy od Björna Borga 41 lat temu nie stracił w Wimbledonie choćby seta. Od 1/8 finału bije kolejno Dimitrowa, Raonica, Berdycha i w finale nie pozostawia szans osłabionemu przez uciążliwy pęcherz na nodze Marinowi Čiliciowi, wygrywając z nim 6:3, 6:1, 6:4. Następnego dnia liczne media, w tym londyński „Times", donoszą o „ósmym cudzie świata".

„Całkiem imponujące osiągnięcie" – krótko przed północą prezes Wimbledonu Philip Brook ćwiczy się w swojej przemowie, używając typowo brytyjskiego niedopowiedzenia. Przywołuje dzień, w którym Federer dzięki Wimbledonowi i zwycięstwu nad Pete'em Samprasem w 1/8 finału po raz pierwszy trafił na czołówki gazet na całym świecie. To robi wrażenie także na Brooku. „Pete był wtedy siedmiokrotnym triumfatorem Wimbledonu, a Roger grał tu dopiero po raz trzeci. Teraz osamotniony góruje nad innymi jako ośmiokrotny zwycięzca Wimbledonu, na dodatek w całym turnieju nie stracił nawet seta". W obliczu powagi tego zmierzającego ku końcowi, niezapomnianego dnia Brook nie potrafi utrzymać do końca przemowy konwencji niedopowiedzenia. Głos mu drży i przechodzi w falset, gdy mówi: „Roger, gratuluję ci niewiarygodnego i wybitnego sukcesu w tym historycznym dniu. Podejdź, proszę".

Po opuszczeniu limuzyny Federer znów jako ostatni kroczył po rozwiniętym na cześć gości fioletowym dywanie; to wraz z zielonym tradycyjny kolor Wimbledonu na kolacji mistrzów. Pierwszych pięć tytułów Federera świętowano jeszcze w hotelu Savoy nad Tamizą, szósty i siódmy w hotelu Intercontinental przy Park Lane. Teraz wszystko odbywa się w Guildhall, czteropiętrowym budynku znajdującym się prawie godzinę jazdy na północ od Wimbledonu. Ozdobiony jest wieżyczką, budzi respekt, a przez setki lat służył Londynowi jako ratusz, w którym znajdowały się reprezentacyjne pomieszczenia magistratu.

Od zwycięstwa Federera w finale minęło siedem godzin; krótko przed 23.00 Roger pojawia się w przystrojonej statuetkami i żyrandolami sali w katedralnym stylu. Ze złotym pucharem w ręku mija uroczyście udekorowane i oświetlone świecami stoliki, przy których siedzą goście ubrani w smokingi i drogie wieczorowe suknie. Z głośników rozbrzmiewa piosenka *Hurts* Emeli Sandé, której refren doskonale oddaje stosunek Rogera do Wimbledonu w ostatnich czterech latach – czterech latach, kiedy to musiał opuszczać swój ulubiony turniej po bolesnych porażkach: „Baby, I'm not made of stone, it hurts. Loving you the way I do, it hurts" (Kochanie, nie jestem z kamienia, to boli. To, jak cię kocham, boli).

Tylko jego widoczna niechęć powstrzymuje niektórych zachwyconych gości przed zaproponowaniem, by się do nich dosiadł. Na zaproszeniach małym druczkiem zasugerowano też, że nie powinni prosić mistrzów o autografy.

Przez dwie i pół godziny od ostatniej piłki meczowej Federer udzielał wywiadów, odpowiadając ciągle na te same pytania. Kiedy w końcu przybywa do Guildhall, po kanapeczkach i drinkach w starej bibliotece już dawno nie ma śladu. Po raz kolejny stracił też okazję, by usłyszeć uroczyste zawołanie

„Dinner is served!”, zapraszające po aperitifie do sali głównej. Podano już także przystawki.

Federer dzieli stolik z Mirką, rodzicami, oboma trenerami, fizjoterapeutami, menedżerem i jego rodziną, a także z Tommym Haasem, swoim wieloletnim rywalem i przyjacielem, który jest tu z żoną. Jest także inny wieloletni przyjaciel Federera, Reto Staubli wraz z małżonką. Świeżo upieczonemu triumfatorowi i rekordziście pod względem zwycięstw w Wimbledonie podano wreszcie danie główne. Przystawki zaserwowano mu razem z deserem.

Federer jest za to świadkiem głównego punktu programu – „toastu za królową i mistrzów”. Najstarszy triumfator Wimbledonu w historii, w garniturze i krawacie, po tym długim i męczącym dniu wygląda na wciąż rześkiego i opanowanego. „Byłby niezły w roli Jamesa Bonda” – zachwyca się siedząca obok mnie hiszpańska dziennikarka. Otrzymała zaproszenie dzięki zwyciężczyni Garbiñe Muguruzie, podczas gdy mnie przypadł zaszczyt reprezentowania mediów szwajcarskich.

Zupełnie już nie w stylu Jamesa Bonda Federer otwiera prezent wręczony mu na scenie przez Brooka – zwyczajnie rozrywa papier, którym owinięty jest kolaż ze zdjęciami z jego ośmiu zwycięstw w Wimbledonie. Potem wywiad z nim przeprowadza Mark Petchey i także ten były brytyjski tenisista zagaduje go o Samprasa. Roger mówi, że „ani przez sekundę” nie myślał nawet, że mógłby kiedyś wyprzedzić Amerykanina w Wimbledonie. „Zawsze byłem porównywany z Pete’em i wielu oczekuje ode mnie takich samych osiągnięć. Myślałem, że to niemożliwe. A teraz jestem tutaj, przerosłem swojego bohatera. To trochę dziwne uczucie”. Już po południu, kiedy w finale przy stanie 5:4 w trzecim secie serwował, by wygrać mecz, towarzyszyło mu osobliwe wrażenie. „I teraz też to wszystko wydaje mi się surrealistyczne”. Na 18.

wielkoszlemowy tytuł Federer musiał czekać 1666 dni – prawie dziesięć razy dłużej niż na 19. triumf, bo teraz przerwa wynosiła tylko 168 dni.

Jego trzyletni bliźniacy, Leo i Lenny, w przeciwieństwie do styczniowego zwycięstwa w Australian Open, które przespali, tym razem śledzili z trybun, jak ich tacie wręczany jest wielkoszlemowy puchar. „Nie mieli pojęcia, co się dzieje – opowiada Federer. – Pewnie myśleli sobie, że to fajny widok i ładny kort".

Jak wiele wciąż znaczy dla niego triumf w Wimbledonie, wyjaśnia chwilę później podczas kolacji mistrzów Garbiñe Muguruzie, pierwszej hiszpańskiej zwyciężczyni od 1994 roku i triumfu Conchity Martínez, kiedy ta pojawia się na scenie. „Zwycięzcą Wimbledonu nie jest się tylko na jeden dzień. Jesteś nim całe życie. I jeszcze zobaczysz, ile to znaczy dla tych wszystkich legend i tych wszystkich ludzi. Z czasem będziesz czuła się jeszcze lepiej".

Atmosfera przy stoliku Federera jest uroczysta, ale pozbawiona wylewności. Mama Rogera, Lynette, żałuje nawet, że nowe pokolenie zawodników, gracze tacy jak Thiem czy Zverev, nie zwróciło jeszcze na siebie uwagi w większym stopniu. Także ojciec, Robert, chętnie przeżyłby bardziej wyrównany finał i opowiada krótką anegdotę: „Niedawno byliśmy w Appenzellerland, gdzie wychowała się moja matka, w domu o numerze 19. I wtedy Tony Godsick powiedział: »To dopiero liczba!«".

Tego wieczoru Federer nie ma zbyt wiele czasu na delektowanie się sukcesem. Dziesięć lat temu, gdy po raz pierwszy mogłem mu towarzyszyć podczas tej uroczystości, po kolacji zabrał rodzinę, przyjaciół i osoby mu towarzyszące do oddzielnego pomieszczenia, gdzie robił z każdym zdjęcia, wraz z oryginalnym pucharem, który musi zostać w Wimbledonie.

On sam może zabrać ze sobą jedynie mniejszą o 25 procent kopię – bądź co bądź jednak, po swoich pierwszych sześciu zwycięstwach otrzymał o połowę mniejsze repliki.

Tym razem towarzystwo szybko się rozchodzi. W końcu już poniedziałek, wiele osób musi zaraz wstać do pracy. Dla Federera świętowanie dopiero się jednak zaczyna. Z ponad 20 osobami, w tym jego rodzicami, kończy ten wieczór w barze. „Jeszcze mi szumi w głowie – przyznaje, gdy w poniedziałkowy poranek znów musi udzielać wywiadów. – Chyba za bardzo pomieszałem drinki".

Kilka tygodni później zdradzi, że w trakcie tamtego turnieju niemal bez przerwy czuł się wykończony. „Podczas Wimbledonu prawie cały czas byłem chory, miałem katar, bolała mnie głowa, bez końca, nawet w trakcie meczów" – wyznaje w Melbourne w 2018 roku. Najwyraźniej nawet ból może wpływać na poprawę osiągnięć. W każdym razie aż trudno uwierzyć, że w pełni zdrowy Federer zdobyłby ten tytuł z jeszcze większą swobodą.

13

KORT ŁEZ

Kiedy pod koniec grudnia 2017 roku Federer wraz ze swoją świtą ląduje w Perth, jego pozycja wyjściowa jest zupełnie inna niż 12 miesięcy wcześniej, gdy planował comeback. Teraz znów jest numerem 2 na świecie, aktualnym zwycięzcą z Melbourne i Wimbledonu, a w Pucharze Hopmana znowu traktuje się go jak wybitną gwiazdę. I jest nie do zatrzymania. Federer wygrywa wszystkie cztery single i wraz z Belindą Bencic także wszystkie cztery miksty, dzięki czemu zwycięża w tym prestiżowym turnieju po raz drugi, 17 lat po triumfie u boku Martiny Hingis.

Jego partnerka Bencic jest zachwycona tym, jak ją wspierał i prowadził podczas imprezy. Pod podobnym wrażeniem są organizatorzy z Australijskiego Związku Tenisa, którzy po 2017 roku znów odnotowują rekord oglądalności. Paul Papalia, minister turystyki w Australii Zachodniej, jest cały w skowronkach. „Federer zareklamował nasz region tak jak prawdopodobnie jeszcze nikt wcześniej” – mówi podczas dekoracji zwycięzców. Szczególnie oczarowało go selfie, jakie Roger zrobił z kuoką, małym torbaczem z krótkim ogonem, który występuje tylko w Australii Zachodniej. Zdjęcie słodkiego zwierzaka i brodatej gwiazdy tenisa wzbudza ogromne zainteresowanie wśród ponad 30-milionowego grona followersów na jego portalach społecznościowych, pojawia się też w niezliczonych doniesieniach telewizyjnych i artykułach

w prasie. Gdy później w swojej przemowie Federer nadal zachwyca się, jak wspaniała jest Australia Zachodnia („No dalej, ludzie, wpadnijcie do Perth…”), szczęście Papalii sięga zenitu. Rottnest Island, miejsce, w którym Rogerowi przy odrobinie wysiłku udało się zrobić selfie z kuoką, w najbliższych dniach i tygodniach po Pucharze Hopmana przeżywa niespotykany wcześniej szturm turystów. Internauci wyszukują je w przeglądarkach czterokrotnie częściej. Roger nie promował jednak tego regionu tak zupełnie spontanicznie i bezinteresownie. Ministerstwo Turystyki doszło do porozumienia z Australijskim Związkiem Tenisa w sprawie wspólnej zrzutki na gażę za start Szwajcara – mowa tu o kwocie wynoszącej półtora miliona dolarów amerykańskich.

Kiedy Federer z Perth przemieszcza się do Melbourne, uznawany jest za zdecydowanego faworyta Australian Open. Brakuje mu wiarygodnych argumentów, by temu zaprzeczyć. Jedyny, jaki przychodzi mu do głowy, jest mało przekonujący: „36-latek raczej nie powinien być tutaj faworytem”.

Ale to przecież nie zwyczajny 36-latek. Jest teraz wręcz jednym z najsprawniejszych wśród czołowych tenisistów.

Z powodu operacji biodra nie ma Andy’ego Murraya, Wawrinka po ciężkiej operacji kolana jest cieniem samego siebie, Đoković w dalszym ciągu walczy z urazem łokcia i w 1/8 finału ulega Chungowi Hyeonowi z Korei Południowej. A gdy Nadal przegrywa w ćwierćfinale z Čiliciem z powodu kolejnej kontuzji biodra, droga do 20. wielkoszlemowego tytułu zdaje się dla Federera otwarta.

Chung po ciężko wywalczonym ćwierćfinałowym zwycięstwie nad Berdychem nie jest dla Rogera poważnym rywalem w półfinale. Azjata ma na nodze otwarty pęcherz, ledwo chodzi i po godzinie gry musi się poddać. W meczu decydującym o tytule Federer, podobnie jak kilka miesięcy

wcześniej w Wimbledonie, spotyka się z Marinem Čiliciem, który również boryka się z osłabieniem z powodu pęcherza, ale za to jest w znakomitej formie.

Finałowemu zestawieniu pary nie brakuje pikanterii. Tych dwóch graczy spotkało się zupełnie przypadkiem dwa miesiące wcześniej na wakacjach na Malediwach, po tym, jak w Londynie obaj zmierzyli się ze sobą w finale ATP Finals. „Odbiliśmy parę piłek i wypiliśmy kilka drinków" – opowiada Federer. Ich gierkę nad Oceanem Indyjskim oglądała jedynie Mirka i narzeczona Čilicia, „a ponieważ za bardzo oblewał nas pot, przestaliśmy".

Gorąco jest także w dniu finału w Melbourne. Temperatury skłoniły organizatorów do zamknięcia dachu, co wcale nie podoba się Čiliciowi. Wszystkie wcześniejsze mecze grał na zewnątrz i przygotowywał się na upalny dzień, wytyka więc później organizatorom: „Nie miałem nic przeciwko, by dach był zamknięty. Ale to jednak wielka różnica grać na zewnątrz przy 38 stopniach i przy 23 czy 24 stopniach na stadionie".

Federer, uznawany za lepszego gracza w hali niż na powietrzu, atakuje od razu, wychodzi na prowadzenie 4:0 i wygrywa pierwszego seta w 24 minuty. To 200. wielkoszlemowy finał w historii Ery Open – a 20. puchar zdaje się być dla Szwajcara na wyciągnięcie ręki. Wtedy jednak Čilić się podnosi, a Federer coraz bardziej ulega presji, momentami jest zbyt niezdecydowany. Dochodzi do tie-breaku – i Roger traci pierwszego seta w tym turnieju. Reaguje mocno, wygrywa trzeciego seta, a w czwartym wychodzi na prowadzenie 3:1. Wszystko znów przemawia za Szwajcarem, ale ponownie traci kontrolę nad meczem; Chorwat podnosi się jak w amoku, nagle znów zaczyna grać niczym człowiek, który w 2014 roku niespodziewanie zwyciężył w US Open, w półfinale nie oddawszy Federerowi choćby seta.

Roger przegrywa pięć gemów z rzędu i z 3:1 robi się 3:6. Nie ma seta i nie ma też zapału. Dokładnie tak jak 12 miesięcy wcześniej w meczu przeciwko Nadalowi zwycięzcę Australian Open wyłania decydujący, piąty set. I tak jak wtedy Federer pierwszy jest w opresji, od razu musi bronić dwóch piłek na przełamanie. Udaje mu się to dzięki dwóm znakomitym serwisom, do których dziko się zagrzewa: „Chumm jetzä!". Kiedy ma szansę na przełamanie, wybucha wrzawa. Tak głośno jeszcze na trybunach nie było. Czuć, że mecz może się rozstrzygnąć właśnie teraz. „Let's go, Roger, let's go!" – niesie się przez halę, dokładnie jak przed rokiem.

I Roger prze do przodu. „Zatrzymał krwawienie", jak to później określił, inicjatywa znów należy do niego i teraz sam uderza, podczas gdy Čilić traci siły: 2:0, 3:0, potem jeszcze przełamanie i w raptem 33 minuty wygrywa seta 6:1. Podobnie jak Nadal przed rokiem, także i Čilić po ostatnim punkcie, serwisie na zewnętrzną stronę, prosi o weryfikację wideo, ale również i tym razem piłka posłana przez Federera zdołała dotknąć linii. 6:2, 6:7, 6:3, 3:6, 6:1. Dwudziestokrotny od tej chwili triumfator wielkoszlemowy wyciąga ręce w górę, zaciska dłonie w pięści.

I wtedy Rod Laver Arena znów staje się dla niego kortem łez. „Bajka trwa" – mówi, jąkając się. Kiedy po chwili zwraca się z podziękowaniami do rodziny, po słowach „I love you guys…" nie może już mówić. Zasłania twarz dłonią, płacze, zalewa się łzami, podczas gdy widzowie oklaskują go na stojąco. Niektórzy krzyczą z radości, nawet Rod Laver strzela fotkę. I tak mija ponad minuta, uroczysty, emocjonalny, niezapomniany, zdający się trwać wiecznie moment, aż znów delikatnym głosem odezwie się moderator, ratując Rogera.

To był bardzo wyczerpujący dzień, powie później Federer, gdy po pierwszej w nocy stawi się na konferencji prasowej.

„W każdej minucie myślałem, co by było, gdybym zaprzepaścił tę ogromną szansę, albo co by było, gdybym ją wykorzystał. To stawało się zabawne". W sobotę był raczej pesymistycznie nastawiony, bo przed turniejem w Melbourne Čilić pokonał go na treningu. Na początku piątego seta widział się ponoć jako przyszłego przegranego.

To więcej niż milowy krok w karierze Federera. Dwudziestym wielkoszlemowym tytułem stawia sobie pomnik – to wynik uznawany wcześniej za niemożliwy do osiągnięcia. Mając 36 lat i 173 dni, nadal pozostaje „tylko" drugim najstarszym wielkoszlemowym mistrzem w historii zawodowego tenisa, za Kenem Rosewallem. Musi jeszcze wrócić, żeby pobić i ten rekord. Już teraz, pisze „Herald Sun", zasługuje natomiast na przydomek „King Roger VI", bo szóstym triumfem w Melbourne awansował do grona dotychczasowych rekordowych zwycięzców, Novaka Đokovicia i Roya Emersona.

W tę historyczną noc uwadze wszystkich niemal umyka fakt, że Federer po raz pierwszy od US Open dziesięć lat temu obronił wielkoszlemowy tytuł. On sam sprawia wrażenie, jakby był porażony swoim sukcesem. „Nigdy bym nie pomyślał, że zdobycie 20 wielkoszlemowych tytułów jest w ogóle możliwe" – mówi następnego ranka, po kolejnej krótkiej nocy. I podobnie jak przed rokiem po wygraniu Wimbledonu stwierdza: „To wszystko jest jakieś surrealistyczne".

I jak ze snu pozostaną także kolejne tygodnie. Federer wygrywa w lutym turniej w Rotterdamie i jest zdecydowanie najstarszym numerem 1 na świecie. W kwietniu w Monte Carlo akademia Laureus po raz piąty wybiera go „Najlepszym Sportowcem Świata" i jak się spodziewano, w Sporting Club Borisa Beckera otrzymuje trofeum za „Comeback Roku". Roger żyje teraz jak we śnie; zostaje z niego wybudzony po aż 17 zwycięstwach z rzędu, w finale Indian Wells, który pomimo

trzech piłek meczowych przegrywa z Juanem Martínem del Potro.

Dopiero pod koniec października 2018 roku zdradzi, że w czerwcu, na początku sezonu na kortach trawiastych, nabawił się na treningu w Stuttgarcie niewielkiej kontuzji ręki i przez kolejne miesiące, aż do jesieni, towarzyszył mu ból. Także z tego powodu nie może utrzymać wysokiego poziomu, który prezentował, gdy rozpoczynał rok 2018. W ćwierćfinale Wimbledonu – w którym znów musiał zagrać na niefartownym dla niego Korcie Nr 1 – przegrywa z Kevinem Andersonem, choć prowadził już 2-0 w setach i miał piłkę meczową. W drugiej połowie roku zdobył jeszcze tylko jeden tytuł – swój dziewiąty w Bazylei, 99. w karierze.

CZĘŚĆ II

POCZĄTKI

14

ŚWIAT JEST PIŁKĄ

Ósmego sierpnia 1981 roku wypada w sobotę. W Niemczech i Szwajcarii na listach przebojów króluje singiel *Bette Davis Eyes* Kim Carnes, a „Neue Zürcher Zeitung" daje na swojej wówczas jeszcze pozbawionej zdjęć pierwszej stronie nagłówek *Mangel und Ungeduld in Polen* (Niedostatek i zniecierpliwienie w Polsce). W dziale sportowym można przeczytać, że Urlike Meyfahrt, niemiecka skoczkini wzwyż i mistrzyni olimpijska, w Rhede już w pierwszej próbie pobiła rekord kraju wynoszący 196 centymetrów, a Hiszpan José Higueras odpadł w turnieju tenisowym w Indianapolis.

Dzień wcześniej Robert Federer rozpoczął udział w Bosco-Turnier, rozgrywkach tenisowych odbywających się na sztucznym lodowisku, gdzie grając w deblu z Heinim Baumgartnerem, awansował do finału. Wieczorem, turkocząc swoim małym motorowerem, niczym na skrzydłach wraca do domu w Birsfelden, by sprawdzić, jak czuje się jego żona, która jest wówczas w zaawansowanej ciąży. „Na razie nic się nie wydarzyło" – mówi mu Lynette. Robert stwierdza, że w takim razie pojedzie jeszcze szybko do Rheinfelden. Odbywa się tam właśnie inny turniej, a on zna wielu ludzi z tamtej okolicy.

Jest piękny piątkowy wieczór. W budynku klubowym panuje przyjemna atmosfera, która z upływem kolejnych godzin staje się coraz lepsza. Kiedy o 2.00 w nocy w klubie rozlega się dźwięk telefonu – nie było jeszcze wtedy komórek – jeden

z gości odbiera, zupełnie jednak nie rozumie, o co chodzi, i odkłada słuchawkę. Robert Federer obserwuje całą scenę i nagle rodzi się w nim podejrzenie: „Pomyślałem: *Gopferteggel*, czy to była Lynette?”. Gdy po chwili znów dzwoni telefon, sam odbiera. „Rzeczywiście, to była Lynette. Powiedziała: »You better come home«”.

I dokładnie tak robi. Przerażony wraca motorowerem do domu, a stamtąd razem z żoną jedzie do szpitala kantonowego w Bazylei. Na miejscu zastanawia się nad znalezieniem partnerów do jassa, by grą w karty wypełnić czas oczekiwania. Ale nagle wszystko zaczyna dziać się szybko. O 8.30 Lynette rodzi swoje drugie dziecko: chłopiec waży 3710 gramów i mierzy 54 centymetry. „Miał ogromne stopy” – wspomina. Jeśli chodzi o wybór imienia Roger, byli zgodni, ponieważ można je bez problemu wymówić również po angielsku: „Rodżer”. Federer będzie nawet wolał angielską wersję wymowy swojego imienia od francuskiej. „Mam na imię »Rodżer« – stawia sprawę jasno już jako 17-latek. – »Rożée« brzmi tak okropnie słodko, po prostu strasznie”.

Narodziny syna nie powstrzymały Roberta przed wzięciem udziału w popołudniowym finale debla w Bosco-Turnier, który nawet wygrał. On i jego żona grywali niegdyś na wielu zawodach. Wspomina: „Wiedliśmy tenisowe życie. Przede wszystkim wtedy, gdy jeszcze nie mieliśmy dzieci. Startowaliśmy w Bosco-Turnier, Birsegg-Turnier, w mistrzostwach Bazylei… Ciągle byliśmy na turniejach”.

Robert i Lynette są mocnymi graczami w regionie. On w klasyfikacji Swiss-Tennis osiąga poziom R3, Lynette długo należy do kategorii R2. „Oboje graliśmy dość ofensywnie i nie należeliśmy do tych, którzy kręcą się tylko wokół linii końcowej – mówi Robert, przez przyjaciół nazywany Robbie. – Lynette miała mocnego slajsa z bekhendu, jak później Roger”.

Przy dwojgu małych dzieci – Diana przyszła na świat dwa lata wcześniej – hobby musi jednak zejść na trochę dalszy plan.

Poznali się w 1970 roku w południowoafrykańskim Kempton Park, niedaleko Johannesburga. Robert Federer pochodzi z Berneck w saintgalleńskim regionie Rheintal, w najbardziej wysuniętej na północny wschód części Szwajcarii, niedaleko Jeziora Bodeńskiego i granicy z Austrią. Z wykształcenia jest laborantem, zanim wyruszył w daleki świat, pracował w szwajcarskiej stolicy przemysłu chemicznego – Bazylei. Przypadek sprawił, że w wieku 24 lat przybywa do RPA i że tam znajduje zatrudnienie u dawnego pracodawcy, który ma oddział w Kempton Park. W firmowej stołówce Robert poznaje o sześć lat młodszą Lynette Durand. To córka jego przełożonego, który podczas II wojny światowej służył w Europie. Jego rodzina oprócz języka afrikaans posługuje się także angielskim i posyła czworo swoich dzieci do angielskiej szkoły. Lynette dorastała w tej okolicy, ukończyła szkołę handlową, pracuje właśnie jako handlowiec i oszczędza pieniądze, by pewnego dnia odwiedzić Europę.

Jest utalentowaną i zaangażowaną sportsmenką. Należy do miejscowej reprezentacji hokeja na trawie, rezygnuje jednak z uprawiania tego sportu, ponieważ z powodu otrzymywanych wielu uderzeń zaczęła mieć problemy z nogami. Razem z Robertem odkrywa później tenis w Klubie Szwajcarskim w Johannesburgu.

W 1973 roku pod wpływem chwili para przenosi się do Szwajcarii, gdzie w Bazylei wynajmuje trzypokojowe mieszkanie. Początkowo trudno jest im się odnaleźć w niewielkim i zimnym kraju, pojawia się też tęsknota za RPA. W grudniu biorą ślub, oboje znów pracują w Ciba-Geigy i jeszcze intensywniej grają w tenisa, w TC Ciba, firmowym klubie w Allschwil. Kiedy mogą sobie pozwolić na lepsze

mieszkanie, wyprowadzają się na peryferie miasta, najpierw do Birsfelden, potem do Riehen, a stamtąd do Münchenstein, gdzie w większości dorastają ich dzieci.

Lynette największy tenisowy sukces świętuje w 1995 roku, kiedy ze swoim teamem z TC Old Boys zdobywa mistrzostwo Szwajcarii w kategorii młodszych weteranek. Tenis nie przestaje być jej pasją, nawet gdy wychowuje dwoje dzieci. Zostaje trenerką juniorów w TC Ciba i przez dziesięć lat pomaga podczas Swiss Indoors, światowej klasy turnieju w Bazylei, który odbywa się każdej jesieni w oddalonej tylko o dwa kilometry od ich domu St. Jakobshalle. Jest odpowiedzialna za wydawanie akredytacji dla graczy, działaczy, oficjeli i przedstawicieli mediów. To tam, w małym biurze w kącie suteren hali, spotykam wówczas zawsze sympatyczną i elegancką kobietę, którą jest do dzisiaj. Długo oczywiście nie ma pojęcia, że jej syn pracuje na to, by wyrosnąć na najlepszego gracza w historii tenisa. Aż w końcu jeden z moich kolegów opowiada mi zaskoczony, że podczas robienia materiału o Rogerze dowiedział się, że jego mama to ta sympatyczna pani ze stoiska z akredytacjami ze Swiss Indoors.

Zręczność Rogera w obejściu z piłkami zaskakuje jego rodziców bardzo wcześnie. Ledwo co zaczął chodzić, mając 11 miesięcy, a już udaje mu się łapać większe piłki. Odtąd zawsze musiał mieć obok siebie piłkę, także w piaskownicy. „Już w wieku półtora roku chciał godzinami bawić się piłką – przypomina sobie Lynette. – Można było mu ją rzucić i natychmiast wracała, podczas gdy inne dzieci rozrzucały je we wszystkich kierunkach”.

Rodzina Federerów nie jest ani biedna, ani bogata – to solidna szwajcarska klasa średnia. W spokojnej dzielnicy Wasserhaus w Münchenstein, gdzie Roger dorastał w szeregowcu numer 40, ludzie lubią zadurzonego w sporcie chłopaka. Jest sympatyczny,

porządny, dobrze wychowany, pewny siebie, ale nie zarozumiały. I zawsze ma ze sobą piłkę, którą żongluje, biegnąc przez ulicę. Poza tym słucha każdego. „Miły chłopak – mówi o nim Robert – ale gdy coś mu nie pasowało, potrafił być też dość agresywny. Prawdziwą katastrofą były dla niego przede wszystkim porażki, nawet podczas gry w planszówki". Potwierdza to siostra Rogera, Diana: „Czasami ze złości rzucał po pokoju pionkami i kostkami do gry".

Małego Rogera, pod okiem rodziców, coraz częściej można spotkać w TC Ciba. W wieku trzech i pół roku przebija przez siatkę swoje pierwsze piłki. Rodzice grają z nim w piłkę, tenisa stołowego, squasha. Mając cztery lata, potrafi już odbić prawidłowo 20–30 piłek z rzędu. „Miał nieprawdopodobną koordynację ruchową" – mówi ojciec.

Roger godzinami odbija piłki od ścianki treningowej do tenisa, od drzwi garażowych, od ściany w pokoju albo nawet od szafy. Obrazy i naczynia nie są bezpieczne, nie oszczędza nawet pokoju siostry. Diana nie ma łatwo z bratem. „Kiedy byłam ze znajomymi, zawsze przychodził, wydzierał się albo podnosił drugą słuchawkę, gdy rozmawiałam przez telefon. Naprawdę był małym diabłem".

W jego pokoju na poddaszu ściany i drzwi ozdabiają plakaty gwiazd tenisa, Michaela Jordana i Shaquille'a O'Neala. Obok jest też wystylizowana na pin-up-girl Pamela Anderson, blond ratowniczka z serialu *Słoneczny patrol*. Roger próbuje się w jeździe na nartach, w zapasach, pływaniu, jeździe na deskorolce, unihokeju, piłce ręcznej, koszykówce, tenisie stołowym. Okazyjnie gra w badmintona przez ogrodowy płot z jednym z kolegów z sąsiedztwa. Fascynują go przede wszystkim sporty z piłką i w każdej wolnej chwili ciągnie go na dwór. Siedzenie cicho i intensywna praca w klasie nie są dla niego. Brakuje mu pasji nawet do grania na pianinie, choć przez

chwilę się w to angażuje. „Przez jakiś czas raz w tygodniu chodziłem na lekcje gry na pianinie, ale myślami zawsze byłem przy sporcie. Raz musiałem przygotować piosenkę i kiedy przyszedłem, nauczycielka zapytała: »Nie ćwiczyłeś, Roger?«. A ja powiedziałem: »Nie, byłem na boisku i na korcie«. Na co ona: »Chodź, spróbujemy jeszcze raz«”.

Jego ulubionymi dyscyplinami stają się tenis i piłka nożna. Gra regularnie także dużymi piłkami, nawet z mamą w kuchni. „Po obiedzie, zanim poszedł do szkoły, często grywaliśmy razem w piłkę nożną. Kuchnia była dość długa i miała dwoje drzwi, które służyły jako bramki – wspomina Lynette. – Gra toczyła się zawsze o wszystko. Każdego dnia ostro walczyliśmy, kto pierwszy strzeli dziesięć goli”. Nie zdarzało się, by dawała mu fory. „Nigdy nie pozwalałam mu wygrać z sympatii”.

Nie chciała jednak trenować syna na korcie. Z dwóch powodów. „Nie uważałam się za wystarczająco kompetentną, a ponadto za bardzo by mnie denerwował. Był bardzo rozbrykany, wypróbowywał wszelkie dziwne uderzenia, po prostu nigdy nie grał normalnych piłek. Dla matki nie jest to śmieszne”. Już jako malec zawsze robił to, co chciał, i próbował wybadać, gdzie są granice, jak mówi Lynette – czy to w szkole u nauczycieli, czy w domu u rodziców, czy w sporcie.

„Był bardzo żywotny, jak fryga, i przez to czasami trudny”. Ale nie miał złych zamiarów. „Dzięki jego zabawnemu sposobowi bycia i otwartemu, miłemu usposobieniu potrzeba było dużo czasu, zanim doszło do wybuchu”. Kiedy zmuszano go do czegoś, co mu się nie podobało, potrafił ostro zareagować. Gdy coś go nudziło, kwestionował to albo wykręcał się na pięcie. Kiedy ojciec chciał mu udzielić jakichś wskazówek, nie raczył nawet na niego spojrzeć.

Robert i Lynette Federer są idealnymi rodzicami dla tak zwariowanego na punkcie sportu chłopaka jak on. Pozwalają mu się wyszaleć, do niczego jednak nie zmuszają. „Musiał się po prostu ruszać, inaczej był nieznośny” – mówi Lynette. Ona i jej mąż przykładają wagę do tego, by uczył się integracji z grupą i relacji ze współgraczami, dlatego wcześnie pozwalają mu zostać członkiem klubu piłkarskiego Concordia, który mieszkańcy Bazylei nazywają po prostu Congeli.

Jego pierwszym tenisowym idolem jest Boris Becker. Godzinami potrafi oglądać w telewizji mecze Niemca. Mama jest zaskoczona, na jakie detale nieustannie zwraca uwagę. Kiedy Becker w 1985 roku po raz pierwszy wygrywa Wimbledon i w Niemczech wybucha powszechna tenisowa gorączka, Roger ma prawie cztery lata. Zalewa się gorzkimi łzami, gdy w latach 1988 i 1990 Becker przegrywa dwa finały Wimbledonu ze Szwedem Stefanem Edbergiem. „Tenis wkrótce stał się dla mnie najlepszą dyscypliną ze wszystkich – wspomina Roger. – Tam zawsze istniało napięcie. I to ode mnie zależało, czy wygram, czy przegram”.

Choć rodzice wcześnie zauważają jego zręczność i zdolności koordynacyjne, nie widzą w nim przyszłej gwiazdy żadnej z dyscyplin. Ani piłki nożnej, ani tenisa. Ale jego pociąg do sportu rósł. „Nie podchodziliśmy do tego zbyt emocjonalnie, za to bez utopijnych oczekiwań i z odpowiednim realizmem – mówi Robert Federer o czasach, w których widać już było, że Roger jest nieprzeciętnie utalentowany. – Choć wielu uznawało go za supertalent, my nie widzieliśmy go na Mount Evereście. Przede wszystkim chcieliśmy go wspierać, ale byliśmy też wymagający, oczekiwaliśmy zaangażowania i dyscypliny”.

Szybko okazują mu wiele zaufania. Nawet we wczesnych latach młodości sam jeździ rowerem z Münchenstein do Bazylei do Tennis Club Old Boys. „Pozwalaliśmy mu żyć” – mówi ojciec.

Roger musi jednak przestrzegać reguł. Kiedy chce opuścić trening, nie spotyka się to z uznaniem rodziców. Nie są także gotowi znosić jego ciągłych wybuchów. Ojciec przypomina sobie: „Gdy pewnego razu w młodych latach podczas treningu w klubie Ciba zachowywał się niestosownie, dałem mu dwa franki i powiedziałem: »Wiesz, skąd odjeżdża tramwaj. Jadę teraz do domu sam«”.

Kiedy Roger przegina, musi czasami pracować w ogródku działkowym rodziców w Münchenstein, wybierając kamienie z zagonu z warzywami.

Ze szkołą nie jest lekko. Ma niewielki zapał i przeciętne wyniki. Zadania domowe są dla niego źródłem wiecznych kłopotów. „Na Boga, po prostu ich nie lubił – wspomina Lynette. – Nie był głupi, ale wykazywał za mało zainteresowania. Nauka przedmiotów, które lubił, przychodziła mu łatwo, na przykład geografii. Ale inne… Dlatego jestem taka zaskoczona, jak dobrze Roger mówi dziś po francusku. Słówek przecież też nie chciał się uczyć”.

W domu Roger śpiewająco uczy się za to angielskiego, dzięki mamie. Dorasta, mówiąc nie tylko w szwajcarskiej odmianie niemieckiego, ale także w języku angielskim, a ponieważ w osobie Petera Cartera wcześnie otrzymuje trenera z Australii, angielski w coraz większym stopniu staje się jego tenisowym językiem. Podobnie jak siostra, Roger także ma południowoafrykański paszport. „Postaraliśmy się o to, gdy nasze dzieci przyszły na świat – wspomina Robert. – Uważaliśmy, że każdy dodatkowy paszport jest zaletą”.

Młoda rodzina pielęgnuje relacje z krewnymi na tyle, na ile to możliwe. Święta Bożego Narodzenia spędzają często w Berneck, jeżdżą też do RPA. To tam rodzice poznali ojca chrzestnego Rogera, Arthura Dubacha, kolegę z pracy ojca, który później będzie towarzyszył młodemu zawodnikowi w trakcie wielu

turniejów. Nastoletni Federer chodził z nim na ryby, ale ich sukcesy w połowie marlinów w najmniejszym stopniu nie przypominały sukcesów Rogera podczas polowania na tytuły w jego ulubionej dyscyplinie.

15

DWAJ PRZYJACIELE

W wieku sześciu lat Federer poznaje młodszego od siebie o miesiąc Marco Chiudinellego. Należą do tej samej grupy treningowej dla miejscowych talentów, którą zorganizowało stowarzyszenie tenisowe z Bazylei. Zostają przyjaciółmi i zaczynają spotykać się prawie codziennie. Grają wtedy we wszystkie możliwe gry z wykorzystaniem piłki, przede wszystkim w tenisa i futbol. Nowy przyjaciel Rogera, który za sprawą swoich inicjałów był nazywany przez wszystkich „Emmsii", jest niewysoki i gra w FC Basel jako libero, młody Federer zaś jest środkowym napastnikiem w FC Concordia. Okazyjnie trafiają na siebie w rozgrywkach. Chiudinellemu w pamięć zapadły szczególnie dwa mecze. „Podczas turnieju halowego w Möhlin stawaliśmy przeciwko sobie dwa lata z rzędu w finale – opowiada. – Za pierwszym razem wygraliśmy po rzutach karnych, rok później oni zwyciężyli 2:0".

FC Basel i Congeli to dwie najmocniejsze drużyny w regionie. „Mając dziewięć–dziesięć lat, myśleliśmy, że jesteśmy niezłymi piłkarzami – wyznaje Chiudinelli. – Ale kiedy raz w roku graliśmy przeciwko Lugano albo Lucernie, zauważaliśmy, że oni są o wiele lepsi". Pewnego razu niezbyt pochlebnie opisał umiejętności piłkarskie Federera: „Miał mocny strzał i nieźle się ruszał, ale z jego lewą nogą wcale nie było już tak dobrze. W ogóle nie potrafił kontrolować nią piłki. Dlatego też łatwo go było zatrzymać, wiedzieliśmy, że będzie strzelał wyłącznie

prawą”. Chiudinelli nie sądzi, by Szwajcaria straciła piłkarzy na miarę reprezentacji, dlatego że obaj postawili na tenis.

W wieku ośmiu lat Federer zmienia Tennisklub Ciba na Old Boys przy St. Galler-Ring w Bazylei, w którym były lepsze warunki treningowe. Chiudinelli, wcześniej członek bazylejskiego LTC, również przenosi się do Old Boys. Obaj utalentowani gracze, będący teraz także kolegami z jednego klubu, sprawiają swoim rodzicom (którzy tymczasem się zaprzyjaźnili; wybierali się na wspólne przejażdżki rowerowe albo przebieżki) nie tylko radość. „Kiedy trenowaliśmy, zawsze było dość głośno, bo więcej rozmawialiśmy, niż ćwiczyliśmy – wspomina Chiudinelli. – Trening nie wydawał nam się tak ważny. Chcieliśmy miło spędzać czas i robiliśmy dużo głupot. Dlatego ciągle odsyłano z kortu jednego z nas”. W grupie są czarnymi owcami – a rodzice ze zdenerwowaniem muszą przyjmować do wiadomości, że znów jeden z nich musiał obserwować połowę treningu z boku.

Chiudinelli przypomina sobie coś jeszcze. „Na treningach Roger przegrywał praktycznie z każdym. Był jedyną osobą, z którą wygrywałem. Ale różnica wydawała się ogromna: gdy tylko robiło się poważnie, potrafił się przełączyć i stawał się nie do poznania. Za to go podziwiałem. Na treningu potrafiłem spuścić mu lanie, ale kiedy dzień później spotykaliśmy się na turnieju, to ja od niego obrywałem. Już wtedy doskonale radził sobie w zawodach”.

Po raz pierwszy grają przeciwko sobie w wieku ośmiu lat w Bambino Cup w Arlesheim. „Rozegraliśmy wtedy tylko jeden długi set do dziewięciu – opowiada Chiudinelli. – Na początku nie szło mi dobrze. Przegrywałem 2:5 i zacząłem płakać. Często wtedy płakaliśmy, także w trakcie meczów. Nagle podczas zmiany stron Roger podszedł do mnie i zaczął mnie pocieszać. »No już, będzie lepiej«, powiedział. Faktycznie, potem szło mi

lepiej. Wyszedłem na prowadzenie 7:6 i zauważyłem, że losy meczu się odwracają. Wtedy on zaczął beczeć i tym razem to ja pobiegłem dodać mu otuchy. Wtedy jedyny raz go pokonałem".

Obaj są ambitni, lubią rywalizować i nie umieją przegrywać. „Zawsze koniecznie chcieliśmy wygrać. Choć nie graliśmy przecież o pieniądze czy o to, kto zrobi sto pompek albo coś, w ogóle tego nie potrzebowaliśmy – mówi Chiudinelli. – Chcieliśmy po prostu wygrywać, także na treningu. I przegrywający zawsze żądał rewanżu". W efekcie po oficjalnych treningach często grywali jeszcze godzinami. „Przegrywający mówił: »Jeszcze jeden mecz, jeszcze jeden mecz…«".

Pierwszy trener Federera nazywa się Adolf Kacovsky; w 1968 roku uciekł z Czechosłowacji przed Sowietami, a wszyscy mówili na niego Seppli. Przez 37 lat był trenerem klubowym w TC Old Boys, zanim jako honorowy członek przeszedł w stan spoczynku i opuścił Szwajcarię. „Od razu zauważyłem: ten typ to naturalny talent. Urodził się z rakietą w ręce" – mówi Kacovsky o Federerze. Na początku trenował w grupie. „Ale w klubie prędko zauważyliśmy, jak bardzo jest utalentowany. Zaczęliśmy dawać mu prywatne lekcje, które częściowo były opłacane przez klub. Roger uczył się zaskakująco szybko. Kiedy chciano go czegoś nauczyć, po dwóch–trzech próbach potrafił wykonać coś, na co inni potrzebowali tygodni". Federer był też jednak ambitny i drażliwy. „Potrafił nieźle przekląć i rzucić rakietą. Czasami musiałem go hamować". Raz Kacovsky wysłał go nawet do domu.

Roger to potwierdza. „Klątem i rzucałem dookoła rakietą, to było fatalne. Moi rodzice się wstydzili i powiedzieli, że albo przestanę, albo nie będą jeździć ze mną na turnieje. Musiałem się uspokoić, ale trwało to naprawdę długo". Był też bardzo

emocjonalnym chłopakiem. „Robiło mi się smutno przez moje zachowanie i moją grę. Zaczynałem płakać i niekiedy z powodu łez przez trzy zagrania nie widziałem piłki. Myślę, że za wcześnie dążyłem do perfekcji".

Lynette wspomina, że pasja i ambicja Rogera były tak wyraziste, że czasami po porażce płakał przez godzinę. „Dla nas, rodziców, nie było to przyjemne". Niekiedy było naprawdę strasznie, potwierdza ojciec.

Roger często mówił, że chce być najlepszy na świecie, że chce zostać numerem 1, wspomina Kacovsky. „Ale ludzie tylko go wyśmiewali, ja też. Myślałem, że może kiedyś będzie najlepszym tenisistą w Szwajcarii albo w Europie, ale na pewno nie na świecie! Ale on miał to w głowie i do tego zmierzał".

Występy ośmioletniego Rogera w Interclubie, drużynowych mistrzostwach Szwajcarii, rozpoczynają się fiaskiem. Przegrywa swój pierwszy poważny pojedynek 0:6, 0:6, choć według własnej oceny wcale nie grał źle. Znów płacze. „Jego przeciwnik był od niego dużo większy – broni go Kacovsky. – Do tego Roger denerwował się swoim pierwszym meczem, w którym naprawdę grał o coś".

W wieku 11 lat Roger należy już do narodowej kategorii R6, poziomu, którego wielu amatorów nie osiągnie przez całe życie. Oficjalne treningi przestają mu wystarczać. Ciągle szuka ludzi, którzy chcieliby z nim pograć. Kiedy nikogo nie znajduje, odbija piłki od ściany. Bez przerwy, godzinami.

Nie stroni od mierzenia się z wyżej sklasyfikowanymi i starszymi graczami. Należy do nich trzy lata starszy Steven Schudel, który w swojej kategorii wiekowej zalicza się do najlepszych, a wiele lat później będzie towarzyszył Federerowi i jego dziewczynie Mirce w czasie Indian Wells jako sparingpartner. „Już w wieku 12 lat mierzył się ze starszymi – mówi Schudel. – Szybko zauważyliśmy, że jeśli nadal będzie tak

sobie radził, stanie się lepszy niż my wszyscy. Już wtedy grał w tenisa z niesamowitą lekkością".

Schudel, który będzie prowadził później szkołę tenisa, trafia na Federera jakieś osiem razy i wygrywa mniej więcej połowę pojedynków. „Chociaż byłem starszy i trochę lepiej serwowałem, zawsze wynik balansował ekstremalnie na granicy. A kiedy pojawia się taki smarkacz i na luzie ładuje forhendami, jako ten starszy zaczynasz sam siebie pytać, co ty tu właściwie robisz".

Schudel gra dla BLTC, Federer dla Old Boys. Pomiędzy klubami panuje wtedy atmosfera przyjaznej konkurencji. Ponieważ obydwaj łatwo ulegają emocjom, w ich pojedynkach, które w mistrzostwach Bazylei przyciągają do 100 widzów, dochodzi do gorących scen. „Roger wprawdzie nie był wulkanem, ale reagował emocjonalnie – wspomina Schudel, któremu rakieta również nieźle leżała w ręku. – Znaliśmy się wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że każdy z nas może stracić głowę. I zdarzało się także, że płakał, gdy przegrywał. To pokazywało, jak ważny już wtedy był dla niego tenis".

Okazjonalnie najlepsi juniorzy ich klubu odbywają wspólne treningi kondycyjne, organizowane przez Stowarzyszenie Tenisowe Bazylei. Nie wszystko, co się w ich trakcie działo, było śmiertelnie poważne. Schudel przypomina sobie, że pewnego razu poproszono ich, by pojawili się w butach narciarskich. „Musieliśmy nadążyć za trenerami, co nie było łatwe". Juniorzy za późno zauważyli, że dali się złapać na primaaprilisowy żart. „A co robił Federer? Nawet grał w tych butach narciarskich w koszykówkę i trafił trzy rzuty z rzędu".

Krótko przed 11. urodzinami Federer dociera w Kloten do finału krajowych mistrzostw juniorów do lat 12. W 1993 roku, w wieku 11 lat, zdobywa w Lucernie swój pierwszy tytuł mistrzowski w hali, dzięki zwycięstwu w finale nad swoim

kumplem Chiudinellim. W tym samym turnieju tytuły zgarniają także dwie osoby, które w jego życiu odegrają jeszcze ważną rolę – wśród 18-latków Severin Lüthi, jego późniejszy trener, a wśród 16-latków Mirka.

Sześć miesięcy potem w finale w Bellinzonie Federer odnosi zwycięstwo nad Dannym Schnyderem, bratem późniejszej tenisistki z Top 10, Patty. Kolejny sukces, za sprawą którego na niezadaszonych kortach zostaje mistrzem Szwajcarii wśród 12-latków. Po tych dwóch osiągnięciach Rogerem, obok Kacovsky'ego, zaczyna się zajmować także drugi trener, Daniel Gerber. „Pomyślałem sobie: aha, dotrzymuję innym kroku, liczę się".

W klubie tenisowym Old Boys Federer szybko poznaje inną kluczową dla niego postać: Petera Cartera, wcześniejszego zawodowego tenisistę z Australii, który osiadł jako trener klubowy w Bazylei, a w 1993 roku otrzymał w klubie etat i prowadził w nim juniorów. „Peter był dla Rogera nie tylko idealnym trenerem, ale również dobrym przyjacielem – przypomina sobie Kacovsky. – Był też wspaniałym pedagogiem i psychologiem".

„Kiedy zobaczyłem Rogera po raz pierwszy, ledwo sięgał nad siatkę – opowiada Carter, który niegdyś za sprawą swoich inicjałów nazywany był przez wszystkich »Piisii«. – Jego talent rzucał się w oczy. W krótkim czasie potrafił bardzo wiele zrobić z piłką i rakietą. Był rozbrykany i przede wszystkim chciał się dobrze bawić. Kiedyś zadawałem sobie pytanie, czy będzie potrafił bardziej skupić się na pracy. Mniej więcej wtedy, gdy miał 13 lat".

Federer poruszał się w bardzo skoordynowany i naturalny sposób. „Miał znakomite wyczucie piłki i zawsze świetnie uderzał forhendem. Uczył się niezwykle szybko i łatwo, także

rzeczy, które zobaczył w telewizji u Beckera albo Samprasa. Ciągle robił postępy".

Do 12. roku życia Roger w dalszym ciągu gra w piłkę nożną dla Concordii i okazjonalnie dla FC Riehen. Coraz trudniej mu jednak pogodzić i skoordynować liczne treningi w dwóch dyscyplinach. Postawiony przed wyborem, zdobywa się na decyzję, by zrezygnować z piłki nożnej, choć także tu trenerzy potwierdzają jego talent. „Grając w piłkę, strzeliłem kilka goli, ale nie zrobiłem niczego szczególnego. Wygrywaliśmy czasami lokalne turnieje, ale w tenisie, jakkolwiek na to spojrzeć, zdobywałem tytuły na arenie krajowej" – uzasadnia Federer. Jako piłkarz musiałby zmagać się nie tylko ze swoimi słabościami, ale również z niedociągnięciami kolegów z boiska.

W wieku 13 lat Chiudinelli przeprowadza się z rodzicami i zamieszkuje w tej samej miejscowości co Roger. Kiedy są trochę starsi, coraz częściej pociąga ich śródmieście Bazylei. „W piątkowe i sobotnie wieczory wychodziliśmy na miasto, głównie żeby pograć w gry wideo" – opowiada Chiudinelli. Na przykład w koszykówkę, gdzie występują pod wybranymi przez siebie pseudonimami „Roger Monster" i „Fly MC". „To była nasza największa pasja zaraz po tenisie. Zwykle graliśmy półtorej godziny, jedliśmy burgera i graliśmy kolejne półtorej godziny" – mówi Chiudinelli. Kiedy salon gier, na przykład Domino's, zamykano o pierwszej w nocy, wracali biegiem do domu, gdzie czasami też jeszcze grali.

Federer będzie później z rozrzewnieniem wspominał te noce poświęcone na grę: „Ponieważ nie było już tramwaju, za każdym razem truchtaliśmy godzinę w ciemnościach z powrotem. I rozmawialiśmy o wszystkim, jak to robią najlepsi kumple". Chiudinelli uważa Federera za wspaniałego przyjaciela. „Jest przede wszystkim bardzo szczery, bardzo

uważny, nie buja w obłokach. I potrafi słuchać, nie tylko wtedy, gdy rozmawia się o tenisie”.

Wiele lat później Chiudinelli podąży za Federerem do świata zawodowego tenisa, wedrze się na 52. miejsce w światowym rankingu i stanie się rywalem, przeciwko któremu Roger występował najmniej chętnie. Na turniejach ATP do takich pojedynków dochodzi dwukrotnie – Roger wygrywa oba, a momentem przełomowym jest półfinał w 2009 roku w Swiss Indoors w Bazylei, gdzie jako dzieci obaj byli chłopcami od podawania piłek. W 2014 roku Chiudinelli należy także do teamu Pucharu Davisa, który po raz pierwszy zdobywa tytuł dla Szwajcarii. Jako „Fly MC” pod koniec 2017 roku w Swiss Indoors przegrywa swój ostatni mecz, a „Roger Monster”, roniąc łzy, oklaskuje go na stojąco w rogu kortu.

16

NA OBCZYŹNIE

Gdy Roger ma 13 lat, jego marzenie staje się klarownym planem. Najpierw chce dotrzeć na szczyt szwajcarskiego tenisa, a potem znaleźć się w pierwszej setce światowego rankingu. Należy do narodowej kadry B, kwalifikuje się do grupy R2 i może startować w międzynarodowych zawodach juniorskich. Nie jest już fanem Borisa Beckera, teraz zachwyca się Szwedem, Stefanem Edbergiem, który zgotował Niemcowi kilka gorzkich porażek.

Zimą 1994/95 rodzice Rogera rozważają wysłanie go do szwajcarskiego Narodowego Centrum Tenisa w Écublens. Wprawdzie są bardzo zadowoleni z warunków treningowych w Bazylei, a w szczególności z trenera Petera Cartera, ale powstały w 1993 roku program wsparcia tenisistów Tennis/Etudes, promowany tej zimy przez Szwajcarski Związek Tenisowy, wygląda zachęcająco, a w dodatku jest atrakcyjny finansowo. Ośmiu chłopców i cztery dziewczynki trenują w Narodowym Centrum nad Jeziorem Genewskim, gdzie do dyspozycji mają wykwalifikowanych szkoleniowców. Mogą mieszkać u goszczących ich rodzin i uczęszczać do publicznej szkoły, ale są zwolnieni z niektórych przedmiotów. Tennis/Etudes ma pionierski charakter. Jednym z duchowych ojców tego programu jest Pierre Paganini, który później odegra w karierze Federera kluczową rolę. Ten były lekkoatleta i dyplomowany nauczyciel sportu jest w Écublens trenerem

przygotowania fizycznego i kierownikiem administracyjnym. Wtedy nie miał jeszcze za wiele do czynienia z Federerem, ponieważ zajmował się starszymi zawodnikami.

Kiedy rodzice pytają Rogera, czy jest zainteresowany Écublens, ten na początku zaprzecza. Tym większe jest ich zdziwienie, gdy kilka tygodni później w szwajcarskim magazynie tenisowym „Smash" czytają jego wypowiedź, jakoby zamierzał ukończyć Tennis/Etudes. To jego pierwsza dalekosiężna decyzja, którą podejmuje zupełnie sam.

W marcu 1995 roku wyrusza jako jeden z 16 kandydatów nad Jezioro Genewskie, by wziąć udział w testach kwalifikacyjnych. Składają się na nie: 12-minutowy bieg, wytrzymałościowy parkour, demonstracja umiejętności na korcie i gra testowa. Paganini i Christophe Freyss, trener narodowej reprezentacji, szybko przekonują się do Federera. Jeszcze w Écublens informują go, że wraz z trzema innymi kandydatami zdał testy wstępne. „Ważnym kryterium było dla nas to, że poczuliśmy, iż naprawdę chciał przyjść do Écublens" – wspomina Francuz Freyss.

Po wakacjach w 1995 roku 14-letni Roger wprowadza się do mieszkającej nad Jeziorem Genewskim rodziny Christinet, która ma mu zapewnić wikt i dach nad głową. Choć Écublens oddalone jest od Münchenstein tylko o trzy godziny jazdy pociągiem, chłopiec trafia do zupełnie innego świata. Pierwsze pięć miesięcy Federer określi później jako najgorsze w swoim życiu i użyje nawet słowa „piekło". „Po prostu na południu nie byłem szczęśliwy. Tygodniami przebywałem z dala od rodziców, nie mówiłem po francusku i nie miałem żadnych kolegów. Było mi ciężko się zmotywować, często czułem się smutny i tęskniłem za domem". Czasami nie spał przez całą noc.

Język jest decydującą barierą. W jego nowym środowisku mówi się po francusku. Na korcie i w szkole. „Kiedy przyjechał,

ani trochę nie porozumiewał się w tym języku – opowiada Cornelia Christinet, mama z rodziny, u której zamieszkał Roger – a mój syn Vincent, który jest prawie w tym samym wieku, nie rozumiał z kolei niemieckiego". Przynajmniej ona, urodzona w niemieckojęzycznej części kraju, mogła dogadać się z gościem w jego ojczystym języku, co czasami robiła. „Przeżyliśmy z nim wspaniały czas – mówi. – Był bardzo przystępny i kontaktowy".

Federer godzinami rozmawia przez telefon z rodzicami, czuje się permanentnie przemęczony. „Niekiedy musiałam budzić go rano 20 razy" – opowiada, przesadzając nieco, Cornelia Christinet. W tym trudnym okresie pomaga mu bezwarunkowe wsparcie rodziców. „Zawsze byliśmy w dobrych relacjach. Kiedy tylko miałem jakiś problem albo nie szło mi najlepiej, mogłem z nimi porozmawiać – wspomina. – Dodatkowo zawsze czułem, że robię to, żeby móc spełnić swoje marzenie. To wszystko się na to składało".

W lipcu Roger zdobywa w Nyon swój pierwszy mistrzowski tytuł wśród 14-latków, ale w kuźni reprezentacyjnej Écublens jest najmłodszym, „niemieckim Szwajcarem", a jego partnerzy treningowi są dużo silniejsi niż dotychczasowi. „Wcześniej byłem zawsze najlepszy, a teraz nagle okazałem się najmłodszy i najgorszy – przypomina sobie. – Znów chciałem do domu. Rodzice przekonali mnie, bym został".

Zostaje, a jego mama wie dlaczego: bo decyzję o opuszczeniu domu rodzinnego podjął sam, a nie pod ich naciskiem. „Dopiero później uświadomił sobie, co ten krok ze sobą niósł. Ale przetrzymywał wszystko, bo sam tego chciał".

Federer nie może doczekać się piątku. Wsiada wtedy do pociągu i jedzie na weekend do domu, do rodziny, do przyjaciół, do Marco Chiudinellego, który nie zdecydował się na przeniesienie do Écublens. Tam jest chociaż Vincent, który

przez dwa kolejne lata zastępuje Rogerowi w pewnym sensie brata. „Każdego wieczoru byli na górze, w rewirze dzieci, bawili się, mocowali i dokazywali – wspomina Cornelia Christinet. – Wkrótce Roger nie miał już poczucia, że jest kimś obcym w rodzinie". Obaj także potem utrzymują kontakt. Jeszcze lata później Federer zaprasza Vincenta na przyjęcia urodzinowe albo załatwia mu bilety na ważne mecze, na przykład na Wimbledon czy w Szanghaju.

Tymczasowej matce zastępczej w oczy rzucają się osobliwe zwyczaje żywieniowe ich gościa. Zazwyczaj wstaje tak późno, że wciąga na siebie ubranie i bez śniadania wskakuje na rower, po czym tam i z powrotem pedałuje pomiędzy domem rodziny, u której pomieszkuje, szkołą La Planta i centrum tenisowym. Nie je mięsa, za to często sięga po spaghetti albo pizzę – i pochłania mnóstwo płatków śniadaniowych. „Co godzinę przychodził na dół i brał pełen kubełek, z mlekiem".

Pani Christinet jest też zachwycona rodzicami Federera. Uważa ich za dyskretnych, tolerancyjnych, wyrozumiałych. „Mogłam się wiele od nich nauczyć – mówi. – Pod względem pedagogicznym idealnie radzili sobie z całą sytuacją. Zawsze byli obecni, by go wspierać i pomóc mu, kiedy okazywało się to konieczne. Ale nigdy do niczego go nie zmuszali. Pozwalali mu działać, nie byli aż takimi perfekcjonistami, ufali mu. I nie karcili go, gdy coś mu nie wychodziło z trenerami albo w szkole. Rozmawiali z nim i wyjaśniali, że także trenerzy i nauczyciele mają swoje zadania".

Robert i Lynette Federer postępowali bardzo właściwie, co potwierdza także Steven Schudel, bazylejski nauczyciel tenisa, który jako junior często grał przeciwko Rogerowi. „Przyprowadzali go do klubu, chwilę oglądali, ale potem rozmawiali z innymi ludźmi albo szli na kawę. Nie wisieli bez przerwy za płotem i nie próbowali go trenować. Nie wytwarzali

żadnej presji ani nie mówili: »Musisz wygrać, bo w końcu za to płacimy«. Dawali mu swobodę i wcześnie przenieśli na niego dużą odpowiedzialność. Jeśli ktoś chciałby wydać książkę o idealnych rodzicach tenisisty, musiałby przedstawić życie tej rodziny".

Federer ma świadomość, jakim szczęściem jest posiadanie takich rodziców. Spoglądając wstecz, zaznacza, jak harmonijnie wyglądała współpraca pomiędzy nimi a jego trenerami. „Ważne było to, że mnie dali przestrzeń, a im zaufali. Rodzice powinni zachować dystans w kontaktach z trenerami" – podkreśla. Mógł dorastać zupełnie normalnie i dostał niezbędną wolność, „ale mimo to moi rodzice kontrolowali wszystko". Jak mówi Lynette, w ciągu dwóch lat, które Roger spędził w Écublens, była tam zaledwie jakieś trzy razy. To ojciec podczas swych służbowych podróży regularnie rozmawiał z trenerami lub opiekunami w szkole. „Nigdy nie kwestionowaliśmy działań jego trenerów ani nie dyskutowaliśmy z nimi za dużo – wspomina ojciec. – W przeciwieństwie do innych rodzin prawie nigdy nikogo nie zmienialiśmy. Trenerzy muszą móc pracować w spokoju".

Korepetycje częściowo rekompensowały Federerowi opuszczane lekcje szkolne, które wypadały z powodu treningów. Jego pedagogiczną opiekunką była Annemarie Rüegg, która później została także kierowniczką administracyjną Tennis/Etudes. „Za wiele go w szkole nie interesowało – opowiada. – Dwa albo trzy razy zasnął nawet podczas lekcji. Wtedy telefonowano do domu z informacją, że Roger musi się bardziej angażować. Ale on nie miał takich ambicji, za to przyświecał mu jeden cel: chciał zostać zawodowym tenisistą. W nauce brakowało mu często dyscypliny. Zawsze trzeba mu było powtarzać: »Tak po prostu musi być, musisz to robić«. On jednak nigdy się nie skarżył ani nie narzekał".

Jednym z pierwszych absolwentów Tennis/Etudes jest Yves Allegro. Uwadze trzy lata starszego od Rogera mieszkańca kantonu Wallis nie umyka fakt, jak bardzo cierpi ten nowo przybyły chłopak. „Było mu niewiarygodnie ciężko. Miał problemy z językiem i trenerami, dużo płakał. Wprawdzie dobrze grał w tenisa, rzucało się w oczy, że ma duży talent, ale nikt nie pomyślał, że kiedyś zostanie numerem 1. Nawet w swojej kategorii wiekowej nie był najlepszy".

Osiągnięcia treningowe Federera na początku są zaledwie przeciętne. Jego umiejętność, by w ważnych meczach przechodzić samego siebie, jednak pozostała. Widać to na koniec roku, podczas Orange Bowl, nieoficjalnych mistrzostw świata juniorów w Miami. Federer musi zacząć w kwalifikacjach i wygrywa sześć meczów, trzy z nich 6:0, 6:0. W tym turnieju zauważa go młody utalentowany Amerykanin, Andy Roddick, który wyrośnie na jednego z najważniejszych rywali Szwajcara. Zwycięstwo Federera nad Amerykaninem Davidem Martinem robi na Roddicku tak duże wrażenie, że historię tę opowie jeszcze wiele lat później, gdy będzie przyjmowany do Galerii Sław w Newport w stanie Rhode Island.

„Martin był numerem 1 wśród amerykańskich juniorów. To typ, który już w wieku 11 lat miał zarost. Wszyscy myśleli, że spacerkiem przebrnie przez drabinkę – opowiada Roddick dostojnym gościom. – Wtedy trafia na kościstego, małego chłopaka, który przedostał się do turnieju z kwalifikacji. Wygrywa pierwszego seta, wszystko jest dobrze: go, America! Przegrywa drugiego. Przegrywa trzeciego. Byłem przekonany, że właśnie jestem świadkiem największego upadku faworyta turnieju. Nie mogłem w to uwierzyć. Wtedy po raz pierwszy widziałem grę Rogera".

Wprawdzie Federer przegrywa w tym turnieju w 1/8 finału ze Słowakiem Miroslavem Grolmusem, o którym już więcej nie usłyszymy, ale z dumą wraca do Szwajcarii. „Na arenie międzynarodowej był to mój dotychczas najważniejszy sukces” – mówi. Ciemne chmury się rozeszły, zyskuje szacunek także w Écublens. Czternastolatek melduje się w Narodowym Centrum Tenisa.

17

MARZENIE O DOSKONAŁOŚCI

Jedenastego września 1996 roku jestem w podróży, by dla swojej redakcji relacjonować pobliski turniej tenisowy. W Zurychu odbywają się wtedy drużynowe mistrzostwa świata juniorów do lat 16 – World Youth Cup. W należącym do szwajcarskiego banku rozległym kompleksie rekreacyjnym Guggach niewiele się dzieje tej środy. Na ów dzień sprzedano równo 50 wejściówek – i tak o 20 więcej niż we wtorek – do tego cztery karnety. Szwajcarski Związek Tenisowy, jako organizator, przygotował niezły program, ze skate-parkiem, balonem na ogrzewane powietrze, który zabierał gości kilka metrów do góry, ścianką wspinaczkową, a także boiskiem do ulicznej koszykówki i kortem do minitenisa. Ale po kompleksie i tak snują się tylko jacyś trenerzy, kilku emerytów, którzy znaleźli się tu przypadkowo, i paru juniorów czekających na kolejną grę. Do tego ja i nasz fotoreporter Dieter, który tego dnia nosi jaskrawożółte spodnie i razem ze mną poszukuje w miarę sensownej historii. Niełatwe zadanie, ci młodzi zawodnicy są bowiem zupełnie nieznani.

Najbardziej interesuje mnie najmłodszy uczestnik turnieju, Szwajcar z Bazylei, który przed miesiącem skończył 15 lat, ale jest już pięciokrotnym młodzieżowym mistrzem kraju, także wśród 16-latków. Awansował w krajowym rankingu i w tym wieku jest numerem 88 w kraju oraz najlepszym graczem w swojej kategorii wiekowej. Jak się dowiaduję, uchodzi za

utalentowanego, ale przede wszystkim łatwo dającego ponosić się emocjom, niezdyscyplinowanego i trochę szalonego. Nazywa się Roger Federer.

W przeddzień o włos wygrał swój mecz inauguracyjny przeciwko Australijczykowi Lleytonowi Hewittowi wynikiem 4:6, 7:6, 6:4, po tym, jak obronił piłkę meczową. Właśnie gra na korcie zewnętrznym, najodleglejszym w całym kompleksie. Pojedynek obserwuje czterech czy pięciu widzów. Przeciwnikiem Federera jest Włoch Nahuel Fracassi, gracz, jakich wielu: raczej bez fantazji i monotonny, przyklejony do linii końcowej, próbujący zniszczyć przeciwników, wymusić na nich błędy, który samemu jednak nie podejmuje za dużego ryzyka. To wychodzi mu dobrze i wygrywa pierwszego seta 6:4.

Dużo bardziej ekscytujące jest oglądanie Federera. Z jednej strony ze względu na lekkość i elegancję jego gry: serwisem i forhendem z łatwością nadaje prędkość piłce w taki sposób, że nawet na tym powolnym korcie ziemnym ciągle trafia asy i winnery. Uważam, że to godne uwagi. Jeszcze bardziej interesujące jest jego zachowanie: sprawia wrażenie, jakby szalała w nim burza, jakby był rozgrzanym szybkowarem, który wciąż musi dawać upust ciśnieniu. Jego poświęcenie jest totalne, a próg tolerancji w stosunku do siebie wynosi zero.

Federer zdaje się zupełnie nie zwracać uwagi na to, co dzieje się wokół niego. Liczy się tylko on, piłka i prostokąt z nakreślonymi liniami. Dokładnie w tym świecie się realizuje i w tym świecie panuje właśnie wzburzenie. Nie wystarcza mu wygrywanie wymian; założył sobie, że każde jego uderzenie będzie optymalne, nie akceptuje żadnych innych, nie wystarczają mu one. „Duubel!” woła nawet po punkcie, który zdobył. W Szwajcarii to utarte określenie na „idiotę”. Ciągle rzuca rakietą. Szkoda jego talentu, myślę sobie, opuszczając

kort po pierwszym secie. Jest dla mnie jasne, że tak wykończony nerwowo nie zdoła już doprowadzić do przełomu.

Ale daje radę. Gdy wracam, okazuje się, że w cudowny sposób przejął kontrolę nad pojedynkiem, wygrywa kolejne dwa sety, 6:3 i 6:1. Dieter i ja mamy swoją historyjkę. Przez Szwajcarski Związek Tenisowy proszę Federera o wywiad, dobrze wiedząc, że tacy młodzi sportowcy odpowiadają raczej stereotypowo, mówią niewiele rzeczy nadających się do wykorzystania, bo są niedoświadczeni, jeszcze wstydliwi w stosunku do mediów, wstrzemięźliwi i ostrożni albo wszystko na raz.

W przypadku Federera to się jednak nie sprawdza. W małej szatni hali gimnastycznej, podczas wywiadu przeprowadzonego na drewnianej ławce przy składanym stoliku, Roger zaskakuje mnie swoją otwartością. Nie sprawia wrażenia ani zamkniętego w sobie, ani nieufnego, ale za to pewnego siebie, przystępnego, wyluzowanego, rozważnego – to zupełnie inny człowiek niż chłopak, którego chwilę wcześniej widziałem na korcie. Pytam go, dlaczego był wobec siebie taki wymagający i dlaczego tak się karcił, grając tak dobrze i będąc jeszcze tak młodym.

Nie uchyla się od odpowiedzi, przyjmuje nawet krytykę swojego zachowania. „Zdaję sobie sprawę, że nie powinienem zawsze zrzędzić i krzyczeć, bo to szkodzi tylko mnie – odpowiada. – Nie wybaczam sobie jednak żadnych błędów, nawet jeśli wiem, że są one częścią tenisa". Jego wzrok wędruje w dal i Roger mówi zdanie, które staje się tytułem mojego pierwszego poświęconego mu artykułu: „Trzeba po prostu grać doskonale". Lata później zostaje od niego również zapożyczony tytuł angielskiego wydania mojej pierwszej książki (*Quest for Perfection*).

W tekście, który ukazuje się następnego dnia w „Tages-Anzeiger", napisałem: „Gra harmonijny tenis z płynnymi

ofensywnymi uderzeniami. Niemniej niemal każdy stracony punkt kwituje wyzwiskami i wyrazami złości". Jako swój wzór do naśladowania Federer nie wskazuje już Beckera czy Edberga, ale Pete'a Samprasa. Uroił sobie, że jest jeszcze daleko od celu, jaki sobie postawił – perfekcyjnego grania. Musi nie tylko poprawić swoje nastawienie, ale także bekhend, serwis i woleje, wylicza. Poza tym ma według siebie złe nastawienie do treningu. „Nie trenuję chętnie, na treningach zawsze gram źle – wyjaśnia tamtego popołudnia na terenie kompleksu Guggach. – W prawdziwych pojedynkach jestem dwa razy lepszy".

Dwa razy lepszy, kiedy robi się poważnie? Znów nadstawiam uszu. Bo ta cecha – bycie najlepszym głównie w prawdziwych meczach – jest dla sportowców bardziej wartościowa niż cokolwiek innego. W jego przypadku najwyraźniej zdaje się wrodzona. I będzie kluczem do jego kariery.

World Youth Cup nie pozostawia na karierze Federera żadnych znaczących śladów. Roger kończy go z trzema zwycięstwami i jedną porażką w meczu z Indonezyjczykiem Febim Widhiyanto, ale Szwajcarii wystarcza to jedynie na 15. lokatę. Trzyma się jednak swojego kursu i czuje się dobrze także w Écublens. Już przed 15. urodzinami może grać w Interclubie w najwyższej kategorii. W teamie Old Boys obok Petera Cartera jest też Reto Staubli, który zaprzyjaźnia się z Rogerem i będzie mu często towarzyszył na zawodowym tourze, również podczas kolacji mistrzów w Londynie w 2018 roku. Kiedy w listopadzie pojawiły się nowe listy Szwajcarskiego Związku Tenisowego, 15-letni Roger po raz pierwszy należy do kadry A, co gwarantuje mu jeszcze lepsze wsparcie finansowe.

Yves Allegro przeczuwa tymczasem, jak ogromne możliwości drzemią w tym utalentowanym młodym chłopaku. „Kiedy pewnego dnia po ważnym turnieju we włoskim Prato wrócił do

Écublens, zapytałem go: »Jak było? Jak grałeś?«. Roger powiedział: »Dzięki, dobrze. Wygrałem«. Na co ja powiedziałem: »Tak, tak, jasne«. Ale on naprawdę wygrał, i to bez straty seta. Pomyślałem wtedy: jeżeli już w wieku 16 lat wygrywa takie turnieje, to znaczy, że będzie naprawdę dobry".

Allegro przypomina sobie jeszcze inną historię: „Musieliśmy wypełnić formularz z naszymi celami. Wszyscy pisali: znaleźć się w pierwszej setce na świecie. Tylko Roger napisał: dotrzeć do Top 10, a potem zostać numerem 1. Od tego momentu zaczęliśmy patrzeć na niego w inny sposób".

18

NA WŁASNYCH NOGACH

W sierpniu 1997 roku w Szwajcarskim Związku Tenisowym dochodzi do przeprowadzki. Écublens już się wysłużyło, za to w Biel, na granicy niemiecko-francuskiej strefy językowej, zostaje otwarty Haus des Tennis – przy ulicy, która lata później zostanie przechrzczona na aleję Rogera Federera. W ten sposób pod jednym dachem znalazły się Narodowe Centrum Tenisa i program Tennis/Etudes, a także administracja związku. Są tam korty z różnymi nawierzchniami, nowoczesna restauracja i świetlica dla zawodników, na wzór prawdziwej Players' Lounge. Wyraźna poprawa w stosunku do Écublens, gdzie nie było żadnej możliwości relaksu pomiędzy treningami.

Federer kończy właśnie obowiązkowy dziewięcioletni okres szkoły i program Tennis/Etudes. Postanawia zostać zawodowcem i założyć bazę treningową w Biel, gdzie otrzyma optymalne wsparcie od Szwajcarskiego Związku Tenisowego i znajdzie idealną infrastrukturę oraz trenerów, a także mocnych partnerów treningowych. Od teraz koncentruje się w pełni już tylko na sporcie, z wyjątkiem sporadycznych lekcji angielskiego lub francuskiego, z których i tak wkrótce zupełnie zrezygnuje.

Jego rodzice mają świadomość, że ten krok w stronę zawodowstwa jest w tym wieku ryzykowny i trudno przewidzieć jego skutki. „Traktowaliśmy tę sprawę z dużym dystansem – wspomina Robert. – Ludzie cały czas nam mówili,

jak duży talent ma Roger, ale my chcieliśmy zobaczyć fakty". Lynette uzupełnia: „Daliśmy Rogerowi jasno do zrozumienia, że nie będziemy mogli wspierać go finansowo przez dziesięć lat, żeby mógł jeździć na zawody, zajmując 400. miejsce w światowym rankingu". Choć pomoc finansowa rodziców za sprawą wsparcia związku utrzymuje się jeszcze w rozsądnych granicach i wynosi około 30 tysięcy franków rocznie, by móc zabezpieczyć rodzinę, Lynette zwiększa wymiar pracy zawodowej z 50 na 80 procent.

W Biel Roger nie mieszka już u rodziny goszczącej, ale razem z pochodzącym z regionu Wallis Yvesem Allegro. Szesnastolatek i dziewiętnastolatek wprowadzają się do mieszczącego się przy 22 rue Henri Dunant dwupokojowego mieszkania z kuchnią, łazienką i małym tarasem, pod którym znajduje się boisko do piłki nożnej. „Często śledziliśmy mecze, komentowaliśmy je głośno i mieliśmy ubaw – wspomina Allegro. – Gotowałem głównie ja, bo miałem pod tym względem większe doświadczenie. Roger wprawdzie nie wykazywał jakiejś szczególnej inicjatywy, ale pomagał zawsze, gdy go o to poprosiłem. W jego pokoju zazwyczaj było trochę bałaganu, a gdy posprzątał, dwa dni później nieporządek robił się dokładnie taki sam jak wcześniej".

Młodzi zawodowcy są w pełni nastawieni na sport. Oprócz tego spędzają czas przed telewizorem albo grają w gry wideo. „Roger nigdy nie był typem imprezowicza – mówi Allegro. – Grał wprawdzie czasami do drugiej w nocy w gry komputerowe, ale nigdy nie wychodził". Tymczasem także Marco Chiudinelli zdecydował się na przeniesienie do Centrum Tenisa w Biel i na udział w Tennis/Etudes. „Byliśmy typami nastawionymi na świat wirtualny – komentuje tamte czasy. – Nigdy nie ciągnęło nas do imprezowania, nie przemawiały do

nas także alkohol i papierosy. Woleliśmy się kręcić na boisku albo graliśmy na PlayStation”.

Federer jest nadal tym rozbrykanym, swawolnym zapaleńcem, którego czasami ponosi temperament. „Często można było usłyszeć z szatni czy Players’ Lounge okrzyk radości albo jakiś dziki pierwotny ryk – przypomina sobie Annemarie Rüegg, kierowniczka szkoły. – Wiadomo było, że to znów Roger. Potrzebował tego, by rozładować napięcie. Zachowywał się dość głośno, ale nie było to nieprzyjemne”.

Nieprzyjemny Roger staje się za to wtedy, gdy na korcie nie wszystko idzie tak, jak by sobie tego życzył. Jego wybuchy owiane są już złą sławą. Sam relacjonuje najbardziej przykrą historię z czasów Biel następująco: „W centrum tenisowym była nowa siatka oddzielająca od siebie korty. Powiedzieli nam, że ten, kto ją zepsuje, będzie musiał przez tydzień sprzątać ubikacje. Popatrzyłem na nią i pomyślałem: jest tak gruba, że nie da się jej zepsuć. Dziesięć minut później obróciłem się i jak helikopter wwierciłem rakietę w siatkę. Weszła w nią jak w masło”. Wszyscy natychmiast przerywają grę i patrzą tylko na niego. „Pomyślałem: nie, to niemożliwe, największy koszmar. Wziąłem rzeczy i wyszedłem. I tak by mnie wyrzucili”. W ramach kary Roger, który niczego nie nienawidził bardziej niż wczesnego wstawania, musi przez tydzień skoro świt pomagać dozorcy w sprzątaniu ubikacji i kortu.

Wraz z przeprowadzką do Biel zmiany zachodzą także w jego otoczeniu. W Écublens Federera trenowali przede wszystkim Christophe Freyss i Alexis Bernhard. Teraz do związku dołącza Peter Carter, trener Rogera z młodszych lat i przyjaciel z klubu Old Boys, który zostaje tam ściągnięty, by zapewnić najlepszą opiekę szwajcarskiej młodzieży. Poza tym Roger pracuje okazyjnie ze Szwedem Peterem Lundgrenem.

Po tym, jak odpada obciążenie związane ze szkolnymi obowiązkami, jego rozwój przyspiesza, a szturm w kierunku czołówki nabiera impetu w 1997 roku. W wieku 16 lat Federer zdobywa w Lucernie i Lugano oba tytuły mistrzowskie wśród 18-latków (w hali i na powietrzu), co biorąc pod uwagę jego wiek, jest imponujące. To będą jego ostatnie trofea na arenie krajowej, bo wkrótce zacznie podejmować inne, międzynarodowe wyzwania. Jesienią 1997 roku jest już numerem 10 w krajowym rankingu i Peter Lundgren mówi: „Widziałem dotychczas bardzo niewielu juniorów, którzy mając 16 lat, zaszli tak daleko. Ma niewielkie braki, szczególnie w zakresie techniki".

Federer zaczyna właśnie startować w mniejszych turniejach liczących się do światowego rankingu. Krótko po swoich 16. urodzinach, 22 września 1997 roku, jego nazwisko po raz pierwszy pojawia się w rankingu ATP. W Swiss Satellite Circut zdobył swoje pierwsze punkty i pojawia się na 803. pozycji. „Nigdy nie zapomnę, jak bardzo szczęśliwy się czułem, kiedy w komputerze po raz pierwszy zobaczyłem tam swoje nazwisko – wspomina. – Ranking ATP to dla każdego z nas miejsce, gdzie wszystko się zaczyna. Był to mój pierwszy krok w długiej podróży na szczyt".

Jego głównym celem na rok 1998 staje się cykl oficjalnych turniejów do lat 18 pod auspicjami ITF. Już w pierwszym starcie wygrywa mistrzostwo australijskiego stanu Wiktoria. W juniorskim Australian Open traci szansę występu w finale po niewykorzystanej piłce meczowej w spotkaniu z Vinciguerrą. Wiosną i latem potwierdza się, że jest na tyle wszechstronny, by móc zwyciężać na każdej nawierzchni i pokonywać większość juniorów, choć są o półtora roku starsi. We Florencji Federer zdobywa znaczący tytuł na mączce ceglanej, a potem, 5 lipca, świętuje swój dotychczas najważniejszy sukces. Dzięki

wynikowi 6:4, 6:4 w meczu z Gruzinem Iraklim Labadzem, miesiąc przed 17. urodzinami, może celebrować zwycięstwo w juniorskim Wimbledonie – to pierwszy taki triumf dla Szwajcarii od czasów Heinza Günthardta w 1976 roku. Na trawiastych kortach szacownego All England Club nie oddaje ani seta, a z Belgiem Olivierem Rochusem w parze wygrywa także debla. „Czuję satysfakcję, ale nie rozpierającą radość” – mówi chłodno.

Jako 16-latek w 1998 roku może już zebrać pierwsze doświadczenia w Pucharze Davisa. W kwietniu w Zurychu przeciwko Czechom, a w lipcu w La Coruñi przeciwko Hiszpanii towarzyszy szwajcarskiej ekipie w roli sparingpartnera. Dni spędzane z teamem prowadzonym przez wcześniejszego mistrza olimpijskiego Marca Rosseta są dla niego pouczające nie tylko w odniesieniu do tenisa. Rosset opiekuje się nim, staje się jego mentorem.

Kiedy genewczyk odkrywa, że nastolatek dotychczas praktycznie w ogóle nie jadł mięsa, z wyjątkiem kiełbasek i burgerów, namawia go, by w jednej z zuryskich restauracji spróbował jego różnych rodzajów. Wtedy Federer zauważa, że w gruncie rzeczy wcale nie chciałby być dłużej wegetarianinem. Najbardziej smakuje mu kurczak. Główny powód, dla którego wcześniej nie chciał jeść mięsa, był jednak bardziej praktyczny niż podyktowany kwestią smaku i nie miał wiele wspólnego z przekonaniami. Kiedyś tak uzasadniał swoją niechęć: „Zawsze trzeba je tak długo przeżuwać”. Teraz jest wdzięczny, że wyzbył się tego przeświadczenia. „Odtąd, gdy ktoś mnie do siebie zaprasza, nie muszę się już bać, że będzie mięso”.

19

„GRÜEZI, PANIE FEDERER”

Jako nagrodę za zwycięstwo w juniorskim Wimbledonie Federer w 1998 roku otrzymuje od dyrektora turnieju, Köbiego Hermenjata, dziką kartę do udziału w Swiss Open w Gstaad, który odbywa się dokładnie tydzień po Wimbledonie. Jako 16-latek i numer 702 na świecie przyjeżdża do malowniczego, luksusowego miasteczka w Alpach Berneńskich, by nadspodziewanie wcześnie zadebiutować w turnieju ATP, w którym grają najlepsi tenisiści. Przydzielony mu w losowaniu rywal to Tommy Haas, który stanie się wiernym towarzyszem wyjazdów Federera i jego przyjacielem. Zainteresowanie zwycięzcą Wimbledonu w kategorii do lat 18 jest tak ogromne, że w ten deszczowy wtorek tysiąc miejsc na trybunie Kortu Nr 1 nie wystarcza, by pomieścić napływających widzów. Federer nie mierzy się jednak z Haasem, który wycofał się z powodu dolegliwości żołądkowych, ale Lucasem Arnoldem Kerem, lucky loserem turnieju kwalifikacyjnego. Argentyński specjalista od kortów ziemnych, zajmujący 88. na świecie, wygrywa mecz 6:4, 6:4. Mimo to jest pod wrażeniem postawy 16-letniego rywala. „Gra jak Pete Sampras i ma dobry serwis”.

Głównym celem Federera na ten rok jest zakończenie go w roli lidera światowego rankingu juniorów i zostanie w ten sposób mistrzem świata w tej kategorii wiekowej. Dzięki wygraniu Wimbledonu jest już numerem 3, a wyprzedzają go tylko Francuz Julien Jeanpierre i Chilijczyk Fernando González.

Wie, że to ogromna różnica, czy rok zakończy jako pierwszy, czy tylko jako drugi albo trzeci. Tak jak w przypadku seniorów, także wśród juniorów najlepsi są niewspółmiernie bardziej nagradzani. Tenisiści numer 1 otrzymują lepsze kontrakty, a także więcej dzikich kart na ważne turnieje. Te zaproszenia oszczędzają wybrańcom żmudnych i nieprzewidywalnych turniejów kwalifikacyjnych i sprawiają, że mogą brać udział w imprezach, do których na podstawie swojej pozycji w rankingu nie zostaliby zakwalifikowani.

W lipcu Roger dobrze radzi sobie w mistrzostwach Europy juniorów w szwajcarskim Klosters, w półfinale ulega jednak Feliciano Lópezowi. We wrześniu w juniorskim US Open, podobnie jak w Wimbledonie, przedziera się do finału, w którym pokonuje go jednak David Nalbandian.

Zanim polowanie na pozycję numer 1 w kategorii do lat 18 przechodzi do decydującej fazy, Federer nieoczekiwanie odnosi swój pierwszy sukces wśród seniorów. Jako numer 878 światowego rankingu wyjeżdża pod koniec września do Tuluzy. Ku swojemu zaskoczeniu udaje mu się przetrwać kwalifikacje, a w swoim drugim turnieju głównym z kategorii ATP dokonuje prawdziwego wyczynu: w spotkaniu z Guillaume'em Raoux, numerem 45 na świecie, oddaje tylko cztery gemy. Potem pokonuje jeszcze sklasyfikowanego dwie pozycje wyżej Australijczyka Richarda Fromberga.

Po Tuluzie Federer za jednym zamachem wyprzeda w światowym rankingu 482 rywali, a dyrektor organizacyjny Roger Brennwald przyznaje mu „dziką kartę" do Swiss Indoors, najważniejszego turnieju w Szwajcarii, który odbywa się praktycznie przed domem rodzinnym Rogera. „Piłki będą podawać mi ludzie, z którymi kiedyś trenowałem" – zauważa figlarnie.

Praktycznie wszyscy najlepsi gracze na świecie pojawili się kiedyś w bazylejskiej St. Jakobshalle. Gdy w 1980 roku nieznany jeszcze wówczas Ivan Lendl pobił uchodzącego za niepokonanego Björna Borga, wynik ten poszedł w świat. W 1991 roku doszło tutaj do 34. i równocześnie ostatniego pojedynku pomiędzy Johnem McEnroe i Jimmym Connorsem. To tu w 1989 roku swój pierwszy znaczący turniej wygrał późniejszy lider światowego rankingu Jim Courier. Stefan Edberg zdobył w Bazylei trzy tytuły, a Ivan Lendl dwa. Na liście zwycięzców uwiecznili się także Boris Becker, Björn Borg, Vitas Gerulaitis, Goran Ivanišević, John McEnroe, Yannick Noah, Michael Stich, Pete Sampras i Guillermo Vilas. Ten turniej jest jednym z powodów, dla których Federer chciał zostać zawodowym tenisistą.

Podczas swojego pierwszego występu trafia od razu na supergwiazdę – Andre Agassiego. Przed meczem, w przypływie młodzieńczej swawoli, mówi rezolutnie: „Gram, żeby wygrać". Ale przecież Agassi jest numerem 8 i młodemu, dopiero atakującemu czołówkę tenisiście nie pozostawia szans, zwyciężając 6:3, 6:2. Zdaje się też, że lokalny ulubieniec publiczności tylko trochę zaimponował Amerykaninowi. „Kilka razy pokazał talent i dobre wyczucie gry. Ale ogólnie był to dla mnie idealny mecz pierwszej rundy, w którym nie musiałem za wiele robić i mogłem dostosować się do warunków".

Po ważnych występach w turniejach ATP w Tuluzie i Bazylei Federer wraca do startów w mniejszych imprezach. Bierze udział w czterech przystankach Swiss Satellite Circuits – i czuje, że jest w niewłaściwym miejscu. Jeszcze przed momentem grał przed prawie dziewięciotysięczną publicznością w ogromnej St. Jakobshalle, można go było obejrzeć w telewizji i przeczytać o nim w gazetach. Związał się też umową z największą agencją sportową na świecie, International Management Group (IMG),

i – podobnie jak Sampras – miał być wyposażany w sprzęt przez światowe marki, firmy Nike i Wilson. A teraz znajduje się w Küblis, w ponurej hali tenisowej w alpejskiej dolinie w Gryzonii. Nie ma ani widzów, ani sędziów liniowych czy chłopców do podawania piłek, a naprzeciw niego stoi nie Andre Agassi, tylko Armando Brunold, numer 11 w Szwajcarii.

Ten mecz odbiera jako szok kulturowy i reaguje apatycznie. Jego niechęć nie uchodzi uwadze Claudio Grethera, sędziego. „Stał na korcie zdemotywowany i nonszalancki i popełniał dwa podwójne błędy w każdym gemie" – mówi mi Grether. Arbiter nakłada na Federera, który przegrywa 6:7, 2:6, karę w wysokości 100 dolarów za naruszenie zasady „best effort", która mówi, że zawodowcy w każdym meczu dają z siebie wszystko. „Mogłem go też zdyskwalifikować, ale wtedy nie wolno byłoby mu już zagrać w całym cyklu" – mówi Grether. Federer przyjmuje werdykt bez słowa. Za sprawą nagrody pieniężnej w wysokości 87 dolarów Küblis opuszcza uboższy o 13 dolarów. Będzie to jedyny turniej zawodowców, do którego musiał dopłacać.

Ale lekcję odrobił. „Kara była uzasadniona" – przyznaje, a jego odzew jest imponujący: tydzień później wygrywa w Davos drugi turniej cyklu, awansuje do finału w Diepoldsau i wygrywa na końcu także Masters w Uster. Zaangażowanie się opłaca: mimo porażki w Küblis triumfuje w klasyfikacji generalnej, dzięki czemu znów wyprzedza prawie 100 zawodników i awansuje na 303. miejsce. Nieźle jak na zawodnika, który dopiero co skończył 17 lat.

Kiedy Federer w grudniu leci na Florydę na Orange Bowl, wiadomo, że musi wygrać ostatni ważny turniej juniorski, jeśli chce jeszcze wyprzedzić o 17 miesięcy starszego Francuza Juliena Jeanpierre'a. Impreza odbywa się w jednym z najpiękniejszych turniejowych przystanków, w Crandon Park

na Key Biscane. Dla Federera turniej zaczyna się jednak nie tak, jak mógłby sobie tego życzyć. W pierwszej rundzie dwa punkty dzielą go nawet od bycia wyeliminowanym, ale potrafi się jeszcze uratować – w przeciwieństwie do Jeanpierre'a, który odpada w swoim inauguracyjnym meczu.

Nazajutrz – a jest to dla Rogera dzień wolny od gry – dzieje się coś nieoczekiwanego. „Byliśmy na treningu kondycyjnym, kiedy w Rogerze znów obudziła się fajtłapa – wspomina Annemarie Rüegg, która towarzyszyła drużynie ze Szwajcarii. – Podczas skakania na skakance zachowywał się jak małpa, skakał dookoła jak tarzan. Nagle krzywo stanął na nodze i ją sobie skręcił. Wyglądało to źle, wyskoczyła mu ogromna gula. To go szybko sprowadziło na ziemię".

Ktoś inny w jego sytuacji by zrezygnował, spisał swój cel na straty i poświęcił się nowemu. Ale nie on. „Roger Federer się nie poddaje" – powie kilka lat później, a zasadę tę stosuje już wtedy. Idzie na sesję do fizjoterapeuty, który z nimi przyjechał, i robi wszystko, by zachować szanse na dalszą grę. „Byłam zaskoczona jego przemianą – mówi Annemarie Rüegg. – Przedtem gadał ciągle jakieś głupoty, a nagle stał się spokojny i poważny. Zauważyłam: aha, czyli on może też zachowywać się serio, jeśli chce. Zrozumiał, że to istotna sprawa, że wiele zależy od tego meczu i że musi całą energię skupić na celu. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że to mistrz, który jest w stanie tego dokonać".

Mimo kontuzji, z zawiniętą nogą, Roger wygrywa bez straty seta trzy kolejne mecze. W półfinałach dochodzi do rewanżu za finał US Open przeciwko Nalbandianowi. Tymczasem opuchlizna schodzi, Federer wygrywa 6:4, 6:2 i pokonuje w finale także Guillermo Corię, innego mocnego Argentyńczyka. Jest zwycięzcą Orange Bowl, opuszcza Miami z miską pomarańczy i… blond włosami. Choć nieszczególnie

dodają mu urody, za zmianę koloru przychodzi mu zapłacić 250 dolarów.

Ale co tam, 21 grudnia 1998 roku jego nazwisko debiutuje na pierwszej pozycji światowego rankingu juniorów. „To wspaniały prezent pod choinkę” – cieszy się. Musi jednak upłynąć jeszcze tydzień, zanim będzie pewne, że to on, a nie Jeanpierre jest mistrzem świata. Pomoc otrzymuje od Andy’ego Roddicka, który w ostatnim turnieju roku, w meksykańskim Jukatanie, pokonuje Francuza w półfinale. Możliwe, że ma to daleko idące skutki, bo Jeanpierre nigdy nie awansuje do Top 100 rankingu ATP.

Pod koniec 1998 roku spotykam Federera w szatni hali tenisowej w Diepoldsau, przy okazji jednego z turniejów Swiss Satellite Circuit. Jest dla niego jasne, że jego czas wśród juniorów wkrótce dobiegnie końca. Przerósł wszystkie oczekiwania i nie ma powodu, dla którego miałby dłużej włóczyć się po turniejach juniorskich. Rozwija się błyskawicznie. „To zabawne. Gdy tylko zjawiam się w hotelu, słyszę: »Grüezi, Herr Federer«[1]. Niektórzy ludzie zdają się dumni, że mogą ze mną porozmawiać – opowiada. – Im bardziej jest się znanym, tym mniej się płaci. Wszyscy mnie zapraszają i każdy chce być dla mnie miły tylko dlatego, że dobrze gram w tenisa”.

Federer mierzy już 186 centymetrów i waży 80 kilogramów. Uważa, że to zbyt dużo. „Mam niezły bebech, powinienem bardziej popracować nad mięśniami brzucha”. Lubi wsuwać słodycze, przede wszystkim czekoladę. Jest natomiast dumny z tego, że już bardziej panuje nad sobą na korcie. Lepiej znosi frustrację, jest bardziej tolerancyjny względem siebie. Jeszcze podczas US Open na początku września tego roku doszło do pewnego incydentu, kiedy został sprowokowany przez publiczność: Roger gadał jak najęty, połamał rakietę i dostał

ostrzeżenie od sędziego. Od tamtego momentu nie zareagował już jednak żadnym wybuchem złości.

„Nie denerwowałem się ani w Tuluzie, ani w Bazylei. Zachowywałem się bardzo porządnie, nie pomyślałbym, że coś takiego jest możliwe – mówi. – Nie wiem, czy ma to związek z dużymi stadionami. Może na nich wstydzę się bardziej, gdy się nie kontroluję". Prowadzi też ze sobą mniej monologów podczas meczów. „Często zadaję sobie pytanie: dlaczego jesteś taki głupi i wkurzasz się na siebie? Bo kiedy człowiek gra dobrze i nie denerwuje się na siebie, to nie ma piękniejszego uczucia".

Peter Carter potwierdza, że Federer zrobił mentalne postępy. „Ale musi być jeszcze cierpliwszy" – mówi Australijczyk, który nieustannie towarzyszy Rogerowi. Nie zawsze ku jego radości. „Kiedy przez miesiąc jestem w trasie tylko z Peterem, czasami wkurzamy się na siebie nawzajem. Tęsknię wtedy za przyjaciółmi czy dziewczyną". W przeciwieństwie do jego kolejnej sympatii dziewczyna z Zurychu nie odegra w życiu Rogera żadnej znaczącej roli.

20

WŚRÓD WIELKICH

Status Federera jako mistrza świata juniorów i zwycięzcy Wimbledonu do lat 18 okazuje się idealnym fundamentem do podbicia seniorskiego świata. Tym bardziej że na początku 1999 roku, jako 17-latek, jest już także w pierwszej trzysetce światowego rankingu. W tamtym sezonie dostaje w sumie osiem „dzikich kart", w tym na oba europejskie wielkoszlemowe turnieje – w Paryżu i Londynie, choć ich organizatorzy są znani z tego, że przy przydzielaniu zaproszeń uwzględniają przede wszystkim graczy ze swoich krajów. W Australian Open i US Open musi natomiast wziąć udział w turniejach kwalifikacyjnych, których nie może przebrnąć.

Na tym etapie Federer korzysta z jeszcze innego sprzyjającego zbiegu okoliczności. Takiego, na który on sam nie ma wpływu: Martina Hingis jest pełna energii i chce na nowo napisać historię tenisa. Znajduje się u szczytu kariery, w trakcie której łącznie przez 209 tygodni prowadziła w światowym rankingu, a pomiędzy rokiem 1997 a 1999 wygrała pięć turniejów wielkoszlemowych. To ma dla Federera podwójnie pozytywne skutki. Z jednej strony w szwajcarskim tenisie Hingis skupia na sobie prawie całą uwagę mediów, podczas gdy on może rozwijać się w spokoju i bez nadmiernej presji. Z drugiej natomiast dostaje od o niecały rok starszej, pochodzącej ze Słowacji rodaczki cenne lekcje i widzi, czego potrzebuje, by utrzymać się na szczycie. „To, że w tak małym

kraju jak Szwajcaria, i to jeszcze w odpowiednim czasie, pojawiła się gwiazda światowego formatu, która dominowała w swojej dyscyplinie, oznaczało dla mnie szczęśliwy zbieg okoliczności" – wspomina Federer, gdy w 2017 roku najbardziej utytułowana sportsmenka jego kraju kończy po raz drugi karierę.

Na początku 1999 roku, kiedy został właśnie najlepszym juniorem na świecie, w drodze do Melbourne robi sobie międzylądowanie w Perth. Może tam zostać sparingpartnerem Hingis, która razem z Ivo Heubergerem startuje w Pucharze Hopmana. „Widziałem, jak prowadzi swoją karierę, i zadawałem sobie pytanie: jak daje radę być tak zrównoważona i silna psychicznie? Wtedy tego nie potrafiłem, ani na treningu, ani w trakcie meczów, a już na pewno nie tydzień w tydzień – wspomina. – Ale dała mi wiarę, że dzięki poświęceniu i ciężkiej pracy można zajść naprawdę daleko. Wówczas bardziej polegałem na talencie, na inspiracji, grałem swobodnie i kreatywnie. Każde uderzenie musiało być bardziej *cool* niż poprzednie. Martina była inna, pracowała ciężej i bardziej profesjonalnie. Dużo się od niej nauczyłem".

W swoim pierwszym pełnym roku wśród zawodowców zdaje sobie sprawę, że turnieje na otwartym powietrzu nie są jego ulubionym polem walki – pewne imprezy, na które jest zapraszany, są jeszcze dla niego o rozmiar za duże. W siedmiu ważnych turniejach rozgrywanych pod gołym niebem, w których może wystąpić w tym sezonie, zawsze odpada w pierwszej rundzie. Także mecz Pucharu Davisa, rozgrywany na otwartym korcie w Belgii, przynosi mu dwie gorzkie porażki.

Za to znów spuszcza rywalom łomot w turniejach halowych, gdzie łatwiej mu się skoncentrować, przebieg wydarzeń jest szybszy i pojawia się znacznie mniej rozpraszających czynników. Na początku lutego w Marsylii eliminuje Carlosa

Moyę, aktualnego zwycięzcę Roland Garros, numer 5 na świecie. Dociera do ćwierćfinału, dokładnie jak trochę później jako kwalifikant w Rotterdamie, gdzie odpada po meczu z Jewgienijem Kafielnikowem, choć w trzecim, decydującym secie prowadził już 3:1.

Dla jego współlokatora Yvesa Allegro staje się jasne, że Federer zajdzie dalej, niż większość kiedykolwiek uważała za możliwe. „Mówiłem wtedy, że dojdzie do Top 10, a może nawet będzie numerem jeden. Wielu mnie jednak wyśmiewało – przypomina sobie pochodzący z kantonu Wallis kumpel Federera. – Skok, który w ciągu kilku miesięcy wykonał Roger z poziomu juniora do poziomu zawodowca, był imponujący. A mnie ciągle zaskakiwało, jakie szczegóły zauważał, śledząc mecze w telewizji".

W kwietniu Federer zalicza kolejny ważny punkt programu – debiut w Pucharze Davisa. Szwajcaria podejmuje Włochy w hali w Neuenburgu. Jego chrzest bojowy w najważniejszym turnieju drużynowym wypada wspaniale. Roger wyraźnie wygrywa z Davide Sanguinettim, numerem 48 na świecie. „Wprawdzie szkoda, że Federer występował w zespole rywali, ale mimo to oglądanie go sprawiało przyjemność – powiedział później kapitan Włochów Paolo Bertolucci. – Nie ma na świecie wielu zawodników, którzy tak dobrze graliby w tenisa".

Kiedy w lipcu w Brukseli Szwajcaria walczy z Belgią o miejsce w półfinale, wciąż niepełnoletni Federer w swoim raptem drugim występie w narodowym zespole odgrywa już rolę lidera. Wyżej sklasyfikowany Marc Rosset czuje się trochę chory, i tak oto Federer prowadzi drużynę Szwajcarii. Ale jak już wielokrotnie wspominałem, w imprezach rozgrywanych na otwartym powietrzu boryka się z problemami. I teraz też przegrywa dwa maratońskie mecze, choć w obu był wyraźnie

lepszy od przeciwników technicznie i dzielnie walczył aż do przykrego końca.

Rozczarowanie jest ogromne, płyną łzy.

Niestabilny emocjonalnie i niedoświadczony technik o fascynującym repertuarze uderzeń wciąż stara się jednak wykorzystać swój talent. Często nie znajduje wtedy jeszcze drogi do zwycięstwa, mimo technicznej przewagi. Ale nieustannie widać, że to nieoszlifowany diament. Podobnie wygląda to na kortach Rolanda Garrosa, gdzie jest najmłodszym uczestnikiem turnieju głównego; i w wielkoszlemowym debiucie trafia na mocnego Australijczyka, Patricka Raftera. Federer wygrywa pierwszego seta z numerem 3 na świecie, przegrywa jednak mecz 7:5, 3:6, 0:6, 2:6. „Młody Szwajcar może być kimś, kto będzie nadawał ton przez kolejne dziesięć lat" – pisze francuska gazeta sportowa „L'Équipe".

Odważna prognoza – tyle tylko, że potrwa to o wiele dłużej niż dekadę.

Kiedy jesienią rozpoczyna się sezon halowy, Federer ponownie rozkwita. Dwudziestego września jako najmłodszy gracz w historii awansuje do Top 100. W pierwszym roku wśród zawodowców gromadzi nagrody pieniężne w wysokości 225 139 dolarów, a na koniec sezonu jest w rankingu na pozycji 64. Potrzebował mniej niż roku, by z niedoświadczonego, początkującego gracza stać się uznanym zawodowcem.

„Byłoby pięknie, gdybym mógł zagrzać miejsce w najlepszej pięćdziesiątce" – mówi Federer przed sezonem 2000. Ten zaczyna się dla niego jeszcze lepiej niż poprzedni. W Australian Open najpierw przebrnie przez dwie rundy turnieju wielkoszlemowego, nie oddając seta wcześniejszemu zwycięzcy z Paryża, Michaelowi Changowi. W lutym w Marsylii po raz pierwszy awansuje do finału turnieju ATP. Trafia w nim na Marca Rosseta, swojego kumpla z daviscupowej reprezentacji

Szwajcarii. Mimo wygranego pierwszego seta, nie jest w stanie zapobiec porażce. Za to na początku marca jest już w Top 50. Ponieważ osiągnął tym samym swój cel na sezon, koryguje go pośpiesznie na pierwszą „25". Trochę zbyt pochopnie, jak się później okaże, bo tego celu jednak nie osiągnie, choć będzie zaledwie o włos.

Za to w roku 2000 odnotowuje postęp w innym obszarze. W kwietniu obwieszcza, że bierze karierę we własne ręce, bez wsparcia ze strony Szwajcarskiego Związku Tenisowego. Rozstanie, do którego dochodzi przy pełnym porozumieniu obu stron, jest sensowne, ponieważ dzięki temu Federer zyskuje bardziej elastyczne, dostosowane do własnych potrzeb otoczenie. Zaskoczeniem jest jednak to, że decyduje się na zatrudnienie jako głównego szkoleniowca Lundgrena, a nie Cartera – swojego trenera z czasów juniorskich i dobrego przyjaciela. W zasadzie nie potrafi uzasadnić tej decyzji. „To był wybór z tych pół na pół. Obaj są fajnymi, zabawnymi gośćmi" – mówi. Sprawę miało rozstrzygnąć jego przeczucie.

I się nie pomylił. Lundgren to trener, który sam był utytułowany wśród seniorów i zna to środowisko dużo lepiej niż Carter. Szwed grywał z większością nowych rywali Federera. Urodzony w 1965 roku Lundgren jest potężny i ma długie blond włosy, za sprawą których wygląda jak prawdziwy wiking. Potrafi być surowy i wymagający, ale z natury to raczej wyluzowany typ, zawsze pozytywnie nastawiony, skory do żartów. Z powodu fryzury bywał niekiedy mylony z Björnem Borgiem, grał jednak zupełnie inaczej niż szwedzka legenda – z temperamentem i ofensywnie, będąc raz na wozie, raz pod wozem.

Prywatny pełnoetatowy trener Federera potwierdza jego nieograniczone możliwości. O 18-latku mówi: „Może zostać numerem 1, choć daleka do tego droga. Ja osiągnąłem 25.

miejsce na świecie, ale byłem daleki od jego poziomu. To wyjątkowy chłopak. Jest z innej planety". Holender Sven Groeneveld, główny trener w Szwajcarskim Związku Tenisowym, wyraża się w tamtym czasie z podobną euforią: „Roger może osiągnąć wszystko, co chce. Może wygrywać turnieje wielkoszlemowe i być liderem światowego rankingu. Może wchodzić na wyższy poziom, gdy to konieczne. A kiedy jest w formie, w swojej formie, staje się najtrudniejszym zawodnikiem do pokonania w całym tourze". Lundgren szybko zauważa, nad czym przede wszystkim trzeba popracować: „Musi być w stanie wygrywać także w brzydki sposób. Jest artystą, a kiedy jego uderzenia nie funkcjonują, irytuje się i dekoncentruje. Z piłką potrafi zrobić wszystko, ale musi też nauczyć się niekiedy grać w prostszy sposób".

Początek ich współpracy przypada na środek sezonu na kortach ceglanych w 2001 roku i przebiega dla Federera fatalnie. Zanim rozpocznie się Roland Garros, jego bilans meczowy na ceglanej mączce w turniejach zawodowców wynosi 0:11. W Paryżu jego czarna seria na czerwonej nawierzchni wreszcie się kończy. Po ciężko wywalczonym w piątym secie zwycięstwie nad berneńczykiem Michelem Kratochvilem Roger po raz pierwszy jest w 1/8 finału turnieju wielkoszlemowego, w którym przegrywa z hiszpańskim graczem z Top 10, Àlexem Corretją. Była to chwilowa zwyżka formy, bo reszta lata znów przebiega rozczarowująco: Wimbledon wypada w trakcie serii sześciu porażek w pierwszej rundzie i nawet dwa pierwsze zwycięstwa w US Open mogą tylko trochę poprawić ten bilans. Potem w programie jest wyjątkowe urozmaicenie – igrzyska olimpijskie w Sydney.

21

POD OLIMPIJSKIMI PIERŚCIENIAMI

W szwajcarskiej czołówce tenisa jest przewidywalnie i przejrzyście. Wszyscy się znają, drogi najlepszych graczy krzyżują się nieustannie, w Interclubie, na mistrzostwach Szwajcarii, na treningach, na mniejszych czy większych turniejach. Tak samo jest w przypadku Rogera Federera i Mirki Vavrinec. Pochodząca ze wschodniej części kraju ładna Szwajcarka z kasztanowobrązowymi oczami jako juniorka należy do najlepszych i najbardziej wyróżniających się zawodniczek w kraju, mimo że przygodę z tenisem zaczęła późno. Przez dwa lata gra nawet dla drużyny Interclubu z rodzinnego miasta Federera, bazylejskiego Lawn Tennis Club, nazywanego przez wszystkich BLTC.

Tych dwoje porusza się jeszcze jednak na dwóch różnych płaszczyznach. Mirka jest o trzy lata i cztery miesiące starsza od Rogera. Kiedy krótko przed 15. urodzinami Federer debiutuje w najwyższej interclubowej lidze, 18-latka jest już podporą BLTC. Znacząco przyczyniła się do tego, że klub rok później zdobywa tytuł mistrzowski. Gdy z powodów finansowych zostaje wycofany z rywalizacji, Mirka zmienia klubowe barwy na Grasshopper Club w Zurychu.

Historia Mirki ma potencjał filmowy i jest poniekąd tak ckliwa, że można wątpić w jej prawdziwość. Vavrinec

przychodzi na świat 1 kwietnia 1978 roku jako jedynaczka w małym słowackim mieście Bojnice, należącym wówczas do Czechosłowacji. Rodzice uciekają z dwuletnią córką do Szwajcarii, gdzie zamieszkują najpierw u przyjaciół w Kreuzlingen, miasteczku granicznym nad Jeziorem Bodeńskim. To, że Mirka zaczyna grać w tenisa, ma związek z brzemiennym w skutki spotkaniem. Jej ojciec Miroslav, fan sportu i były oszczepnik, w 1987 roku jedzie z rodziną w okolice Stuttgartu. Tutaj nawiązuje kontakt z wielokrotną zwyciężczynią Wimbledonu Martiną Navrátilovą, która startuje w turnieju w Filderstadt. To wtedy – według magazynu tenisowego „Smash" – wywiązuje się między nimi następujący dialog.

Navrátilová do Mirki: „Też grasz w tenisa?".

Mirka: „Nie, ćwiczę balet".

Navrátilová: „Spróbuj z tenisem. Masz świetne predyspozycje fizyczne, a do tego na pewno jesteś utalentowana".

Urodzona w Czechosłowacji Martina, która później wybrała jednak życie w USA, kontaktuje się z mieszkającym w Zurychu byłym graczem z pierwszej setki świata, Jiřím Granátem, z prośbą, by zorganizował dla Mirki próbny trening. Miała rację: dziewczynka faktycznie jest utalentowana, a tenis od razu jej się spodobał. Jej ojciec, złotnik, dziękuje triumfatorce Wimbledonu własnoręcznie wykonaną biżuterią. On i jego żona Drahomíra – oboje mieli po 18 lat, gdy brali ślub – przez lata prowadzą sklep jubilerski w centrum handlowym w Kreuzlingen.

Pierwszym trenerem Mirki zostaje Murat Gürler z Ankary, były reprezentant Turcji w Pucharze Davisa, którego także przygnało w ten region. Spotykam go w 2018 roku w hali tenisowej w Weinfelden, w której 30 lat wcześniej poznał początkującą dziewięcioletnią Mirkę. To właśnie on, tutaj

i częściowo też w pobliskiej Konstancji, przez wiele godzin wprowadzał ją w tajniki tej dyscypliny. „Moje pierwsze wrażenie było takie, że jest zwyczajnie utalentowaną dziewczynką, która jednak waży trochę za dużo – mówi. – Ale prędko zauważyłem, że jest niesamowicie ambitna. I nie znam nikogo, kto na treningach byłby tak pilny jak ona. Gdyby się jej powiedziało: »Przed treningiem musisz przebiec maraton«, zrobiłaby to bez żadnego »ale«”.

Gürlerowi w oczy rzuciła się także wyraźna obecność jej matki, która była muzykiem i grała na klarnecie. „Zdałem sobie sprawę, że Mirka pod tym względem znajdowała się pod sporą presją. Na tym polegał jej główny problem. To ją blokowało, często była zbyt spięta”. Matce zdarzało się też krzyknąć na córkę, ale ogólnie łączyły je serdeczne relacje. „Potrafiła być miła, przytulały się ciągle, dawały sobie buziaki”. Mirka podobno grała w tenisa nie ze względu na swoich rodziców, zaznacza Gürler. „Sama tego chciała i robiła niewiarygodnie szybkie postępy”. W swoim pierwszym turnieju przegrała jednak 0:6, 0:6, dokładnie tak jak Roger. „Może powinna była wcześniej rozluźnić relacje z matką i ojcem. Kiedy to zrobiła, bez wątpienia grała na znacznie większym luzie”.

W wieku 14 lat Mirka zaczyna startować w mniejszych turniejach zaliczanych do światowego rankingu. Jak bardzo jest zdeterminowana w dążeniu do celu, pokazuje historia z 1993 roku. Po turnieju w słoweńskiej Murskiej Sobocie spontanicznie decyduje się na start w dodatkowych zawodach w chorwackim Supetarze na wyspie Brač, choć region ten dotknięty był wojną. Razem z trenerem przemierza część Chorwacji, w której dwa tygodnie wcześniej – i także niedługo potem – toczyły się walki. W trakcie podróży mijają zburzone domy, czołgi Sił Ochronnych ONZ, spalone pojazdy, o czym opowiada później na łamach magazynu „Smash”. Co kilka

kilometrów byli sprawdzani na blokadach dróg. „Bardzo się bałam, ale ambicja okazała się silniejsza – zdradza w tym samym piśmie tenisowym 15-latka. – Na pewno nie jest łatwo ze mną pracować. Potrafię być bardzo uparta”.

Ale Mirka jest miła, ujmująca, wdzięczna, uczciwa, lubiana i pełna radości życia. Tego zdania jest też pochodzący z Turgowii fotograf Mario Gaccioli, który w młodości miał wiele do czynienia z nią i z jej rodzicami. „Wspierałem ją, bo nie miała pieniędzy. Za to ona przysyłała mi pocztówki z wielu turniejów i dziękowała za wszystko, co dla niej zrobiłem”.

W wieku 16 lat Mirka zdobywa w Lucernie najważniejszy tytuł w swojej kategorii wiekowej i zmierza w kierunku kariery zawodowej sportsmenki. „Tenis to moje życie. Chcę tak szybko jak to tylko możliwe wskoczyć do najlepszej trzysetki” – mówi. Wprawdzie zrealizuje ten cel, ale dopiero trzy lata później, bo najpierw musi ćwiczyć się w cierpliwości. Już w 1996 roku spowalnia ją kontuzja pięty. Możliwe, że to skutek nadmiernego przeciążenia, któremu poddawane było jej ciało, bo trenowała po siedem–osiem godzin dziennie”.

W 1997 roku znów jest lepiej. Na koniec roku, po drugich przesłuchaniach dokonywanych przez urzędników, otrzymuje wreszcie długo wyczekiwany szwajcarski paszport. „Nadanie obywatelstwa wyglądało jak w filmie *Die Schweizermacher*. Czego to oni wszyscy nie chcą wiedzieć…” – dziwi się Mirka. Krótko po tym rozluźnia relacje z rodzicami. Przenosi się do sąsiedniego Bottighoffen i trenuje w Konstancji z Alexandrem Hizlim, byłym zawodowym graczem, który jednak nigdy nie zdołał awansować do Top 500. Tymczasem w osobie przemysłowca Waltera Rufa, do którego należała produkująca pojazdy firma Mowag, Mirka pozyskuje cennego sponsora z regionu.

Dochodzi też wtedy do epizodu przypominającego baśń z 1001 nocy. Poznaje księcia z Dubaju, który jest nią zachwycony i rozpieszcza ją, jak tylko może. Czasami była podwożona na trening czerwonym ferrari albo podróżowała po emiracie helikopterem, jak wspomina była zawodniczka, Caecilia Charbonnier, przyjaciółka Mirki. „To robiło spore wrażenie". Książę chce uczynić z niej nawet księżniczkę Zjednoczonych Emiratów Arabskich – pod warunkiem, że Mirka rzuci tenis. To jednak za wysoka cena, bo sport to dla niej cały świat. „Wszystko podporządkowuję tenisowi. Treningi, odnowa, pakowanie, hotele, mecze… Nie znam innego życia" – mówi w tamtym czasie Mirka na łamach regionalnej gazety „Thurgauer Zeitung".

To, że ona i Federer zbliżyli się do siebie mimo różnicy wieku, zawdzięczają wyjątkowym okolicznościom podczas igrzysk olimpijskich – i przede wszystkim cudownemu faktowi, że Mirka we wrześniu 2000 roku w ogóle znalazła się w tenisowej reprezentacji Szwajcarii na igrzyska. Ta składa się tylko z trójki zawodników, pod nieobecność Marca Rosseta Federer jest jedynym mężczyzną. Wśród kobiet obok Mirki jest jeszcze Emmanuelle Gagliardi, brakuje natomiast Patty Schnyder i Martiny Hingis. Mirka na początku olimpijskiego roku 2000 po raz pierwszy znalazła się w pierwszej setce świata i jest w szczytowym punkcie kariery. Ma też szczęście, że Międzynarodowa Federacja Tenisowa przyznała jej „dziką kartę" na turniej w Sydney, bo na podstawie miejsca zajmowanego w rankingu nie uzyskałaby kwalifikacji.

Wyjątkowa atmosfera, która towarzyszy igrzyskom olimpijskim, jest idealną pożywką do rozpoczęcia znajomości. Udział w nich jest dla wszystkich zawodniczek i zawodników punktem kulminacyjnym w karierze. Mieszkają wtedy z innymi sportowcami z czołówki, panuje uroczysty nastrój, świat

zewnętrzny się zatrzymuje. Nikt nie uważa siebie za szczególnie ważnego w obliczu gigantycznej skali tego przedsięwzięcia; zwłaszcza wśród ludzi z jednego kraju za sprawą ceremonii olimpijskiej i centralnie prowadzonej reprezentacji narodowej pojawia się wszechobecny patriotyzm i silne poczucie przynależności państwowej. Szwajcarska drużyna tenisowa mieszka w wiosce olimpijskiej nad Homebush Bay, w tym samym domu co zapaśnicy. Spotykają się, poznają, razem wychodzą do miasta.

„To najlepsze wydarzenie sportowe, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem – zachwyca się Federer w Sydney, jednym ze swoich ulubionych miast, po udanym starcie w turnieju. – Życie w wiosce olimpijskiej może być jednak czasami dość stresujące". Vavrinec swój mecz inauguracyjny – przeciwko Jelenie Dementjewej, która później zdobędzie srebro – przegrywa 1:6, 1:6. Zostaje jednak w Sydney i również jest zachwycona. „Igrzyska są fantastyczne, niewiarygodnie piękne, nieporównywalne z niczym" – opowiada. Mówi także kilka zdań o młodym Federerze, którego poznała tutaj z innej strony: „Nie wiedziałam, że jest taki zabawny. Po igrzyskach będę mieć najmocniejsze mięśnie brzucha na świecie, bo ciągle się przez niego śmiejemy".

Dla Federera Sydney staje się doświadczeniem słodko-gorzkim. Awansuje niespodziewanie do półfinału, w którym jednak wyraźnie przegrywa z Tommym Haasem. Dzięki temu jednemu zwycięstwu miałby pewny srebrny medal i szanse na złoto, a tak musi teraz pokonać przegranego z drugiego półfinału w walce o brąz. Pozornie prosta sprawa, bo jest nim niżej sklasyfikowany Francuz Arnaud Di Pasquale, nad którym Roger ma wyraźną przewagę techniczną. Ale Federer gra nerwowo i przegrywa pierwszego seta mimo prowadzenia 3-0 w tie-breaku. Broni piłkę meczową w drugim secie,

a w trzecim wychodzi na prowadzenie 2:1 po przełamaniu prześladowanego przez skurcze mięśni Francuza, mimo to po dwóch godzinach i 27 minutach przegrywa mecz 6:7, 7:6, 3:6. Znów płyną łzy. „Tak bardzo chciałem stanąć na podium – mówi. – Teraz nie mogę zabrać do domu nic oprócz dumy”.

Zdaje się jednak, że w tej ocenie się pomylił. Zamiast upragnionego medalu w Sydney zdobywa serce dziewczyny, która wkrótce stanie się najważniejszą osobą w jego życiu. Mirka zdradzi później, że ostatniego dnia igrzysk pierwszy raz się pocałowali. Do tamtego momentu nie zdawała sobie sprawy, że Roger ją sobie upatrzył.

Romans pomiędzy nią a Federerem trwa, ale na początku utrzymują go w tajemnicy – choć źle chronionej. Stanie się dla obojga podporą po porażkach i w zsyłanych im przez los trudnych momentach, które będą musieli pokonywać we wczesnych latach związku.

22

SKRZYPEK

Przed końcem 2000 roku Federer nawiąże jeszcze jedną nową znajomość, która wyznaczy dalszy kierunek jego kariery – zatrudnia Pierre'a Paganiniego, trenera od przygotowania fizycznego. W swoim drugim roku w charakterze zawodowego tenisisty musiał zdać sobie sprawę, że spektakularne ataki i talent nie wystarczają, by wygrywać turnieje i dostać się na szczyt, bo potrzeba do tego cięższej pracy. Mniej więcej takiej, jaką pokazała mu Mirka. „W przeciwieństwie do mnie pracowała ekstremalnie ciężko" – przyzna później Roger. Zawstydzony i pełen podziwu obserwował, jak skoncentrowana potrafiła harować pięć–sześć godzin z rzędu, podczas gdy on już po godzinie tracił zainteresowanie treningiem. „Nakręcała mnie w ten sposób do cięższej pracy. Bez niej być może nie poznałbym tej strony tenisa".

Paganini, stary znajomy Federera z czasów Écublens, pochodzi z kosmopolitycznej i inteligenckiej rodziny. Urodzony w 1957 roku w Zurychu, pierwszych kilka lat spędza w Glattbruggu, na przedmieściach miasta. Jego rodzina zapuściła korzenie w zachodniej Szwajcarii, Paganini idzie później do szkoły w kantonie Wallis. Ojciec Roë był pianistą i pionierem w swojej dziedzinie – otworzył szkoły muzyczne w niemieckojęzycznej części kraju. Matka Maria przez 30 lat była profesorem na amerykańskich uniwersytetach Yale i Minnesota.

Paganini do 20. roku życia gra na skrzypcach, „ale potem zamieniam je na piłkę lekarską” – mówi, śmiejąc się. Od zawsze ciągnęło go do sportu, w bardzo szczególny sposób. „Pamiętam, jak w 1970 roku po raz pierwszy w kolorowym telewizorze śledziłem finał mistrzostw świata w piłce nożnej pomiędzy Brazylią a Włochami. Wszyscy moi koledzy interesowali się tylko tym, co wydarzy się na boisku. Jako jedyny jeszcze przed meczem zastanawiałem się, co zawodnicy robią wcześniej, co dokładnie się dzieje”. Jego przedmioty specjalizacyjne podczas zdobywania wykształcenia trenerskiego w Magglingen to piłka nożna i lekkoatletyka.

Gdy Paganini zostaje zaangażowany przez Federera, już od dawna specjalizuje się w tenisie i jest w tym sporcie prekursorem, jeżeli chodzi o trening fizyczny. Łysy okularnik z bystrym spojrzeniem 17 lat pracował z Markiem Rossetem, siostrami Manuelą i Magdaleną Malejewymi, dwiema tenisistkami światowej klasy, a później z Serbką Aną Ivanović, która w 2008 roku wygrała Roland Garros. W 1991 roku Paganini dołącza do szwajcarskiej ekipy Pucharu Davisa, dla której pracuje najpierw do 1995, a po raz drugi od 2003 do 2008 roku. Od tamtego momentu będzie współpracował także ze Stanem Wawrinką.

Paganini jest siłą napędową w Écublens, kiedy Szwajcarski Związek Tenisowy lansuje program wspierania młodzieży Tennis/Etudes. Już wtedy, gdy poznają się w 1995 roku, może sobie wyrobić zdanie o Federerze i na tym wczesnym etapie śledzić z bliska jego karierę. Prywatna współpraca z fitnessowym guru jest najpierw zaplanowana na 100 dni w roku, później jednak przeciąga się na lata. Paganini prędko dostrzega braki Federera. „Ma znaczące zaległości w atletyce. Przede wszystkim mógł poprawić pracę nóg i się wzmocnić – wspomina. – Jego problemem był gigantyczny talent, który

pozwolił mu tuszować braki w przygotowaniu atletycznym. Równocześnie Roger musiał bronić swojej pozycji w rankingu i nie mógł sobie pozwolić na pracę wyłącznie nad podstawami kondycyjnymi. Dałem nam trzy lata, by doprowadzić go pod tym względem do topowego poziomu".

Ten trzyletni plan rozpoczyna się z końcem 2000 roku i tworzy Federerowi bazę do wzniesienia się na tenisowy olimp. Decydujący czynnik stanowi to, że Roger jest gotów wesprzeć swoje zdolności ciężką pracą. „Postanowił, że zainwestuje wszystko, co konieczne, by wydobyć maksimum ze swojego talentu – mówi Paganini. – Jest artystą, ale takim, który zna wartość ciężkiej pracy". Mimo to trener ciągle musi mu wyjaśniać, dlaczego powinien robić coś tak, a nie inaczej. „Ale kiedy to w końcu zajarzyłem, było dla mnie jasne, dlaczego odbyłem taki trening. I niekiedy mój team musiał mnie nawet stopować" – wspomina Federer.

Paganini staje się dla niego nie tylko dalekowzrocznym trenerem od przygotowania fizycznego, ale także ważnym doradcą pod względem startów i planowania kariery. Publicznie będzie pojawiał się rzadko, wywiadów udziela bardzo selektywnie. Lecz kiedy już mówi, ma się do czynienia z ciekawą osobowością o szerokim spojrzeniu, człowiekiem z rozległą wiedzą na temat atletyki tenisisty i zaraźliwym, nigdy niesłabnącym entuzjazmem.

W oczy rzuca się jego skromność. „Nie chcę, żeby stawiano mnie na pierwszym planie, przed zawodnikiem" – podkreśla. Trenerzy ozdabiający się sukcesami sportowców i dodający sobie znaczenia są według niego wstrętni. „W końcu to zawodnik jest tą osobą, która gra. Popatrzcie na piłkarzy: czasami wciąż zna się jeszcze tylko trenerów i uważam, że to niewłaściwe".

System Paganiniego bazuje na trzech–czterech blokach treningowych, podzielonych na przestrzeni roku, w których trening fizyczny pozostaje na pierwszym planie. Szczegółowe planowanie jest elastyczne i dopasowane do sytuacji. „Ważne, by w odpowiednim momencie robić właściwe rzeczy – mówi. – Kluczowe jest dozowanie. A Roger świetnie rozpoznaje to, czego potrzebuje. Pewne sprawy trzeba robić wtedy, gdy dla danej osoby mają największą wartość".

Celem Paganiniego nie jest jednak zamienienie Federera w osiłka. „Tenisista nie jest sprinterem, maratończykiem czy kulomiotem – mówi szkoleniowiec, którego żona Isabelle również jest trenerką kondycyjną i który ma córkę z pierwszego małżeństwa. – Ale musi mieć coś z każdego z nich i wszystkie te cechy wykorzystać w grze". Ponieważ Federer to kreatywny, spontaniczny i wielowymiarowy zawodnik, musi być zdolny do innego rodzaju ruchu niż na przykład taki Lleyton Hewitt, który gra raczej monotonnie, jak mówi Paganini. Z trenowanymi przez siebie sportowcami obchodzi się tak delikatnie, jak dawniej ze swoimi skrzypcami. Z Federerem dąży do „koordynowanej kreatywności", dzięki której osiągnie on zarówno możliwie wysoką precyzję ruchów, jak i zdolność, by po czterech godzinach być jeszcze w stanie wejść na wysokie obroty. „Nie może być tak, że z powodu przygotowania fizycznego obierze niewłaściwą taktykę".

Przed szkoleniowcem Szwajcara pojawia się wyzwanie, by podczas codziennego treningu dbać o dobry nastrój młodego zdobywcy szczytów. „Roger nie jest mistrzem świata treningu, któremu można zagrywać trzy tysiące piłek na bekhend i który odbija i odbija, czując się z tym dobrze. Trening musi sprawiać mu przyjemność" – mówi Peter Lundgren, trener tenisowy. „Wprawdzie chce dużo pracować, ale potrzebuje urozmaicenia – potwierdza Paganini. – Musi widzieć, że

ćwiczenia coś mu dają. Kiedy karmi się go motywacją, staje się treningowym zwierzęciem”.

W grudniu 2000 roku Federer dostaje w Biel dwutygodniowy przedsmak tego, co czeka go w przyszłości. Paganini opracował specjalne ćwiczenia, które nazywa „zintegrowanym treningiem kondycyjnym”. Federer musi na przykład biegać wokół kortu, aż się zmęczy, i wtedy od razu wejść na kort i grać. „Gdy jest się zmęczonym, pojawiają się naturalne odruchy. Wszystkie te złe zwyczaje, których najtrudniej się pozbyć” – uzasadnia tę metodę Paganini.

Podczas gdy wielu graczy dba o poprawę kondycji tylko w grudniu, jedynym wolnym od turnieju miesiącu, Federer przez cały rok, punkt po puncie, pracuje nad swoim przygotowaniem fizycznym. „Jest bardzo zmotywowany do pracy, co mnie zaskakuje. W końcu to typ, który woli prawdziwą rywalizację” – mówi Paganini po pierwszym bloku treningowym w Biel. Federer szybko zauważa, że lepsza kondycja sprawia także, że roś- nie jego pewność siebie. „Mentalnie czuję się bardzo dobrze, bo mam świadomość, że jestem dobrze przygotowany kondycyjnie, i wiem, że podołam”.

Coraz rzadziej przegrywa mecze, w których ma przewagę techniczną, ale jest słabszy mentalnie. Przyznaje, że w młodszych latach miewał czasami okropne uczucie, że jego przeciwnik bardziej zasłużył na zwycięstwo niż on. „Odnosiłem wrażenie, że trenował ciężej niż ja. Poza tym miałem szczęście, że pochodziłem z uprzywilejowanej Szwajcarii”. Pod skrzydłami Paganiniego przestaje w ten sposób myśleć.

Trener przygotowania kondycyjnego jest zachwycony profesjonalnym podejściem zawodnika. Umacnia ambicje Federera, by stworzyć fizyczne podstawy na możliwie długą karierę, a nie podążać tylko za krótkotrwałym powodzeniem. Trzyletni plan okazuje się sukcesem. „Dzisiaj maksymalna

szybkość Rogera to trzydzieści kilometrów na godzinę, co oznacza, że na pierwszych dwudziestu metrach może dotrzymać kroku niezłym sprinterom” – podsumuje po trzech latach Paganini. W 12 minut pokonuje 3300 metrów, w 40 minut 9300 metrów i robi przysiady ze 150-kilogramowym obciążeniem. Ogromna poprawa w porównaniu z fazą początkową.

Podejście Federera staje się bardziej profesjonalne, ale Roger nie zaprzyjaźnia się z tego rodzaju testami wytrzymałościowymi. „Na szczęście ten etap rozwoju mam już za sobą – mówi w 2017 roku w Indian Wells. – Nienawidziłem tych sprawdzianów, przede wszystkim dlatego, że byłem młody. Ciągle trzeba było wykonywać 12-minutowe biegi i inne testy, a na koniec czasami dowiadywałeś się, że właściwie byłeś beznadziejny. Wtedy zadawałeś sobie pytanie: czy to znaczy, że nie potrafisz grać dobrze w tenisa?” Spekulował także, że w bardziej zaawansowanym wieku nie pokonałby już 3300 metrów w 12 minut.

Paganini przez lata pozna go tak dobrze, że nie będzie już potrzeba żadnych testów sprawnościowych, by się dowiedzieć, w jakim miejscu jest Federer, jeśli chodzi o przygotowanie fizyczne, i jakie są jego braki. Najklarowniejszymi rezultatami pracy Rogera są jednak jego sukcesy na korcie – i fakt, że przez ponad dwie dekady cieszy się karierą na najwyższym poziomie.

23

NAWRÓCENIE

W 2001 roku Federer nadal jest najmłodszym graczem w Top 100 światowego rankingu i stara się piąć w górę, ale to zwyczajnie nie chce się udać – pierwsza turniejowa wygrana nie nadchodzi. W przeciwieństwie do starszego o tylko pięć lat Lleytona Hewitta Roger wypada źle.

Waleczny Australijczyk, nawet nie brylując, często triumfuje, już w wieku 16 lat świętował triumf w turnieju w Adelajdzie. Zupełnie odwrotnie jest w przypadku Federera: rozpala widzów fajerwerkami przeróżnych uderzeń i mistrzowskim, obfitującym w ataki tenisem, zdaje się dysponować nieograniczonymi możliwościami – a mimo to ulega wciąż skromniejszym pod względem technicznym konkurentom. Sprawia wrażenie kogoś, kto trafił szóstkę w totka i nie wie, co zrobić z tak dużymi pieniędzmi. „Ma takie możliwości, że czasem jego samego zbija to z tropu” – mówi John McEnroe, gracz, który w przeszłości również niekiedy sam był sobie przeszkodą.

W pierwszym pełnym roku współpracy z Peterem Lundgrenem zaczynają się jednak pojawiać pojedyncze sukcesy. Podczas inauguracji sezonu w australijskim Perth razem z Martiną Hingis wygrywa wspomniany turniej o Puchar Hopmana, a potem luty stanie się najlepszym miesiącem w jego dotychczasowej karierze. W turnieju halowym w Mediolanie pokonuje po raz pierwszy Kafielnikowa i dociera do swojego

trzeciego finału. Drugi przegrał cztery miesiące wcześniej w ojczyźnie, w Bazylei, w pięciu setach z mocnym Szwedem Thomasem Enqvistem, co sprawiło, że na krótko dopadły go wątpliwości. „Myślałem, że już nigdy nie wygram żadnego turnieju". Trzecią szansę już wykorzystuje i na północy Włoch, na oczach rodziców, którzy przybyli tam pośpiesznie, w walce z Francuzem Julienem Boutterem zdobywa swój pierwszy tytuł w ATP Tour.

„To wielka ulga – mówi Federer. – Długo musiałem czekać na ten moment. Odtąd powinno być już łatwiej". Wyjazd do Mediolanu gorzej kończy się dla jego rodziców: ojciec w pośpiechu zatrzasnął kluczyki w samochodzie i musiał wybić szybę, by móc wrócić do domu. Nieszczęście w szczęściu. Tydzień później w Bazylei Federer zapisze się w historii Pucharu Davisa jako najmłodszy gracz, który w meczu przeciwko drużynie Stanów Zjednoczonych będzie miał udział w zdobyciu trzech niezbędnych do zwycięstwa punktów. Po raz pierwszy łzy płyną po sukcesie. A w cyklu ATP sięga w lutym po dziesięć zwycięstw z rzędu i zostaje „tenisistą miesiąca".

Roger wspina się coraz wyżej, ale znów po wzlotach pojawiają się upadki. Gdy kończy się krótki sezon halowy, mnożą się wczesne porażki młodej gwiazdy. „W hali udaje mi się bez wysiłku koncentrować na każdym punkcie, ale w turniejach rozgrywanych na otwartym powietrzu mam rozbiegane myśli" – przyznaje w Miami. Widać, że jeszcze nie panuje nad swoim systemem nerwowym. Wybuchy złości zdarzają mu się rzadko, ale nadal są jego stałym towarzyszem.

Już jednak jako 17-latek w poszukiwaniu wewnętrznej równowagi korzysta z pomocy psychologa sportowego. Ale praca ze Szwajcarem Christianem Marcollim, który opiekuje się także członkami klubu hokejowego i golfistami, nie przyniosła pożądanych efektów, za to pojawiły się niechciane skutki

uboczne. Niekiedy Roger jest zbyt spokojny, momentami nawet obojętny. Choćby w Miami w 1999 roku, kiedy przeciwko Duńczykowi Kennethowi Carlsenowi gra nad wyraz ospale i zaskakuje późniejszą wypowiedzią, jakoby w ogóle nie był zmotywowany. „Na korcie prawie się nudziłem. Nie okazywałem żadnych emocji i musiałem odkryć, co jest najlepsze dla mojej gry" – wspomina. Marcolli jest zaskoczony, kiedy pod koniec 1999 roku Federer oznajmia mu, że już go nie potrzebuje.

Jeżeli chodzi o świat emocji, Roger na początku zawodowej kariery jest jeszcze jak otwarta księga. Jego rakieta wiruje w powietrzu, ciska nią w siatkę lub wali o kort. Pewnego razu mówi mi, że w trakcie kariery zepsuł jakieś 50 rakiet.

Trener Lundgren zauważa jednak poprawę w jego zachowaniu po tym, jak Federer odchodzi spod skrzydeł Szwajcarskiego Związku Tenisowego i zatrudnia prywatnego trenera. „Wcześniej był rozpuszczonym chłopcem, który wszystko dostawał za darmo. Teraz musi wziąć na siebie większą odpowiedzialność i samodzielnie płacić rachunki. Staje się mężczyzną" – twierdzi Szwed. Zmiana jest widoczna: im ważniejsze mecze i im większe stadiony, tym Roger rzadziej pozwala sobie na rzucanie rakietami po korcie, brak opanowania czy ciągłe pomstowanie. A im wyżej wspina się w światowym rankingu i im lepiej opanowuje swoją połowę kortu, tym mniej ma powodów, by się denerwować. Ale niekiedy głęboko w środku nadal gotuje się w nim tak mocno, że nie potrafi się kontrolować.

Punktem krytycznym i równocześnie przełomowym wydarzeniem jest dla niego German Open 2001 w Hamburgu. W poniedziałek, w środku maja, podczas rozgrywanego na ziemnych kortach w idyllicznym kompleksie Rothenbaum turnieju o bogatych tradycjach, w meczu inauguracyjnym 19-

latek musi uznać wyższość Franco Squillariego, niepozornego mańkuta i argentyńskiego specjalisty od ceglanej mączki. Tak na marginesie, Squillari w 2003 roku wygra jeszcze drugi pojedynek z Federerem i zakończy karierę, mając – jak mało kto – pozytywny bilans w meczach ze sławnym Szwajcarem.

Porażka Rogera w hanzeatyckim mieście nie odbija się głośnym echem. Mecz jest rozgrywany na bocznym korcie, bez kamer telewizyjnych, przed niewielką publicznością. Ci, którzy go jednak widzieli, kręcili głowami. Federer bez przerwy bluzga i gra źle. Kiedy w drugim secie traci piłkę na przełamanie i remis 5:5, a krótko po tym przegrywa 3:6, 4:6, ponoszą go emocje. Po uściśnięciu dłoni Squillariemu obok fotela sędziego niszczy rakietę. „Bang, bang, bang" – opisuje tę scenę. „Zachowałem się strasznie i płakałem, bo grałem tak źle i wszystko było do niczego".

Tego dnia decyduje, że tak dalej być nie może i że musi się to zmienić. „Powiedziałem sobie: nie mogę się tak dalej zachowywać. Jeśli będę tak grał przez następne dziesięć lat, nie wytrzymam tego. Postanowiłem, że od tego momentu będę cichy, spokojny i skoncentrowany".

Odnalezienie pełnej równowagi zajmie mu trochę czasu. Dokładniej mówiąc, półtora roku – aż do Wimbledonu w 2003 roku. Bo najpierw wpada z jednej skrajności w drugą. „Zauważyłem, że stałem się zbyt cichy i spokojny i nienawidziłem się za to. Przebijałem winnera między nogami, a za chwilę waliłem smecza w płot, będąc metr od siatki, i zachowywałem się, jakby to było normalne". Zdał sobie sprawę, że musi znaleźć „mieszankę ognia i lodu", że musi być ognisty podczas wymian piłek, ale zimny jak lód w decydujących momentach.

Czasami samemu Federerowi wydaje się niepojętne, jak bardzo się zmienił. „Kiedy trener mówił mi, że powinienem się

uspokoić, wcześniej wydawało mi się to niemożliwe. Musiałem się po prostu pozbyć tego napięcia i demonów z głowy. Nikt nie mógł mi pomóc, to musiało wyjść ode mnie". Jak dobrze sobie radzi, kilka lat później dokładnie pokazuje pewna sytuacja, z tych, które na początku jego kariery były niemal na porządku dziennym. Gdy po wielu latach, w 2009 roku w Miami, po meczu z Đokoviciem znów niszczy rakietę, zdjęcia, tym razem w ramach sensacji, obiegają sportowy świat.

Dobre postanowienia po meczu ze Squillarim szybko przynoszą pierwsze owoce. Na Roland Garros Federer awansuje do ćwierćfinału, a trzeci start w turnieju głównym Wimbledonu daje mu wreszcie pierwsze sukcesy. Po trzech zwycięstwach może 2 lipca wystąpić w 1/8 finału, po raz pierwszy na korcie centralnym, w świątyni swojej dyscypliny. W miejscu, w którym wcześniej potwierdzali swoją sławę jego idole, staje po raz pierwszy przeciwko Pete'owi Samprasowi, zwycięzcy siedmiu z ostatnich ośmiu turniejów w Wimbledonie. Amerykanin przegrał tutaj zaledwie jeden ze swoich ostatnich 57 meczów i od 31 spotkań jest niepokonany. Reprezentujący USA tenisista z trudnym serwisem stał się najbardziej utytułowanym graczem w historii czterech najważniejszych turniejów, zdobywając już 13 tak pożądanych pucharów.

Czuć jednak, że coś wisi w powietrzu. Federer jest w formie, ma ogromną wiarę we własne umiejętności i doświadczenie z trzech lat w zawodowym tourze. „Musi się tylko pozbierać i pokazać, na co go naprawdę stać" – postuluje John McEnroe. Federer potwierdza, że jest zdolny do tego, by pokonać Samprasa nawet w Wimbledonie: „Nie będę grał, by wygrać seta albo by dobrze wypaść. Będę grał, żeby wygrać".

Przez kort centralny kroczy dumnie, barczysty, wyprostowany i ze swoją nową *poker face*, jak gdyby grał tutaj od zawsze. I odnosi najważniejsze zwycięstwo wczesnego etapu

swej kariery. „Czasami patrzyłem na drugą stronę siatki i zastanawiałem się, czy to rzeczywistość, czy tylko piękne marzenie” – mówi później. Po trzech godzinach i 41 minutach piłkę meczową, return zagrany z forhendu, zamienia na wygraną 7:6(7), 5:7, 6:4, 6:7(2), 7:5. O 19.20 czasu miejscowego pada na kolana, przewraca się na bok i zaczynają mu płynąć łzy radości. Sprawił tenisową sensację.

Federer źle śpi po tym wspaniałym zwycięstwie. Następnego dnia nie udaje mu się uniknąć rwetesu, choć idzie na trening w ciemnych okularach i kapeluszu. Jest rozpoznawany i oblegany – w środę gra przecież w ćwierćfinale z Timem Henmanem, brytyjskim ulubieńcem, w którym gospodarze pokładają nadzieje. Miejscowe media biorą pogromcę Samprasa w krzyżowy ogień pytań. Musi zdradzać szczegóły ze swojego życia, niektórzy reporterzy zaczynają szukać bulwersujących historii i zdjęć z dzieciństwa.

Mecz przeciwko Henmanowi jest jednak dla Federera zupełnie inny niż ten z Samprasem. Brakuje mu koncentracji, w tie-breakach dwukrotnie nie potrafi przekuć na wygranie setów wyraźnego prowadzenia i musi pogodzić się z trzecią porażką w trzecim pojedynku z Henmanem – 5:7, 6:7(8), 6:2, 6:7(8). Znów zostaje sprowadzony na ziemię. Zamiast wyrzutni do dłuższej zwyżki formy zwycięstwo nad Samprasem okazuje się dla Federera powrotem do gorszych czasów, ponownej bessy.

Po Wimbledonie prześladują go dodatkowo problemy z pachwinami i przywodzicielami. Musi pauzować przez prawie dwa miesiące. W tym czasie mieszka w swojej bazie treningowej w Biel, w małym dwupokojowym mieszkaniu, razem z przyjacielem i rywalem z czasów juniorskich Michaelem Lammerem. Roger ma swój pokój, Michael śpi w salonie. „Było dość ciasno i bez odrobiny komfortu –

opowiada Lammer, który przez prawie dwa lata jest współlokatorem Federera. – Mirka często wpadała, kiedy był Roger. Sprzątała, gotowała i doglądała, czy wszystko jest w miarę porządnie”.

Kiedy Federer na koniec sierpnia 2001 roku wraca na tour na US Open w Nowym Jorku, widać, że przerwa wywołana kontuzją wybiła go z rytmu. Na Flushing Meadows dociera wprawdzie do 1/8 finału, ale na tym etapie wyraźnie pokonuje go Agassi. Pewność siebie, która na początku roku niosła Rogera od zwycięstwa do zwycięstwa, zniknęła i nie wróci nawet w jesiennym sezonie halowym. Znów nie udaje mu się wygrać turnieju na własnej ziemi, w Bazylei, w finale ulega ponownie Timowi Henmanowi, traci możliwość udziału w ATP Finals, do czego dążył, i kończy rok jako numer 13. Z daleka Roger obserwuje więc, jak po US Open Hewitt wygrywa także finał sezonu w Sydney, dzięki czemu może świętować pozycję lidera światowego rankingu.

24

KRYZYSY I DRAMAT

W 2002 roku Federer szykuje się już do swojego czwartego pełnego sezonu w zawodowym tourze. Ma ogromne nadzieje, że po mało znaczących, ale budzących szacunek sukcesach uda mu się dokonać przełomu. Rok jednak zaczyna się źle. W Australian Open uznany za najbardziej niebezpiecznego outsidera 20-latek ponosi klęskę po wyraźnym prowadzeniu i zaprzepaszczonej piłce meczowej w starciu z Tommym Haasem. To pierwszy, ale nie ostatni cios, który dostaje.

Tymczasem na kortach ziemnych, przez długi czas najtrudniejszej dla niego nawierzchni, wiosną udaje mu się jednak zrobić krok milowy. W Hamburgu, gdzie rok wcześniej stracił głowę w meczu ze Squillarim, przez co zaczął zmieniać swoje zachowanie, pokonuje Gustavo Kuertena, trzykrotnego zwycięzcę Roland Garros, w finale nie daje żadnych szans Maratowi Safinowi i może świętować swoje trzecie, ale dotychczas najważniejsze turniejowe zwycięstwo. „To był zdecydowanie mój najlepszy mecz w życiu” – raduje się Federer, który nie może powtrzymać łez radości i stawia dziennikarzom szampana. Po raz pierwszy jego nazwisko pojawia się w Top 10, na ósmej pozycji.

Z zadowoleniem spogląda teraz w kierunku turniejów wielkoszlemowych w Paryżu i w Wimbledonie. Ale sukces w Hamburgu mu nie służy. W nadchodzących miesiącach pojawiające się w kolejnych turniejach porażki w starciach

z niżej sklasyfikowanymi tenisistami będą go wpędzać w kryzys.

Przed oboma europejskimi wielkoszlemowymi turniejami Federer uchodzi za najgorętszego gracza sezonu, oczekiwania wobec niego są ogromne, tak ze strony fanów, jak i mediów. Również on żywi je wobec samego siebie. Ma też nadzieję, że w pierwszej rundzie nie straci zbyt wiele sił, jak mówi wyniośle przed turniejem na kortach Rolanda Garrosa. Jego życzenie się spełnia – ale w inny sposób, niż sobie wyobrażał. W mokry i zimny wtorek wyraźnie ulega Marokańczykowi Hiszamowi Araziemu po pełnym błędów meczu inauguracyjnym na małym Korcie Nr 2.

Ma jednak więcej czasu na przygotowanie się do Wimbledonu. „W tym roku tytuł będzie jego" – twierdzi McEnroe. „Czuję, że mam niezłe szanse na wygranie turnieju" – mówi Federer. Jego pierwszy przeciwnik nazywa się Mario Ančić. Federer go nie zna. Chorwat dotychczas występował tylko wśród juniorów, przeszedł przez turniej kwalifikacyjny, jest numerem 154 w światowym rankingu, ma 18 lat i 193 centymetry wzrostu. Gra swój pierwszy wielkoszlemowy turniej, i to od razu na Korcie Centralnym, przeciwko Federerowi, który przed rokiem w tym samym miejscu odczarował Samprasa. Jakieś pytania?

Na trybunach siedzi także Robert Federer, który rzadko już widuje grającego syna na żywo. Przybył z przekonaniem, że w to przyjemne popołudnie w spokoju obejrzy bezproblemowe zwycięstwo Rogera. Potem nie wierzy własnym oczom: podobnie jak w Paryżu syn znów odpada w pierwszej rundzie, znów bez wygranego seta i znów z mało znanym przeciwnikiem. Jest nie do poznania w porównaniu z ostatnim rokiem, w całym meczu posyła tylko jednego asa.

Także Federer jest w szoku. Nie potrafi znaleźć przyczyn tak opłakanej formy, przez którą znów wypada z Top 10, i jak się okaże, wpakuje się w kolejny kryzys. „Nie jest już sobą na korcie – mówi Lundgren. – Technicznie w meczu nie popełnia błędów. To wszystko jest kwestią głowy. Czuje presję". Federer zagubił kreatywność, radość z gry, pewność siebie. „Mentalnie dałem się za bardzo ściągnąć w dół i myślałem, że nie będę już mógł grać w tenisa" – wspomina tamten moment z pewnego dystansu.

Drugiego sierpnia, w trakcie tej serii porażek, dociera do niego szokująca wiadomość zupełnie innego kalibru – o śmierci Petera Cartera. Jego najważniejszy trener z czasów juniorskich i nowy kapitan drużyny Szwajcarii w Pucharze Davisa zginął w wypadku samochodowym w RPA. Federer jest wstrząśnięty jak nigdy wcześniej. „Spędzaliśmy ze sobą tyle czasu już wtedy, gdy byłem chłopcem – mówi. – W młodości widywałem go każdego dnia. To straszne… Odszedł w tak młodym wieku i tak niespodziewanie". Carter długo należał do jego najbliższych współpracowników. „Był bardzo spokojny, ale też wesoły, z typowo australijskim poczuciem humoru. Moja wdzięczność za to, co dla mnie zrobił, nigdy nie będzie wystarczająca. Zawdzięczam mu całą swoją technikę i swobodę" – powiedział Federer, gdy już się trochę pozbierał.

Uroczystość pogrzebowa odbywa się 14 sierpnia, w ciepły letni dzień, w Leonhardskirche na Starym Mieście w Bazylei. Około 200 osób przybyło, by pożegnać Petera, w tym wiele znanych twarzy ze świata tenisa. Jest także przyjaciel z młodości Cartera, Darren Cahill, który współpracował z Agassim. Opuszczając kościół, Federer jest tak smutny jak jeszcze nigdy. „W porównaniu z taką chwilą każda porażka w tenisie jest niczym".

Śmierć Cartera, powie kilka lat później, była dla niego jak pobudka. „Może miało mnie to skłonić do postanowienia, że odtąd nie będę już więcej marnował talentu i że osiągnę więcej, zainwestuję więcej w moją karierę i będę szczęśliwszy”.

W US Open wczesna porażka z dużo niżej sklasyfikowanym Białorusinem Maksem Mirnym przedłuża jednak okres wielkoszlemowej posuchy Federera. Odbywające się potem ważne spotkanie w Pucharze Davisa w Maroku pomaga mu jednak wyjść z kryzysu. Pokonuje dwóch specjalistów od kortów ziemnych, Hiszama Araziego – swojego pogromcę z Paryża – i Junusa al-Ajnawiego, identycznym wynikiem 6:3, 6:2, 6:1. Odgrywa też większą rolę w zwycięskiej parze deblowej. Szwajcaria wygrywa, a Federer dedykuje sukces Carterowi, który w roli kapitana drużyny mógł przeżyć tylko jedno spotkanie. „Dzisiaj myślałem o nim jeszcze więcej niż normalnie. Był z nami, także podczas meczbola”.

Sukcesy w Casablance pomagają Federerowi wypędzić z głowy wątpliwości i ponure myśli. Żałoba po Carterze schodzi na nieco dalszy plan, powoli wraca mu pewność siebie. Dzięki wygraniu turnieju w Wiedniu udaje mu się przecież po raz pierwszy zakwalifikować do zawodów dla ośmiu najlepszych zawodników danego roku, które tym razem odbywają się w Szanghaju.

W listopadzie 2002 roku Federer jedzie do Chin jako numer sześć na świecie i tym samym jest sklasyfikowany wyżej niż jakikolwiek inny Szwajcar w historii. Towarzyszą mu Lynette i Mirka, która ma za sobą trudny i pełen frustracji rok. Po igrzyskach olimpijskich w Sydney znów szło jej lepiej. Osobisty wzlot zaliczyła podczas US Open w 2001 roku, gdzie po zwycięstwach nad dwiema wyżej sklasyfikowanymi zawodniczkami awansowała do trzeciej rundy, by potem przegrać z mocną Belgijką Justine Henin. Przesunęła się wtedy

w rankingu na 76. pozycję, która do tego momentu była jej najlepszym miejscem – i już na zawsze zostanie. I choć nikt tego wtedy nie wiedział, to właśnie ten US Open 2001 wyznaczył rzeczywisty koniec jej kariery.

Ciało Mirki – a dokładniej mówiąc: jej stopy – nie potrafiły już sprostać wymaganiom zawodowego grania w tenisa. W Nowym Jorku czuła taki ból, że już w pierwszej rundzie ledwo mogła biegać i musiała do tego odpowiednio dostosowywać technikę – i także dlatego wystąpiła na luzie. Biorąc prysznic, zrobiła niewłaściwy ruch i nabawiła się kontuzji prawej stopy, później zdiagnozowane zostało zerwanie ścięgna. Wskutek jednostronnego obciążenia cierpi lewa stopa. Mirka musi pauzować trzy miesiące i dopiero na początku 2002 roku wraca na tour – na Puchar Hopmana w Perth, u boku Rogera, który tymczasem przestaje już ukrywać ich związek. Mogła z nim przynajmniej świętować zwycięstwo nad Argentyną, obok porażek z Australią i Hiszpanią.

Po US Open 2001 Mirka bierze udział jeszcze tylko w pięciu turniejach WTA Tour i cały czas przegrywa. Występ w Budapeszcie w kwietniu 2002 roku, krótko po jej 24. urodzinach, pozostanie jej ostatnim startem w zawodowym tourze. Znów zmaga się z zapaleniem pięty, znów przechodzi operację i znów musi chodzić o kulach. „Czułam się jak w głębokim dole – mówi później o kolejnych miesiącach, w trakcie których była skazana na bezczynność. – Nie jest łatwo, gdy przez całe życie robisz coś, co lubisz, a potem z dnia na dzień musisz z tego zrezygnować”.

Lepiej wiedzie się za to jej chłopakowi. W jego pierwszym starcie w ATP Finals – które wtedy nazywały się Tennis Masters Cup – w przypominającej lotniczy hangar hali w dzielnicy Pudong w Szanghaju pokonuje Juana Carlosa Ferrero, Jiříego Nováka oraz Thomasa Johanssona i wygrywa grupę.

W półfinale trafia na Hewitta, który drugi raz z rzędu zakończy rok jako numer 1. Mecz przeciwko zwycięzcy turnieju sprzed roku Roger rozpoczyna porywająco, wychodzi na prowadzenie 3:0 i 5:2. Ale Australijczyk biega jak szalony i walczy, jak gdyby chodziło o życie. Spotkanie zamienia się w dzikie wzloty i upadki i kończy się gorzko dla Federera – wynikiem 5:7, 7:5, 5:7. W centrum prasowym Bud Collins, amerykańska legenda dziennikarstwa, pyta dookoła: „Widzieliście lepszy mecz?”.

25

WYBAWIENIE

Federer przenosi rozmach z Szanghaju na sezon 2003, w którym chce się wreszcie pozbyć opinii ucznia czarodzieja bez żadnego ważnego tytułu. Peter Lundgren w dalszym ciągu manifestuje niezłomną wiarę w Rogera. Szwedzki trener jak nakręcony zwraca uwagę, że Federer potrzebuje więcej czasu niż inni, by móc się w pełni rozwinąć. „Ma niewiarygodny repertuar, ale wszystkie jego elementy będą się harmonizować dłużej". To ptak, który uczy się latać. „Kiedy w końcu osiągnie swój maksymalny pułap, będzie bardzo trudny do pokonania". Lundgren używa także jeszcze innego obrazowego porównania: „Z Federerem może być jak z wyciskaniem keczupu. Długo nic się nie pojawia, a potem wszystko naraz".

Wielkoszlemowe dylematy Federera się jednak utrzymują. W Melbourne, już w 1/8 finału, po raz trzeci w ciągu roku ulega żwawo kontrującemu Nalbandianowi. Lecz z dala od presji wielkoszlemowego turnieju Roger znów sięga po zwycięstwa – w Marsylii i Dubaju świętuje piąty i szósty tytuł. W Monachium, na kortach ziemnych, zalicza trzecie turniejowe zwycięstwo w roku, awansuje też po raz pierwszy do finału w Rzymie, po czym na Roland Garros jeszcze raz zaliczany jest do ścisłego grona faworytów.

„Czuję się teraz dużo lepiej niż przed rokiem, kiedy po raz pierwszy wszedłem do Top 10 – opowiada przed rozpoczęciem turnieju z odzyskaną wiarą we własne możliwości. – Kto chce

mnie pokonać, musi ciężko pracować. Nie chcę jeszcze raz przegrać na Roland Garros w pierwszej rundzie". Jego pierwszym przeciwnikiem jest nieznany Peruwiańczyk Luis Horna, który w wielkoszlemowym turnieju nie odniósł jeszcze zwycięstwa i jest tylko numerem 88 na świecie. W pierwszym secie Federer prowadzi 5:3, gdy mecz zamienia się dla niego w dramat. Jest coraz bardziej zblokowany, momentami apatyczny, traci nawet najłatwiejsze piłki, w trakcie trzech setów popełnia aż 82 niewymuszone błędy i ulega w całym meczu 6:7(6), 2:6, 6:7(3). Wynik jest dla niego kolejnym szokiem, to jego najboleśniejsza porażka w Paryżu.

Pokonany faworyt ze spuszczoną głową pojawia się w przepełnionym biurze prasowym. „Nie wiem, ile czasu będę potrzebował, by przeboleć tę klęskę – mówi zbity z tropu. – Dzień, tydzień, rok albo całą karierę". Zrobił z siebie turniejowe pośmiewisko. *Rozbity statek na spokojnych wodach* – tytułuje tekst francuska gazeta sportowa „L'Équipe". „Palm Beach Post" na Florydzie określa go mianem „Phila Mickelsona tenisa", porównując go z amerykańskim golfistą, który pomimo ogromnego talentu i wielu szans również nie mógł wygrać żadnego z czterech głównych turniejów w swojej dyscyplinie (tak na marginesie, także on kilkakrotnie to nadrobi). „Federer ma wszystkie uderzenia, ale żadnego wielkoszlemowego trofeum – można przeczytać w artykule. – Nosi łatkę najlepszego tenisisty, który jeszcze nigdy nie wygrał turnieju wielkoszlemowego".

Kiedy niedługo potem Federer pojawia się na Wimbledonie i razem z Lundgrenem zajmuje skromne mieszkanie przy Lake Road niedaleko All England Club, jest w dwuznacznym położeniu. Wcześniej w westfalskim Halle w swojej 12. próbie po raz pierwszy wygrywa turniej na trawie i jest numerem 5 na świecie. Ale niczym potężny niewidoczny plecak ciąży mu

mizerny wielkoszlemowy bilans. Jego trzy ostatnie występy w Europie skończyły się w pierwszej rundzie, po meczach z outsiderami, Arazim, Ančiciem i – zaledwie cztery tygodnie wcześniej – Horną, z którymi nie wygrał choćby seta. Wziął udział w 16 takich turniejach i jeszcze nigdy nie zaszedł dalej niż do ćwierćfinału – słaby dorobek jak na kogoś, kto jest uznawany za następcę tronu, największy talent.

Federer wie już przynajmniej, co poszło nie tak w Paryżu w meczu z Horną. „Wysiadłem psychicznie, a tego zupełnie nie akceptuję. Nie byłem po prostu gotowy, nałożyłem na siebie za dużą presję. Powiedziałem sobie: nawet jeśli przetrwam tę rundę, czeka na mnie jeszcze sześciu innych rywali chcących wygrać ten turniej. To doprowadzało mnie do szału".

Potem intuicyjnie zrobił to, co należało: skupił się na chwili obecnej, pozwolił sobie na kilka dni urlopu, zanim w Halle zmienił nawierzchnię na swoją ulubioną trawę. Zwycięstwo w turnieju pomogło mu trochę zapomnieć o Roland Garros. I zaczął pojmować ważną lekcję: turnieju wielkoszlemowego nie można wygrać w początkowych rundach, za to z powodzeniem można go wtedy przegrać. Trzeba skoncentrować się na drodze, nie na celu, na danym momencie, robić krok po kroku, wygrywać piłkę po piłce, punkt po punkcie, mecz po meczu. Alpinista na szczyt wspina się centymetr po centymetrze, kierowca Formuły 1 każdy metr przejeżdża w pełni skoncentrowany, golfista wykonuje każde uderzenie możliwie najlepiej. Turniej wielkoszlemowy jest maratonem składającym się ze sprintów. Przy czym tenisiści mają tę przewagę nad alpinistami, kierowcami czy golfistami, że pojedyncze błędy zazwyczaj mają mniejszy wpływ na całokształt.

Fakt, że kolejnym ważnym wydarzeniem jest Wimbledon, pomaga Federerowi bardziej się skoncentrować. Dla niego ten

zapoczątkowany w 1877 roku turniej, odbywający się w południowo-zachodnim Londynie, jest urealnieniem tęsknot i marzeń z dzieciństwa, miejscem akcji śmiałych wizji, jego edenem i nirwaną. Mieszkał tylko kilka kilometrów od granicy z Niemcami, kiedy ogarnęła go tenisowa gorączka po sukcesie w Wimbledonie Borisa Beckera. Ta euforia nie przeszła bez echa także w Szwajcarii. Kiedy Becker w 1985 roku i 1986 roku zdobył swe dwa pierwsze tytuły w Wimbledonie, Federer był jeszcze w wieku przedszkolnym, ale i jemu udzieliła się ta fascynacja. Wszyscy jego tenisowi idole kilka razy wygrywali ten turniej: Becker, Edberg, Sampras… W jego pokoju w Münchenstein już wcześniej wisiał też obraz obrośniętego bluszczem – a przez to sprawiającego jeszcze bardziej tajemnicze wrażenie – Kortu Centralnego.

Federer wie, że tenis na kortach trawiastych ma we krwi i że na tej naturalnej nawierzchni panują zupełnie inne reguły. Warunki gry ciągle się zmieniają, w zależności od pogody, wilgotności powietrza, temperatury, zużycia nawierzchni i piłek. Grającym jak automaty zawodnikom jest trudno, i to żaden przypadek, że mimo wszelkich starań nie wygrał tu słynący z ciężkiej pracy Ivan Lendl. Na trawie liczą się sztuka improwizacji, wyczucie piłki i szybkie ręce, a do tego dobra praca nóg, bo piłki mają tendencję do odbijania się bardziej płasko niż gdziekolwiek indziej. Kto gra odważnie, ofensywnie, jest za to wynagradzany bardziej niż na innych nawierzchniach, choćby na wolniejszych kortach ziemnych, które odpowiadają specjalistom od defensywy.

Kiedy w 1998 roku Federer jako 16-letni junior po raz pierwszy przekroczył bramę Wimbledonu, był tak zdenerwowany, że zdawało mu się, że siatka na korcie jest za wysoka, i kazał nawet skontrolować to sędziemu. Oczywiście wszystko było jak należy. Wimbledon odwzajemnił jego

miłość – bez straty seta Roger wygrał tu prestiżową imprezę w kategorii do lat 18. Ale potem niczym rozkapryszona panienka, o której względy zabiega, turniej zaczyna robić ceregiele i traktować Szwajcara ozięble. Kiedy Federer rok później dzięki „dzikiej karcie" może wystąpić w turnieju głównym seniorów, następuje pierwsze otrzeźwienie. W meczu z doświadczonym i solidnie grającym Czechem Jiřím Novákiem wprawdzie na początku dominował i zdawało się, że jest na drodze do zwycięstwa, ale kiedy jego koncentracja osłabła, został wciągnięty w pierwszą w karierze pięciosetową walkę. W decydującym secie przez swój brak doświadczenia i niecierpliwość Roger nie wykorzystał w starciu z numerem 59 na świecie ośmiu piłek na przełamanie i przegrał 3:6, 6:3, 6:4, 3:6, 4:6. „Powinienem był wygrać" – powie później bardzo rozczarowany.

W kolejnym roku był już numerem 35 na świecie, miał jednak pecha, bo na dzień dobry spotkał się z dwukrotnym wielkoszlemowym zwycięzcą Jewgienijem Kafielnikowem. Chociaż na Korcie Nr 1 ma nawet więcej szans na przełamanie niż piąty tenisista świata, ulega 5:7, 5:7, 6:7. „Nie grałem bardzo dobrze, a mimo to zabrakło niewiele" – opowiada potem. I dodaje, że kiedyś postara się zostać zwycięzcą Wimbledonu, na co niektórzy dziennikarze patrzą z uśmieszkiem i kręcą głowami.

Już rok później zwycięstwem nad Samprasem i awansem do ćwierćfinału Federer pokaże, że miał rację. Ale po tym spektakularnym sukcesie znów przegra w Wimbledonie kolejne dwa mecze, z Henmanem i rok później z Ančiciem.

Wimbledon 2003 faktycznie stanie się jednak miejscem narodzin Rogera Federera mistrza. W całym turnieju oddaje tylko jednego seta, w meczu przeciwko Mardy'emu Fishowi. Najtrudniejsza sytuacja na drodze do triumfu zdarza się

Szwajcarowi w 1/8 finału. Podczas rozgrzewki z Feliciano Lópezem na Korcie Nr 2 czuje kłujący ból w plecach, już po meczu udaje się na konsultację lekarską. „Myślałem, że będę musiał zrezygnować" – przyznaje. Ale los chciał dla niego lepiej. W półfinale z Andym Roddickiem i w finale z mało znanym Markiem Philippoussisem Federer ani razu nie daje się przełamać.

Roger obiecał, że przy najbliższej okazji będzie do dyspozycji naszej gazety na tak zwany wywiad miesiąca, rozmowę, która zapełnia dwie strony w „Tages-Anzeiger". Choć pierwszego ranka po zwycięstwie w Wimbledonie musi na parkingu przed swoim wynajmowanym mieszkaniem udzielać niezliczonych wywiadów dla telewizji, radia i gazet, znajduje czas i na to, jak zostało ustalone wcześniej z Mirką. W ogrodzie, przy okrągłym drewnianym stole, na wyżwirowanym placyku z krzesłami, w trakcie rozmowy nieustannie zaskakuje mojego kolegę Simona i mnie. Inteligentnie, precyzyjnie i dalekowzrocznie analizuje swoje przełomowe sukcesy i ich następstwa, i to kilka godzin po najbardziej emocjonalnym momencie swojej kariery, po krótkiej nocy i gorączkowym poranku.

„Nadszedł moment, w którym udowodniłem wszystkim, na co mnie stać. Jeżeli moja kariera miałaby się dzisiaj zakończyć, byłoby prawie okej" – mówi. Ale jest świadomy pewnej rzeczy: „Mistrzem jesteś tylko wtedy, gdy na końcu wznosisz puchar. Ja to zrobiłem, więc jestem mistrzem". I to pierwszym wielkoszlemowym zwycięzcą w swoim kraju. Sprawia wrażenie, jakby niemal współczuł Philippoussisowi, pokonanemu finaliście. „Zwycięzcy zostają, przegrani odchodzą. Zwycięzcy i przegrani są tak blisko siebie, a zarazem tak daleko. Prawdziwi mistrzowie są nimi dlatego, że wygrywają. Może to brzmieć trochę arogancko, bo to ja właśnie wygrałem Wimbledon. Ale tak już po prostu jest".

Federer ma też świadomość, dlaczego tak długo musiał czekać na ten przełom. „Dla mnie decydujące było to, bym mógł odnaleźć sam siebie. Żebym w środku poczuł się dobrze. Hewitt czy Safin już wcześniej byli mocni mentalnie. Ja potrzebowałem na to więcej czasu". Na początku nie radził sobie z wysokimi oczekiwaniami. „Z wyjątkiem tamtego zwycięstwa nad Samprasem tak naprawdę nigdy nie miałem zadowalającego wielkoszlemowego meczu. I kiedy chwalono mnie po pojedynku z Pete'em, to było dla mnie już niemal za dużo dobrego".

Ogólnie rzecz biorąc, wywierano na nim zbyt dużą presję. „To było wręcz chorobliwe, kiedy w pewnym sensie wręcz wypychano mnie na pozycję przegranego".

Przekonanie, że opinia publiczna bardzo przesadza w kwestii wydarzeń sportowych, że dzieli wszystko na czarne albo białe, prowadzi Federera do tego, że nie pozwala już mediom mieć na siebie dużego wpływu. „Tymczasem stało mi się obojętne, co wszyscy piszą" – mówi tamtego poranka. Tym większa jest za to jego satysfakcja. „Ciężar, który ze mnie spadł po piłce meczowej, był ogromny. Jeszcze nigdy nie przeżyłem czegoś takiego". Kiedy znów usiadł na swoim krzesełku i popatrzył w niebo, krzyknął głośno: „Nie wierzę!". Po dekoracji, w szatni, nie miał siły się ruszyć. „Byłem totalnie wycieńczony".

Federer nie wstydzi się łez, które płyną mu podczas tradycyjnego wywiadu ze zwycięzcą, moderowanego jeszcze na korcie przez Sue Barker, ostatnią brytyjską zwyciężczynię turnieju Wielkiego Szlema, a wtedy już dziennikarkę BBC. Głos mu się załamuje, przechodzi w falset. Najpierw myślał: „Dlaczego sobie to zrobiłem?". Tym bardziej mając świadomość, że większość brytyjskich gazet rzuciła się właśnie na tę scenkę, a on chętniej widziałby się w nich z pucharem. „Jestem po prostu takim typem, który niekiedy zalewa się łzami. Ale

ostatecznie nie jest to aż tak ważne, czy się płacze, czy nie. Inni godzinami się śmieją. Decydujące jest to, czy spełniło się swoje marzenie".

Federer wyjaśnia także, że świadomie nie zadedykował tego długo wyczekiwanego tytułu Peterowi Carterowi, swojemu tragicznie zmarłemu trenerowi. „Gdybym tak zrobił, byłoby to nie fair wobec innych. Powinien być to tytuł dla wszystkich, ale przede wszystkim dla mnie. Przecież nie wiem, czy nie jest moim ostatnim".

Intensywne emocje w tym ważnym dniu towarzyszą także jego dziewczynie Mirce. „Przy stanie 5:5 serce prawie mi się zatrzymało – opowiada Mirka. – Zawsze wiedziałam, jak bardzo chce zdobyć ten tytuł, zawsze o tym opowiadał, to było jego marzenie z dzieciństwa. Nie zachowywał się nerwowo przed finałem. W nocy z soboty na niedzielę spał lepiej niż kiedykolwiek wcześniej".

CZĘŚĆ III

ZDOLNIACHA

26

POJEDYNKI W TEKSASIE

Z punktu widzenia wielu amerykańskich fanów – a także wielu znawców – triumf Rogera Federera w Wimbledonie to tylko pomyłka, która nieco opóźni nieubłagany bieg historii tenisa. Nowym władcą okrzyknęli Andy'ego Roddicka, spektakularnego giganta serwisu z mocnym forhendem i niezaspokojoną ambicją. Żywioł, który miał poskromić także Federera, zdaje się predystynowany do przejęcia bogatego dziedzictwa pozostawionego przez Connorsa, McEnroe, Agassiego i Samprasa. Jesienią 2003 roku Roddick niespodziewanie wygrywa US Open i obejmuje pozycję lidera w światowym rankingu.

Tymczasem Federer, także jako zwycięzca Wimbledonu, nie radzi sobie dobrze w USA. Na kortach Flushing Meadows w 1/8 finału jeszcze raz musi uznać wyższość Davida Nalbandiana, tego upartego, zwinnego Argentyńczyka ze żwawą kontrą, z którym Szwajcar przegrał wszystkie cztery wcześniejsze pojedynki i z którym zwyczajnie mu nie po drodze. Z powodu deszczu początek meczu jest długo przesuwany, a później, w trakcie pierwszego seta, pojedynek trzeba dwukrotnie przerywać. Federer traci koncentrację, a pod koniec gry także cierpliwość.

Czy jeszcze kiedykolwiek wyrobi sobie renomę również w Stanach? Czy może raczej ten nowy świat będzie dla niego miejscem porażek, w którym sięgnie granic swoich możliwości?

To teraz jedno z kluczowych pytań w jego karierze. „Jeśli chcesz być sławny w USA, musisz tutaj wygrać” – mówi Bud Collins, ceniony komentator tenisowy „Boston Globe”. Federer wygrał wprawdzie Wimbledon i jest numerem 3 na świecie, ale w Stanach Zjednoczonych nie świętował jeszcze ani jednego turniejowego zwycięstwa. Już jako zawodowiec wziął udział w 21 turniejach w Ameryce Północnej, przy czym dziewięć razy zostawał wyeliminowany w pierwszym meczu i tylko raz awansował do finału, w 2002 roku na Key Biscayne, gdzie przegrał z Agassim. „Na początku kariery cały czas miałem problemy w Stanach – przyznaje kiedyś Federer. – Amerykanie w turniejach rozgrywanych w swojej ojczyźnie grają też jednak z większą pewnością siebie niż gdziekolwiek indziej, a ponadto za sprawą dużej wilgotności powietrza i upału panują tam trudne warunki”.

A w 2003 roku ATP Finals odbywają się właśnie w Stanach Zjednoczonych. Ostatni turniej sezonu został przeniesiony z Szanghaju, a jego organizację na dwa lata przydzielono Houston w Teksasie. Przynajmniej upał nie jest już problemem w te listopadowe dni. Federer wygląda jednak na przygnębionego, kiedy spotykamy go po raz pierwszy przed imprezą. Ogólnie rzecz biorąc, nie podoba mu się, że pierwszy raz od 29 lat Finały ATP będą rozgrywane na kortach pod gołym niebem – podczas gdy on uważa się przecież za specjalistę od grania pod dachem. „Ten turniej powinien odbywać się w hali. Tym bardziej że w ATP Masters Series 1000 są tylko dwie imprezy halowe”. Zdaje się, że podziela dziennikarskie domysły, jakoby Teksańczycy próbowali wszystkiego, chcąc dać przewagę amerykańskim graczom.

Nadzieje pokładają w Roddicku i Agassim, „Kolorowym Ptaku z Las Vegas”, który przez lata nadawał ton w tenisie wraz ze swoim nieco bardziej dominującym rywalem, Pete’em

Samprasem. W przeciwieństwie jednak do niego Agassi po swoich 30. urodzinach nadal jest aktywny i nie brak mu motywacji. Ośmiokrotny wielkoszlemowy zwycięzca to obok Roddicka ulubieniec Jima McInvale'a, w Houston znanego bardziej jako „Mattress Mack". Self-made milioner z Teksasu, który handluje meblami i materacami, za ponad 24 miliony dolarów sprowadził wraz z żoną ATP Finals do miasta astronautów. Organizuje je w Westside Tennis Club, w nieco autorytarny i nietypowy – żeby nie powiedzieć niedbały – sposób.

W porównaniu z pierwszym finałem sezonu Federera, w Szanghaju, w którym wszystko było idealnie zorganizowane aż po ostatni szczegół, warunki w spokojnym Country Clubie go rozczarowują. Pośpiesznie budowany nowy stadion może pomieścić tylko mniej więcej siedem tysięcy widzów – to pojemność, która z zasady zdaje się niewystarczająca na turniej tej rangi. Poza tym z boku od strony wieżyczki sędziego odchodzi fragment nawierzchni kortu i jest ona w tym miejscu tak nierówna, że odskakuje od niej sporo piłek. A ponieważ po raz pierwszy od 1985 roku także finały deblistów odbywają się równolegle do singla, brakuje miejsc w szatni i możliwości treningu. Raz Federer trenuje nawet z Lundgrenem na korcie, na którym nie ma siatki.

Jakby tego było mało, jego nastrój jeszcze bardziej psuje losowanie. Zostaje przydzielony do grupy „Niebieskiej", razem z Ferrero, Agassim i Nalbandianem. Gorzej być nie mogło: z Hiszpanem przegrał trzy na pięć meczów, z Amerykaninem wszystkie trzy, z Argentyńczykiem wszystkie pięć. Dlatego w wywiadzie udzielonym przed turniejem grupce dziennikarzy Federer wyraża się krytycznie. Konkretnie, ale z pewnością siebie mówi – podobnie jak niemiecki zawodnik Rainer Schüttler – że według niego to źle, że nie będą grać w hali, że

stadion jest za mały, a nawierzchnia na korcie wydaje się niegodna takiego turnieju.

Historia ma swój oddźwięk. Krótko potem zwycięzcę Wimbledonu ostro atakuje starszy, chudy, siwy mężczyzna, którego Roger nie zna i który się nie przedstawia – to McIngvale. Krytyka Federera bardzo dotyka patriotycznie nastawionego organizatora. Uważa ją za afront i potępia Europejczyka w wyniosły sposób, do jakiego ten nie jest przyzwyczajony. Wytrącony z równowagi i urażony Szwajcar zastanawia się przez moment, czy natychmiast stamtąd nie wyjechać. Na szczęście się rozmyśla. Bo choć według „Houston Chronicle" przed jego inauguracyjnym meczem przeciwko Agassiemu zostały nawet zrekrutowane grupy fanów mające go zastraszyć i zbić z tropu, turniej ten będzie dla niego drugim szczytowym momentem roku.

W spotkaniu z mocno zmotywowanym Agassim, 11 lat starszym zwycięzcą Australian Open, mimo mozolnego początku i po nerwowej końcówce, w której broni dwie piłki meczowe, Federer osiąga pierwszy sukces i wygrywa 6:7, 6:3, 7:6(7). Decydujący tie-break tego meczu opisuję dla „Tages Anzeiger" następująco: „Szczęście jest po stronie Szwajcara. Przetrwał piłkę meczową przy stanie 5-6, kiedy Agassi zareturnował w siatkę drugi, niegroźny serwis. Przetrwał drugiego meczbola, przy stanie 6-7, dzięki forhendowemu winnerowi. I za chwilę wykorzystał swoją pierwszą piłkę meczową, mijając rywala po krosie – przy czym poprzedzające uderzenie Agassiego bezspornie wylądowało za linią końcową, ale przez sędziów liniowych uznane zostało za przepisowe. Tym samym Federer w rzeczywistości wygrał dwie piłki meczowe".

Jak bardzo wyzwala go to w owym czasie najistotniejsze zwycięstwo w Ameryce Północnej, okazuje się dwa dni później,

kiedy również po raz pierwszy w zawodowym tourze pokonuje Nalbandiana, i to aż 6:3, 6:0. Już w środowy wieczór jest zwycięzcą grupy i półfinalistą. Zły nastrój dawno mu minął, gdy wyraźnie pokonuje także Ferrero, w półfinale wygrywa z Roddickiem i wchodzi do finału.

W nim znów spotyka się z Agassim, który po porażce w meczu inauguracyjnym wygrał kolejne trzy pojedynki. Tym razem Federer nie daje mu żadnej szansy. W zaledwie 88 minut dzięki wygranej 6:3, 6:0, 6:4 sięga po drugie w ciągu kilku dni zwycięstwo nad amerykańską legendą. „To jedno z największych osiągnięć w mojej karierze" – mówi Szwajcar, który przeciwko dwóm Amerykanom w dwóch ostatnich meczach nie musiał bronić ani jednej piłki na przełamanie.

Wynagrodzenie za jego pierwsze zwycięstwo w turnieju w USA jest sowite: otrzymuje 1,52 miliona dolarów, mercedesa kabrioleta i 750 punktów do rankingu, dzięki czemu zrzuca Ferrero z drugiej pozycji. Biorąc pod uwagę liczbę wygranych turniejów (siedem), zwycięstw (78) oraz nagród pieniężnych (cztery miliony dolarów), Federer byłby numerem 1 roku, lecz Roddick zgromadził nieco więcej punktów.

Pod wrażeniem jest także Bud Collins, reporter w kultowych spodniach w kolorach tęczy, którego imieniem w 2015 roku nazwano centrum prasowe US Open. „Zapomnijcie o światowym rankingu. Roger Federer jest teraz najlepszy w tym biznesie" – pisze w „Boston Globe". Tylko mister McIngvale zdaje się twierdzić inaczej. Kto słyszy jego niekończące się przesadne wychwalanie Agassiego podczas ceremonii wręczenia nagród, pyta, czy to rzeczywiście Federer, a nie Amerykanin jest nowym mistrzem turnieju Masters. Ale być może swoim wrogim zachowaniem „Mattress-Mack" wyświadczył Federerowi przysługę i niezamierzenie stworzył mu wyrzutnię, z której mógł wystrzelić także w Stanach

Zjednoczonych. „Houston, we have a problem” nie jest już aktualne. Teraz mówi się: „We have a liftoff!”.

Houston staje się też dla Federera początkiem jego utrzymującej się przez długi czas serii zwycięstw w tym turnieju. Przez lata będzie to dla niego jeden z najbardziej obfitujących w sukcesy przystanków i pobije tam wszystkie rekordy. Rok później, podczas drugiego rozdania w Teksasie, które odbywa się w silnym deszczu, też jest niepokonany. Tym razem mister McIngvale dużo lepiej zorganizował event i znacznie przyjaźniej oraz z większym szacunkiem niż 12 miesięcy wcześniej traktuje Federera.

W następnym roku finał sezonu wraca na cztery lata do Szanghaju i znów odbywa się w hali; specjalnie na tę okoliczność powstał Qi Zhong Stadium, wyposażony w zamykany dach w kształcie kwiatu magnolii. W pierwszej edycji Federer w finale tylko nieznacznie ulega Nalbandianowi, a w 2006 i 2007 znów zdobywa tytuł. Od 2009 roku finał sezonu na nowo rozgrywany jest w Europie, w O2 Arena w Londynie, gdzie pozostanie na wiele lat i dla wielu zawodników okaże się pasmem sukcesów – także dla Federera.

W 2010 i 2011 roku w Londynie, podobnie jak w Houston, Roger jest niepokonany; dwukrotnie wygra z Nadalem, zdobędzie swój tytuł numer 5 i 6, dzięki czemu stanie się rekordowym zwycięzcą zmagań na zakończenie sezonu. W 2017 roku bije kolejny rekord: startuje w tym turnieju po raz 15. i tym samym wypiera Agassiego z pozycji tenisisty, który kwalifikował się do niego najczęściej. Już dawno stał się też uczestnikiem, który podczas ATP Finals pokonał największą liczbę rywali. W latach 2012, 2014 i 2015 znów dochodzi do finału, traci jednak szansę na swój siódmy tytuł, za każdym razem po meczu z Novakiem Đokoviciem, przy czym

w 2014 roku musi poddać się bez walki z powodu problemów z plecami.

27

NA SZCZYCIE

Jeżeli istnieje miłość od pierwszego wejrzenia, to dla Federera jest nią na pewno ta do pierwszej pozycji w światowym rankingu. „Jeszcze gdy byłem juniorem, wydawało mi się to czymś niezwykłym” – wspomina. Gdy w 1998 roku w Miami po finałowym zwycięstwie nad Guillermo Corią w Orange Bowl wraca do apartamentu, z wielką dumą oznajmia szwajcarskiej ekipie: „Hej, jestem numerem jeden”. Potem nakleja na drzwiach swojego pokoju kartkę z napisem: „Tutaj mieszka numer 1”.

Jak wielkie znaczenie ma dla niego ta pozycja, okaże się znów, kiedy w sierpniu 2003 roku po raz pierwszy pojawi się szansa na objęcie jej w gronie zawodowców. Po zwycięstwie w Wimbledonie wystarczyłby mu do tego tylko awans do finału w Montrealu. W półfinale ma się zmierzyć z Roddickiem, którego zawsze pokonywał. Ale Federer gra słabo i traci swoją wielką szansę, przegrywając 4:6, 6:3, 6:7(4). „Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak zdenerwowany – przyznaje potem. – Drżała mi ręka. W trzecim secie miałem przewagę przełamania i wiedziałem, że jeśli wygram, zostanę numerem jeden. W tie-breaku popełniłem dwa podwójne błędy, przegrałem i pomyślałem: o Boże, nie będzie łatwo zdobyć tę pozycję”.

Musi cierpliwie czekać jeszcze prawie sześć miesięcy, zanim znów będzie to możliwe. W Australian Open 30 stycznia 2004 roku po półfinale z Ferrero pada na kolana, wyciąga ręce

do nieba, wiedząc, że się udało. Trzy dni później ma to już czarno na białym: dotarł na dach tenisowego świata i dzięki finałowemu zwycięstwu nad Maratem Safinem dzień wcześniej został też właśnie po raz pierwszy mistrzem Australian Open.

Droga Federera na szczyt była trudna, ale typowa. Im wyżej się wspinał, tym wolniej wiodła go na górę. Potrzebował tylko dwóch lat, by we wrześniu 1999 roku po raz pierwszy pojawić się w Top 100. Pięć miesięcy dobrej gry później był już w Top 50 – jako 18-latek. Ale potem ta krzywa się wypłaszczyła i trwało to ponad dwa lata, nim dojrzał do bycia zawodnikiem z Top 10, a kolejne 20 miesięcy, zanim został numerem 1. Ma już 23 lata i jest dziesiątym najmłodszym graczem, który jak dotąd obejmował tę pozycję.

Niefrasobliwy dotychczas ptak osiągnął jednak swój pułap i nagle lot wychodzi mu bardzo dobrze. Drugi dzień lutego 2004 roku wyznacza początek jego dominacji, której nikt – włącznie z nim samym – nie mógł sobie wyobrazić. W przeciwieństwie do wielu poprzedników nie postrzega cyfry 1 obok swojego nazwiska jako ciężkiego do udźwignięcia balastu. Odwrotnie – rola faworyta mu odpowiada, sprawia, że nabiera animuszu. Świadomość, że rywale muszą pokazać coś szczególnego, by go pokonać, powoduje, że jego pewność siebie jeszcze wzrasta.

Gdy w 2018 roku wspomina w wywiadzie tamten etap kariery, tłumaczy: „Kiedy zaczyna się wygrywać, wszyscy mówią: »Robisz to wspaniale«. Ale ja zawsze byłem bardzo pokorny, w tym sensie, że wiedziałem, że to wszystko może się ulotnić jak kamfora”. Gdy po raz pierwszy został numerem 1, zadał sobie podstawowe pytanie: „Stałem na rozstaju dróg i zastanawiałem się: okej, chcę zostać w tym miejscu czy po prostu cieszyć się podróżą i zobaczyć, jak długo będzie trwała? Postanowiłem, że chcę przeżyć więcej takich momentów, że

chcę grać z właściwym nastawieniem oraz właściwą aurą i – co było dla mnie zawsze bardzo ważne – najlepiej jak to możliwe reprezentować tenis".

Połączenie zaufania, klasy, profesjonalizmu, poświęcenia, dalekowzroczności i gry z myślą o poszanowaniu zdrowia prowadzi do tego, że pozycję lidera rankingu ATP będzie okupował dłużej niż jakikolwiek inny gracz przed nim. Jego imię niezachwianie będzie widniało na szczycie 237 tygodni (cztery lata i 198 dni). Potrzeba było czynników zewnętrznych w postaci problemów zdrowotnych, jak i poniesionej w meczu przeciwko Nadalowi dramatycznej porażki przy zapadającym już zmierzchu w finale Wimbledonu, by 18 sierpnia 2008 roku panowanie Szwajcara zostało przerwane.

Przerwane, ale nie zakończone. Niespełna rok później Federer wraca na szczyt dzięki szóstemu zwycięstwu w Wimbledonie, tym razem na 48 tygodni, zanim znów zostanie z niego zepchnięty przez Nadala. Zaprząta mu to głowę, bo jego łączny czas bycia liderem to 285 tygodni – brakuje mu zatem tylko tygodnia, by zrównać się z Samprasem – rekordzistą, z którym tymczasem się zaprzyjaźnił. Gdy w 2012 roku sięga po swoją siódmą wygraną w Wimbledonie, raz jeszcze obejmuje prowadzenie w rankingu, tym razem po Đokoviciu, na 17 tygodni. Równocześnie poprawia stary rekord Samprasa, i to na 302 tygodnie, zanim znów na pozycji lidera zastąpi go Novak.

Federerowi udaje się jeszcze inny niespotykany dotychczas wyczyn w światowym rankingu. Od 14 października 2002 roku bez żadnej przerwy przez 14 lat i 24 dni należy do Top 10. Z czego przez sześć lat i 230 dni nie jest sklasyfikowany niżej niż na drugiej pozycji (za Nadalem), dopóki po Wimbledonie w 2010 roku po raz pierwszy nie zostanie wyprzedzony przez Đokovicia i zepchnięty na trzecie miejsce.

Do poprawienia rekordu Samprasa nie dojdzie jednak dość długo; chociaż jako 35-latek wygrywa jeszcze Australian Open i Wimbledon, nie wystarcza to w 2017 roku, by znów wskoczyć na pierwszą pozycję. Musi ją zostawić Nadalowi, choć w tamtym sezonie wygrywa z Hiszpanem wszystkie cztery pojedynki. W końcowym rozrachunku zbyt duże znaczenie ma fakt, że odpuszcza cały okres turniejów na kortach ziemnych.

Gdy jednak w 2018 roku Federer z powodzeniem broni tytułu w Melbourne, a Nadal musi się poddać z powodu kontuzji biodra, przed Szwajcarem nagle otwiera się szansa, by po raz czwarty wstąpić na tron tenisowego świata. Nie pozwoli jej sobie odebrać. Dlatego też z niewielkim wyprzedzeniem wciska do swojego kalendarza startów halowy turniej w Rotterdamie – wiedząc, że awans do półfinału wystarczyłby, by wyprzedzić Nadala. W mieście portowym Federer zdobywa nawet tytuł i 19 lutego 2018 roku znów osiąga szczyt – w wieku 36 lat i 195 dni jest zdecydowanie najstarszym zawodnikiem w historii tenisa, któremu się to udaje, o trzy lata poprawiając rekord Agassiego.

Statystycy wyszukują jeszcze inne „smaczki": nikt przed nim po tak długiej przerwie – pięciu latach i 106 dniach – nie potrafił wrócić na pierwszą pozycję w rankingu. Nikt wcześniej także nie pojawił się ponownie na szczycie po ponad 14 latach od pierwszego awansu na najwyższą pozycję.

Tymczasem stosunek Federera do światowego rankingu się zmienił, stał się niemal nonszalancki. To, na którym miejscu jest sklasyfikowany, interesuje go jeszcze tylko na marginesie – tym górnym marginesie, bo fascynuje go wciąż wyłącznie pierwsze miejsce. „Obrona pozycji numer 1 wprawdzie nie jest moim celem, ale byłoby pięknie, by na niej pozostać. Nie mogę temu zaprzeczyć – mówi w 2018 roku. – Bycie najlepszym to zawsze dobre uczucie. Generalnie jest jednym z najważniejszych celów

w sporcie. Dlatego zawsze mówię: »Albo jestem numerem 1, albo inną liczbą«. Ale kiedy mogę być »jedynką«, motywuje mnie to”.

Mimo to nie jest gotów na „przeładowanie” terminarza dodatkowymi turniejami, by dzięki temu móc utrzymać tę pozycję. Dlatego w 2018 roku jego nazwisko jest na szczycie łącznie tylko przez osiem tygodni, podzielonych na trzy etapy. Kiedy 25 czerwca po raz kolejny zostaje zepchnięty z pozycji lidera przez Nadala, od 37. urodzin dzieli Federera mniej niż siedem tygodni.

28

KRÓL TRAWY

Wimbledon 2003 to nie tylko moment przeobrażenia się Federera w mistrza, ale także dzień jego koronacji na króla kortów trawiastych. Zanim znów przegra na tej nawierzchni, minie pięć lat. Seria sukcesów zakończy się dopiero po 65 zwycięstwach i dziesięciu wygranych turniejach, po pięć w Wimbledonie i w Halle.

Jeżeli ktoś wyrazi zastrzeżenie, że nawierzchnia trawiasta raczej niewiele znaczy wobec liczebnie częstszych turniejów na kortach ziemnych czy twardych, na pierwszy rzut oka ma rację, bo przecież gra się na niej tylko przez kilka tygodni w roku. Pod tym względem Federer trafił po prostu do niewłaściwej epoki, bo przecież przez dziesiątki lat trawa była dominującą nawierzchnią w tenisie, prawie jak w piłce nożnej, dopóki nie została wyparta przez łatwiejszą w pielęgnacji i tańszą w utrzymaniu sztuczną nawierzchnię. Gdy w 1962 i 1969 Rod Laver robił swoje dwa (klasyczne) Wielkie Szlemy, nie tylko Wimbledon, ale także US Open i Australian Open rozgrywane były na trawie. W Nowym Jorku nawierzchnia trawiasta zniknęła w 1974 roku, a w Melbourne dopiero w 1987.

All England Lawn Tennis and Croquet Club w Wimbledonie i jego mistrzostwa to świat sam w sobie. Jak żadne inne wydarzenie sportowe podporządkowane są tradycji. Przy dobrej widoczności z dachu Broadcast Centre można dostrzec na północnym wschodzie wielopiętrowe budynki śródmieścia

i The Shard, charakterystyczny, najwyższy londyński drapacz chmur, a także bez trudu zobaczyć samoloty, które co minutę obniżają się w kierunku Heathrow. Mimo to do Londynu jest stąd daleko – można odnieść wrażenie, że człowiek znajduje się na innej planecie. Troskliwie wypielęgnowany kompleks, który za sprawą wielu kwiatów przypomina ogród botaniczny, wydaje się staroświecki. Ale pozory mylą. Teren położony w środku prestiżowej, spokojnej dzielnicy mieszkalnej z pagórkami, parkami i polami golfowymi został stworzony z wykorzystaniem najnowszej techniki i w dalszym ciągu jest rozbudowywany. Mimo to All England Club przypomina żywe muzeum, w którym z każdego kąta czuć powiew pisanej na bieżąco historii tenisa.

Federer od 2003 roku zamienia Kort Centralny w swój drugi salon, a to sprawia, że ten turniej także w Szwajcarii jest punktem kulminacyjnym sezonu tenisowego. Ponieważ w okolicy kompleksu nie ma w zasadzie żadnego hotelu, niektórzy z nas, dziennikarzy, zaczynają wynajmować położone w sąsiedztwie domy, podobnie jak robi to wielu graczy. To również nadaje Wimbledonowi wyjątkowy klimat. Niebezpieczeństwa, że Federer wcześnie odpadnie z turnieju, a reporterzy danych redakcji będą przedwcześnie wzywani z powrotem, raczej nie ma. Jego dominacja jest momentami tak przytłaczająca, że niektórzy koledzy krótko przed rozpoczęciem Wimbledonu zaczynają się zastanawiać, kto w tym roku po finale mógłby reprezentować szwajcarskie media na kolacji mistrzów. Jeden z nich, bazylejczyk, zabiera ze sobą nawet smoking, tak na wszelki wypadek. Jest on jednak zupełnie niepotrzebny: ten, kto może ucztować z mistrzami, w razie potrzeby mógłby się idealnie wystroić w jednym z pokoików All England Club.

Okolica High Street w Wimbledonie, z garstką międzynarodowych restauracji, sklepów i pubów, na dwa tygodnie staje się pępkiem tenisowego świata. Chociaż obejmuje tylko kilka przecznic, to właśnie tutaj tętni życie. Po supermarkecie przechadzają się siostry Williams, na ulicy można spotkać Mirkę z dziećmi, a „u Chińczyka" (którego już niestety nie ma) – rodziców Federera, można też zobaczyć Novaka Đokovicia podczas joggingu albo Borisa Beckera wyjeżdżającego zza rogu czarną limuzyną.

Centralny pub przy High Street nazywa się The Dog and Fox[2], i to nie przypadkiem. W nocy od strony Wimbledon Common, rozległego dziewiczego kompleksu parkowego, dzielnicę co rusz przemierzają lisy. Czasami wydaje się, jakby organizowały zgromadzenia na ulicy przed naszym domem. Gdy pewnego razu odwiedzam zimą All England Club, trawę kortu centralnego zastaję ogrodzoną płotem z linką pod napięciem, tak by chronić ją przed tymi cwanymi gagatkami, które nie mają żadnego szacunku do „świętych" sportowych obiektów i najchętniej wtargnęłyby na sam jego środek.

Dzieje się to 14 grudnia 2013 roku, a Federer jest właśnie na krótko w Londynie, bo telewizja BBC wybrała go sportową osobowością roku. Jeden dzień wykorzystuje na krótki wypad na Wimbledon, podczas którego mogę mu towarzyszyć w związku z reportażem. Razem z Mirką jest zaproszony na lunch przez przewodniczącego klubu Tima Phillipsa, odwiedza muzeum, udziela kilku wywiadów i w ten uderzająco piękny, łagodny zimowy dzień spaceruje po opustoszałym kompleksie, w którym pięć miesięcy wcześniej został prawdziwym mistrzem.

Przypomina mi weterana wojennego, który pełen głębokiego szacunku wraca na pole pamiętnej bitwy. Nie zapomniał żadnego szczegółu, wie też wciąż, na którym korcie zagrał

kiedyś swój pierwszy mecz jako junior albo gdzie wystąpił w deblu z Lleytonem Hewittem. W skupieniu zastyga przed Kortem Nr 2, zwanym Graveyard of Champions*, który rok później ustąpi miejsca nowoczesnej arenie. Zaskakująco wielu faworytów stało się na tym niewielkim korcie ofiarami niespodzianek. Rok wcześniej na Cmentarzu Mistrzów także Pete Sampras przegrał w pięciu setach z kolegą Federera z Pucharu Davisa, George'em Bastlem. Dla tego ostatniego to zdecydowanie najbardziej znaczący sukces w karierze, z kolei dla Samprasa – ostatni występ w jego dawnym królestwie, w którym teraz rządzi Federer.

Sam Roger na tym owianym legendą korcie rozgrywa trzy z siedmiu meczów na drodze do pierwszego tytułu. A przecież wydawało się, że jego marzenie jeszcze raz legnie tu w gruzach, kiedy już w trakcie rozgrzewki z Feliciano Lópezem poczuł ucisk w plecach. „Dla mnie to wciąż jeszcze cud, że z takimi bólami przetrwałem ten mecz – mówi tamtego zimowego dnia. – Myślałem, że to koniec. Byłem tak rozczarowany, że zupełnie się uspokoiłem. Powiedziałem sobie: patrz po prostu, co się dzieje, może dotrzymasz mu kroku w pierwszym secie, może López zrobi się nerwowy i to ty jednak wygrasz. I dokładnie tak się stało".

W budynku Kortu Centralnego, gdzie gracze spędzają ostatnie chwile przed meczem, wzrok Federera dłużej zatrzymuje się na zdjęciu tuż obok legendarnego hasła Rudyarda Kiplinga, który każdemu zawodnikowi wskazuje, co czyni go prawdziwym sportowcem: „If you can meet with triumph and disaster and treat those two impostors just the same". Jeżeli możesz się spotkać z triumfem i porażką i potrafisz traktować tych dwoje oszustów dokładnie tak samo… Fotografia ta przedstawia go z oryginalnym pucharem, który jest przechowywany kilka metrów dalej w witrynie za szybą.

Także tutaj Federer jest w stanie przypomnieć sobie każdy szczegół. To, jak on i Mark Philippoussis, jego rywal z finału, musieli czekać kilka minut i już widzieli górną trybunę Kortu Centralnego, gdy otworzyły się drzwi. Jak odczuwali napiętą atmosferę. Jak człowiek, który wnosił na kort ich torby, zauważył, że to jego ostatnie takie wyjście. Jak Philippoussis nerwowo podskakiwał i jak dobrze on sam się czuł. „Była we mnie piękna radość oczekiwania. Wszystko wydawało się takie spokojne. Potem pojawił się sygnał, że musimy już wyjść. To jest ten moment. Później nie ma już powrotu".

Kilka metrów od wyjścia na kort Federer mówi, że korytarz zaczyna tu iść ciut pod górę. To sprawia, że czuje się większą pokorę i szacunek do tego, co ma nadejść, raz jeszcze skacze poziom adrenaliny, wszystkie zmysły się wyostrzają, a serce wali jak młotem. „Człowiek czuje się ciężki". W tę grudniową niedzielę na trawie, przyciętej wyżej niż zwykle, brakuje linii. Nagle z głośnika na stadionie rozlega się głos: „Proszę nie wchodzić na trawę!". Federer czuje się przyłapany na gorącym uczynku i zaczyna się śmiać. Wtedy dostrzega cztery osoby w muzeum, w małym zimowym ogrodzie, z którego na górze na trybunie widać Kort Centralny. Macha do nich, a one odwzajemniają gest. Na początku nieśmiało, potem trochę bardziej energicznie. Może myślą przez chwilę, że ten człowiek na dole to awatar Federera albo jego sobowtór. Ale przecież jesteśmy w Wimbledonie, a nie w Hollywood.

Podczas mistrzostw Federer początkowo mieszkał w hotelach, aż do momentu, gdy w 2002 roku po raz pierwszy wynajął przestronny dom przy Lingfield Road. Ponieważ po przegranym meczu z Ančiciem musiał wyjechać dwa tygodnie wcześniej, niż planowano, rok później mieszkał już dużo skromniej. Jego trzypokojowe mieszkanie przy Lake Road 10 miało tylko dwie sypialnie, jedną dla niego i jego dziewczyny, drugą dla

Lundgrena. Fizjoterapeuta Pavel Kovac musiał nocować w salonie. W 2004 roku Roger wprowadził się do tego samego domu przy Clifton Road, który wcześniej przez długi czas wynajmował Sampras. Rok później znów szukał dla siebie nowego lokum, bo zdawało mu się, że właściciel kwatery chce go oskubać. Na przestrzeni lat domy, które wynajmował Federer, były coraz piękniejsze, wygodniejsze i większe, aż w końcu jeden już nie wystarczał, by pomieścić rodzinę, team, trenerów, opiekunki dla dzieci, kucharza i tak dalej.

Federerowi przez długi czas udawało się sprawić, że Wimbledon był dla niego – i tym samym także dla nas, dziennikarzy – spokojny i bezstresowy. W pewnym momencie jego ojciec znów zdobył się na to, by zasiąść na trybunie, po szokującej porażce z 2002 roku z Ančiciem, za którą czuł się współodpowiedzialny. Na przestrzeni tych lat nawet straty seta były tu dla Federera wyjątkiem, z reguły wygrywał mecze rutynowo w trzech partiach. Dość dobrze kontrolował także swojego jak na razie najgroźniejszego konkurenta, Andy'ego Roddicka. Po tym, jak w 2003 roku już w półfinale wyraźnie pokonał Amerykanina, w dwóch kolejnych latach za każdym razem wygrywał z nim w finale.

Te znacznie się od siebie różnią. W pierwszym finale Wimbledonu przeciwko Roddickowi Federer przegrywa już wyraźnie 4:6, 7:5, 2:4, gdy niebo pośpiesza mu z pomocą; 40-minutowa przerwa spowodowana deszczem pozwala mu przemyśleć i dostosować taktykę, dzięki czemu wygrywa trzeciego i czwartego seta 7:6, 6:4. „Trener Federer jest zadowolony z zawodnika Federera" – żartuje, bo chwilowo na tourze nie towarzyszy mu żaden szkoleniowiec. Dwanaście miesięcy później nie pozostawia Amerykaninowi żadnych szans. „To był być może najlepszy mecz, jaki dotychczas zagrałem – mówi w 2005 roku po spotkaniu zakończonym

wynikiem 6:2, 7:6, 6:4. – Miałem wrażenie, jakbym to nie ja grał”.

Roddick trafia na Szwajcara w finale Wimbledonu jeszcze raz, w 2009 roku, i przegrywa także to starcie. Tymczasem Federer przez trzy lata musi mierzyć się z nowym, jeszcze groźniejszym rywalem – Rafaelem Nadalem. W 2006 roku Hiszpan wygrał właśnie po raz drugi Roland Garros, po tym, jak zupełnie niespodziewanie znalazł się w finale. Dwudziestolatek jest pełen wiary w swoje siły, zajmuje już drugie miejsce na świecie, a do tego jako jedyny w tym roku pokonuje Federera – i to od razu czterokrotnie, w tym także w finale w Paryżu, gdzie Roger po raz pierwszy ponosi porażkę w meczu decydującym o wielkoszlemowym tytule.

Ich rywalizacja w Wimbledonie zaczyna się dla Federera zdradliwie, setem wygranym 6:0. Ale już w drugiej partii leworęczny rywal zmusza Rogera do walki aż w tie-breaku, a trzeciego nawet wygrywa. Będzie to jednak jedyna strata seta Federera w całym turnieju. W czwartej partii wychodzi na 5:1 i ostatecznie wygrywa mecz 6:0, 7:6, 6:7, 6:3. „Ogólnie rzecz biorąc, był to mój najlepszy turniej wielkoszlemowy” – mówi po zdobyciu czwartego tytułu w Wimbledonie. W trakcie rundy honorowej paraduje w specjalnie przygotowanym przez sponsora białym żakiecie, który potem trafia prosto do muzeum klubu.

Rok później – w 2007 – Federer ma gościa honorowego, Björna Borga, który w latach 1976–1980 pięć razy z rzędu zdobywał tytuł w Wimbledonie. Szwajcar stoi właśnie przed szansą powtórzenia tego sukcesu i jeżeli miałoby się tak zdarzyć, Borg chciałby przy tym być. Mówi: „Nie ma milszej osoby, która na to zasługuje, niż Roger. Byłoby pięknie, gdyby nie tylko wyrównał moją serię zwycięstw, ale jeszcze ją poprawił”.

Z powodu deszczowej pogody i wygranego bez walki meczu z Tommym Haasem w 1/8 finału Federer nie gra przez pięć dni z rzędu, od soboty pierwszego tygodnia do środy drugiego tygodnia. Na Korcie Centralnym, który jest już przygotowany do budowy zasuwanego dachu, w walce o tytuł znów zmierzy się z Nadalem. Rozwija się burzliwy pojedynek, w którym Federer przy prowadzeniu w setach 2-1, w czwartym secie przegrywa nagle 0:4 i denerwuje się na elektroniczny system weryfikacji, który Hiszpan ciągle wzywa na pomoc. „Shit. It's killing me today" – mówi do sędziego Carlosa Ramosa i prosi go, oczywiście bezskutecznie, aby wyłączył system. Nadal wygrywa seta i zdaje się mieć przewagę w piątym. Ubaldo, doświadczony dziennikarz z Włoch, szepcze mi do ucha: „Tym razem Federer już się z tego nie wygrzebie".

Ale mój kolega po piórze się myli. Federer broni w trzecim i piątym gemie decydującego seta dwie piłki na przełamanie, czyli Nadal miał „małe" meczbole. Chwilę potem prawie z niczego sam przełamuje rywala na 4:2 i wygrywa 7:6, 4:6, 7:6, 2:6, 6:2. Borg jest jedną z pierwszych osób, które gratulują Szwajcarowi zwycięstwa, zjawiają się też McEnroe i Connors. „Za każdym razem, kiedy przyjeżdżałem na Wimbledon, widziałem na tablicy zwycięzców, że pięć razy z rzędu wygrawerowano na niej nazwisko Borg. To, że go wyprzedziłem, jest wręcz nierealne" – mówi Federer. Niektóre anglojęzyczne gazety wykorzystują grę słów sugerującą odrodzenie Federera i wynoszącą go na poziom Szweda: „Bjorn again".

Analogie pomiędzy nim a Borgiem ciągną się w 2008 roku. Oto jedna, bez której Federer mógłby się jednak obejść: podobnie jak Szwed 27 lat przed nim, także on straci szansę na szóste z rzędu zwycięstwo w Wimbledonie. Tak jak Borgowi, i jemu będzie brakowało wprawdzie jeszcze tylko jednego

zwycięstwa, i zupełnie jak Borg w starciu z McEnroe, także i Federer przegra mecz z leworęcznym graczem. W 2008 roku w grudniu Roger zachoruje na mononukleozę zakaźną, późno ją zauważy, a w efekcie praca nad formą wywróci się do góry nogami. W trakcie Wimbledonu prowadzi jeszcze wprawdzie w rankingu, ale wygrał tylko dwa mniejsze turnieje i w finale Roland Garros przegrał swoje trzecie starcie z Nadalem, druzgocącym wynikiem 1:6, 3:6, 0:6.

Dzień, w którym zostaje obalony jako król kortów trawiastych, staje się jednym z najdziwniejszych w historii Wimbledonu, a nawet całej historii tenisa. I jednym z najdłuższych: 6 lipca przez cztery godziny i 48 minut pojedynkują się dwaj wówczas najwięksi rywale w tej dyscyplinie. Grają zapierający dech w piersiach i wysokiej klasy mecz, który wielu ekspertów natychmiast uznaje za najlepszy w całej historii tenisa. Ponieważ do rzeczywistego czasu gry dochodzą przerwy zarządzone z powodu deszczu – jedna 80-minutowa w trzecim secie i druga 30-minutowa przy stanie 2:2 w piątym – mecz kończy się dopiero o 21:16, w zapadającym zmroku.

Federer aż do finału nie oddał choćby seta, ale seria porażek przeciwko tenisiście z Majorki, który po raz trzeci wyzywa go na pojedynek w finale Wimbledonu, zostawia po sobie ślady. Respekt Szwajcara daje się zauważyć szczególnie przy szansach na przełamanie. Rozgrywa te breakpointy trochę niepewnie, trochę nerwowo i wykorzystuje tylko jedną z 13 okazji, na 4:1 w drugim secie. Ale nawet tego seta przegrywa w to wietrzne popołudnie, przez co robi się już 0-2 w setach. Rafa ma tyle breakpointów, ile Roger, ale wykorzystuje cztery z nich. Dzięki dwóm wygranym tie-breakom Federer ratuje się jeszcze w trochę cudowny sposób i dochodzi do decydującego seta. W drugiej z tych dogrywek odrabia straty, mimo że przegrywał

już 2-5, ale za chwilę obronił dwie piłki meczowe, w tym drugą trudnym pasingszotem z bekhendu, po czym sprawia wrażenie, jakby się ożywił. Traci jednak jedyną szansę na przełamanie w piątym secie, na 5:3, później sam jest przełamany na 7:8 i patrzy, jak Nadal jako pierwszy hiszpański zwycięzca Wimbledonu od 42 lat i czasów Manolo Santany pada na kort. Tymczasem burza fleszy aparatów fotograficznych przeszywa ciemność, tworząc nieprawdopodobną atmosferę.

Wielki mistrz, pokonany po 65 kolejnych zwycięstwach na kortach trawiastych, wróciwszy do szatni, jest wstrząśnięty jak po żadnym innym spotkaniu. Z trudem akceptuje wynik 4:6, 4:6, 7:6, 7:6, 7:9. W trakcie niemieckojęzycznej części konferencji prasowej mówi o katastrofie i jak dotąd jego najboleśniejszej porażce. Wprawdzie przyznaje, że Nadal grał „niewzruszony niczym skała", narzeka jednak na ledwo akceptowalną widoczność pod koniec meczu. „Trudno tylko pogodzić się z tym, że najważniejszy turniej na świecie rozstrzygnął się przy świetle, przy którym praktycznie nie dało się już grać. Było tak ciemno, że w zasadzie nie widziałem już, kto stoi po drugiej stronie siatki". Gdyby dotarli do stanu 8:8, finał musiałby być przerwany i dokończony nazajutrz. Paradoksalnie był to ostatni mecz rozegrany na Korcie Centralnym przed budową dachu. Dla Federera pojawi się on o rok za późno.

Może pocieszyłoby go, gdyby tamtego wieczoru wiedział, że jego seryjne zwycięstwa w Wimbledonie będą kontynuowane już w kolejnym sezonie. Że w 2009 roku dzięki wygranej 5:7, 7:6, 7:6, 3:6, 16:14 w meczu przeciwko Roddickowi po raz szósty zdobędzie Challenge Cup. Że trzy lata później po finale z Andym Murrayem siódmym tytułem nawiąże do rekordzistów Pete'a Samprasa i Williama Renshawa. I że nie będzie to jeszcze jego ostatni triumf w południowo-zachodnim Londynie.

29

NA BROADWAYU

„If I can make it there, I'll make it anywhere"[3] – każdy zna śpiewaną przez Franka Sinatrę odę do Nowego Jorku, tego domagającego się poważania miasta w stylu glamour, z Manhattanem, lasem drapaczy chmur. Miasta, które nigdy nie śpi, tej „betonowej dżungli, w której spełniają się marzenia" – jak śpiewali Jay-Z i Alicia Keys wiele lat po Sinatrze. W zawodowym tenisie przesłanie Franka jednak nie obowiązuje: ten, kto wygrał turniej wielkoszlemowy niedaleko Broadwayu, nie ma żadnej gwarancji, że poradzi sobie we wszystkich innych znaczących zawodach. Spójrzcie na Jimmy'ego Connorsa i Pete'a Samprasa: obaj pięć razy wygrywali US Open, ale zawsze ponosili porażki, polując na tytuły na ziemnych kortach Rolanda Garrosa. Popatrzcie na Johna McEnroe, Stefana Edberga i Borisa Beckera, trzech innych zwycięzców US Open, którym również nie było dane zdobyć tytułu w Paryżu. Albo na Ivana Lendla, który jako trzykrotny mistrz z Nowego Jorku musiał przejść na emeryturę bez wygrania Wimbledonu.

Ale także stwierdzenie odwrotne do tego z przeboju Sinatry nie potwierdza się w tenisie: ten, komu nie powiedzie się w Nowym Jorku, i tak może cieszyć się nadzwyczajną karierą. Jak Björn Borg, który zdobył 11 tytułów wielkoszlemowych, wszystkie w Londynie i w Paryżu. W Melbourne, gdzie za czasów Szweda turniej był najmniej znaczącą z czterech

największych imprez tenisowych, rywalizował tylko raz, jako raptem 17-latek. Natomiast Nowy Jork stał się jego Waterloo, mimo dziesięciu prób i czerech występów w finale. Po czwartej porażce w meczu finałowym Borg w 1981 roku miał dość i nie wystartował już w żadnym wielkoszlemowym turnieju, choć skończył wtedy dopiero 25 lat.

Poza tym w swoich dwóch pierwszych startach w US Open Szwed występował na trawie, a od 1975 do 1977 roku na korcie z ceglanej mączki – dwóch nawierzchniach, na których radził sobie najlepiej. Dopiero od czasu przeniesienia w 1978 roku turnieju z Westside Tennis Club w Forest Hills na sąsiednie Flushing Meadows amerykańskie mistrzostwa są rozgrywane na twardych kortach. W Stanach Borg przez lata używał rakiet marki Bancroft, podczas gdy wszystkie swoje legendarne sukcesy odnosił, grając sprzętem Donnaya. „To był idiotyzm, bo te bancrofty to naprawdę nie były dobre rakiety" – mówi Heinz Günthardt, który przez wiele lat towarzyszył Borgowi.

Na takie kompromisy Federer nigdy nie był gotowy. Ale także jemu w Nowym Jorku długo nie szło gładko. Kiedy w 2004 roku przyjeżdża na US Open, jest już dwukrotnym zwycięzcą Wimbledonu, Australian Open i turnieju Masters, a także liderem rankingu. Już w ćwierćfinale trafia na 34-letniego Agassiego i wychodzi na prowadzenie 6:3, 2:6, 7:5, lecz późnym wieczorem na Flushing Meadows zaczyna padać i mecz zostaje przełożony. Po jego wznowieniu w czwartkowe popołudnie wiatr o sile huraganu stwarza warunki, które Federer określi jako najgorsze, w jakich kiedykolwiek przyszło mu grać.

„Jeszcze pięć lat temu wyszedłbym z siebie przy takim wietrze" – mówi. Nie jest już jednak takim cholerykiem jak kiedyś, wie, jak nad sobą panować. I dzięki swojej technice lepiej niż Amerykanin potrafi dostosowywać się do silnych

podmuchów. Po ciężkiej walce wygrywa piątego seta 6:3 i wydaje z siebie okrzyk ulgi.

Po tym, jak zdecydowanie przegrał trzy pierwsze spotkania z Agassim, czując się wtedy „jak uczniak", wyszedł właśnie w rywalizacji z amerykańską legendą na prowadzenie 4:3. Gwiazdor z USA hojnie zasypuje go komplementami. „To zupełnie inny człowiek niż ten, którego pokonałem na Key Biscayne – napisze w swojej autobiografii *Open*. – Na moich oczach wyrasta na największego gracza wszech czasów". I zachwyca się dalej: „Jestem zmuszony podziwiać jego niezwykłe umiejętności, wspaniałe opanowanie. Jest najbardziej imponującym tenisistą, jakiego kiedykolwiek znałem".

Choć Federer, trafiając potem na Tima Henmana i Lleytona Hewitta, musi zmierzyć się z graczami, którzy przez długi czas należą do jego najtrudniejszych przeciwników, nie pozwala sobie odebrać czwartego wielkoszlemowego tytułu. Nie oddaje już choćby seta i finał, w którym spotyka się z Hewittem, dotychczas niepokonanym w tym turnieju, zamienia w arcydzieło. W pierwszym secie oddaje Australijczykowi tylko pięć punktów i za sprawą wyniku 6:0, 7:6, 6:0 jest pierwszym tenisistą od 1884 roku, który w finale amerykańskich mistrzostw wygrywa dwa sety bez straty gema. „Federer-Express" mknie z najwyższą prędkością.

O tym, jak przeżywał piłkę meczową z pojedynku, który doprowadził go do pierwszego zwycięstwa w US Open, mówi następująco: „Najpierw poczułem się zaskoczony, że Lleyton nie podszedł już do piłki. Potem nagle położyłem się na plecach, popatrzyłem w niebo i zobaczyłem światła stadionu. Pomyślałem: to niewiarygodne. Byłem bliski łez". Jest czwartym tenisistą w Erze Open, który wygrywając Australian Open,

Wimbledon i US Open, zdobywa trzy z czterech wielkoszlemowych tytułów w tym samym roku.

Zwycięstwo na Flushing Meadows sprawia, że nagle staje się znany także w świecie tenisa w USA. W poniedziałkowy poranek wożony jest wypasioną limuzyną od jednego studia telewizyjnego do następnego: 7.45 ESPN, 8.30 *Early Show* w CBS, 9.30 *Live with Regis and Kelly*, potem ma sesję zdjęciową na Times Square, spotkanie z dziennikarzami prasowymi w Hardrock Café, o 14.30 jest gościem w talk-show Johna McEnroe, potem w *Charlie Rose Show*…

W 2005 roku szala rywalizacji z Agassim coraz bardziej przechyla się na jego korzyść. Roger wyraźnie pokonuje go w Melbourne, Dubaju oraz Miami i prowadzi po siedmiu zwycięstwach z rzędu 7:3. Amerykanin ma już wtedy 35 lat i z powodu problemów z plecami dotrzymuje kroku najlepszym tylko dzięki obficie dozowanym zastrzykom kortyzonu. Kiedy zjawia się na US Open, wciąż jest jednak numerem 7, wygrał właśnie turniej w Los Angeles, a w Montrealu przegrał dopiero w finale z Nadalem. W Nowym Jorku ten sentymentalny ulubieniec publiczności staje się niespodzianką i główną atrakcją. Rzucając na szalę wszystkie siły, wygrywa z Malisse'em, Blakiem i Gineprim trzy ostatnie mecze po pięciosetowych maratonach i awansuje raz jeszcze do finału, w którym będzie walczył o trzeci tytuł, po triumfach w 1994 i 1999 roku. Każdy ma świadomość, że byłby to idealny happy end jego kariery.

Federer natomiast do swojego szóstego wielkoszlemowego finału awansuje o późnej porze w „Super Saturday", po czterosetowym zwycięstwie nad Hewittem, z którym musiał ostro walczyć przez trzy godziny. W tym momencie Agassi jest już dawno w hotelu. Organizatorzy wysłuchali jego prawie błagalnej prośby i wbrew pierwotnemu planowi wyznaczyli

półfinał z jego udziałem jako pierwszy, co daje mu kilka cennych godzin odpoczynku. US Open jest w tamtym okresie jedynym wielkoszlemowym turniejem, w którym – ze względu na większą oglądalność telewizyjną – półfinały singla mężczyzn są rozgrywane w soboty, a nie w piątki.

Walka o tytuł odbywa się 11 września, w czwartą rocznicę ataku terrorystycznego na World Trade Center. Na największym na świecie tenisowym stadionie zjawia się 23 352 widzów, na trybunach pojawiają się znane twarze, na przykład Robin Williams, Dustin Hoffman, Lance Armstrong czy Donald Trump. Nastrój jest przesycony patriotyzmem. Powiewają niezliczone amerykańskie chorągiewki, a przed meczem na całym korcie rozciągnięto ogromną flagę państwową gospodarzy. Ten dzień należy do Stanów Zjednoczonych, to właśnie dziś Agassi powinien ukoronować swoją karierę.

Kiedy Federer wchodzi na kort, musi czuć się jak niewolnik w starożytnym Rzymie, którego rzuca się na pożarcie lwom przed żądną krwi publiką. Wprawdzie jest postrzegany jako faworyt i natychmiast wychodzi na prowadzenie, ale potrzebuje potem aż ośmiu piłek setowych, by wygrać tę partię 6:3. Atmosfera na trybunach mu nie sprzyja. I od razu w drugim secie Roger traci kontrolę nad meczem – 6:2 dla Agassiego. Także w trzeciej odsłonie Amerykanin wychodzi na prowadzenie 4:2, zbliża się do 5:2. Wtedy Federer ma szczęście, bo odbita przez niego brzegiem rakiety piłka ląduje na linii. Więcej mu nie potrzeba. Niespodziewanie doprowadza do powrotnego przełamania i znów ma Agassiego w szachu. Dochodzi do tie-breaku i w nim Federer wrzuca – jak Amerykanin nazwie to później w swojej biografii – „dodatkowy bieg, którego nie mają inni gracze”. Bezdyskusyjnie wygrywa tę dogrywkę 7-1 i tym samym trzeciego seta, czym łamie opór

Agassiego. Kiedy pospiesznie przerabiam swój artykuł z wersji o porażce na wersję o zwycięstwie, Federer bez trudu wygrywa czwartą partię.

Po triumfie 6:3, 2:6, 7:6, 6:1 nie wie, jak mu się to udało – dokładnie jak Agassi, który wylewa gorzkie łzy w ręcznik. „W trzecim secie widziałem się już jako przegranego" – przyznaje potem Federer. To, że zdobył tytuł w meczu przeciwko Agassiemu, z jego punktu widzenia jedynej aktywnej jeszcze legendy w męskim tenisie, ogromnie go uwzniośla. „Grać przeciwko niemu w Nowym Jorku, w finale US Open, podczas gdy sam jestem w przełomowym, szczytowym momencie, a on zmierza do końca kariery – to był prawdopodobnie najważniejszy mecz w moim życiu". Stronniczej publiczności nie robi żadnych wyrzutów, choć przyznaje: „Wprawdzie nastawiałem się na najgorsze, ale było jeszcze bardziej ekstremalnie: 15 przeciwko 24 tysiącom".

W tym pamiętnym meczu zagrał po raz ostatni przeciwko Agassiemu. A dla Amerykanina był to ostatni finał w karierze, ostatnia, wyjątkowa, ale utracona szansa; w ciągu kolejnych 12 miesięcy wystartuje w dziewięciu turniejach i podczas US Open 2006 zakończy karierę pełną emocji mową pożegnalną.

Jak głęboko tkwi cierń, który Federer wbił w karierę Agassiego, zrozumiem dopiero kilkanaście lat później – kiedy w 2017 roku odwiedzę Amerykanina w Las Vegas na zaproszenie szwajcarskiego producenta zegarków. Gdy prezentuje nam imponujący szkolny kampus swojej fundacji, pytam go mimochodem, czy wie, że kiedyś przyczynił się do tego, że Federer już w wieku 22 lat założył własną fundację. Agassi wyjaśnił mu, że nigdy nie jest za wcześnie na rozpoczęcie działalności charytatywnej. Ten wciąż ambitny, kochający rywalizację typ nie uznaje mojego pytania za komplement, czyli tak, jak powinno być odebrane. Reaguje,

jakby poczuł się urażony: „A więc jeszcze i w tym mnie pobił…”. Na jego twarzy nie ma ani cienia ironii.

Warta uwagi jest też zmiana w sposobie, w jaki Amerykanin zaczął mówić o Federerze. Po US Open 2005 w długich pochwałach określał go jako najlepszego tenisistę, z jakim kiedykolwiek grał, nazywał go rywalem bez słabości. Kilka lat później – kiedy Federer odbierał mu kolejne rekordy – zaczął stawiać sukcesy Nadala, przeciwko któremu grał tylko dwukrotnie, oba mecze przegrywając, ponad osiągnięcia Szwajcara, podając przy tym każdy możliwy argument.

Ale także podczas pożegnalnego turnieju Agassiego, US Open 2006, zwycięzcą jest Federer, tym razem po finale z Roddickiem. W 2007 i 2008 roku „Swiss Maestro” znów wygrywa ten turniej, po finałach z Đokoviciem i Murrayem, którzy po raz pierwszy walczą o wielkoszlemowy tytuł. Seria zwycięstw Federera nieopodal jednego z nowojorskich portów lotniczych, LaGuardia, kończy się dopiero po pięciu tytułach z rzędu, w finale w 2009 roku, w którym przeciwko Juanowi Martínowi del Potro Szwajcar wypuszcza mecz z rąk mimo prowadzenia w setach 2-1. To jeden z tych pojedynków, które Roger rozegrałby z chęcią raz jeszcze, gdyby tylko mógł.

Od rozpoczęcia panowania Federera na Flushing Meadows, czyli od lata 2004 roku, w Ameryce Północnej pozostaje on niepokonany przez dwa lata i 55 meczów z rzędu. Obok pięciu trofeów zdobytych w US Open w ciągu tych pięciu lat wygrywa tutaj dziesięć kolejnych ważnych turniejów, od Indian Wells, przez Miami, Cincinnati i Toronto, po Houston.

30

ŚLADY NA MĄCZCE

Losy Rogera Federera na kortach ziemnych łączą się nierozerwalnie z rywalizacją z Rafaelem Nadalem. To, że jego kariera zazębia się z karierą najsprawniejszego, najbardziej utytułowanego i najbardziej regularnego tenisisty, jaki kiedykolwiek występował na tej nawierzchni, przyćmiewa fakt, jak Szwajcar sam potrafił dominować na ceglanej mączce. Dlatego to nie przypadek, że w 2009 roku zdobywa tytuł na Roland Garros – ostatnie z pożądanych, ale brakujących mu jeszcze trofeów. Ponieważ osiągnął to w dość zaawansowanym jak na tenis wieku 28 lat, sukces ma w sobie jeszcze więcej magii.

Przez długi czas wiele osób mylnie nie uznaje Federera za specjalistę od gry na kortach ziemnych. Z jednej strony to skutek wprawdzie niewielkiej, ale jednak istotnej przewagi Nadala na tej nawierzchni, z drugiej natomiast – mistrzostwa Rogera na trawie i kortach twardych. Gdyby Nadal nie pojawił się w erze Federera, ten drugi seryjnie zwyciężałby także na kortach ceglanych i w Paryżu. Guy Forget, dawny francuski tenisista z czołówki, który w 2016 roku został dyrektorem turnieju Roland Garros, powiedział: „Gdyby nie Nadal, Federer wygrałby tutaj już sześć razy”.

Tę tezę można łatwo podeprzeć statystykami. Po tym, jak Federer po raz pierwszy zostaje numerem 1, w ciągu pierwszych dziesięciu lat awansuje do 19 finałów na mączce.

Tylko Nadal osiągnął lepszy wynik. Poza tym Roger wygrywa wszystkie sześć finałów, w których nie mierzy się z tenisistą z Majorki. Również i jego pokonuje dwukrotnie: w 2007 roku w Hamburgu, kiedy kończy serię 81 zwycięstw Hiszpana na mączce, i w 2009 roku w Madrycie. Ulega mu natomiast w 11 walkach o tytuł – czterokrotnie na Roland Garros, trzykrotnie w Monte Carlo, dwukrotnie w Rzymie i po jednym razie w Hamburgu i Madrycie. Nie trzeba być matematykiem, by wysnuć wniosek, że kilka z tych turniejów Federer by wygrał, gdyby nie trafił na Nadala. A tak jego bilans w paryskich finałach pozostaje mocno niekorzystny (1:4), Rzym i Monte Carlo natomiast wliczają się nawet do dwóch najważniejszych turniejów, których później nigdy już nie wygra, choć w obu awansował do finału łącznie cztery razy.

Sam Federer uparcie zwraca uwagę na fakt, że dorastał na kortach ziemnych i że także na tej nawierzchni nie widzi dla siebie ograniczeń. Korty z ceglanej mączki są w Szwajcarii tenisową bazą. Stanowią 80 procent z ponad trzech tysięcy tych pod gołym niebem. Także wiele z 620 kortów w halach ma nawierzchnię ze zbliżonego do sproszkowanej cegły granulatu. Zimą nad kortami ziemnymi stawia się balonowe zadaszenia, by można było grać przez cały rok.

Jest jednak także ewidentne, że Federera zawsze najłatwiej pokonać na mączce. Było to widać już w czasach juniorskich, przy czym także wtedy potrafił błysnąć. Dwa z pięciu tytułów wywalczonych w turniejach ITF do lat 18 zdobywa na mączce, oba we Włoszech, w Prato i we Florencji. W roku, w którym zostaje mistrzem świata juniorów, na Roland Garros ponosi jednak porażkę w pierwszym meczu – przeciwko Czechowi Jaroslavowi Levinskiemu, o którym nie usłyszymy już później wśród zawodowców.

Ceglana mączka, podobnie jak trawa, jest niezwykle wymagającą nawierzchnią. Potrzeba na niej odpowiedniej pracy nóg, wślizgiwania się w piłki. Ziarna mączki wyhamowują nieco piłki i pozwalają im wyżej odskakiwać, co w defensywie daje graczom dodatkowe ułamki sekund, często umożliwiające przygotowanie się do wykonania ratunkowego minięcia albo loba, podczas gdy na szybszych nawierzchniach wymiana byłaby już skończona. Zmiany temperatury, różnice w budowie kortów, wysokość nad poziomem morza, wiatr, stopień nawodnienia i różna wilgotność powietrza sprawiają, że warunki gry zawsze są inne. Obowiązuje tutaj podstawowa zasada: piękna, ciepła pogoda wysusza nawierzchnię i nadaje prędkość, a poprzez to jest dla ofensywnie grających tenisistów korzystniejsza niż zimno i wysoka wilgotność.

Rafa Nadal od samego początku dysponuje całym wachlarzem umiejętności, dzięki którym może zneutralizować mocne strony Federera i wyeksponować jego słabości – i to właśnie na mączce. Swoją główną bronią, bitym w większości po krosie forhendem, nieustannie zmusza Federera do trudnej i nielubianej przez niego defensywy ze strony bekhendowej. Ponadto Roger często musi sięgać po te piłki powyżej linii barków, bo Rafa nadaje im niespotykanie silną rotację awansującą. No i przede wszystkim – gra w tenisa lewą ręką, przez co swoim najsilniejszym uderzeniem może zaatakować słabszą stronę prawie każdego rywala. Leworęczni w tenisie stanowią tylko dziesięć procent zawodników i według różnych badań korzystają na tym. I tak na przykład na ważniejszej stronie, na której rozgrywana jest większość piłek na przełamanie, z reguły najefektywniejszym atakiem na zewnątrz na stronę bekhendową rywala mogą wypchnąć go daleko z placu gry i tym samym otworzyć sobie kort. Taką możliwość praworęczni gracze mają w pojedynku z leworęcznymi tylko na

polu równowagi, na którym zdobywa się wyraźnie mniej ważnych punktów (tylko przy stanie 15-40 do piłek na przełamanie).

„Każdy tenisista ma swoje schematy – wyjaśnia Heinz Günthardt, który przez lata był trenerem Steffi Graf. – Ponieważ leworęczni zawodnicy dużo częściej grają z praworęcznymi niż na odwrót, w tej konstelacji nie muszą zmieniać swojego wzorca, praworęczni natomiast już tak". Do lubianych schematów Federera należy na przykład zagranie pierwszego odwrotnego forhendu po krosie, a więc po przekątnej od strony bekhendu. Przeciwko praworęcznemu zawodnikowi uderzenie to przygotowuje atak na jego bekhend, przeciwko leworęcznemu piłka ląduje na jego mocniejszej stronie forhendowej, przez co zagranie traci na skuteczności.

Dwunastokrotny australijski zwycięzca wielkoszlemowy Roy Emerson w 2017 roku stawia nawet śmiałą tezę: „Grając prawą ręką, Nadal nie wygrałby żadnego wielkoszlemowego turnieju". Przeciwnicy Hiszpana, który poza kortem jest praworęczny, bronią się przed tak dosadnymi wypowiedziami. Chyba przede wszystkim dlatego, by nie wyjść na takich, co nie potrafią przegrywać i uciekają w wymówki. Wkrótce należy do nich także Federer. Po pierwszym pojedynku z Nadalem w Miami od razu zwraca jednak uwagę, że Hiszpan jako gracz leworęczny miał nad nim przewagę. I to nie tylko dlatego, że pozwalało mu to efektywniej atakować stronę bekhendową Rogera, ale też z tego powodu, że jego własny forhend był w tej sytuacji dużo mniej powalający. „Nadal dużo pracował nad swoją grą, ma wspaniały forhend, jest bardzo szybki i ma ducha walki jak Lleyton Hewitt – mówi Federer pewnego wieczoru na Florydzie. – Poza tym jest leworęcznym zawodnikiem, a przeciwko nim mój forhend nie jest tak efektywny jak przeciwko graczom praworęcznym. Myślę, że w najbliższych

latach będzie najmocniejszym leworęcznym tenisistą na świecie”. Bez cienia wątpliwości miał rację.

Kiedy dwa lata później poruszam ten temat w wywiadzie, Roger wciąż mówi o tym dość bezstronnie. „Pokazał mi wyraźnie kilka deficytów w mojej grze, których wprawdzie byłem świadom, ale które on jako gracz leworęczny może lepiej wykorzystywać. Sprawił, że zacząłem się nad tym zastanawiać, i skłonił mnie do dokładniejszej pracy. Zabrałem się do poznawania zasięgów leworęcznych graczy, w czym znaczącą rolę odegrał Tony (Roche), bo sam jest jednym z nich. Dla mnie gra z nimi to coś zupełnie innego. Nadal ma tę przewagę, że zawodników leworęcznych jest bardzo niewielu. Rocznie gram może z pięcioma takimi tenisistami”.

Federer zgadza się również z powszechnym przypuszczeniem, że w pojedynkach przeciwko Hiszpanowi w tamtym czasie – późnym latem 2006 roku – nie przegrywałby w ogólnym rozrachunku 2:6, ale raczej prowadziłby 6:2, gdyby ten grał w tenisa prawą ręką. „Też mi się tak wydaje. Miałby dużo trudniej. Ale jest, jak jest, i gra lewą ręką wychodzi mu niezwykle dobrze. Bardzo poprawił się też jego bekhend. Ale naszego bilansu nie można traktować zbyt poważnie – w końcu na mączce zagraliśmy raptem cztery mecze. Gdyby częściej mnie pokonywał na kortach twardych, trzeba byłoby powiedzieć, że jest lepszy. Ale tego się nie spodziewam. Dla mnie wszystko jest w porządku”.

Coraz lepiej jednak widać, że przeciwnik z Hiszpanii, który na korcie zmienia się w maszynę do walki, ma nad Federerem przewagę psychiczną. Żeby to wyjaśnić, trzeba wrócić do pojedynków z wczesnego okresu ich rywalizacji.

Kiedy Nadal jako przedwcześnie dojrzały nastolatek pojawia się na tenisowej scenie – w wieku 16 lat pokonuje w 2002 roku w Monte Carlo Alberta Costę, który za kilka tygodni wygra

Roland Garros – Federer to już uznany zawodnik z czołówki, a krótko potem niekwestionowany numer 1. Szwajcar jest prawie pięć lat starszy. Nadal patrzy na niego z podziwem. Poza kortem Hiszpan jest wstydliwy i powściągliwy, podczas wywiadów wciąż jeszcze potrzebuje tłumacza, bo kiepsko mówi po angielsku. Role w tych pojedynkach są tym samym jasno rozdzielone: Nadal jest pretendentem, który nie ma nic do stracenia, Federer zaś faworytem, który może tylko przegrać. Ale kilkunastoletnia rywalizacja zaczyna się dla niego źle. W pierwszym pojedynku między nimi, 28 marca 2004 roku w Miami, Federer zostaje pokonany. Osiem dni wcześniej, po sześciu meczach rozegranych częściowo w koszmarnym upale, wygrał turniej w Indian Wells. Jeszcze tego samego wieczoru po finale zmaga się z gorączką, nudnościami, wymiotami i bólem kończyn – ma udar cieplny. „Roger prawie nigdy nie choruje, ale tym razem naprawdę nieźle go wzięło" – opowiada Mirka.

Z Kalifornii leci do Portland w stanie Oregon, do głównej siedziby firmy Nike, która wyposaża go w sprzęt. Ma się tam odbyć sesja zdjęciowa do spotów reklamowych. Ze względu na stan Federera musi być ciągle przerywana. Jego cierpienia trwają także w trakcie podróży na Florydę. Podczas przesiadki na lotnisku w Los Angeles czuje się tak źle, że nie jest już w stanie iść, spóźnia się na kolejny samolot i musi spędzić noc w hotelu.

W Miami, gdzie ma się wywiązać z kolejnych komercyjnych zobowiązań wobec swoich partnerów produkujących rakiety tenisowe, jego samopoczucie poprawia się bardzo powoli i Roger rozważa rezygnację ze startu. Korzysta jednak z przywileju wolnego losu w pierwszej rundzie, a jego mecz przeciwko Nikołajowi Dawydience z powodu złej pogody zostaje przesunięty na sobotę. Startuje więc i nawet wygrywa po dwóch żmudnych godzinach.

Federer ma właśnie za sobą 12 zwycięstw z rzędu, ale przed meczem z Nadalem w grupce szwajcarskich dziennikarzy przeważa sceptycyzm. Hiszpan liczy sobie wprawdzie dopiero 17 lat, lecz jest już numerem 34 w światowym rankingu. Nikt jednak nie przypuszczał, że może być aż tak źle. W ten ciepławy wieczór wczesnego lata, przed publicznością wypełniającą trzy czwarte trybun, Federer jest bez szans. Podczas gdy on nie ma żadnej piłki na przełamanie, sam jest przełamywany na 2:3 i 3:6. W drugim secie, prowadząc 40-0, traci jednak swój serwis po raz trzeci w tym meczu, na 2:4, i ostatecznie przegrywa 3:6, 3:6.

Nadal dyktuje warunki gry zarówno potężnymi drajwami pod końcową linię, bezlitosnymi returnami, jak i okazjonalnymi atakami przy siatce, które prawie zawsze prowadzą do zdobycia przez niego punktu. „Udał mi się jeden z najlepszych meczów w życiu, grałem prawie idealnie i serwowałem niesamowicie dobrze, dużo lepiej niż kiedykolwiek wcześniej” – opowiada potem. Skromnie dodaje, że Federer był przemęczony, w innym wypadku na pewno by z nim przegrał.

Do drugiego pojedynku dochodzi dopiero rok później, ponownie w Miami, tym razem w finale. Federer znów długo nie potrafi znaleźć żadnego sposobu na nowicjusza i przegrywa już 2:6, 6:7, 1:4, ale ostatecznie udaje mu się wygrać w pięciu setach. Dwa pierwsze mecze nie przechodzą bez śladu. Kiedy niewiele później spotyka Nadala w półfinale Roland Garros, brakuje mu typowego dla niego poczucia wyższości, zwłaszcza że Hiszpan wyrobił już sobie renomę specjalisty od kortów ziemnych. W tym roku wygrał już pięć turniejów na tej nawierzchni, ostatnio trzy z rzędu: w Monte Carlo, Barcelonie i Rzymie.

Federerowi z kolei wciąż brakuje łatwości zwyciężania na mączce. Jako porywczy i pełen temperamentu gracz ofensywny

w starciu z solidnym zawodnikiem defensywnym ciągle idzie na zatracenie. Początek jego kariery na tej nawierzchni też zupełnie mu nie wyszedł – poniósł na niej 11 porażek z rzędu. Na kortach Rolanda Garrosa udaje mu się jednak wcześnie osiągnąć pewien niewiele znaczący, ale budzący szacunek sukces. W 2000 i 2001 roku po raz pierwszy w turnieju wielkoszlemowym awansuje do 1/8 finału i ćwierćfinału, dwukrotnie jednak ulega Àlexowi Corretji i nie wygrywa w tych pojedynkach nawet seta. Dwie porażki w późniejszych latach, z Arazim i Horną, jak i wyraźna przegrana w trzeciej rundzie z wybitnym Brazylijczykiem Gustavo Kuertenem, także nie pomagają mu w kolejnych latach zyskać większej pewności siebie pod wieżą Eiffla.

Półfinał z Nadalem w 2005 roku jest bezsprzecznie jak przedwczesny mecz finałowy. Pierwszym finalistą tego turnieju zostaje Mariano Puerta (Argentyńczyk po turnieju po raz drugi ma pozytywny wynik testu antydopingowego, za co dostaje karę zawieszenia na osiem lat, ale po dwóch będzie ułaskawiony). Z powodu opóźnień wywołanych opadami deszczu i pięciosetowego meczu pomiędzy Puertą a Rosjaninem Dawydienką, Federer i Nadal wchodzą na kort dopiero o 18.20.

W ich pierwszym pojedynku na mączce widać niepewność i respekt Federera. Przede wszystkim w końcowej fazie, której ton nadaje zapadający zmierzch – jak trzy lata później w Wimbledonie – Szwajcar popełnia błędy. Przegrywa 3:6, 6:4, 4:6, prowadzi jednak w czwartym secie 4:2, kiedy nad Paryżem robi się ciemno. Roger sugeruje sędziemu przerwanie meczu, ale prośba zostaje odrzucona. Federer jest poirytowany, gorączkuje się, w okamgnieniu przegrywa cztery gemy z rzędu i tym samym mecz, zanim jeszcze mogłaby go uratować noc. „Źle zacząłem i źle skończyłem – podsumowuje. – Pomiędzy tym szło mi dobrze, ale w ogólnym rozrachunku to nie wystarczyło”.

Ten półfinał nada kierunek rywalizacji, która ukształtuje tenis w nadchodzących latach jak żadna inna. Odtąd Roger wie, że Rafa może łatwo wytrącić go ze strefy komfortu, podczas gdy sam musi zdobyć się na nadzwyczajny wysiłek, by wygrać z nim na kortach ziemnych. Wiele mu wprawdzie nie brakuje, jednak tylko w ciągu następnych 12 miesięcy przegra wszystkie cztery mecze przeciwko Hiszpanowi. Poza tym w 2006 roku w Rzymie zaprzepaści wyjątkową okazję, kiedy w fantastycznym finale, mimo korzystnego położenia, w piątym secie nie wykorzystuje dwóch meczboli.

Mimo klasy Nadala wydaje się, jakby Federer był zadowolony, że wyrasta mu młody rywal, którego trzeba traktować poważnie – możliwe też, że w swoich najlepszych latach momentami czuje się trochę samotny na szczycie. Już wkrótce szuka osobistego kontaktu ze wstydliwym młodym człowiekiem z wyspy na Morzu Śródziemnym. Jesienią 2005 roku gratuluje mu esemesem wyrównania jego rekordu czterech zwycięstw w turniejach Masters 1000, odniesionych w tym samym roku. A kiedy Nadal kilka dni później przyjeżdża do Bazylei na jedną noc, by z powodu kontuzji wypisać się ze Swiss Indoors, Federer odwiedza go w hotelu, gdzie miło im się rozmawia z dala od kamer. Od czasu do czasu dzwonią do siebie. A ponieważ na turniejach często zostają do końca, kiedy szatnie pustoszeją, ich drogi krzyżują się tam coraz częściej.

Tego dzikiego chłopaka wyglądającego jak pirat i grającego jak młot parowy Federer uważa za wzbogacenie tenisa, a dzięki szczeremu i skromnemu sposobowi bycia Rafy szybko uznaje go za sympatycznego. Sympatia zostaje zresztą odwzajemniona. „Federer jest nie tylko świetnym numerem 1 i niesamowitą osobą, ale też cichym, spokojnym i dobrym człowiekiem. I najważniejsze: jest przyjazny” – mówi Hiszpan. Biorąc pod uwagę to, przez ile godzin walczą ze sobą na najwyższym

poziomie na korcie, różnice zdań albo spięcia pomiędzy nimi są rzadkie. Ale się pojawiają. Przykładowo w Rzymie w 2006 roku.

Obaj są już w połowie wspomnianego finału, który będzie trwał pięć setów i stanie się jednym z najbardziej spektakularnych spotkań między nimi, kiedy Federer zwraca się do trenera Nadala, Toniego, i pyta: „Are you okay?". Wkurzył się, bo wujek i zarazem trener jego rywala ciągle udziela Rafie wskazówek z trybuny i wysyła sygnały na kort – jak już wcześniej w Monte Carlo, wyjaśnia potem Roger. Później zgłasza też skargę działaczom: powinni nie tylko tam siedzieć i delektować się grą, ale i pilnować, by przestrzegano zasad. „Inaczej możecie sobie wyrzucić ten cały regulamin".

Interwencja Federera nie uszła uwadze Nadala. Zaraz po meczu chłodno podają sobie ręce, a relacje pomiędzy nimi po raz pierwszy są wyraźnie napięte. Będąc już z powrotem na Majorce, Nadal w wywiadzie zarzuca Federerowi, że ten nie potrafi przegrywać. Podczas wręczania nagród Laureusa na gali w Barcelonie ich drogi znów krzyżują się poza kortem. Federer po raz drugi zostaje wybrany „Sportowcem roku na świecie", a Nadal „Odkryciem roku". Najlepszy sportowiec świata stwierdza potem krótko: „Siedzieliśmy przy jednym stole, pomiędzy nami księżniczka Hiszpanii, i zdaliśmy sobie sprawę, że to wszystko nie było takie straszne. Już w Paryżu znów było okej". W Rzymie chodziło mu o ustanowienie pewnych standardów.

W trakcie tych lat współzawodnictwo Federera z Nadalem awansuje do kategorii klasyków i wkrótce będzie się zaliczać do najbogatszych w kontrasty, najdłużej trwających i najbardziej ekscytujących rywalizacji w historii tenisa: dwóch zawodników, którzy prawie równocześnie wygrywają więcej turniejów wielkoszlemowych niż wszyscy inni przed nimi, leworęczny przeciwko praworęcznemu, filigranowy napastnik przeciwko

solidnej fortecy, jednoręczny bekhend przeciwko oburęcznemu, król kortu trawiastego przeciwko królowi kortu ziemnego. Dwóch graczy, którzy wzajemnie się szanują i pomagają sobie nawzajem w zbiórce pieniędzy na rzecz swoich fundacji. Właśnie w związku z tym podczas kręcenia spotu reklamującego podwójne wydarzenie w Zurychu i Madrycie dochodzi do kultowego nagrania, na którym Federer pyta Nadala: „Co mi dasz pod choinkę?" i obaj raz po raz wybuchają śmiechem.

Kiedy Federer w 2006 roku po raz pierwszy awansuje do finału Roland Garros, ma ponownie zmierzyć się z Nadalem – bo z kimże innym? Szwajcar rozpoczyna mecz porywająco, ale w drugim secie nagle traci szwung. Po trzech godzinach wynikiem 6:1, 1:6, 4:6, 6:7 musi pogodzić się z pierwszą porażką od czasów, gdy wygrał wszystkie siedem swych dotychczasowych wielkoszlemowych finałów, co było rekordem. To jednak żadna niespodzianka, w tym roku już wcześniej przegrał z Nadalem trzy finały mniejszych turniejów. Mimo to 2006 rok pozostanie najlepszym sezonem Federera: z 97 meczów singlowych przegrywa oprócz tego jeszcze tylko jeden, z Andym Murrayem w Cincinnati, i zgarnia mnóstwo trofeów. Z ostatnich dziewięciu turniejów sezonu, w których bierze udział, wygrywa aż siedem.

Ale z powodu Paryża dalej musi czekać na Wielkiego Szlema Kariery. Do tamtego momentu udało się to jedynie pięciu mężczyznom: Fredowi Perry'emu (1935), Donaldowi Budge'owi (1938), Rodowi Laverowi (1962), Royowi Emersonowi (1964) i Andre Agassiemu (1999). Prawdziwego, tzw. Klasycznego Wielkiego Szlema – zdobycie wszystkich czterech tytułów w jednym roku kalendarzowym – zrobili tylko Budge i Laver (1962 i 1969).

W 2006 roku Nadal po raz drugi stoi Federerowi na drodze do postawienia tego milowego kroku, a scenariusz ów powtórzy się w Paryżu w kolejnych dwóch latach. Mimo to Szwajcar jest w dobrym towarzystwie. Więcej niż połowa z 23 graczy, którzy do tamtego momentu byli numerem 1, przeszła na emeryturę bez Coupe des Mousquetaires, trofeum z Roland Garros. Należą do nich Boris Becker i Pete Sampras, którzy nigdy nie przebrnęli półfinału, John McEnroe, który w 1984 roku przegrał brzemienny w skutkach finał przeciwko Ivanovi Lendlowi, i Stefan Edberg, który w 1989 roku w finale z Michaelem Changiem zmarnował prowadzenie w setach 2-1. Do tej grupy zaliczyć też trzeba Jimmy'ego Connorsa, przy czym on przez lata bojkotował ten turniej.

I z każdą porażką droga do kolejnego zwycięstwa nad Nadalem na ceglanej mączce zdaje się dla Federera coraz bardziej stroma. O ile na razie może poskromić Hiszpana w Wimbledonie, o tyle opodal Lasku Bulońskiego zawodnik z Majorki pozostaje zbyt mocnym przeciwnikiem. W 2007 roku Federer znów nieźle rozpoczyna finał, ale nie potrafi przekuć tego w zwycięstwo i przegrywa 3:6, 6:4, 3:6, 4:6. A następny sezon – który zaczyna się dla Szwajcara od zachorowania na mononukleozę zakaźną – staje się nawet punktem krytycznym jego rywalizacji z Nadalem. Pominąwszy jeden mały turniej na korcie ziemnym w portugalskim Estoril, gdzie poddaje się jego przeciwnik z finału, Dawydienko, przegrywa raz za razem. W tym roku notuje też porażki we wszystkich czterech pojedynkach z Nadalem.

Rok później (2009) Federer znów jest w formie, opanował również problemy z plecami, które dopadły go pod koniec roku. Po finałowym zwycięstwie nad Nadalem w Madrycie łapie wiatr w żagle, także jeśli chodzi o morale. „Kilka tygodni temu

nie byłem pewien, czy mogę wygrać French Open. To się właśnie zmieniło”.

To, co zdarzyło się na Roland Garros, przeszło jednak wszelkie oczekiwania. Nadal, zdecydowany faworyt, sensacyjnie przegrywa już w 1/8 finału ze Szwedem Robinem Söderlingiem. Tym samym droga dla Federera robi się wolna, ale spoczywa na nim teraz cała presja, a przeprawa jest jeszcze daleka. Niespodziewanie w meczu 1/8 finału z Tommym Haasem Roger jest już 6:7, 5:7. Przy stanie 3:4 w trzecim secie musi bronić kolejnej piłki na przełamanie. Przegrywa ją, Niemcowi pozostaje już tylko kilka razy dobrze zaserwować, by szanse Federera zostały pogrzebane. W tym momencie Szwajcarowi wychodzi jeden z najbardziej pamiętnych kontrataków w karierze: będąc w wielkiej opresji, zdobywa się na winnera z forhendu prosto w linię – i tym samym wytrąca Haasowi broń z ręki. Wygrywa kolejne sety 6:4, 6:0, 6:2. Gaëla Monfilsa pokonuje potem bez straty seta, ale w półfinale znów musi ratować się z niebezpiecznej sytuacji; ostatecznie w starciu z Juanem Martínem del Potro wygrywa 3:6, 7:6, 2:6, 6:1, 6:4.

W finale – swoim pierwszym w Paryżu, w którym nie trafia na Nadala – Federer nie okazuje żadnych słabości. Po meczu z pogromcą Hiszpana Söderlingiem, zakończonym wynikiem 6:1, 7:6(1), 6:4, po raz pierwszy pada na kort jako mistrz Roland Garros. Już przed ostatnim punktem ma łzy w oczach i zdobywa w końcu wyczekiwanego z utęsknieniem Wielkiego Szlema Kariery, kompletując kwartet wielkoszlemowych tytułów – jako pierwszy tenisista od dziesięciu lat i Agassiego, od którego otrzymuje puchar. „Zawsze wiedziałem, że mam w sobie triumf w Paryżu – mówi Federer. – W mojej szafie na trofea zostawiłem dodatkowe wolne miejsce na Coupe des

Mousquetaires”. To jego 14. wielkoszlemowy tytuł, którym nawiązuje do rekordzisty Pete’a Samprasa.

Roland Garros 2009 pozostanie jego szczytowym momentem w karierze na kortach ziemnych W kolejnych latach wygrywa jeszcze tylko dwa turnieje na mączce, w 2012 roku w Madrycie, gdzie tamtego roku zostaje wykorzystana nietypowa niebieska nawierzchnia, i trzy lata później w Stambule. Jeszcze trzy razy będzie mierzył się z królem kortów ziemnych na jego terytorium i zawsze będzie ulegał. W 2011 roku w Paryżu doznaje czwartej porażki w finale, pokazuje jednak zachwycające zagrania, zupełnie inne niż trzy lata wcześniej.

W połowie z 26 finałów na ceglanej mączce, w których Federer startuje do 2018 roku, trafia na Nadala. Daje mu to skrajnie niekorzystny bilans 2:11, podczas gdy z pozostałych meczów finałowych, rozegranych przeciwko innym rywalom, wygrywa dziewięć razy na 13 prób. Fakt, który czasami bywa przeoczony: żeby w ogóle mógł tak często przegrywać w finałach na mączce z Nadalem, musi ciągle okazywać się jego najbardziej zawziętym i najmocniejszym prześladowcą. Bilans Federera na kortach ziemnych też wygląda nie najgorzej mimo złych początków. Udział zwycięstw wynosi prawie 76 procent – jest o dziesięć gorszy niż na trawie i o siedem niż na kortach twardych.

W późnej fazie kariery Rogera turnieje na ceglanej mączce staną się pierwszymi ofiarami uszczuplania jego kalendarza. W 2016 roku przed przerwą spowodowaną kontuzją kolana startuje jeszcze tylko w dwóch takich imprezach, a w kolejnych dwóch latach po comebacku zupełnie z nich rezygnuje. To – przynajmniej ze względu na jego pojedynek z Nadalem – nie najgorsza decyzja: poza kortami ziemnymi i dzięki polepszonemu bekhendowi w latach 2015–2017 wygrywa pięć meczów z rzędu przeciwko odwiecznemu rywalowi.

31

PIZZA BASILEA

Pomiędzy szeregowcem w Münchenstein, w którym od dziesiątego roku życia dorasta Federer, a St. Jakobshalle, gdzie każdej jesieni odbywa się mający bogatą tradycję halowy turniej ATP, w linii prostej jest 1500 metrów. Rowerem można pokonać tę odległość w pięć minut, a piechotą w pół godziny, idąc przez Park im Grünen i mijając Merian Gärten. Betonowa hala jest dla Federera miejscem tęsknot oraz marzeń i możliwe, że to właśnie ze względu na turniej Swiss Indoors w wieku 12 lat stawia na tenis, a nie na piłkę nożną. Stadion FC Basel, nazywany przez miejscowych „Joggeli", znajduje się wprawdzie obok, ale w młodości Rogera FCB nie dominuje jeszcze tak jak na początku XXI wieku, kiedy jest seryjnym mistrzem kraju i osiąga sukcesy w Lidze Mistrzów. Gdy Federer musi wybierać pomiędzy tymi dwiema dyscyplinami, FCB gra tylko w drugiej lidze szwajcarskiej.

Fascynacja, która ma źródło w Swiss Indoors, jest trochę większa. Zwłaszcza że Roger Brennwald, założyciel i promotor turnieju, przy każdej okazji – z powodzeniem – stara się zaprezentować supergwiazdy tego sportu. Już za czasów szkoły podstawowej tydzień turnieju jest dla Federera główną atrakcją w roku. Roger godzinami kręci się w hali jako łowca autografów, widz, sprzedawca losów na loterię albo chłopak od podawania piłek. Wcześnie ma szansę poczuć smak wielkiego

tenisowego świata i doświadczać, jak fascynujące perspektywy mogą otworzyć się przed nim w tym sporcie.

Wspomnienia Federera sięgają daleko: „Kiedy pewnego razu w Bambino-Bären-Cup wygrałem wejściówki na kwalifikacje, było to dla mnie coś niesamowitego". W Swiss Indoors szybko sam łapie kontakt z niektórymi gwiazdami tenisa. Zdjęcie z 1994 roku przedstawia jego i Chiudinellego w gronie podających piłki dzieci, które na korcie dostają od zwycięzcy Wayne'a Ferreiry okolicznościowe monety.

„Miałem wtedy nadzieję, że podczas ceremonii wręczania nagród przejdzie na moją stronę" – przypomina sobie Federer. Rok później, już jako 14-latek, na korcie centralnym może sobie pstryknąć zdjęcie z Jimmym Connorsem i Mansurem Bahramim, tenisowym kuglarzem z Iranu.

Olivier Hosner, który w Bazylei przez lata opiekuje się dziećmi podającymi piłki, w 1994 roku jest jeszcze sędzią liniowym. Przypomina sobie, jak w przerwie na korcie zagaduje stojącego obok niego chłopca i pyta go, czy też gra w tenisa. Ten potwierdza i dodaje, że za trzy lata sam chciałby zagrać w tym turnieju. „Pomyślałem sobie, że ten chłopiec jest całkiem pewny siebie" – opowiada Hosner. Zaciekawiony stara się wybadać, kim jest ów ambitny młodzieniec. Dowiaduje się, że chodzi o niejakiego Rogera Federera, który ma ponoć spory talent.

Hosner nie przypuszcza jednak, że trzy lata później Federer rzeczywiście weźmie udział w Swiss Indoors w roli zawodnika. Jako 16-latek, w tygodniu, w którym jego nazwisko po raz pierwszy pojawia się w rankingu jako numer 803, może wystartować w turnieju kwalifikacyjnym. Po zwycięstwie nad Niemcem Frankiem Moserem trafia na Szwajcara z Top 300, Lorenzo Mantę, z którym później utworzy duet odnoszący sukcesy w Pucharze Davisa. O włos przegrywa

z kwalifikującym się potem do turnieju głównego mieszkańcem Winterthuru, ale i tak jest z siebie całkiem zadowolony.

Zaledwie rok później dzięki „dzikiej karcie" Federer występuje w turnieju głównym, w którym lekcji udziela mu Andre Agassi. Kolejne lata w Swiss Indoors przynoszą wprawdzie Rogerowi pojedyncze piękne sukcesy – zwycięstwa nad Hewittem i Roddickiem – ale nie upragniony, wymarzony triumf w całym turnieju. W 2000 roku awansuje w Bazylei do swojego drugiego finału turnieju ATP, po pięciu setach ulega w nim jednak Szwedowi Thomasowi Enqvistowi i potem zalewa się gorzkimi łzami. Rok później znów melduje się w finale, ale w starciu ze świetnie grającym przy siatce Anglikiem Timem Henmanem jest bez szans i znów płyną łzy.

Czas leci, Federer podbija świat i odnosi seryjne zwycięstwa, ale w Bazylei zwyczajnie mu nie wychodzi. W 2002 roku w półfinale pozbawia go nadziei Nalbandian – człowiek, który wiecznie psuje mu zabawę – a w 2003 roku strzyka go w plecach i na wczesnym etapie turnieju ponosi porażkę w spotkaniu z Ivanem Ljubičiciem, swoim późniejszym trenerem. W 2004 roku na treningu przed pierwszym występem zrywa włókno mięśniowe w lewym udzie i musi zrezygnować ze startu. Dokładnie jak rok później, tym razem z powodu zerwania więzadła w prawej kostce, którego doznaje podczas treningu w Allschwil. Legendarny reporter Bud Collins nie może sobie podarować i w 2006 roku pyta Federera: „Jesteś wprawdzie wielokrotnym zwycięzcą Wimbledonu, ale kiedy w końcu wygrasz w Bazylei?".

Niezbyt dobrze wiedzie mu się również w innym szwajcarskim turnieju zawodowców, Swiss Open w Gstaad. W Alpach Berneńskich, gdzie Federer w 1998 roku zadebiutował w zawodowym tourze, w swoich pierwszych pięciu próbach pokonuje tylko jednego rywala, w 2004 roku

pozostaje jednak niezwyciężony i zdobywa swój pierwszy w Szwajcarii tytuł rangi ATP. Dyrektor turnieju Köbi Hermenjat rok wcześniej, po pierwszym zwycięstwie Federera w Wimbledonie, sprezentował mu krowę o imieniu Juliette, która dzięki temu stała się sławna. Zanim w 2006 roku została zamieniona w suszoną wołowinę, urodziła cielaka, nazwanego przez Federera „Edelweiss" (niem. Szarotka). Po zdobyciu tytułu Roger jeszcze tylko raz wystąpi w tym rozgrywanym na korcie ziemnym turnieju, w 2013 roku, i od razu przegra. Także wtedy czeka na niego krowa: Désirée, która omal nie przewróciła go już przy pierwszym spotkaniu, opuszczając Roy Emerson Arena w Gstaad.

W Bazylei rok 2006 staje się rokiem przełomowym. Federer jest już dziewięciokrotnym wielkoszlemowym mistrzem i 43-krotnym turniejowym zwycięzcą, gdy wreszcie udaje mu się tam wygrać, przy siódmym podejściu. Po finale przeciwko Chilijczykowi Fernando Gonzálezowi stawia pizzę dzieciom od podawania piłek. Nie zapomniał, że kiedyś sam był jednym z nich. Gest ten staje się tradycją, zwłaszcza że zły czar właśnie prysł i w zakolu Renu Federer zamienia się w seryjnego zwycięzcę.

W jego oczach zawody Swiss Indoors nie przestają być fascynujące nawet wtedy, kiedy jest już stałym bywalcem finałów i rekordowym mistrzem. „Bazylea to jeden z turniejów, który najbardziej chciałbym wygrać. Jest dla mnie tuż-tuż za największymi imprezami i bardzo leży mi na sercu" – mówi do 9200 widzów, po tym, jak w 2010 roku po raz czwarty zdobywa tam tytuł. To dzień, w którym Mirka na dekorację zwycięzców przybywa na halę z Mylą i Charlene, chcąc po raz pierwszy zaprezentować publiczności piętnastomiesięczne bliźniaki – czym zaskoczony jest nawet ich ojciec. Przyznaje, że kiedy w trzecim secie z ubiegłorocznym zwycięzcą Đokoviciem

prowadził 5:1, oczy wypełniły mu się łzami, tak jak przed jego triumfem na Roland Garros. „Organizowany przez Rogera Brennwalda turniej jest przygotowany perfekcyjnie i budzi emocje, począwszy od muzyki podczas wchodzenia na kort po dekorację zwycięzców. I odbywa się w miejscu, w którym wszystko się dla mnie zaczęło".

Rok później Federer pokonuje w finale Keia Nishikoriego i znów jest poruszony, płyną łzy. Bo rok 2011 jest dla niego trudny: nie wygrywa w nim żadnego turnieju wielkoszlemowego i aż do Bazylei zdobywa tytuł w tylko jednych, małych zawodach. „Spokój po zwycięstwie, ceremonia, muzyka, to wszystko przypomina mi dawne czasy, w których sam byłem chłopcem podającym piłki – mówi. – To sprawia, że przepełniają mnie ciepłe uczucia i duma. Dlatego niełatwo mi się kontrolować w takim momencie. A tym razem jest jeszcze trudniej niż zwykle".

Od 2006 roku Federer awansuje do finału we wszystkich 12 kolejnych startach w Bazylei i wygrywa dziewięć z nich. Zatrzymać go potrafią jedynie Đoković w 2009 i del Porto, z którym przegrywa w 2012 i 2013 roku. Możliwe, że najlepszy festiwal gry Federera widzowie obserwują podczas edycji 2015, kiedy dochodzi do pierwszego na szwajcarskiej ziemi starcia z Rafaelem Nadalem, i w 2017 roku, gdy Federer mógł się zrewanżować del Porto za dwie porażki w finale. W obu meczach trwa zażarta walka i rozstrzygają się w trzecich setach, wygrywanych przez Federera 6:3.

Zawody Swiss Indoors, które w erze Federera zostają przyjęte do drugiej kategorii turniejów ATP, posiadają szczególny urok także dla widzów. Bo tutaj mają swojego ulubieńca w czystej miejscowej postaci, to przecież jedyna impreza, podczas której Roger udziela wywiadów na korcie w ojczystym języku. Rozmowy pomiędzy nim a moderatorem Heinzem

Günthardtem na przestrzeni lat zyskują status kultowych, często mają dużą wartość rozrywkową i niekiedy kończą się atakiem śmiechu Federera. Jak w 2007 roku, gdy Günthardt zapytał go, czy w szatni nie zaczyna powoli czuć się trochę mały, biorąc pod uwagę fakt, że wielu przeciwników, jak del Porto, jest wyrośniętych. Federer twierdzi, że jest „średni, ale w zasadzie nie przygląda się tak dokładnie", a kiedy uświadomi sobie dwuznaczność swojej wypowiedzi, nie może przestać się śmiać, aż w końcu prosi o poważniejsze pytanie.

„Mam dość zróżnicowane poczucie humoru w różnych językach i czasami na koniec muszę się śmiać sam z siebie" – wyjaśnia później. We wcześniejszych latach był w Bazylei czasami tak zdenerwowany, że prawie nie mógł utrzymać rakiety. „Ale odkąd wygrałem turniej, presja zniknęła. Mogę to traktować z większym luzem, odczuwać więcej radości na korcie i nawiązywać więcej niż w ubiegłych latach interakcji z publicznością" – mówi w 2007 roku.

Choć od dawna nie posiada już mieszkania w okolicy Bazylei – podczas turnieju kwateruje się w hotelu – nadal czuje się tu jak w domu. Ponieważ jego rodzice mieszkają na przedmieściach, w Bottmingen, często przebywa w mieście również wtedy, gdy nie odbywa się właśnie turniej Swiss Indoors. Także ślub z Mirką 11 kwietnia 2009 roku bierze w Urzędzie Miasta w Bazylei.

„Mieszkałem już nad Jeziorem Genewskim, w Biel, w Zurychu i w kantonie Gryzonia. Ale to Bazylea jest w dalszym ciągu moją ojczyzną, to jasne. W końcu posługuję się bazylejskim dialektem niemieckiego, urodziłem się tam i dorastałem, znam każdą drogę z perspektywy przemierzania jej autobusem, samochodem, rowerem czy pieszo" – mówi. Kiedyś, będąc w Kalifornii, prosi swoich followersów, by wysłali mu zdjęcie ze słynnego bazylejskiego karnawału, na który wcześniej sam się

często wybierał. Kilkanaście takich fotografii publikuje na swoim koncie na Twitterze. W miarę możliwości nie potrafi odmówić sobie odwiedzenia z rodziną jesiennych bazylejskich targów – przedbożonarodzeniowego jarmarku z 500-letnią tradycją.

To, jak bardzo Bazylea i Swiss Indoors leżą mu na sercu, widać wyraźnie w 2013 roku, gdy wygasa jego wieloletni kontrakt z organizatorami turnieju, a pertraktacje z Rogerem Brennwaldem stają w miejscu. Dochodzi do nieporozumień pomiędzy organizatorem, zawodnikiem i jego menedżerem Tonym Godsickiem. Sytuacja utknęła w martwym punkcie. Wtedy Federer bez chwili namysłu i bez uzgodnienia z organizatorem – a tym samym bez pieniędzy wypłacanych za sam start – decyduje się wziąć udział w zmaganiach i tym samym rozładować napiętą atmosferę. Krótko po tym w Bazylei wszystko jest znów „alles Roger".

Choć swego czasu nie zdecydował się na grę w piłkę nożną, jego serce bije także dla FC Basel. Wciąż ogląda mecze na stadionie lub śledzi je w Internecie, zawsze jest na bieżąco z informacjami, jak radzi sobie drużyna. Pomiędzy nim a niektórymi zawodnikami i członkami zarządu rodzą się silne więzi. Raz nawet trenuje z drużyną, a w 2016 roku wręcza jej puchar za zdobyte po raz 19. mistrzostwo Szwajcarii. W przeciwieństwie do graczy FC Basel nie musi dzielić z innymi zawodnikami małego balkonu ratusza na rynku, gdy miasto honoruje go za sukcesy, jak choćby po trzecim zwycięstwie w Wimbledonie w 2005 roku.

Tylko jedno, przynajmniej na razie, nie jest dane Federerowi: kolejne próby przechrzczenia St. Jakobshalle na Roger-Federer-Arena blokowane są przez lokalnych polityków. Nawet po jego 20. wielkoszlemowym tytule Wielka Rada, czyli parlament miasta Bazylei, opowiada się przeciwko temu pomysłowi.

32

MISKA SAŁATY

Moje pierwsze wspomnienia finału Pucharu Davisa w 2014 roku w Lille – albo dokładniej: na przedmieściach Villeneuve d'Ascq, gdzie nie uświadczy się żywej duszy – nie są zbyt przyjemne. W tym przypominającym ogromne UFO kompleksie Stade Pierre-Mauroy jeszcze trzy dni przed rozpoczęciem rozgrywek śmierdzi jak w oborze, na dodatek jest przejmująco zimno. Znajdujemy się na stadionie piłkarskim, wprawdzie bardzo nowoczesnym, dzięki czemu może być przekształcony w halę eventową, ale niemożliwym do ogrzania. Smród wziął się stąd, że połowa boiska została podniesiona i umieszczona nad drugą, by stworzyć miejsce na kort tenisowy, a do konserwacji trawy trzeba było użyć silnych chemikaliów.

Tym piękniejsze są ostatnie obrazki z tych listopadowych dni w północnej Francji, które utkwiły mi w pamięci: gigantyczne, rosnące do nieba trybuny, na których zasiadło 27 448 widzów, podczas gdy orkiestra dęta wygrywała narodowy hymn Szwajcarii, i obie drużyny, w tak odmiennych nastrojach, jak to tylko można sobie wyobrazić, ustawione w szeregu przed pułkiem fotografów do ceremonii dekoracji. Czerwona grupka Szwajcarów, śpiewająca i świętująca, kiedy nawet potężna niebieska masa zdaje się dzielić ich radość, staje się świadkiem tego historycznego dnia, szczególnie dla Rogera Federera.

Pomijając triumf na igrzyskach olimpijskich w grze pojedynczej, który do dziś nie jest mu dany, to właśnie na to

cenne trofeum, „najbrzydszą na świecie miskę do sałaty", Federer musiał czekać najdłużej. Jest w tym trochę ironii. Bo o ile we wczesnej fazie kariery wkładał w te starty całe serce, przez sześć lat nie opuszczając żadnego ze spotkań, o tyle od 2005 roku coraz bardziej się od nich dystansuje. Ale choć często się o tym zapomina, każdego roku – z dwoma wyjątkami – i tak startuje w co najmniej jednym meczu Pucharu Davisa, z reguły jesienią, gdy Szwajcaria niemal zawsze musi walczyć o miejsce w Grupie Światowej.

„Puchar Davisa i ja, kiedyś coś między nami było. Na początku kariery był dla mnie najważniejszy i debiut w nim należy do moich najpiękniejszych wspomnień" – mówi Federer wiosną 2014 roku, kilka miesięcy przed tym, jak go zdobędzie. Czuje się dobrze w teamie, do którego należy wielu jego przyjaciół z młodości. Ciągle słyszy się, że nagrody pieniężne za udział i wygrane mecze w tych rozgrywkach przekazuje nawet pozostałym członkom ekipy. Ale na przestrzeni lat jego miłość, nigdy zresztą jakoś szczególnie nie odwzajemniona, gaśnie. Dla szwajcarskiego zespołu Federer latami wszystko odstawia na bok, na maksymalnie trzy mecze w roku decyduje się na uciążliwe podróże i wymagające zmiany nawierzchni, i także w tych warunkach jest nie do pobicia. Obowiązująca w Pucharze Davisa zasada bycia na przemian gospodarzem w meczach z danym rywalem sprawia, że Szwajcaria od 2002 roku pięć razy z rzędu występuje na wyjeździe – w Rosji, w Maroku, Holandii, Francji i Australii. I żniwo jest niewielkie. Przegrany w 2003 roku półfinał w Melbourne na długo pozostaje najlepszym wynikiem teamu Federera.

Zanim Stan Wawrinka w zaawansowanej fazie kariery cudownie przeobrazi się w mistrza pod skrzydłami trenera Magnusa Normana, Szwajcarii brakuje też przez lata drugiego mocnego singlisty. W styczniu 2014 roku lozańczyk ku

zaskoczeniu wszystkich – także własnemu – wygrywa Australian Open i i awansuje na czwarte miejsce w rankingu ATP. W tym samym roku, dzięki zwycięstwu w Belgradzie z Serbią, która musi radzić sobie bez Đokovicia, oraz wygranych w Genewie z Kazachstanem i Włochami, Szwajcaria awansuje do swojego drugiego finału Pucharu Davisa – 22 lata po porażce drużyny z czasów Marca Rosseta i Jakoba Hlaska w Fort Worth w meczu ze Stanami Zjednoczonymi.

Ostatnie dni przed tym wymarzonym finałem są wręcz koszmarnie chaotyczne. Francuska gazeta „L'Équipe" pisze o „dziwnym horrorze", którego doświadcza Szwajcaria. Podczas gdy żaden z francuskich singlistów nie kwalifikuje się do odbywających się tydzień wcześniej w Londynie ATP Finals, zarówno Federer, jak i Wawrinka awansują do półfinału, w którym stają naprzeciw siebie. Dochodzi do pamiętnego meczu, w którym Federer broni cztery piłki meczowe, by ostatecznie wygrać. W fazie końcowej wybucha afera, bo Mirka nazywa rywala swojego męża „crybaby", czyli beksą. Wyolbrzymiona historia nazywana przez niektórych „Mirkagate" rozpoczyna się tym, że żona dopinguje Rogera w ważnych momentach w sposób, który przeszkadza Wawrince, i z tego powodu składa on skargę u sędziego Cédrica Mouriera. Tłumaczy mu, że żona Rogera zachowuje się tak zawsze, kiedy on ma serwować. Według kilku naocznych świadków w szatni pomiędzy dwoma zawodnikami dochodzi do ostrej konfrontacji.

Brzemienne w skutkach jest też to, że właśnie teraz znów odzywają się plecy Federera. Dzień po tym w londyńskiej O2 Arena musi bez walki oddać finał przeciwko Đokoviciowi. A już pięć dni później w Lille ma się rozpocząć singlami finał Pucharu Davisa przeciwko Francji – na domiar złego na

mączce, podczas gdy w Londynie grali na korcie twardym. Zaczyna się wyścig z czasem, który zdaje się nie do wygrania.

Nastrój w szwajcarskim obozie na północy Francji jest odpowiednio ponury, Federer i Wawrinka nawet z Londynu przyjechali osobno. Demonstracyjnie ustawiają się jednak do wspólnych zdjęć, by zasygnalizować, że to koniec waśni. „Idzie to do przodu maleńkimi kroczkami" – mówi Federer we wtorek, odnosząc się do stanu swoich pleców. Kiedy w środowy wieczór niespodziewanie pojawia się w hali i praktycznie z miejsca odbija piłki przez 30 minut, do reprezentacji Szwajcarii wraca nadzieja. „Jaa!" – taki tytuł z użyciem pięciocentymetrowych liter pojawia się następnego dnia w bulwarowej gazecie „Blick".

Podczas losowania w czwartek Federer melduje się jako singlista. „Powinno się udać" – mówi. I rzeczywiście, w piątek występuje przed ponad 27 tysiącami widzów w drugim singlu, przegrywa jednak z Gaëlem Monfilsem 1:6, 4:6, 3:6. Ale ponieważ Wawrinka bryluje w starciu z rozczarowującym Jo-Wilfriedem Tsongą i wygrywa w czterech setach, po pierwszym dniu jest 1:1. Tymczasem fetor na stadionie wywietrzał, a temperatura w hali, w której zamontowano promienniki cieplne, stała się znośna. Dwadzieścia tysięcy rozdanych koców okazało się niepotrzebnych.

Federer jest gotowy, by w sobotę zagrać także w deblu. „Oddam wszystko dla tej drużyny – mówi – nawet jeśli będę wykończony. Tutaj mogę się na to zdobyć". Czuje się dobrze w teamie, do którego należą także Marco Chiudinelli i Michael Lammer, dwóch jego najbliższych przyjaciół z młodych lat. Obaj intensywnie przygotowywali się na ewentualny występ w grze podwójnej, a do tego mogą liczyć na pomoc możliwe że najlepszego na świecie eksperta w tej branży – tymczasowo do teamu należy bowiem Tasmańczyk David Macpherson, trener amerykańskich bliźniaków Bryanów. Sprowadzenie takiego

„wzmocnienia” okaże się sprytnym, prawdopodobnie nawet decydującym zagraniem.

Severin Lüthi, daviscupowy kapitan Szwajcarii, skontaktował się z nim i z braćmi Bryanami podczas halowego turnieju w Paryżu, by porozmawiać o grze podwójnej, jak opowiada Macpherson kilka miesięcy później (w Lille nie udzielał jeszcze żadnych wywiadów). Chodziło o piętę achillesową teamu: wprawdzie w Pekinie w 2008 roku Federer i Wawrinka zdobyli złoto w deblu, ale w Pucharze Davisa ich wszystkie wspólne starty kończyły się porażkami. „Powiedzieliśmy sobie, że lubimy Szwajcarów, a Seve to miły facet, więc chętnie pomożemy” – opowiada Macpherson.

Na jego fachowej wiedzy zyskują też Federer i Wawrinka. Macpherson zdradza, że Roger przyznał w Lille, iż nie był nawet świadomy, jak złożona i zaawansowana jest taktyka gry podwójnej. „Roger gra jednak w debla tak rzadko, że nawet jeśli już startuje, chce się dobrze bawić i robi to, co dla niego naturalne”. Mimo że gra podwójna stała się tymczasem strategiczną, wysoce złożoną konkurencją.

Tragiczną postacią tego dnia zostaje Jo-Wilfried Tsonga, który z powodu bólu w prawym łokciu musi spasować i z płaczem opuszcza halę. Dlatego też Federer i Wawrinka niespodziewanie trafiają na Richarda Gasqueta i Juliena Benneteau. „Odrobiliśmy lekcje i przygotowaliśmy taktykę na każdy możliwy dobór par – wspomina Macpherson. – Akurat Gasqueta dokładnie przestudiowaliśmy. To dodało Rogerowi i Stanowi pewności siebie”.

Tej soboty Szwajcarzy od początku mają przewagę, rozmawiają ze sobą prawie po każdym punkcie, dają sobie znaki, dodają otuchy, dogadują się. Tylko siedem dni po ich gorącym starciu w Londynie notują prawdopodobnie swe najlepsze wspólne osiągnięcie w Pucharze Davisa. Wygrywają

6:3, 7:5, 6:4, sprawiając tym samym, że Szwajcaria wychodzi na prowadzenie.

I tak oto do triumfu brakuje już tylko jednego zwycięstwa w niedzielę. Najpierw Federer trafia na Gasqueta, który znów zastępuje Tsongę. Z zawodnikiem z południa Francji Roger przegrał na mączce już dwa mecze, ale w porównaniu z porażką przeciwko Monfilsowi sprzed dwóch dni jest nie do poznania. Fajerwerkami ataków nie daje Gasquetowi żadnej szansy na przełamanie i wygrywa w mniej niż dwie godziny 6:4, 6:2, 6:2. W momencie triumfu, po ostatnim dropszocie, przewraca się na kort, leży przez moment, uderzając się rękami po brzuchu, zanim rzuci się na niego cały team z kapitanem na czele.

Dopiero kilka tygodni później do opinii publicznej wycieknie informacja, że również w tym tak ważnym meczu Federer musiał walczyć z bólem pleców, i to już w pierwszym secie. „Przy stanie 4:3 myślałem, że nie dokończę tego spotkania. I powiedziałem to też teamowi". Wawrinka, który w szatni przygotowywał się do swojego meczu z Monfilsem, otrzymał alarmistycznego esemesa, że ma się szykować, bo może się tak stać, że zaraz będzie musiał zagrać. Gdyby Federer zrezygnował z walki przeciw Gasquetowi, los jego teamu byłby w rękach tenisisty pochodzącego z zachodniej Szwajcarii.

Dla Rogera w magiczny niemal sposób dobrze zakończył się właśnie jeden z najtrudniejszych dotychczas tygodni. Po trzech przegranych setach przeciwko Monfilsowi na rozgrzewkę, po problemach z plecami, następują trzy wygrane sety w deblu i w końcu łatwy sukces z Gasquetem – łącznie spędził na korcie tylko minimum: dziewięć setów rozegranych w czasie krótszym niż sześć godzin.

Podczas zakrapianego celebrowania sukcesu na Stade Pierre-Mauroy znów jednak wyraźnie widać, jak bardzo wewnętrznie

oddalił się od Pucharu Davisa. „This one is for the boys” – mówi już w pierwszym telewizyjnym wywiadzie na korcie, i to zdanie usłyszymy od niego jeszcze kilka razy. Nie skupia się na tym, że została zapełniona przedostatnia luka na jego liście osiągnięć, lecz na całym teamie, łącznie z trenerami, który latami dążył do tego sukcesu. „Wszyscy pracowali niezwykle ciężko, bym zdołał wystartować” – przyznaje. Ale Lille jest też dla Federera zasłużonym ukoronowaniem jego kariery w Pucharze Davisa, która obejmuje 26 międzynarodowych meczów i w czasie której od 2001 do 2011 przegrał tylko jeden z 26 pojedynków singlowych. Na koniec 2018 roku z 52 zwycięstwami na 70 spotkań jest najbardziej utytułowanym Szwajcarem w tych zawodach (40:8 w grze pojedynczej i 12:10 w podwójnej).

33

JEDEN ZA WSZYSTKICH

Karierę Federera definiuje przede wszystkim jego rywalizacja z Rafaelem Nadalem, a także pojedynki z pozostałymi reprezentantami „Wielkiej Czwórki” – Andym Murrayem i Novakiem Đokoviciem. Brytyjczyk, zwycięzca Wimbledonu, US Open i dwukrotny mistrz olimpijski, sprawia, że historia tenisa w jego kraju jest pisana na nowo. Serbowi, po latach pozostawania w cieniu tych dwóch wybitnych graczy, udaje się fenomenalna i uznawana za niemal niemożliwą przemiana w seryjnego zwycięzcę. Skupienie się na tym kwartecie przyćmiewa jednak fakt, że Federer jako dowodzący tej grupy – Nadal jest prawie pięć lat młodszy, Szkot i Serb niemal sześć – jeszcze przed tą erą był zaangażowany w inną zaciekłą rywalizację.

Fakt, że jego kariera jest tak długa, sprawia, że spotkał na korcie kilka pokoleń graczy. Roger trafił jeszcze na tenisistów takich jak Pete Sampras czy Andre Agassi, który jest od niego o 11 lat starszy, mógł się mierzyć ze starszymi o pięć i więcej lat zwycięzcami turniejów wielkoszlemowych i liderami rankingu – Gustavo Kuertenem, Patrickiem Rafterem i Jewgienijem Kafielnikowem. Dał o sobie znać w swoim pokoleniu, do którego za sprawą Marata Safina, Lleytona Hewitta, Juana Carlosa Ferrero i Andy’ego Roddicka należeli najwyższej rangi rywale. Potem przez lata utrzymywał się w roli lidera „Wielkiej Czwórki”, trzymając przy tym w szachu – przynajmniej

w większości – także nieco zagubioną grupę wiekową zawodników siedem–dziesięć lat młodszych: Milosa Raonica, Keia Nishikoriego, Marina Čilicia, Juana Martína del Potro oraz Grigora Dimitrowa. I dorównywał jeszcze takim tenisistom jak Nick Kyrgios czy Alexander Zverev – Niemiec jest młodszy od Szwajcara prawie o 16 lat.

Kiedy Federer jako nastolatek zmierzał w kierunku czołówki, długo nie rzucało się w oczy, że jako wybitny zawodnik wyjdzie poza obręb swojej grupy wiekowej, będzie przez lata utrzymywał niewiarygodną konsekwencję i osiągał sukcesy także w zaawansowanym jak na tenisistę wieku. Ustąpili Edberg, Becker i Courier, era Samprasa i Agassiego chyliła się ku końcowi, tenis mężczyzn był w fazie przejściowej. Brakowało mu konturów, na szczycie powstała próżnia, która jakby przypadkiem zasysała w górę zawodników. W walce o pozycję numer 1 panował wielki ruch, pomiędzy 1998 a 2004 rokiem miejsce to zajmowało 12 zawodników, w tym dziesięciu nowych liderów rankingu: Rios, Moya, Kafielnikow, Rafter, Safin, Kuerten, Hewitt, Ferrero, Roddick i Federer. Kiedy Roger w końcu dotarł na szczyt, minął już rejwach i niespodziewanie zagościł spokój. Szwajcar przewodził w rankingu w swojej pierwszej i najdłuższej fazie przez 237 tygodni – ponad cztery lata. W ten sposób, patrząc z perspektywy czasu, rozpoczął hegemonię „Wielkiej Czwórki”.

Stratedzy marketingowi touru ATP od lata 2000 roku reklamowali też tenis kampanią, która nie bazowała na pojedynczych nazwiskach, ale na grupie aspirujących młodych zawodowych graczy – slogan brzmiał „New balls, please”. Utalentowane młode gwiazdy zostały sfotografowane w pozach gladiatorów: wzniesione rakiety gotowe do walki, pełne gniewu twarze. Do tego grona, z którego w osobach Hewitta, Safina, Kuertena, Ferrero, Roddicka i Federera wyszło sześciu

zwycięzców turniejów wielkoszlemowych, wcześniej lub później należało ponad 12 zawodników. Zaliczali się do niego także tacy gracze jak Gambill, Lapentti, Zabaleta czy Kiefer, którzy nie potrafili spełnić najwyższych oczekiwań. Nadal, Đoković i Murray byli w tym czasie nieznanymi nastolatkami.

Federer musiał najpierw przeciwstawić się silnemu oporowi. Z Hewittem przegrał siedem z pierwszych dziewięciu pojedynków, z Henmanem – sześć z pierwszych siedmiu, a z Nalbandianem pierwsze pięć. „Trudno mi zrozumieć, dlaczego wychodzę z nim na prowadzenie albo dlaczego przegrywam – mówi po pierwszym meczu z Argentyńczykiem. – Wiem, że muszę grać agresywnie. Ale nie mam pojęcia, jak bardzo muszę ryzykować, atakując. On dochodzi do bardzo wielu piłek i znakomicie czyta moją grę. Nie mogę go rozszyfrować".

To trio czasami określane było jako jego „rywale strachu", ale Federer zawsze bronił się przed tym sformułowaniem. I faktycznie, w końcu znalazł klucz do zwyciężania z każdym z nich, przez co wyraźnie zmieniło się oblicze tych pojedynków. Miał pozytywny bilans ze wszystkimi trzema, kiedy ci kończyli kariery – 7:6 z Henmanem, 18:9 z Hewittem i 11:8 z Nalbandianem. Hewitt, który przez 80 tygodni był numerem 1 na świecie, tylko w latach 2004 i 2005 przegrał z Federerem dziewięć pojedynków, przy czym w ich pięciosetówkach zanotował bilans 0:6, a pięć porażek ze Szwajcarem poniósł w turniejach wielkoszlemowych.

Australijczyk nie wahał się jednak, by zwrócić uwagę, że Federer wywiódł tenis na wyższy poziom i zmusił innych graczy, by do niego doskoczyli. „Każdy potrzebuje chwili, by znów go dogonić. Ale właśnie to motywuje i dlatego ktoś taki jak Agassi, mając 35 lat, chciał być jeszcze lepszy". Oczywiście, że jego przewaga jest czasem frustrująca, przyznał Hewitt na

US Open, po dziewiątej porażce z rzędu. „Trzeba jednak brać pod uwagę ogólny obraz sytuacji. I jestem przekonany, że stałem się lepszym graczem niż w czasach, gdy byłem numerem 1”.

Jeszcze gwałtowniej dominacja Federera dotknęła Andy’ego Roddicka, jego poprzednika na szczycie. Kiedy w 2012 roku Amerykanin w wieku 30 lat zakończył karierę, w meczach z Rogerem miał trzy zwycięstwa i 21 porażek. Osiem z nich poniósł w turniejach wielkoszlemowych, z czego połowę w finałach: trzy w Wimbledonie i jedną w US Open. Roddick bez wątpienia zdobyłby niejeden wielkoszlemowy tytuł więcej, gdyby o rok starszy Federer zdecydował się zostać piłkarzem.

Amerykanin znosił swój los z honorem i szczyptą humoru. „Jakkolwiek było, pokonałem go w naszym ostatnim meczu. Miał szczęście, że zakończyłem karierę” – zażartował pewnego razu. Z większą powagą dodał: „Doceniam szacunek, który przez te lata zawsze mi okazywał. To dziwne, gdy dzielisz z kimś kawałek swojej historii, która definiuje, kim jesteś. Ale cieszę się, że część mojej definicji jest tak szlachetna i ludzka jak Roger. Byłoby trudniej, gdyby osoba, która w trakcie dekady niszczyła mnie na korcie, nie posiadała jego charakteru”.

Jak większość, niekiedy Roddick doceniał dominację Federera z niekrytym podziwem: „Fizycznie jest najbardziej utalentowanym zawodnikiem, z jakim kiedykolwiek grałem. Do tego stał się gigantem pod względem psychicznym. Udaje mu się zdobyć punkt nawet wtedy, gdy grając z nim, jestem zdania, że już nic nie mógłbym zrobić lepiej. W ten sposób wypompowuje ci powietrze z płuc i wywiera na tobie presję. Bo zaczynasz myśleć, że musisz robić coś jeszcze lepiej, ale nie jesteś pewien, czy w ogóle to potrafisz”. Pozostaje więc jedno: „Czapki z głów”.

Z Agassim Federer przegrał pierwsze trzy mecze, ale miał jeszcze czas, by odmienić i tę rywalizację i zakończyć ją

bilansem 8:3 na swoją korzyść. Na Samprasa trafił tylko raz, w legendarnym 1/8 finału Wimbledonu w 2001 roku, gdy pokonując go, osiągnął swój największy jak na tamte czasy sukces.

O ile ze swoim największym rywalem, Nadalem, miał problemy, jak można było zauważyć, od samego początku, o tyle jego rywalizacja z Đokoviciem nie zaczęła się spektakularnie. Serb stał się jednak graczem, z którym Roger najczęściej wygrywał – i obok Nadala zawodnikiem, któremu najczęściej ulegał (pod koniec 2018 roku był ciut gorszy w bilansie tej rywalizacji: 22:25). W latach 2006 i 2007 wygrał ze specjalistą od gry zza końcowej linii pierwsze cztery mecze i sprawiał wrażenie, jakby Serb nie bardzo mu imponował. I już po drugim spotkaniu, w meczu Pucharu Davisa w Genewie, doszło między nimi do zgrzytów.

Byłem tam wtedy na zlecenie „Tages-Anzeiger" i kiedy w trakcie konferencji prasowej Federer wyraził się negatywnie o Đokoviciu, mówiąc niezbyt jasno, zapytałem go w szwajcarskim niemieckim, co dokładnie miał na myśli. Jego odpowiedź zawarłem w artykule w taki sposób: „On (Federer) zarzucił mu (Đokoviciowi) na konferencji prasowej nadużywanie przerwy spowodowanej kontuzją, żeby w ten sposób zbić przeciwnika z tropu. »Nie wierzę w jego kontuzję« – powiedział. Đoković próbował (dwa dni wcześniej) w nieuczciwy sposób zirytować Wawrinkę". Ta historia wywołała w Serbii trochę zamętu, została jednostronnie rozpowszechniona i wyolbrzymiona.

Nie dziwiło więc, że niektórzy fani Đokovicia nie mieli dobrego zdania o Federerze. Należeli do nich rodzice Serba, Srđan i Dijana. Wyszło to na jaw w 2008 roku, kiedy ich „Nole" zdobył w Melbourne swój pierwszy wielkoszlemowy tytuł po tym, jak w półfinale pokonał także Federera. Ten cierpiał wtedy,

o czym nikt jeszcze nie wiedział, na mononukleozę zakaźną i już w trzeciej rundzie w meczu przeciwko Janko Tipsareviciowi musiał stoczyć wyczerpującą, ponad pięciosetową walkę. „The King is dead, long live the king" – tak bez sentymentu zwycięstwo nad Federerem skomentowała na łamach „Sydney Morning Herald" matka Đokovicia. Jego ojciec rozpowszechniał tymczasem teorię, że czas Federera właśnie minął i od tego momentu Szwajcar nie będzie już w stanie dotrzymać kroku Novakowi.

Jak źle myśli o Rogerze i jak głęboko tkwi w nim zadra z Genewy, stało się jasne, kiedy Srđan Đoković pięć lat później na łamach serbskiej gazety „Kurir" oskarżył Szwajcara: „Możliwe, że to nadal najlepszy tenisista w historii, ale jako człowiek jest tego przeciwieństwem. Zaatakował Novaka podczas Pucharu Davisa w Genewie, bo zdał sobie sprawę, że chodzi o jego następcę, po czym próbował go zdyskredytować na wszelkie możliwe sposoby". Na marginesie – podczas wspomnianego meczu w Genewie Đoković był dopiero numerem 21 na świecie, a Federer pokonał go 6:3, 6:2, 6:3.

Rywalizacja tej dwójki, choć zacięta i wyrównana, ciągle stała jednak w cieniu klasyków Federer–Nadal. Z jednej strony wiązało się to z tym, że style gry Szwajcara i Serba nie kontrastują ze sobą tak mocno, z drugiej także z faktem, że Đoković był przez lata właśnie tylko tym trzecim, pierwszym prześladowcą, wcinającym się niekiedy między nich jako ten, który psuje całą zabawę. Znaczące finały pomiędzy Federerem a Đokoviciem były na początku wyjątkiem także dlatego, że z reguły trafiali na siebie już w półfinale. Równo dziesięć z ich 15 spotkań w turniejach wielkoszlemowych do końca 2018 roku odbywało się właśnie w tej fazie, pomiędzy 2008 a 2013 rokiem natomiast nawet dziewięć z rzędu.

Po raz pierwszy o tytuł wielkoszlemowy walczyli ze sobą w US Open 2007 – Đoković przegrał wtedy w trzech setach. Ich kolejne trzy wielkoszlemowe finały odbywają się wiele lat później, gdy Federer miał lekką obniżkę formy, i zarówno w 2014 roku w Wimbledonie, jak i w 2015 roku w US Open musiał pogratulować zwycięstwa Serbowi. Podczas gdy bazylejczyk nigdy nie zagrał z Nadalem w Nowym Jorku, z belgradczykiem pojedynkował się tam aż sześć razy, przy czym pierwsze trzy spotkania wygrał, a drugie trzy przegrał. Nigdy nie był też tak blisko z Đokoviciem jak z Nadalem, ich stosunki, przynajmniej patrząc z zewnątrz, ukształtował wzajemny szacunek.

To samo dotyczyło relacji Federera i Andy'ego Murraya, która w 2017 roku stała się głębsza, gdy Szkot najpierw wystąpił w Zurychu w ramach działalności fundacji Federera, a potem Roger zrewanżował się za to w Glasgow, wskakując przy tej okazji w szkocki kilt. A przecież także pomiędzy nimi dochodziło wcześniej do spięć. Murrayowi nie podobało się to, że Federer – po tym, jak został pokonany w 2008 roku w Dubaju – publicznie marudził, jakoby Szkot grał zbyt defensywnie, zbyt daleko za linią końcową i przyjmował zbyt wyczekującą postawę.

Rywalizacja z Murrayem rozpoczęła się dla Federera źle, przegrał sześć z pierwszych ośmiu spotkań. Po 25 meczach prowadził już jednak ze Szkotem 14:11, wygrał także trzy rozgrywane przeciwko niemu wielkoszlemowe finały: w 2008 roku w Nowym Jorku, w 2010 w Melbourne i w 2012 w Wimbledonie. Ledwie cztery tygodnie po tym ostatnim meczu spotkali się ponownie na tym samym korcie w kolejnym arcyważnym finale – o złoto londyńskich igrzysk. Mecz okazał się dla Federera rozczarowaniem, Szwajcar nie miał żadnych szans i przegrał 2:6, 1:6, 4:6.

Niezapomniany olimpijski moment przeżył jednak dwa dni wcześniej, kiedy wygrał epicki półfinał z del Potro. Trwający cztery godziny i 26 minut mecz stał się najdłuższym trzysetowym spotkaniem w Erze Open i zakończył się wynikiem 3:6, 7:6(5),19:17. Chyba także dzięki temu zwycięstwu Federer szybko pogodził się z przegranym finałem i świętował to srebro prawie tak, jakby było złotem. Medal z najcenniejszego kruszcu przywiózł z igrzysk już cztery lata wcześniej – zdobyty w deblu, w którym zagrał z Wawrinką.

W trakcie długiej kariery Federera doszło w tenisie do znaczących zmian w sposobie gry i rozwoju technicznego, jak choćby rewolucji w kwestii rakiet i strun, spowolnienia i dostosowania nawierzchni i pojawienia się w związku z tym powertenisa oraz odchodzenia do lamusa stylu serve and volley. Do końca 2018 roku zagrał na najwyższym poziomie 1440 meczów singlowych przeciwko 328 różnym przeciwnikom i wygrał 1180 z nich. Ponadto starał się możliwie często stwarzać okazję przedstawicielom silnego młodego pokolenia tenisistów do wspólnego trenowania i docierania się z nim w grze albo zapraszał ich wręcz na całe obozy treningowe, przede wszystkim nad Jezioro Zuryskie, ale też do Dubaju. Ta lista także jest obszerna.

Mimo klasy Federera na koniec 2018 roku jego bilans przeciwko 23 rywalom jest negatywny. Z 13 z nich grał tylko raz i prawie wyłącznie we wczesnej fazie kariery. Do dziesięciu przeciwników, z którymi zmierzył się przynajmniej dwa razy i częściej przegrywał, niż wygrywał, należą – obok Đokovicia i Nadala – także: Àlex Corretja (2:3), Dominik Hrbatý (1:2), Thomas Enqvist (1:3), Wayne Ferreira (1:2), Jewgienij Kafielnikow (2:4), Gustavo Kuerten (1:2), Patrick Rafter (0:3) i Franco Squillari (0:2). Praktycznie do wszystkich tych porażek doszło we wczesnych latach gry Rogera, zanim jeszcze dojrzał

do bycia mistrzem. „Wówczas nie miał jeszcze topspinowego bekhendu – przypomina sobie Południowoafrykańczyk Ferreira – dlatego też nie mówię nikomu, że mój bilans przeciw niemu jest pozytywny".

Rozwój Federera, który zawsze miał wysoce precyzyjny i bogaty w warianty serwis, odbywał się małymi krokami. Na przestrzeni lat był jednak bardzo wyraźny. W swoich wczesnych latach zawodowstwa, gdy istniało jeszcze wiele szybszych nawierzchni, dużo częściej niż w późniejszych latach grał serwis-wolej. Ponadto próbował przede wszystkim wymanewrować rywala wariacjami różnych zagrań i niezwykłymi uderzeniami, starał się przechytrzyć przeciwników, wykorzystać ich słabości – zagranie krótkie, długie, na lewo, na prawo, szybkie, wolne, wysoko, nisko, slajs, topspin…

„W latach 90. każdy miał kilka mocnych stron. Albo dobry serwis i mocny forhend, mocny bekhend albo dobre woleje. Ale nie było kogoś, kto dobrze serwował, a ponadto dysponował dobrym forhendem i dobrym bekhendem. – Czyli jak Federer w wieku 36 lat. – Z czasem zaczęło to wyglądać inaczej. Teraz każdy uderza niesamowicie mocno z obu stron i nie masz ani chwili spokoju. To stało się podstawą tenisa. Istnieją różnice w ruchliwości graczy albo w ich skuteczności przy siatce, ale zza linii końcowej każdy uderza niesamowicie mocno". Dlatego też sam musiał dopasować do tego taktykę. „Ponieważ ogranie albo przechytrzenie rywali stało się trudniejsze, trzeba czasem zwalczać ogień ogniem. Wobec tego zacząłem grać dużo agresywniej. Dawniej uderzałem bekhend dużo częściej slajsem, teraz natomiast więcej topspinem".

Federer już wcześnie marzył o długiej karierze i na nią pracował. Jako 25-latek powiedział: „Szkoda, że kariery tenisistów trwają o wiele krócej niż na przykład w golfie. Tam

są gracze, którzy przez 30 lat uczestniczą w tourze i przeżywają cztery, pięć pokoleń. W tenisie ma się około dziesięciu lat, co ledwo wystarcza na dwie generacje. Pięknym wyjątkiem był Agassi: przeżył pokolenia McEnroe, potem to Samprasa i teraz nasze". Roger cieszył się, że mógł jeszcze zagrać przeciwko Samprasowi i Agassiemu. „Kiedy będę miał 30 lat, przyjdzie kolejne pokolenie, zawodnicy, którzy są o jakieś dziesięć lat młodsi ode mnie. Chciałbym jeszcze sprawdzić, jak dobrzy będą. Dlatego koniecznie chcę zostać do 2012 roku. Wtedy w Wimbledonie odbywa się turniej olimpijski, to dla mnie połączenie marzeń". Nie mógł wówczas wiedzieć, że jego kariera potrwa dużo dłużej.

To, że ostatecznie udało mu się przez tak długi okres utrzymywać na szczycie i w zaawansowanym wieku zdobyć wielkoszlemowy tytuł, wynika z szeregu powodów. Najtrafniej wyjaśnił to Pierre Paganini, jego trener od przygotowania fizycznego, który sam ma na tym polu decydujące zasługi. „W moich oczach on już jest najlepszym tenisistą – powiedział mi latem 2018 roku. – W tenisie nie musisz też od razu być szybki w każdym starcie. Musisz być szybki na dłuższą metę, potrzebujesz powtarzanej szybkości reakcji, nie jednorazowej, jak w przypadku biegaczy na 100 metrów. A jeśli chodzi o długość kariery, grupy wiekowe przesuwają się w sporcie: 36-letni maratończyk nie uchodzi już za bardzo starego, podczas gdy wśród sprinterów zapytalibyśmy: »Co ty tu jeszcze właściwie robisz?«. Poza tym w tenisie ważne są też inne rzeczy".

O sile Federera stanowi cały pakiet cech i umiejętności. To wyjątkowa mieszanka atletyki, czucia piłki, talentu, poświęcenia, bystrości, mocnych nerwów, zdolności przewidywania, dyscypliny, koordynacji i gotowości do poświęcenia. Fakt, że potrafił przez ponad 20 lat utrzymać się

na światowym szczycie, opiera się poza tym na jego przemyślanej strategii i dalekowzrocznym planowaniu. Wcześnie zaczął, w większym stopniu niż jakikolwiek inny zawodnik, dzielić rok na większą liczbę faz treningowych, turniejowych i okresów odpoczynku. Do wcielania w życie tej periodyzacji przyczyniał się znacznie także jego team – podobnie jak przeświadczenie Federera, że tenisista nie może wyczerpywać całego swojego potencjału przez 365 dni w roku, że mniej to czasami więcej, a tymczasowa rezygnacja i wycofanie się mogą przynieść obfite plony.

CZĘŚĆ IV

PLANETA FEDERER

34

BEZKOMPROMISOWY

Ten, kto widział, jak na światowych kortach centralnych Roger Federer podczas wywiadów ze zwycięzcami elokwentnie, zabawnie i w kilku językach odpowiada na pytania, nie może się oprzeć wrażeniu, że ma przed sobą skromnego, skłonnego do żartów, zadowolonego z siebie i zadowolonego ze świata człowieka. Kogoś, kto nikogo by nie skrzywdził, a lekkość bytu wyssał z mlekiem matki. Wrażenie to wzmacniają liczne, w większości bardzo kreatywne i humorystyczne występy w reklamach czy zdjęcia ukazujące go razem z żoną i czwórką dzieci w życiu codziennym, w trakcie spaceru, zakupów lub jazdy na nartach.

Federer nie należy do osób, które kreują swój wizerunek lub chcą coś odgrywać przed opinią publiczną. Niczym nastolatek świruje na trybunach i udaje, że dziko uderza w bębenek, machając głową w tę i we w tę, kiedy bodajże w Perth przyłapuje go „Bongo Cam” – atrakcja uruchamiana w przerwach meczów, kiedy to poszczególni widzowie mają wykonać to samo zadanie. Dla kaprysu publikuje w mediach społecznościowych swoje zdjęcia z niekorzystną miną albo w stylu pierwszoklasisty opowiada całe historie poprzez następujące po sobie emotikony. Młodzieńczy wesołek, wzorowy ojciec rodziny, „Mister Perfect”: wyluzowany, zdolny, sympatyczny i przystojny, do którego sukces zwyczajnie lgnie,

który zaraża radością życia, witalnością, a na dodatek czyni dobro, gdzie tylko może.

Wrażenie, jakie pozostawia Federer, powoduje jednak, że łatwo przeoczyć, że ma on też inne, mniej otwarte i mniej wesołe oblicze, bez którego jednak nie zaszedłby tak daleko – oblicze bezkompromisowego lidera, wymagającego nie tylko od siebie, ale także od całego swojego otoczenia, który nade wszystko stawia osiąganie wyznaczonych przez siebie celów. Nieznoszącego półśrodków, oczekującego dużej elastyczności i gotowości do poświęceń również od swojego teamu, stawiającego przy tym współpracownikom najwyższe wymagania. Kto im nie sprosta, ryzykuje odrzuceniem. Jeśli Federer miałby być zwierzęciem, byłby lwem (pod tym znakiem zodiaku się zresztą urodził), swoim ulubionym, i co oczywiste – przywódcą stada, Królem Lwem. Ale ponieważ i w przypadku podejmowania trudnych decyzji postępuje po ludzku i rzeczowo, a efekt końcowy prawie zawsze potwierdza jego rację, tę zaciekłość z reguły się przemilcza lub ignoruje, w dużej mierze ją akceptując i mu jej nie wytykając. Jakby zresztą można było to zrobić!

Kto chce wygrywać turnieje wielkoszlemowe i zostać jednym z najlepszych tenisistów na świecie, potrzebuje nadzwyczajnych predyspozycji, a takimi niewątpliwie dysponuje już młody Federer. „Ma taki talent, że w stosunku do jego rywali wydaje się to nie fair” – można przeczytać w jednej z pierwszych notek opublikowanych w ówczesnej cotygodniowej broszurce touru ATP, po tym, gdy Roger pozostawił już pierwsze delikatne ślady na międzynarodowej arenie. Najwyraźniej przejawia się to w jego czuciu piłki, pozwalającym mu kreować uderzenia i zagrania, które były niezwykłe, często spektakularne i niekiedy bezczelne, a częściowo nawet zdawały się wykraczać poza prawa fizyki.

Amerykański autor i wykładowca uniwersytecki David Foster Wallace w znakomity sposób dał wyraz tych umiejętności już w 2006 roku w sławnym eseju. Wallace, niegdyś czołowy gracz w swoim regionie, w tekście pod tytułem *Roger Federer as Religious Experience* (Tenis Rogera Federera jako doświadczenie religijne) wprowadził pojęcie „momenty Federera": „Są chwile, kiedy widzisz tego młodego Szwajcara i opada ci szczęka, wybałuszasz oczy i wydajesz odgłosy, które sprawiają, że żona przybiega z innej części domu, by sprawdzić, czy wszystko z tobą dobrze". Wallace opisuje piękno i złożoność gry Federera, która zdaje się pokazywać absurdalność reguł fizyki, a także cytuje kierowcę busa z jednego z turniejów, nazywającego najbardziej wyjątkowe momenty jako „szalone, prawie mistyczne doświadczenie". Zwraca ponadto uwagę tym, którzy tenis „konsumują" głównie przed telewizorem, że na żywo wszystko to robi jeszcze większe wrażenie. „Prawdę mówiąc, tenis w telewizji w stosunku do tenisa na żywo to jak pornografia oglądana na wideo w porównaniu z wyczuwalną rzeczywistością ludzkiej miłości".

Fantazyjność i wirtuozeria, precyzja i nieobliczalność, bogactwo możliwości, wysokie tempo gry, wyczucie piłki i kreatywność Federera były ewidentnymi zwiastunami jego wyjątkowego talentu. Te cechy pomogły mu prędko stać się jednym z najbardziej spektakularnych i wyrazistych zawodników w swojej dyscyplinie. One same nie wystarczyłyby jednak, by przez tak długi czas był mistrzem, jakim zaprezentował się światu. Dałyby mu pewnie pojedyncze piękne zwycięstwa i możliwe, że wyniosłyby go – także według jego własnej oceny – do odleglejszych rejonów Top 10. Ta okolica w tenisowym rankingu odpowiada jednak dopiero bazie postojowej, po której następują najtrudniejsze etapy drogi na szczyt. I tak jak w wysokich górach, także w tenisie powietrze

staje się tym rzadsze, im wyżej się wchodzi, wymagania tym różnorodniejsze, im bliżej do celu, a każdy krok jest trudniejszy, podczas gdy przebyta w ten sposób droga robi się coraz krótsza.

Federer musiał się najpierw dowiedzieć, jakie to wymagania, i uzupełnić brakujące elementy, co było niekiedy bezlitosnym procesem. Ponieważ jednak miał także umiejętność pozwalającą mu w pełni wykorzystać talent, poskromić go, podporządkować się mu i realizować go według planu, eliminując przy tym własne słabości, w końcu szturm na szczyt mu się udał. A jako że tak bardzo podobało mu się na górze, robił wszystko, by tam pozostać. Pierre Paganini sformułował to pewnego razu w ten sposób: „Cała jego filozofia życia opiera się na służbie swojemu talentowi, tak by mógł go w pełni wykorzystać".

Najważniejszą cechą w misji Federera była jego bezkompromisowość, którą wykazywał na wszelkich obszarach, w stosunku do wszystkich i wszystkiego, także wobec siebie samego, gdy tylko zdefiniował drogę, którą chce podążać. Jego luzacki sposób bycia i zachowanie w stylu showmana, któremu wszystko przychodzi z łatwością, tuszują fakt, że Roger jest równocześnie silnym, zorientowanym na osiągnięcie celu perfekcjonistą, niezwykle wymagającym i zorganizowanym w każdym szczególe. Kimś, kto akceptuje, że ten uprawiany na całym świecie, wysoce profesjonalny i świetnie opłacany sport indywidualny wymaga ponadprzeciętnego egocentryzmu, a sentymenty są w nim niestosowne.

Ta nieustępliwość w stosunku do siebie i do innych właściwie nie pasuje do jego delikatnej, emocjonalnej i empatycznej natury oraz wrażliwości, która po pięknych zwycięstwach, ale i dotkliwych porażkach, nieustannie doprowadzała go do łez. Federer szybko uświadomił sobie jednak, że musi ją nabyć, by

sprostać postawionym przez siebie wymaganiom. Jego dążenie do perfekcji ukształtowało się wcześnie, żadna cena nie była dla niego zbyt wysoka, a poświęcenie zbyt duże. W końcu to on sam w wieku 13 lat – ku zdumieniu rodziców – zadecydował, że opuści rodzinny dom i ukończy organizowany przez Szwajcarski Związek Tenisowy program wspierający młodych, Tennis/Etudes. Zaakceptował fakt, że jako nastolatek zostanie wyrwany ze środowiska, w którym byli jego rodzice i przyjaciele, w tygodniu zamieszka u obcej rodziny i w okolicy, gdzie mówiono w nieznanym mu jeszcze języku, że będzie ciężko trenował i się uczył, że będzie tęsknił za domem, a w trakcie treningu z innymi talentami nie będzie już najlepszy, przeciwnie – że będzie jednym z najmłodszych zawodników i na początku najsłabszym. Przezwyciężył to jednak, bo przed oczami miał swój cel.

Wytrwałość i bezkompromisowość Federera to motyw przewodni jego kariery. Kiedy zauważył, że musi popracować nad tężyzną fizyczną, zatrudnił jak najlepszego trenera i od razu podporządkował się rygorystycznemu programowi treningowemu. Kiedy zdał sobie sprawę, że jako mieszkaniec Europy Środkowej często miewa trudności w trakcie upałów, w których odbywa się wiele ważnych turniejów, przeniósł bazę treningową do Dubaju. Treningi w środku lata przy temperaturze sięgającej od 30 do 40 stopni Celsjusza były idealne, by uodpornić się na ekstremalne warunki, jakie panują przykładowo w Australii, Kalifornii czy na Florydzie. Jego oczywistym zamiarem było przygotowanie się na wszelkie możliwe okoliczności.

Kiedy zrozumiał, że konferencje prasowe i wywiady stanowią ważną część codzienności tenisisty, otworzył się na nie prawie bezwarunkowo i traktował jako szansę, by i on, i tenis zyskali na wizerunku. Kiedy zaczął częściej pojawiać się na czerwonym

dywanie w dostojnym towarzystwie i zauważył, że w garniturze i krawacie czuje się niekomfortowo, zdecydował wraz z Mirką, że przy okazji wspólnych wyjść będą się ubierać tak, jak gdyby czekało ich kolejne przyjęcie dla VIP-ów. Tak dla wprawy, aż w końcu poczują się z tym dobrze.

W przeciwieństwie do większości kolegów gotów był zaakceptować w całej rozciągłości także te mniej przyjemne zjawiska towarzyszące karierze tenisisty, starając się wydobyć z nich to, co najlepsze. Już wcześniej unikał niepotrzebnego komplikowania sobie życia i upraszczał sprawy. Czy chodziło o nierzadko uciążliwe, wiążące się z ciągłym jet lagiem podróże, latanie, które w młodych latach nieszczególnie przypadło mu do gustu, życie w hotelach czy rosnące zobowiązania wobec turniejów, sponsorów i mediów – próbował do wszystkiego znaleźć pozytywne nastawienie, nie dać się uwikłać w towarzyszące temu i pożerające energię drugorzędne sprawy, przez co mógłby stracić z oczu swój cel. A im bardziej był utytułowany, tym bardziej bezkompromisowo podążał tą drogą i tym łatwiej mu to przychodziło, bo najlepsi są zawsze uprzywilejowani, a profity okazują się sowite.

Do tego Federer wcześnie dał się poznać jako osobowość przywódcza, ktoś, kto wskazuje kierunek i niewzruszenie podąża naprzód. Niczym bezkompromisowy frontman rockowego zespołu albo perfekcjonistyczny dyrygent orkiestry symfonicznej nie boi się trudnych sytuacji i decyzji personalnych, jeżeli upatruje w nich możliwość optymalizacji produktu – którym w tym przypadku jest jego jakość jako tenisisty. W wywiadzie udzielonym jednemu ze swoich sponsorów powiedział kiedyś: „W pewnym sensie zawsze miałem w sobie coś z lidera. Czy to w piłce nożnej, czy też w szkole. Często skupiałem na sobie uwagę, a stanie w centrum wydarzeń nie było dla mnie nieprzyjemne. Na początku byłem

wprawdzie wstydliwym dzieckiem, ale to się zmieniło za sprawą tenisa”.

Dobry lider nie może tylko wydawać rozkazów; kiedy gra idzie o wszystko, on też działa. „Lidera wyróżnia to, w jaki sposób radzi sobie z kryzysami. Potrzebuje bez wątpienia pokaźnej dawki pewności siebie i musi występować z podniesionym czołem. Rolę lidera przejmuję nie tylko w tenisie i w swojej fundacji, ale też w swoim teamie. I tutaj zauważam ciągle, jak ważne jest z jednej strony obranie konkretnego kierunku, a z drugiej – nieustanne przysłuchiwanie się i gotowość przyjęcia krytyki”.

Z biegiem czasu nadawał także kierunek w *public relations*. Siebie samego – zwłaszcza z powodu wielu konferencji prasowych i wywiadów, których i tak musiał udzielać – uznawał za rzecznika teamu, którego członkowie się nie wychylali, jeśli chodzi o publiczne wypowiedzi. Mirka wkrótce zupełnie z tym skończyła, Stefan Edberg rozmawiał z mediami o swojej roli w zespole Rogera tylko wtedy, kiedy już zupełnie nie miał innego wyjścia. Ivan Ljubičić, który lubi mówić i jest bardzo komunikatywny, po dołączeniu do teamu popadał w długotrwałe milczenie w stosunku do mediów. Tak samo było ze zmieniającymi się fizjoterapeutami Federera; ci nieodmiennie okazywali się niedostępni, również wtedy, gdy chciano przygotować o nich krótką notkę biograficzną. I nawet Mary Joe Fernández, niegdyś czołowa tenisistka i wieloletnia ekspertka telewizyjna, nie udzielała wywiadów na temat Federera, partnera biznesowego jej męża Tony’ego Godsicka. Jedynie jego rodzice oraz Severin Lüthi i Pierre Paganini okazyjnie, ale bardzo wybiórczo byli dostępni dla mediów. Taka polityka informacyjna zapewniła spokój i klarowną sytuację oraz zapobiegła pojawianiu się kolejnych nieporozumień, które potem „szef” musiałby odkręcać.

Jak nieugięty potrafił być Federer, wychodziło na jaw przy okazji pewnych decyzji personalnych. Kiedy chodziło o to, kogo ma zatrudnić na stanowisku swojego pierwszego prywatnego trenera – przyjaciela z młodych lat Petera Cartera czy Petera Lundgrena – nie zdecydował się na Australijczyka, ponieważ scenę tenisa zawodowego znał on słabiej niż Szwed. Jeszcze przed swoimi 20. urodzinami Roger nakłonił Szwajcarski Związek Tenisowy, by ten odwołał ze stanowiska kapitana Jakoba Hlaska, pierwszego w historii szwajcarskiego zawodnika z Top 10, który niespecjalnie przypadł mu do gustu, a z którym związek w 2000 roku podpisał pięcioletni kontrakt. W kwietniu 2001 roku w Neuenburgu doszło do skandalu. Po porażce z Francuzem Nicolasem Escudé Federer wyjaśnił o północy: „Prawda jest taka, że nie idzie nam dobrze z Jakobem Hlaskiem. Już od dawna mamy ze sobą problemy, ale dłużej tak się po prostu nie da. Bycie na korcie w ogóle mnie nie cieszyło". Potrzebował obok siebie kapitana, z którym mógłby porozmawiać, z którym by się rozumiał i dobrze bawił. „Z Jakobem tak nie jest". Hlasek był też poniekąd przeciwieństwem Federera – metodycznym, zdyscyplinowanym pracownikiem, który chciał prowadzić team autokratycznie i dążył do tego, by był on możliwie niewielki. Krótko potem jego umowa została rozwiązana, a prowadzenie drużyny przejął Peter Carter, którego asystentem został Peter Lundgren.

Jak się jeszcze przekonamy, w późniejszym czasie Federer w nagły sposób rozstanie się ze szwedzkim prywatnym trenerem i ten scenariusz powtórzy się także w przypadku jego następcy, Tony'ego Roche'a. To bezkompromisowe zdecydowanie jest cechą charakteru, którą Federer wcześniej się nie wykazywał. „Jeszcze jako 14-latek szedłem z każdą drobnostką do trenera albo dzwoniłem do rodziców z pytaniem, co powinienem zrobić – mówił w 2004 roku. – Teraz

decyzje są o wiele ważniejsze i cholernie trudne, a muszę je podejmować sam. To moja kariera, więc ja decyduję. To była duża i równocześnie niełatwa zmiana”.

Wkrótce, także w życiu prywatnym, Federer zaczął postępować strategicznie i konsekwentnie. I pozostawiał przypadkowi tak mało, jak to możliwe. Kiedy musiał zatrudnić opiekunki do dzieci, a później nauczycieli, którzy zadbaliby o nie i o ich edukację w trakcie touru, musieli oni wypełnić rygorystyczny profil kandydata i podpisać wielostronicową umowę. Dochodziło do tego, że aplikujące nauczycielki (mężczyźni nie wchodzili w grę) musiały oświadczyć, że nie są w związku, ponieważ praca wymagała trwającego tygodnie przebywania poza domem. Takie rozmowy kwalifikacyjne Federer chętnie przeprowadzał sam, przedstawiając jasne i ścisłe wyobrażenia na temat współpracy.

Kiedy w Wollerau nad Jeziorem Zuryskim w 2014 roku budowany był jego dwupiętrowy dom, teren patrolował ochroniarz, który dbał o to, by żaden z pracowników budowy nie robił zdjęć. Prywatne wydarzenia, takie jak ślub z Mirką czy narodziny ich dzieci, były gruntownie zaplanowane i z powodzeniem utrzymywane w tajemnicy. Podobnie jak na korcie, także w życiu codziennym Federer dążył do posiadania możliwie dużej kontroli – to zarzut, który jako obsesjonat kontroli słyszy niechętnie.

Przy tym wszystkim nigdy nie dawał się rozproszyć krótkotrwałym pokusom, za to zawsze miał przed oczami pełen obraz sytuacji i możliwie długą karierę. Do tego – jak każdy mistrz – musiał mieć trochę szczęścia. Na przykład w tym, że wychowali go „najlepsi rodzice na świecie”, jak ich kiedyś nazwał. Że cały czas trafiał na właściwych ludzi, począwszy od Mirki, przez Pierre’a Paganiniego i większość jego trenerów, a skończywszy na menedżerze Tonym Godsicku. I że omijały go

poważniejsze kontuzje, do czego jednak sam się przyczynił swoim wydajnym sposobem gry, przemyślanym treningiem i rozważnym planowaniem.

Podczas gdy innych czołowych tenisistów życie prywatne rozpraszało lub przyczyniało się ono do ich słabszych wyników – jak to było w przypadku Johna McEnroe i jego związku z Tatum O'Neal lub relacji Andre Agassiego z Brooke Shields – u Szwajcara przebiegało to zupełnie odwrotnie. Mirka trwała przy nim zawsze bezwarunkowo, ponieważ znała i akceptowała wymagania, stawiane przez tryb życia zawodowego tenisisty i wspierała go we wszystkim, co niosło ze sobą życie, jakie wiódł.

Dom rodzinny Federera stanowił idealne podwaliny pod jego oszałamiającą karierę. Sport i tenis wprawdzie zawsze odgrywały ważną rolę dla Roberta i Lynette, ale nie próbowali wypychać syna na szczyt. Stworzyli mu za to wyraźną barierę ochronną, wymagali, by uprawianiu sportu oddawał się z honorem i pełnym zaangażowaniem, wspierali go i stali za nim murem, umożliwiając mu tym samym rozpoczęcie kariery bez presji z zewnątrz. To nie oni wyszli z tą inicjatywą, pochodziła od niego samego. Tym rodzina Federera różni się zasadniczo od innych tenisowych rodzin, w których rodzice przerzucają swoje marzenia, życzenia i nieosiągnięte cele na dzieci, stawiając przed nimi zasadne – lub też przesadne – wymagania.

Już w czasach juniorskich Federer miał najlepszą z możliwych motywację do uprawiania sportu: być tak dobrym, jak tylko się da, czerpać z tego radość, w pełni realizować własny plan i próbować „grać doskonale", jak określił w rozmowie ze mną 15-letni Roger swój główny cel. Nie chodziło mu o to, by zakosztować smaku zwycięstwa, dotkliwie

pokonać rywala, zgarnąć możliwie dużo nagród pieniężnych, zdobyć sławę i móc wykrzyczeć: „I am the greatest!”.

Presja sukcesu, którą niesie ze sobą awans w zawodowym sporcie, wprawdzie nie była dla niego nieprzyjemna, ale sprawiła, że w pewnym sensie czuł się nieswojo. Zawsze traktował tenis jak grę i tak miało pozostać. „Czasami człowiek jest po prostu szczęśliwy, że potrafi grać – powiedział kiedyś. – Niektórzy ludzie i media niestety nie rozumieją, że samo granie w tenisa i czerpanie z tego radości jest w porządku. Ciągle myślą, że zawsze musisz wygrywać, że każda historia musi się kończyć sukcesem, bo w innym wypadku nie ma żadnej wartości. Ale może trzeba spojrzeć z dystansu i zadać sobie pytanie: dlaczego w ogóle zacząłem grać w tenisa? Bo lubiłem. To moje ulubione hobby, które stało się też moim zawodem. Niektórzy zwyczajnie nie potrafią tego pojąć”.

To, że nie stracił dziecięcej radości z gry i miłości do piłki tenisowej także wtedy, gdy już dawno odbił ją miliony razy, należy do najbardziej wartych uwagi aspektów jego kariery. Także dzięki temu jego treningi często stawały się spektaklem, a trybuny były notorycznie pełne, zanim jeszcze pojawił się na korcie. Do aspektów tych należy też fakt, że również jego mecze pokazowe, które rozgrywał w coraz to nowych regionach świata, stawały się interesującymi, spektakularnymi wydarzeniami. W luźniejszej atmosferze mógł zaprezentować całą gamę trików, wariantów uderzeń i pomysłowych elementów, na które podczas turnieju nie można sobie pozwolić.

W drodze na szczyt Federer zyskiwał i na tym, że jest generalnie skromnym i bezpretensjonalnym człowiekiem, który nieustannie pamięta, co jest dla niego naprawdę ważne. Nie daje się omamić krótkotrwałym pokusom, które nie pasują do

jego konceptu, nie rozdrabnia się, by zdobyć każdy możliwy punkt w rankingu ATP lub oferowanego mu dolara.

Takie nastawienie ułatwiło mu ustalenie przygotowanego według sportowych kryteriów turniejowego „rozkładu jazdy" ze strategicznymi fazami treningu i odpoczynku. Tak jak bardzo starał się podczas turniejów, równie mocno cieszył się, że na kilka tygodni zaszyje się gdzieś z dala od wszystkiego z rodziną, a potem ze świeżą dawką zapału i nową motywacją wracał do tenisowego świata. Dzięki temu nie wykazywał żadnych oznak zmęczenia i zachował radość z gry w tenisa.

Kolejna cecha, która wyszła mu na dobre: przy całej swej dumie i pewności siebie nigdy nie traktował siebie samego jako kogoś nazbyt ważnego. Kiedy się upierał, chodziło o daną kwestię, a nie o własne ego. Dzięki temu mógł zachować także cechę, która różni go od wielu znanych osobistości – naturalność. Jego otwartość na świat, na ludzi, a także pozytywne usposobienie pozwalają mu zachować swobodę w kontakcie z mediami i kibicami. Szybko też zdaje sobie sprawę, że najlepiej się czuje, gdy pozostaje wierny sobie i nie próbuje odgrywać jakiejś roli. I że to właśnie w ten sposób najbardziej oszczędza siły.

Federer był zawsze mistrzem także w wydajnym pożytkowaniu energii. To macher, który wie, co może oddelegować, a czym jako szef musi zająć się sam. Dzięki temu udało mu się nie znużyć mnogością obowiązków, jakie by na niego spadły. Zauważa to także Pierre Paganini: „Z łatwością potrafi załatwić wiele spraw tego samego dnia. Na każdym zadaniu w pełni się skupia i koncentruje, czasem mam nawet wrażenie, że odpoczywa przy tym psychicznie, na przykład podczas wywiadów albo spotkań ze sponsorami. Innych to męczy, ale on potrafi w ten sposób na nowo ładować baterie".

Kto był wyróżniony tym, że mógł z trybun obserwować Federera na wielkim stadionie, ten mógł zauważyć inną jego cechę: łatwość, z jaką udaje mu się wyciszyć cały ten harmider, skoncentrować na meczu, na przeciwniku i na kolejnym punkcie, kolejnym uderzeniu, tak jakby odbywał właśnie trening na najbardziej oddalonym korcie hali. Na Arthur Ashe Stadium, najpotężniejszym tenisowym obiekcie na świecie, Federer nawet w trakcie nerwowej, wypełnionej elektryzującą atmosferą *night session* porusza się jak w bańce, sprawiając wrażenie, jakby znajdował się za grubą szybą, odizolowany od tego, co się dzieje wokół. Zdaje się, jakby w ogóle nie zauważał, że każdy jego gest śledzi ponad 20 tysięcy widzów, kamery telewizyjne przekazują każdy jego ruch milionom odbiorców, a z trybun co jakiś czas dobiegają okrzyki, które śmiało mogłyby wybić go z rytmu.

Zdaje się też mieć wrodzoną siłę mentalną, która szczególnie w przypadku sportów indywidualnych ma podstawowe znaczenie. Przejawia się ona w nadzwyczajnej umiejętności ciągłego odtwarzania najlepszych osiągnięć, całkowitej koncentracji na danym momencie i wydobyciu z niego tego, co najlepsze. Federer to człowiek chwili, każdą z nich przeżywa w pełni, przez co czasami sprawia wrażenie, że ma więcej czasu niż inni. A w tenisie decydują właśnie ułamki sekund i mają one nieocenioną wartość (pod warunkiem, że dysponuje się wystarczająco szybkimi rękami i nogami).

Pomocne było także to, że Federerowi prawie nigdy nie sprawiały problemu rola faworyta albo wysokie oczekiwania. W przeciwieństwie do innych potrafił wykorzystać swoje sukcesy i drogę na szczyt, by stać się jeszcze silniejszym, zyskać jeszcze więcej pewności siebie i dopiero dzięki temu zostać tenisistą, który najdłużej będzie prowadził w światowym rankingu. U źródła jego wyjątkowości zawsze stała

bezwarunkowa i bezprecedensowa miłość do tenisa, która często wydawała mu się ważniejsza niż jego własny nastrój. Jego pasja do tego sportu, stwierdził Paganini, pod koniec kariery raczej jeszcze wzrosła, bo wie, że ta przygoda nie będzie trwała w nieskończoność.

Jego poświęcenie było też wyrazem misji, by swojej dyscyplinie i jej sympatykom dać z siebie możliwie najwięcej. „Chciałbym pozostawić tenis w lepszym stanie, niż go zastałem" – powiedział kiedyś. Udało mu się sprawiać wrażenie, że nigdy nie jest zestresowany, w konfrontacji z mediami był opanowany także po porażkach i na usta cisnęło się pytanie, skąd pochodzi ten wewnętrzny spokój. Być może stąd, że jako tenisista już dawno przewyższył wszystkie swoje cele, a całą resztę traktował jako wspaniały bonus. Często powtarzał, że jest overachieverem, kimś, kto zaszedł dużo dalej, niż kiedykolwiek od niego oczekiwano, również on sam. Przełomowe sukcesy, z pierwszym zwycięstwem w Wimbledonie na czele, wcześnie dały mu swobodę i wyniosły go na orbitę, o której osiągnięciu nigdy nie pomyślał, a z której wysokości zataczał kolejne kręgi.

Federer szybko zaczął postrzegać siebie nie tylko jako sportowca, ale też jako artystę estradowego, który także bez rakiety w dłoni może zabawiać publiczność i oferować jej coś wyjątkowego. Również w tym przypadku z pomocą przychodziła mu jego spontaniczna, beztroska, pełna radości życia strona osobowości. Jak na przykład wtedy, gdy w Genewie w 2009 roku w trakcie weekendu Pucharu Davisa spotkał niewielkie grono szwajcarskich fanów i zaczął z nimi zabawę. On śpiewał, na co oni odpowiadali chórem:

– *Where are we from?*
– *We are Swiss! Mighty Swiss!*
– *Who is the best?*
– *We are the best…*

Dowcipniś wychodzi z niego spontanicznie. Nie ma szczególnego talentu do opowiadania gotowych żartów, ale do zrobienia komuś sytuacyjnego psikusa – jak najbardziej! Na przykład kiedy niepostrzeżenie dodaje Mirce do jedzenia porcję ostrej pasty wasabi albo śpiącej w samochodzie osobie maksymalnie podkręca podgrzewanie fotela. Jego poczucie humoru zdradzają też błyskotliwe wywiady, w których jest tak spontaniczny jak w trakcie wymiany piłek. Na przykład przed finałem w Melbourne w 2010 roku, w którym miał zmierzyć się z Andym Murrayem, powiedział do Jima Couriera, że Szkot jest pod większą presją niż on, bo Brytyjczycy „od 150 tysięcy lat" nie mieli żadnego zwycięzcy turnieju wielkoszlemowego – czym zadrwił ze skłonności brytyjskich mediów do wyolbrzymiania wszystkiego. Niektórzy zrozumieli to jednak inaczej i zarzucali mu prowadzenie wojny psychologicznej.

Federer nie jest kimś, kto się podlizuje, nakłada maskę i mówi tylko to, czego ludzie od niego oczekują albo co chcą słyszeć. Lub to, co mogłoby przynieść mu bonusowe punkty. Dlatego często sprawia wrażenie mniej serdecznego niż na przykład Rafael Nadal, który w każdym z wywiadów komuś dziękuje, a protokolantki, które transkrybują jego wywiady, wita i żegna całusem w policzek. Federer natomiast lubi się dobrze bawić – jak podczas spontanicznego występu na przyjęciu urodzinowym Tony'ego Godsicka w Australii, kiedy to razem z Tommym Haasem i Grigorem Dimitrowem zapodał piosenkę *Hard to Say I'm Sorry*, przy akompaniamencie kompozytora kawałka Davida Fostera, teścia Tommy'ego Haasa. (Druga, profesjonalnie opracowana wersja dotychczas jedynej piosenki grupy One Handed Backhand Boys, która powstała kilka miesięcy później, była jakimś cudem lepsza).

Fakt, że niektórzy postrzegają niekiedy tę jego spontaniczność jako przejaw władczości, i uważają, że za bardzo stawia siebie

na pierwszym planie, to druga strona medalu – ale taka, z którą może żyć. A ponieważ ten zarzut jest chybiony, bo koniec końców cała dyscyplina korzysta, gdy stawia się ją w centrum, i to jeszcze w niekonwencjonalny i zabawny sposób, nie jest to wyraz jakiejś szczególnej bezkompromisowości – taki po prostu jest Federer.

35

MONA LISA TENISA

Relacja z Mirką jest ważnym czynnikiem w karierze Rogera Federera. Wydaje się to niemal zrządzeniem losu, że swoją sportową aktywność – jeszcze jako Miroslava Vavrinec – musiała przerwać dokładnie wtedy, kiedy on wdarł się na szczyt. Tylko dlatego od tamtego momentu nie zajmowała się już swoimi treningami, turniejami i wyjazdami, ale towarzyszyła mu zawsze, gdy tylko jej potrzebował. Gdyby się tak nie stało, kariera Federera, jego relacja z Mirką i tym samym przypuszczalnie całe jego życie potoczyłyby się zupełnie inaczej – i przypuszczalnie nie lepiej.

Mirka w trakcie swojej niekończącej się przerwy wywołanej kontuzjami przeżywała od kwietnia 2002 roku trudne miesiące. Siedziała bezczynnie w domu, śledziła w telewizji turnieje tenisa, cierpiała. Kiedy w 2003 roku Roger zwyciężył w Wimbledonie, a leczenie jej stopy wciąż jeszcze trwało, koniec kariery, tymczasem już nieuchronny, nastąpił samoczynnie. W zupełności poświęciła się sportowemu życiu swojego chłopaka i odnalazła w tym nowy życiowy cel. Dzięki niemu mogła spełnić własne niezrealizowane marzenia tenisowe – wprawdzie nie za sterem, ale z fotela pasażera.

W tym trudnym czasie Roger był dla niej dużym wsparciem, jak powiedziała w wywiadzie podczas Wimbledonu 2004, który przeprowadzałem z nią dla „SonntagsZeitung”. „Kiedy on wygrywa, jest tak, jakbym ja też wygrywała. Żyję tym tak

intensywnie i wiem, co to znaczy. Wszystkim się ze mną dzieli. W ten sposób Roger oddaje mi moje tenisowe życie. A obecnie wszystko jest jeszcze intensywniejsze niż w czasach, gdy sama grałam, bo on jest numerem 1".

Mirka bez słowa skargi zaakceptowała fakt, że odtąd swoje aspiracje będzie musiała odsunąć w cień. „Najpierw jest tenis, potem jest on, dopiero potem kiedyś będę ja. Ale jestem wyrozumiała w tej kwestii" – powiedziała. Teraz chodzi o niego, nie o nią. „Jest teraz numerem 1 na świecie. To się zdarza tylko raz w życiu. Mój czas jeszcze nadejdzie. Po tenisie. Tak to ustaliliśmy".

W tym wszystkim nie była też wyłącznie jego partnerką i ozdobą, ale szybko przejęła ważne funkcje. Jako osobista asystentka zajmowała się jego terminarzem, zapytaniami o wywiad i kontaktami z mediami, organizowaniem podróży i rezerwacjami w hotelach. Roger potrzebował tej pomocy, bo w radykalny sposób, na nowo, kształtował swoje otoczenie. Na koniec czerwca 2003 roku – a więc tuż przed swoim pierwszym zwycięstwem w Wimbledonie – wypowiedział współpracę z amerykańską agencją IMG. „Złożyły się na to takie czy inne sprawy w IMG. To kwestie, których nie potrafię i nie mogę wyjaśnić – powiedział. – Było zbyt wiele rzeczy, które mi nie pasowały".

W przyszłości Federer chciał pracować już tylko z ludźmi, do których miał stuprocentowe zaufanie. Do nich, obok Mirki i Pierre'a Paganiniego, należeli również jego rodzice. Znaleźli się w centrum jego nowych struktur, które w niemieckiej nowomowie określa się jako Inhouse Management. Założono firmę Hippo GmbH z siedzibą w Bottmingen, przy czym jej nazwa (Hippo pochodzi od słowa hipopotam) została wybrana tak, by nawiązywała do RPA. „Ja i moja żona często obserwowaliśmy hipopotamy podczas wakacji w RPA i je

polubiliśmy” – tłumaczył kiedyś Robert Federer. Po 33 latach Lynette jesienią 2003 roku ostatecznie opuściła firmę Ciba i od tego momentu pracowała dla syna.

Mniej więcej w tym czasie Roger wyprowadził się z domu w Bottmingen, który przez dwa lata dzielił z rodzicami. Wraz z Mirką przeniósł się do pierwszego wspólnego mieszkania w sąsiednim Oberwil. Jego dziewczyna wykorzystała czas sportowej bezczynności na wprowadzenie na rynek jego linii kosmetyków ochronnych. W tym celu wraz z pochodzącym z Turgowii prezesem Joachimem Benke założyła firmę RF Cosmetics AG. Był to, jak się później okaże, jeden z największych „niewymuszonych błędów” w pełnej sukcesów pozatenisowej historii Federera. A przy okazji dość kosztowny. Nawet jeżeli zapach jego perfum Feel the Touch został dobrze przyjęty, eksperci z branży od razu ocenili lansowanie tej linii kosmetyków na tak ogromnie nasyconym rynku jako wysoce ryzykowne, a ze względu na młody wiek Rogera – także przedwczesne. Już pod koniec 2006 roku klamka zapadła i produkcję wstrzymano.

Mirka bardzo angażowała się w rolę asystentki, ale wkrótce i tak się okazało, że sprawowanie opieki medialnej nie jest dla niej odpowiednią funkcją. Coraz bardziej tłamsiły ją ciągle rosnąca natarczywość i roszczenia dziennikarzy oraz ograniczona dostępność jej chłopaka. To w końcu ona stale musiała odmawiać, co nie przysparzało jej popularności. Niewiele pomogło nawet to, że po zwycięstwie w Houston na koniec sezonu w 2003 i 2004 roku zaprosili na szampana i small talk przedstawicieli szwajcarskich mediów. Choć trzeba przyznać, że był to miły gest.

Federer zauważył, że ten układ rozwinął się dla Mirki w niekorzystny sposób. Dochodziło do napięć, także pomiędzy nią a niektórymi dziennikarzami. Podczas Australian Open

stałem obok, gdy ona i reporter, który zwykł opisywać ją w mało delikatny sposób, kłócili się głośno i ubliżali sobie przed restauracją zawodników.

Młodej parze nie podobało się także to, że ciągle publikowano jej wywiady i wypowiedzi, które były wyolbrzymione lub nieautoryzowane. Mirka jest z natury otwarta, rozmowna oraz przystępna i niekiedy tego nadużywano. Roger zdecydował się odsunąć ją z linii ognia. Od tego momentu miała już po prostu nie udzielać żadnych wywiadów – postanowienie to wprowadziła w życie, i to konsekwentnie. „W ten sposób możemy najlepiej chronić naszą prywatność" – powiedział Federer pod koniec 2006 roku.

Trzy lata później odniósł się do tej zmiany trochę bardziej konkretnie. „Na początku wypływało zbyt wiele informacji, co mi nie pasowało. Chciałem ufać ludziom wokół mnie, gdy coś miało pozostać prywatną sprawą lub tajemnicą. To ja doradziłem kiedyś Mirce, żeby nie udzielała już żadnych wywiadów. Była w rozterce. Dbała o kontakty z mediami, często ją cytowano i zawsze traktowano jako tą złą, która musiała mówić »nie«. Najpierw tego »nie« było 50 procent, potem 90, potem 99, a w końcu 100, bo nie miałem już czasu. To mi do niej nie pasowało. Nie była to wdzięczna praca. Cieszy się, że nie musi już tego robić".

W tej samej rozmowie opowiedział też o ich bliskiej relacji. „Wiemy, że z jednej strony nasze życie jest super, z drugiej natomiast jest też czasami bardzo trudne. Zawsze znajdujesz się w centrum uwagi, cały czas musisz żyć trochę inaczej, niżbyś tego chciał. Zawsze niewiarygodnie mnie wspierała, a ja ją. Najchętniej spędzamy czas sami, potrzebujemy tego, bo często przebywamy w większych grupach". Przede wszystkim traktował ją wprawdzie jako żonę i matkę swoich dzieci, ale była także członkiem zespołu. „Ma swoje zdanie, jest silną

osobowością. Od mojego teamu nie oczekuję jednak, by każdy tylko potakiwał. Oczekuję od wszystkich, że będą mi mówić prawdę".

Gdy miałem kiedyś przygotować sylwetkę jego dziewczyny do programu Australian Open, to Roger wziął na siebie opowiadanie o niej. Jej nowe zadania, jako że miała jeszcze wtedy małe dzieci, opisywał następująco: „Rezerwuje loty, bukuje hotele, jest w kontakcie z ATP, żeby wszystko szło sprawnie na turniejach, dba o to, czym zajmuję się poza turniejami. Organizuje mój kalendarz i rezerwuje wakacje". Ponadto jest jego ważnym doradcą: „Wiele już przeżyła i może się tym ze mną podzielić".

Mirka ma łagodne usposobienie, ale miewa i twarde oblicze, co pokazała już w trakcie swojej kariery tenisowej. Potrafi się bronić i strzec własnych interesów, także wobec męża, o którym w styczniu 2004 roku powiedziała: „Czasami Roger zachowuje się jak 12-latek, a czasami, jakby miał 35 lat, jak ktoś, kto wszystkim pomaga i potrafi rozmawiać. Kiedy dyskutujemy z jego rodzicami, niektóre rzeczy widzi bardzo neutralnie i klarownie. Czasem zaskakuje nas wszystkich". To, że wiele dla niego poświęciła, nie przeszkadza jej przedstawiać mu swojego zdania. Albo dawać do zrozumienia, kiedy na przykład uważa, że już wystarczająco długo jest w rozjazdach z chłopakami z Pucharu Davisa. W szwajcarskim środowisku tenisowym jesienią 2010 roku uporczywie utrzymywała się plotka, że to właśnie ona skłoniła Rogera by nie leciał z daviscupową drużyną do Kazachstanu. A bez niego Szwajcarzy przegrali wyraźnie i wypadli z Grupy Światowej.

Mirka jest za to w centrum, jeżeli chodzi o ich życie prywatne, kontakty społeczne albo wybór wakacyjnych miejscowości. Roger pozostawia to żonie, bo lubi jej dobry gust i podziela upodobania, jeśli chodzi o piękne hotele albo wakacyjne

kierunki, takie jak Mauritius czy Malediwy. Mirka jest wszechstronna i w razie potrzeby, kiedy ma na to ochotę lub gdy nie ma nikogo pod ręką, przed meczem Federer może z nią nawet odbyć rozgrzewkę. Tak było na przykład przed finałem German Open w Hamburgu w 2007 roku. Szybko sięgnął wtedy po jedno ze swoich piękniejszych zwycięstw i stał się pierwszym pogromcą Nadala na mączce od dwóch lat. Objął wtedy swoją dziewczynę na korcie i się nią zachwycał. Publiczne wyrazy miłości w jego przypadku były wtedy jeszcze rzadkością, z czasem stały się jednak częstsze i coraz wyraźniejsze.

Pewnie najpiękniejsze słowa padły z jego ust w Australii, gdy Mirka już od dawna była jego żoną i mieli czworo dzieci. Po zdobytym 18. tytule wielkoszlemowym powiedział: „Była ze mną już wtedy, gdy na koncie nie miałem żadnego tytułu, i jest ze mną nadal, 89 tytułów później. Odgrywa bardzo ważną rolę w moim życiu – ona to wie, ja to wiem i wszyscy to wiedzą. Jestem szczęśliwy, że jest moją żoną, moim pierwszym sprzymierzeńcem i zawsze mówi mi prawdę".

Rok później w tym samym miejscu, po zdobyciu 20. wielkoszlemowego pucharu, powiedział: „To moja żona sprawia, że to wszystko jest możliwe. Bez wsparcia Mirki już od dawna bym nie grał. Kilka lat temu mieliśmy bardzo szczerą rozmowę o tym, czy robienie tego wszystkiego sprawia jej jeszcze radość. Jestem szczęśliwy, że tak mnie wspiera, że przejęła tak wiele obowiązków, jeśli chodzi o dzieci. Nie chciałbym być dłużej niż dwa tygodnie bez kontaktu z nimi. Nic w moim życiu nie funkcjonowałoby bez Mirki".

Ponieważ żona Federera od dawna nie udzieliła żadnego wywiadu, na przestrzeni lat stała się dla opinii publicznej tajemnicą. Tak jak *Mona Lisę* z Luwru, słynny na całym świecie obraz Leonardo da Vinci, prawie każdy znał jej trudną do

zinterpretowania minę. Widywano ją, gdy pisała coś na telefonie, kibicowała swojemu mężowi albo na zdjęciach w pięknych sukniach lub z dziećmi. W czasach gdy prawie każdy musi wszystko skomentować przez *social media*, Mirka pozostaje jednak milcząca, jakby tkwiła za szklaną szybą, a mimo to wszędzie ją widać. To tylko sprawia, że jest jeszcze bardziej tajemnicza, bardziej niepojęta i bardziej interesująca. W 2017 roku była kobietą, o której w Szwajcarii najczęściej szukano informacji za pośrednictwem wyszukiwarki Google.

36

SIERŻANT PIEPRZ

Poza kortem tenisowym Federer jest zupełnym przeciwieństwem agresywnego odważniaka, który podejmuje ryzyko i bada, gdzie są granice. Skoki ze spadochronem czy skok na bungee są dla niego – w przeciwieństwie do jego trenera Severina Lüthiego – okropnością, a zamiast wypadów pełnych przygód woli razem z rodziną spokojną plażę na Malediwach. W 2018 roku w Cincinnati, gdzie kompleks, na którym rozgrywany jest turniej, leży zaraz obok parku rozrywki Kings Island, mówi: „Boję się tych kolejek, na których moi czteroletni synowie dobrze się bawią". A kiedy w uniformie alpinisty faktycznie zjeżdża po linie wzdłuż oblodzonego wodospadu, to tylko wówczas, gdy filmuje go przy tym poszukiwacz przygód i twórca filmów dokumentalnych Bear Grylls, zapewniając Rogera, że naprawdę nic mu się nie stanie.

Mimo tych mało spektakularnych i zachowawczych form spędzania wolnego czasu Federer nigdy nie bywa określany safandułą. Już same jego sukcesy sprawiają, że jest atrakcyjny, a ponieważ coraz bardziej się stara i udaje mu się w każdej sytuacji emanować klasą i elegancją, już wkrótce uznaje się go za ikonę stylu, ideał zięcia i wiarygodnego ambasadora reklamowanych przez siebie produktów. W 2006 roku „Schweizer Illustrierte" sformułował to tak: „Perfekcyjne uderzenia, perfekcyjne outfity. Roger Federer na każdym polu jest nie do pobicia. Żadnych niewłaściwych zachowań, żadnych

skandali. As we wszystkich aspektach życia". Magazyn zacytował słowa doradcy modowego i stylisty Clifforda Lilleya: „Federer ma styl i klasę, której nie da się kupić. Przypomina mi młodego Cary'ego Granta".

Przemiana Federera z noszącego jeansy fana sportu w stylowego, światowego mężczyznę następuje w 2005 roku. Ścina wtedy sięgające ramion, nie zawsze wyglądające na zadbane włosy i od tego momentu zaczyna pojawiać się z krótką fryzurą i w coraz elegantszych strojach. Siłą napędową tej wizualnej przemiany jest Mirka, u której zawsze wyczuwa się nutkę glamouru i która wprowadza go w świat mody. Także na tym polu Federer jest wdzięcznym, chętnym uczniem; w 2017 roku czasopismo „Vanity Fair" umieszcza go na drugim miejscu listy najlepiej ubranych mężczyzn na świecie. Świat tenisa i swoje publiczne występy Szwajcar od dawna uznaje za scenę, na której chce brylować również wizualnie. Ponieważ nie traktuje przy tym siebie samego nazbyt poważnie i jest otwarty na eksperymenty, niekiedy zdarza mu się przeciągnąć strunę.

Już wkrótce w jego boksie coraz częściej pojawia się Brytyjka Anna Wintour, szefowa amerykańskiego wydania „Vogue'a", uchodząca za jedną z najbardziej wpływowych kobiet w branży modowej. Od czasu do czasu Federer jest gościem podczas pokazów, chociażby w Mediolanie, Paryżu czy Nowym Jorku. Jego najważniejszym, osobistym wybiegiem jest Wimbledon. Próbując okazać szacunek temu turniejowi o bogatej tradycji i równocześnie wnieść odmianę do All England Club, który nadal jako dominujący kolor stroju uznaje biały, Federer rozpoczyna produkcję specjalnych outfitów i akcesoriów na swój ulubiony turniej. I tak oto w 2006 roku pojawia się w białej marynarce z wyszytym złotą nitką logo na kieszonce – które nie ma jednak jeszcze nic wspólnego z późniejszymi znanymi

inicjałami RF. To stylowe F, nawiązujące do nazwiska. Rok później całość uzupełnia dzianinowym swetrem ze złotymi obszyciami i spodniami z kantem, które zakłada czasem na rozgrzewkę, oraz masywną białą torbą.

Wiadomość, jaką Federer wysyła poprzez strój, jest różnie interpretowana i nie wszędzie robi dobre wrażenie. „Wyglądało to tak, jakby świadomie szukał swojego miejsca w historii tenisa – pisze dziennikarz »Timesa« Simon Barnes. – Szczerze mówiąc, wyglądał jak lalusiowaty malarz albo dekorator wnętrz – wytyka tenisiście i puentuje: – Cała ta moda retro i ten cyrk zdają się mówić: »Oglądają państwo nie tylko mistrza, ale też legendę«".

Wystąpienie Rogera w tym niekonwencjonalnym stroju treningowym nie przebiega jednak bez kłopotów. Podekscytowany faktem, że piątym z rzędu zwycięstwem w Wimbledonie wyrównał rekord Björna Borga, długie spodnie zakłada tył na przód. Pomyłkę zauważa dopiero wtedy, gdy podczas ceremonii wręczenia nagród chce włożyć rękę do kieszeni i zdaje sobie sprawę, że jest ona z tyłu. „W ogóle nie było tego widać – komentuje później – ale ktoś z brytyjskiej prasy to odkrył i powiedział: »O co chodzi? Ma suwak z tyłu«". To było dość niezręczne.

Apogeum ryzykownych wizualnie występów Federera podczas Wimbledonu ma jednak dopiero nastąpić. W 2009 roku pojawia się na Korcie Centralnym w białej kurtce przypominającej wojskowy mundur z czasów kolonialnych. Koszula, spodnie i buty mają złote paski, także symbol Nike oraz jego inicjały utrzymane są w złotej tonacji. Nawet biała torba zyskała złote, błyszczące fronty. Tym sposobem Federer szybko staje się obiektem kpin i złośliwości. Wyglądał jak „skrzyżowanie postaci Sierżanta Pieprza z czymś z filmu *Oficer*

i dżentelmen” – pisze „Mirror”, a „Daily Telegraph” migiem wrzuca go do galerii najgorzej ubranych sportowców.

„Wiedziałem, że wyjdzie to trochę zbyt nachalnie – wyznaje Federer. – Albo się to kocha, albo nienawidzi. Jednak nie zawsze można być tylko miłym chłopcem, który nie chce się nikomu narazić”. Rozumie, że dodał trochę zbyt dużo złotych elementów. Celem było jednak nawiązanie do trofeum.

Niektórzy za niezbyt taktowne uznają także, że w tym samym roku ledwo pokonał Andy’ego Roddicka w piątym secie 16:14, a już zakłada bluzę treningową z wyszytą złotą nitką cyfrą 15, bo 15. wielkoszlemowym tytułem poprawił rekord, który wcześniej dzielił z Pete’em Samprasem. Według „New York Timesa” w oczach wielu był to „szokujący pokaz złośliwej satysfakcji” i „policzek wymierzony Roddickowi”.

„W Wimbledonie próbowaliśmy przywrócić historię, czas, w którym zawodnicy grali jeszcze w żakietach i kardiganach – usprawiedliwia się w 2018 roku Federer na łamach brytyjskiego wydania »GQ«. – W ten sposób chcieliśmy to wszystko wyeksponować i trochę przegięliśmy. Te momenty pozostają jednak w pamięci i byłem gotowy na podjęcie ryzyka”. W 2013 roku znów przekracza granicę, kiedy w Wimbledonie występuje w butach z pomarańczowymi podeszwami. Organizatorzy zmuszają go jednak, by zostawił je w szafce i odtąd nosił, zgodnie z wymaganiami, białe podeszwy.

Federer ryzykuje także poza kortem, na przykład w 2017 roku podczas Met Gala w Nowym Jorku, gdzie pojawił się w smokingu marki Gucci z wyszytą na plecach kryształową kobrą. Albo na sesji zdjęciowej do serii zdjęć dla magazynu „GQ”, który rok wcześniej przyznał mu tytuł „Most Stylish Man” i w kwietniu 2017 umieścił go na okładce. Najbardziej ryzykowne – albo, w zależności od punktu widzenia, nieudane – zdjęcie przedstawia go przeciągającego się na przestronnej,

przykrytej futrem sofie, w krótkich spodenkach, marynarce i z pucharem z Australian Open w lewej ręce.

37

MARKA RF

Lynette Federer nie wierzyła własnym oczom, kiedy przeczytała jeden z pierwszych dłuższych wywiadów udzielonych przez jej syna. To, co było w nim napisane, wydawało jej się dziwne. Na pytanie, co kupiłby sobie, gdyby wygrał dużą nagrodę pieniężną, odpowiedź brzmiała: „Mercedesa". Takiego Rogera nie znała. Chodził jeszcze do szkoły, nie miał nawet prawa jazdy i był całkowicie skupiony na sporcie. Zaciekawiona zadzwoniła do redakcji i zapytała, czy faktycznie tak powiedział. Tam sprawdzono tę informację i rzeczywiście redaktor się przesłyszał: Roger nie powiedział „Mercedes", ale „Mehr CDs"[4].

Anegdota pokazuje, że Federer już w młodości był skromnym człowiekiem i nie potrzebował wiele do szczęścia. Jakość życia – podobnie jak dobra muzyka – znaczy dla niego więcej niż rzeczy materialne. Dobrobyt finansowy, jaki osiągnął przez te wszystkie lata dzięki sukcesom i charyzmie, był tylko przyjemnym skutkiem ubocznym – tak naprawdę chodziło mu o grę w tenisa. Później jednak, o ironio, rzeczywiście będzie jeździł samochodem niemieckiej luksusowej marki z gwiazdą w logo, i to najelegantszym i najdroższym modelem. Do tego nie tylko nie musiał za niego zapłacić, ale jeszcze dostaje za to pieniądze. Wiosną 2008 roku nawiązał wieloletnią współpracę reklamowo-marketingową z Mercedes-Benz China Ltd., dziesięć lat później rozszerzy się ona na cały świat.

Skromności, którą wcześnie zauważyła jego matka, nie stracił też wtedy, gdy dolary coraz szybciej i z coraz większą liczbą zer pojawiały się na jego koncie, a on sam awansował do grona jednego z najlepiej zarabiających sportowców na świecie i przez kilka lat był wśród nich najlepiej opłacanym „słupem reklamowym". Nawet mimo tego, że zazwyczaj tenisiści stoją w kolejce za najlepszymi koszykarzami, bokserami, golfistami, piłkarzami i innymi gwiazdami światowego sportu, w szczególności w USA.

Jakkolwiek dziwnie może to zabrzmieć, skromność Federera jest jednym z głównych powodów jego powodzenia wśród reklamodawców. Nigdy nie był strategicznie pozycjonowaną, wykreowaną, ekstrawagancką gwiazdą, za to szybko stał się symbolem skromności, prostoty, wiarygodności, naturalności i odpowiedzialności. Kogoś, komu bez namysłu powierzyłoby się swój majątek, chcąc go dobrze zainwestować.

„Cieszą mnie małe rzeczy – powiedział mi pewnego razu w późniejszym okresie swojej kariery. – To może być wspólny posiłek z przyjaciółmi, spotkanie ze znajomymi albo przeczytanie książki dzieciom. Najprostsze drobiazgi".

Jeśli Federer w ogóle poznał, co to znaczy martwić się o pieniądze, to tylko we wczesnej fazie kariery. Już w 1998 roku, gdy miał 17 lat, jego wpływy dzięki nagrodom pieniężnym i wsparciu Szwajcarskiego Związku Tenisowego pokrywały wydatki. Ubrania dostawał od Nike, rakiety od Wilsona, a naciągi od Babolata. Poza tym szwajcarska firma telekomunikacyjna regulowała opłaty za jego rozmowy telefoniczne, co według niego było *cool*. „Za finanse odpowiedzialni są moi rodzice. Ja zupełnie nie chcę wiedzieć, ile pieniędzy dostaję, bo mógłbym zmienić nastawienie do tenisa" – powiedział przy jakiejś okazji jeszcze w czasach juniorskich.

Wcześnie związał się z czołową wówczas w tenisie i sporcie w ogóle amerykańską agencją marketingową IMG. W kwestii sponsorskiej na początku działo się jednak niewiele. Potrzeba było jeszcze wielu lat, by Federer jako partner reklamowy stał się znany i pożądany poza światem tenisa i Szwajcarią. Przed pierwszym zwycięstwem w Wimbledonie obok umów z firmami, które zaopatrywały go w sprzęt i odzież, Nike i Wilson, miał na koncie tylko nieliczne współprace, w szczególności z firmą zarządzającą majątkiem, z Emmi (produkty mleczne) i Rolexem.

Przypadek sprawił, że dokładnie przed jego przełomem w Wimbledonie w 2003 roku odciął się od IMG i zatrudnił swój Inhouse Management. Tłumaczył wtedy, że dąży do stworzenia krótkich dróg komunikacyjnych i decyzyjnych oraz większej kontroli. W centrum tej struktury stali wtedy jego rodzice, Mirka, prawnik Bernhard Christen, który zmarł nagle w 2014 roku, oraz doradca finansowo-podatkowy Rolf Auer. Działania zostały skupione w Hippo Gmbh z siedzibą w Bottmingen, która cztery lata później zmieniła się w Tenro AG – „Ten" od tenisa i „ro" od Rogera. Struktura firmy została uzupełniona przez Tenro Event AG, która była odpowiedzialna za organizację i wsparcie wydarzeń w zakresie sportu, sztuki i kultury, oraz Tenro Holding AG.

Dbaniem o interesy zwycięzcy turnieju wielkoszlemowego i lidera światowego rankingu mało doświadczony team od razu osiągnął szczyt swoich możliwości. Nie popełnił jednak błędu i nie popadł w akcjonizm i krótkowzroczne działanie. Tymczasem nastawienie Federera w stosunku do jego działań na rynku także zmieniło się radykalnie. „Roger stał się perfekcjonistą. Wszystko traktuje bardzo serio – powiedziała w kwietniu 2004 roku jego matka. – Chce być zawsze skrupulatnie poinformowany, co się dzieje".

Na razie w zakresie sponsoringu w dalszym ciągu nie było zbyt wiele konkretów, z wyjątkiem nowego kontraktu z firmą produkującą zegarki. Miejsce Rolexa latem 2004 roku zajęła marka Maurice Lacroix. Jesienią tego samego roku Federer oznajmił, że jego otoczenie nie zostało ukształtowane w idealny sposób. „Wiele na nas spadło, szczególnie na moją mamę i Mirkę – powiedział. – Nie jestem osobą, która goni za pieniędzmi. Jestem jednak na najlepszym etapie życia i nie chcę tego przespać".

Brakującym według niego elementem było połączenie z międzynarodową siecią doświadczonych menedżerów. Dlatego też w 2005 roku znów ściągnął na pokład światową agencję, tym razem jednak na innych warunkach i z pozycji siły. Co trochę zaskakujące, zdecydował się przy tym ponownie na IMG, choć dobre dwa lata wcześniej rozstał się właśnie z tą agencją. Ta tymczasem przeszła w posiadanie miliardera i inwestora Teda Forstmanna, który koniecznie chciał sprowadzić Federera z powrotem i odpowiednio się o to starał. Jego dojściem była dziewięciokrotna triumfatorka turniejów wielkoszlemowych Monica Seles. Spotkała się z Rogerem i Mirką, zarekomendowała im IMG i zaproponowała też od razu, kto byłby menedżerem Federera: Anthony Lewisohn „Tony" Godsick, który przez wiele lat dbał także o jej interesy.

Urodzony w 1971 roku nowojorczyk był synem ortopedy i nauczycielki i pochodził z interesującej rodziny. Jego dziadek ze strony matki, Richard Lewisohn junior, należał do zarządu finansowego miasta Nowy Jork i mocno angażował się w politykę. Jego pradziadek, urodzony w Niemczech chirurg Richard Lewisohn, zrobił doktorat we Freiburgu i dokonał przełomowego odkrycia, jak zapobiegać krzepnięciu krwi w trakcie transfuzji.

Tony Godsick już w młodości był fanatykiem sportu. Grał w futbol amerykański i intensywnie śledził poczynania legendarnych nowojorskich klubów sportowych, począwszy od Rangersów, przez Knicksów i Giantsów, skończywszy zaś na Jankesach. Studiował na Darmouth College w New Hampshire, kiedy w 1991 roku jako 20-latek odbył praktyki w IMG i w ten sposób po raz pierwszy nawiązał kontakt z Monicą Seles. Ówczesna zawodniczka numer 1 na świecie od razu zaczęła się dobrze rozumieć z młodym studentem. Tak dobrze, że w marcu 1993 roku poprosiła szefa IMG, Marka McCormacka, by zatrudnił starszego od niej o niecałe trzy lata praktykanta na stanowisko jej opiekuna. McCormack się zgodził. Ale raptem kilka tygodni później, 30 kwietnia 1993 roku w Hamburgu, podczas zmiany stron Seles została zaatakowana nożem przez niepanującego nad sobą fana jej rywalki Steffi Graf, który tak dotkliwie zranił jej plecy (a także psychikę), że na pewien czas zaprzestała gry.

Zanim latem 1995 roku Seles wróciła na tour, Godsick nabierał doświadczenia w głównej siedzibie IMG w Cleveland w stanie Ohio. „Miałem dopiero 24 czy 25 lat i podróżowałem z jedną z największych tenisistek wszech czasów. W ten sposób poznawałem ten biznes" – opowiadał mi kiedyś. W kwietniu 2000 roku poślubił Mary Joe Fernández, wcześniejszą tenisistkę z Top 5 i dwukrotną mistrzynię olimpijską w grze podwójnej, która przyjaźni się z Seles. Rok później na świat przyszła ich córka Isabelle, trzy lata później syn Nicholas. Wkrótce także rodzina Godsicka na stałe dołączyła do otoczenia Federera.

Obok Seles, która w 2003 roku po raz ostatni wystartowała w turnieju wielkoszlemowym, Godsick dbał o interesy między innymi Anny Kurnikowej, Tommy'ego Haasa, Danieli Hantuchovej i Lindsay Davenport. Federera po raz pierwszy spotkał w Nowym Jorku, dzień po jego zwycięstwie w US Open

2005. Od razu pojawiła się między nimi „chemia” i jeszcze w tym samym tygodniu Federer podpisał umowę z IMG.

Godsick natychmiast wniósł ruch w jego środowisko i postarał się wypozycjonować Rogera jako „światową ikonę sportu” – jedno z jego ulubionych wyrażeń – oraz lepiej wykorzystać potencjał marketingowy Szwajcara. Od roku 2006 istniejące umowy zostały na nowo rozpatrzone lub przedwcześnie rozwiązane – jak na przykład ta z Maurice Lacroix, którą zastąpiono współpracą z Rolexem – a nowe zostały zawarte, jak choćby z marką Jura, szwajcarskim producentem ekspresów do kawy. Z producentem artykułów sportowych Wilson Federer zawiera kontrakt dożywotni.

Godsickowi było na rękę to, że Inhouse Management Federera nie podpisał żadnych pochopnych lub nieprzemyślanych umów sponsorskich – w zasadzie jakichkolwiek umów. Amerykanin wniósł ze sobą wiedzę i doświadczenie, jak w zawodowym tenisie muszą wyglądać skomplikowane umowy, i miał jasną wizję. Dążył do nawiązywania wyłącznie długofalowej współpracy z najlepszymi firmami. Partnerzy powinni, jak to sformułował, wspólnie wybierać się w długą podróż, „na dobre i mniej dobre czasy”, a nie jedynie na krótką wycieczkę. „Znalazłem białą kartkę i razem byliśmy w stanie namalować dość nieprawdopodobny obraz”. Niemniej podkreślał, że to on powinien stać się częścią teamu Federera, nie na odwrót. „Po pierwsze dążyliśmy do tego, by łączyć Rogera z markami, z którymi ma jakiś związek. Poza tym rozglądaliśmy się za spółkami blue chip należącymi w swoich branżach do czołówki i z reguły działającymi globalnie. I oczywiście szukaliśmy też partnerów z rodzimego rynku. Choć stał się światową ikoną, ważne było, by pozostał blisko swoich szwajcarskich korzeni”.

Wiosną 2007 roku Federer podpisał swój pierwszy naprawdę duży kontrakt z koncernem, który ani nie miał nic wspólnego

z tenisem, ani też nie pochodził ze Szwajcarii. W Dubaju został przedstawiony jako jeden z trzech nowych ambasadorów firmy produkującej golarki Gillette, obok Tigera Woodsa i francuskiego piłkarza Thierry'ego Henry'ego. Trio zajęło miejsce Davida Beckhama, brytyjskiej gwiazdy futbolu. Sowity kontrakt był dla Federera kamieniem milowym. Różnorodne inicjatywy marketingowe lansowanej w 150 krajach kampanii reklamowej pozwoliły mu przez jedną noc stać się międzynarodową megagwiazdą, która cieszy się popularnością także poza światem sportu.

Również w 2007 roku do grona jego partnerów dołączyła firma NetJets, przedsiębiorstwo z branży biznesowej i branży prywatnych lotów. Za sprawą tego powiązania Federer zaczął coraz częściej podróżować prywatnym samolotem, przede wszystkim na krótszych trasach. Wiosną 2008 roku doszło do podpisania wspomnianego kontraktu z Mercedes-Benz China Ltd. Z tą umową powiązany był program rozwoju, który przy współpracy z chińskim związkiem tenisowym miał przyczynić się do wzrostu popularności tego sportu w Chinach oraz wsparcia juniorów.

Szczególnie dla działających na międzynarodową skalę szwajcarskich firm Federer szybko wyrósł na pożądany i wartościowy – choć niezupełnie korzystny finansowo – nośnik reklam. Symbolizował wartości, które uchodzą za typowe dla Szwajcarii, takie jak niezawodność i jakość. Inicjały RF, które później pojawiły się na rynku razem z logo Nike, wieloletniego partnera Federera wyposażającego go w odzież, przypominały o dalszych pozytywnych cechach Rogera. Zaliczyć do nich można: klasę, postępowanie fair play, elegancję, talent, inspirację, życzliwość, ducha walki, odwagę, afirmację życia, dumę, rozeznanie, instynkt, sprawność, kreatywność, pasję, oddanie, człowieczeństwo, gotowość do poświęceń, empatię –

i w dalszym ciągu trochę magii. Wymarzone połączenie dla wielu sponsorów.

W monogramie RF Nike wykorzystała logo, które Mirka rozwinęła na potrzeby lansowanej już w 2003 roku i krótko potem zawieszonej linii kosmetyków – łukowate R bez pionowej linii, którego nóżka sięga do F. Nike przekształciło inicjał, usuwając linię pionową litery F.

Za pomocą tego logo, którym odtąd Nike sygnuje jego produkty, Federer szuka łączności ze swoimi sympatykami i ją znajduje. Nie potrzebuje do tego okrężnej drogi poprzez symbol, jak inne sportowe potęgi – choćby krokodyl René Lacoste'a lub wygięte rogi byka Rafaela Nadala. Logo RF jest odpowiednikiem TW Tigera Woodsa w golfie czy CR7 Cristiano Ronaldo w piłce nożnej. Bliskość RF i TW nie dziwi, bo w końcu ich menedżerowie Tony Godsick i Mark Steinberg przez długi czas pracowali w IMG i się przyjaźnili.

Ze swoim logo Federer musi się chwilowo rozstać w 2018 roku. Jego dziesięcioletni kontrakt z Nike wygasa i obie strony nie dochodzą do porozumienia w kwestii przedłużenia umowy, ich wizje są zbyt rozbieżne. Federer ignoruje Amerykanów i decyduje się na długofalową współpracę reklamową i ambasadorską z japońską marką Uniqlo. Ta stwarza mu szansę, by także po zakończeniu kariery tenisisty funkcjonował w branży modowej, zwłaszcza że Japończycy nie produkują w pierwszej linii ubrań sportowych, ale odzież codzienną.

Na razie jednak centrum aktywności Federera poza kortem nadal stanowi rodzimy rynek. Po liniach lotniczych SWISS oraz firmach Emmi, Rolex, Jura i ubezpieczeniach Nationale Suisse jesienią 2009 roku na światową gwiazdę z ojczyzny postawiła czołowa szwajcarska marka czekolady Lindt, wywodząca się z grupy Lindt & Sprüngli.

Zaledwie kilka dni później ogłoszono nawiązanie umowy z Credit Suisse. Drugi pod względem wielkości bank w Szwajcarii po raz pierwszy w tak skoncentrowanej formie postawił na znanego na świecie indywidualnego sportowca, wcześniej angażował się bowiem przede wszystkim w piłkę nożną, golfa, jazdę konną albo Formułę 1. Współpraca została zawarta na dziesięć lat i obejmowała zapis, zgodnie z którym każdego roku milion dolarów miał bezpośrednio zasilić fundację Rogera Federera.

Wkrótce w Szwajcarii przed Federerem nie było już ucieczki. Na lotnisku w Zurychu jego cyfrowa wersja witała gości z ekranu i zachęcała do zrobienia sobie selfie. Wizerunek w rzeczywistym rozmiarze znajdujący się na lokomotywie przemierzał kraj wzdłuż i wszerz. W telewizji zmieniały się spoty reklamowe z jego udziałem. Dla firmy telekomunikacyjnej Sunrise, której ambasadorem został w 2015 roku, skakał szczupakiem pomiędzy wieżowcami albo zwisał z helikoptera. W roli dzikiego Robinsona Crusoe pojawiał się na samotnej wyspie i próbował rozpalić ogień rakietą. Grał w tenisa z robotem, co do milimetra cyrklował piłki do najbardziej oddalonych celów… Po pewnym czasie jego portfolio było już do tego stopnia wypełnione szwajcarskimi firmami, że zaczął odrzucać lukratywne oferty z ojczyzny. Nawet te, które idealnie do niego pasowały, jak choćby jednego z producentów najwyższej jakości sprzętu audio („mehr CDs”). Groził bowiem „Federerowy” przesyt, a granica była już nieznacznie przekroczona. Federer tu, Federer tam, Federer wszędzie.

Także na arenie międzynarodowej jego obecności jako nośnika reklamy wkrótce nie dało się nie zauważyć. Czy to na ogromnym plakacie na placu św. Marka w Wenecji, na billboardach pomiędzy Manhattanem i Flushing Meadows, na

londyńskich i nowojorskich taksówkach albo na ogromnym plakacie na dworcu w Melbourne – gdziekolwiek się człowiek pojawił, Federer już tam był.

Wbrew wcześniejszym obietnicom, że nigdy nie będzie reklamował alkoholu, został ambasadorem Moët & Chandon, jednej z najważniejszych marek szampana. Kolejną umowę ambasadorską podpisał z producentem włoskich produktów mącznych Barilla, dzięki czemu w jego spotach reklamowych obok ekscytującej francuskiej *art de vivre* pojawiło się trochę *italianità*. W 2018 roku grono jego partnerów poszerzyło się o niemiecką firmę Rimowa, jednego z czołowych producentów walizek, toreb i akcesoriów podróżnych.

Uderzające było przy tym to, z jaką kreatywnością, jakim nakładem i z jaką inspiracją większość jego partnerów na nowo starała się zaaranżować jego obecność na rynku. Istotnie, Federer rozwinął się znacząco jako aktor, a do tego był gotów na wiele. Niektóre z tych filmików miały nawet pionierski charakter, choćby scena powstała przy okazji kręcenia spotu dla Gillette, kiedy to Federer przypadkowo obecnemu tam pracownikowi za pomocą piłki i rakiety strąca z głowy puszkę. Ta akcja w stylu Wilhelma Tella miała w Internecie ponad dziesięć milionów wyświetleń i wywołała dyskusję, czy była ustawiona. Tym samym przedstawiła nową formę reklamy bezpośredniej. Kwestia autentyczności tej sceny nigdy nie została oficjalnie rozstrzygnięta – ale nawet Federer z piłką i rakietą tenisową w ręce ma jakieś granice.

Jego sponsorzy i partnerzy niemal bez wyjątku wyrażali się euforycznie o współpracy z Rogerem. Na przykład Jura. Emanuel Probst, dyrektor zarządzający firmy, w 2017 roku powiedział o ich partnerstwie: „Nam się na pewno opłaca: 90 procent automatów do kawy sprzedajemy poza granice Szwajcarii. Ogromnie pomaga w tym globalna osobowość, jaką

jest Roger Federer”. W 2017 roku Jura sprzedała 14 procent (45 tysięcy) więcej w pełni automatycznych ekspresów do kawy niż rok wcześniej, obrót firmy wzrósł w tych samych proporcjach o 59 milionów franków. Oczywiście nie wiadomo, czy to wszystko było zasługą Federera, ale Probst się zachwyca: „Każdemu, z kim rozmawia, daje poczucie, że ten ktoś jest dla niego najważniejszą osobą na świecie”. Znaleźliby się ludzie, którzy chcieliby pracować tylko w jego firmie, bo Federer jest ich ambasadorem. „W ostatnim roku zorganizowaliśmy wieczorną galę, tylko dla pracowników. Przyszło prawie 300 osób. Dla każdego znalazł czas, z każdym pogadał i robił zdjęcia”.

Za sprawą swoich łącznych wpływów Federer ustawicznie wspinał się na liście najlepiej zarabiających sportowców. Amerykański koncern medialny „Forbes” wycenił jego roczny przychód brutto z nagród pieniężnych, gaż za występy i umów sponsorskich w 2009 roku na 33 miliony dolarów, co zaprowadziło go na 11. miejsce w tym rankingu. Według tego samego źródła dziewięć lat później roczny przychód Szwajcara (pomiędzy czerwcem 2017 a czerwcem 2018) był ponad dwa razy wyższy i wynosił 77,2 miliona dolarów. Według szacunków 65 milionów pochodziło z umów sponsorskich i reklamowych, dzięki czemu został pod tym względem najlepiej zarabiającym sportowcem na świecie. Łączne wpływy Federera „Forbes” oszacował pod koniec 2017 roku na 675 milionów dolarów, „Neue Zürcher Zeitung” na ponad 750 milionów, a szwajcarski magazyn „Bilanz” na około 500 milionów.

Latem 2013 roku Godsick i Federer prawie w tym samym czasie opuścili IMG. Agencja zbyt ich przytłaczała, zbyt wielu ludzi miało w niej coś do powiedzenia. Tymczasem zmarł Forstmann, a pod koniec roku firma przeszła w inne ręce. Godsick, który przez 19 lat pracował dla IMG, obiecał

Federerowi, że przy pomocy inwestorów Iana McKinnona i Dirka Ziffa założy agencję sportu i rozrywki Team8 z siedzibą w Pepper Pike w Ohio. Jej celem nie miało być, jak w przypadku wielu innych agencji, podpisanie kontraktów z możliwie wieloma klientami, w nadziei, że część z nich zostanie i dokona przełomu. Jak stwierdził Godsick: „Próbujemy być agencją typu boutique, która ma w swojej »stajni« wyłącznie niewielu zawodników uznawanych za ikony".

Pod adresem team8global.com pojawiła się tylko pusta strona z firmowym logo na szaro-niebieskim tle. Próżno szukać możliwości otwarcia kolejnej zakładki[5]. Ta ascetyczna odsłona nadała firmie trochę zachowawczości, powściągliwości, a nawet nieco tajemnicy. I taki był też zamiar – liczyła się nie firma, ale klienci.

Nazwa firmy zdradzała jednak więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Bo ósemka jest nie tylko ulubioną cyfrą Federera (jego data urodzin to 8 sierpnia 1981 roku), tutaj spełnia także jeszcze inną funkcję. Mały, wysunięty na prawo trójkąt pomiędzy TEAM i 8 w logo wskazuje, że dwie części, które nie są oddzielone od siebie spacją, stanowią całość. Wypowiadane razem, słowo to otrzymuje zupełnie inne znaczenie: *teammate*, kumpel z drużyny. Dokładnie o to w tym biznesie chodzi przede wszystkim, jak mówi Godsick – o relacje. „I tak nie lubię słowa agent. Znacznie chętniej mówię o partnerach. Trzeba komunikować się ze sobą, robić burze mózgów, łączyć kreatywność i wspólnie stworzyć wartość dodaną". Centralne miejsce ma zajmować uczciwość. „Reputacja to klucz, a w tej kwestii nie da się oszukiwać". Ale powinno mieć się przy tym także trochę przyjemności. „Kiedy to, co robisz, cię nie cieszy, ludzie to wyczują".

Grono klientów z założenia nie ograniczało się tylko do tenisistów. Obok Federera, Juana Martína del Potro i Grigora

Dimitrowa (który zrezygnował z usług firmy pod koniec 2017 roku) Team8 miał pod swoimi skrzydłami także szwedzkiego bramkarza hokejowego Henrika Lundqvista, który za sprawą osiągnięć w New York Rangers stał się kultową postacią. Później dołączyła do nich obiecująca amerykańska juniorka Cori Gauff. Team menedżerów zasilił najpierw Brazylijczyk André Silva, który przez 14 lat zajmował wpływowe pozycje w ATP, i Chris McCormack, którego dziadek Mark McCormack założył firmę IMG.

Po ośmiu zwycięstwach Federera w Wimbledonie zajmująca się wyceną przedsiębiorstw londyńska firma doradcza Brand Finance obliczyła – na zlecenie szwajcarskiej gazety „Tages-Anzeiger" – wartość światowej marki Roger Federer. Analitycy oszacowali wartość Federera jako obiektu zainteresowania reklamodawców – według własnych danych: ostrożnie – na 380 milionów dolarów. Tym samym na liście najbardziej wartościowych klubów piłkarskich na świecie Szwajcar wylądowałby na 13. miejscu. Klubów, nie piłkarzy – należy podkreślić.

Godsick powiedział kiedyś na łamach „New York Timesa": „Mogę bardzo dobrze sprzedawać Rogera Federera, ale nikt nie sprzedaje Rogera lepiej niż Roger". Przy okazji Pucharu Lavera w 2018 roku w Chicago menedżer poszedł jeszcze dalej w swojej ocenie. „Jest dobrym tenisistą, ale jeszcze lepszą osobą, a ja obserwuję go znacznie częściej niż przeciętny fan". Tony często brał udział w naradach z Federerem, także dyskusjach dotyczących fundacji tenisisty, i może tylko potwierdzić: „Pod względem planowania jest znakomity". Godsick odważył się nawet na prognozę dotyczącą jego kariery tenisisty: „We wszystkim, co robi, chce odnosić sukcesy. Myślę, że odniesie ich jeszcze wiele".

38

PRAWIE NORMALNA RODZINA

Roger i Mirka Federerowie nie ułatwiają zadania prasie bulwarowej i fotoreporterom, bo zależy im, by ich życie prywatne takim pozostało – i konsekwentnie tego przestrzegają. O ile podczas turniejów Federer swobodnie mówi o tenisie, swoim życiu i karierze, o tyle staje się powściągliwy, gdy schodzi z kortu i wycofuje się do sfery prywatnej. Dążąc do równowagi pomiędzy nerwową codziennością na tourze a ochroną tego rewiru, gdy nie gra kolejnego turnieju, zdaje się gdzieś „zaszywać" i najchętniej pozostawia wszystkich w niepewności, gdzie się właśnie znajduje – co w epoce mediów społecznościowych i kamer w telefonach komórkowych nie jest wcale takie proste.

„Czasami już mnie to męczy – powiedział w 2018 roku o wymaganiach, jakie stawia przed nim codzienność na korcie. – Dlatego też tak ważne jest planowanie i to, że zawsze mogę zupełnie zniknąć. Gdyby uwaga była na mnie skoncentrowana bez przerwy, czułbym się tylko nieustannie wyczerpany i zupełnie nie cieszyłbym się tym wszystkim dookoła. Kiedy jednak mogę się od wszystkiego odciąć i wrócić naładowany energią, zawsze sobie myślę: dokładnie tak powinno być. Ta równowaga jest dla mnie niezwykle ważna".

Po tym, jak na początku kariery musiał walczyć o uwagę poza światem tenisa, jego popularność na całym świecie rosła na przestrzeni lat niemalże stale, najbardziej oczywiście wtedy,

gdy osiągał największe sukcesy. „W ciągu ostatnich lat zainteresowanie mną wzrosło niesamowicie – powiedział latem 2009 roku. – Także za sprawą moich znakomitych sponsorów, którzy reklamują mnie na całym świecie. Czuję, jak jestem popularny. I to prawda, że moje życie prywatne stało się teraz jeszcze bardziej interesujące dla innych. Ale Mirka nie szuka uwagi, zupełnie nie chce być znana i fotografowana. To akurat spora zaleta".

Jego relacja z Mirką w 2001 roku wprawdzie szybko staje się tajemnicą poliszynela w świecie tenisa, ale kiedy pewna szwajcarska gazeta latem ignoruje jego życzenie, by nie nagłaśniać tematu tego związku, reaguje złością: „Nie uważam, by musiało to wypłynąć do opinii publicznej – skarży się. – Rozmawiałem z moją dziewczyną i ona także nie chciała, by o nas wiedziano. Bo wtedy będziemy musieli się wypowiadać już tylko o naszej relacji, a nie o tenisie".

Nie istnieją *homestories* poświęcone tej dwójce. A kiedy Federer przyjmuje u siebie reporterów lub ekipy telewizyjne, zakazana strefa zaczyna się w lobby jego mieszkania w bloku w Dubaju lub przy bramie wakacyjnego domu w Valbelli. Fotoreporterzy, którzy podczas turnieju chcą mu zrobić trochę zdjęć poza kortem, muszą mieć bardzo dużo szczęścia, by znalazł dla nich kilka minut – a jeszcze więcej, jeżeli na fotografii ma być też Mirka.

Ze ślubem się nie spieszą. Kiedy 11 grudnia 2004 roku Federer jest gościem programu *Wetten, dass…?*, staje się nawet obiektem żartów na oczach 14-milionowej publiczności zasiadającej przed telewizorami. Kiedy wchodzi na scenę, na sofie obok prowadzącego Thomasa Gottschalka siedzi Robbie Williams, brytyjski gwiazdor muzyki pop. W Messehalle w Norymberdze zachwyceni fani nieustannie przerywają

audycję pokrzykiwaniami. Krótko po tym pomiędzy gwiazdą estrady i gwiazdą kortu wywiązuje się dialog.

Williams (najwyraźniej nie nadążając za rozmowami po niemiecku, których tłumaczenie na angielski słyszy w słuchawkach): „Co, niedługo się żenisz?”.

Federer: „Nie ma takich planów”.

Williams: „Ale jesteście zaręczeni?”.

Federer: „Jeszcze nie”.

Williams: „Ile jesteście razem?”.

Federer: „Cztery lata”.

Williams (przewraca oczami): „Cztery lata? (Pokazuje na swój zegarek). *Come on!* To już czas! Zrób to teraz, przed kamerami!”.

Operator pokazuje Mirkę, jak zawstydzona śmieje się na trybunach i odrzuca włosy do tyłu, podczas gry Roger mówi: „Szwajcaria to nie Hollywood”.

Tego wieczoru Federer dał się jednak trochę zbić z tropu przez wścibską ikonę muzyki pop. Ale jest dopiero na początku kariery, w której – jeżeli chodzi o popularność i powodzenie – wkrótce będzie mógł się mierzyć ze wszystkimi.

W rzeczywistości po występie w *Wetten, dass…?* miną jednak jeszcze cztery lata, zanim Roger i Mirka wezmą ślub. „To otwarty temat – mówi Federer na początku 2008 roku. – Rodzina, mały Roger byłyby *cool*. Ale jeszcze nie dzisiaj ani jutro”. Termin ślubu będą utrzymywać w tajemnicy do samego końca. Przed turniejem w Indian Wells 12 marca 2009 roku zamieszczają tylko krótki komunikat na stronie internetowej Federera: „Tego lata ja i Mirka zostaniemy rodzicami. Jesteśmy przeszczęśliwi, że stworzymy razem rodzinę. To marzenie, które właśnie się spełnia. Kochamy dzieci i nie możemy się doczekać naszego pierwszego dziecka”.

Jak się okaże, nie jest to cała prawda, bo właściwie na końcu zdania powinni byli zastosować liczbę mnogą. W Indian Wells,

gdzie reporterzy pytają go o zapowiedziane narodziny, unika odpowiedzi. Już w połowie stycznia wiedział, że chodzi o bliźniaki (w pierwszym meczu po tym, jak się tego dowiedział, pokonał del Potro 6:3, 6:0, 6:0). Teraz może się rozkoszować tym, jak daleko sięgną spekulacje – i że są one błędne. „Chłopiec dopełni jego szczęście", ogłasza przedwcześnie na pierwszej stronie szwajcarski tygodnik.

O jego ślubie media dowiadują się dopiero po fakcie, także w formie krótkiego zawiadomienia. Wieczorem w Wielką Sobotę 11 kwietnia 2009 roku można przeczytać na stronie internetowej: „Drodzy Fani, Mirka i ja wzięliśmy dzisiaj ślub w gronie naszych rodzin i najbliższych przyjaciół w moim rodzinnym mieście Bazylei. Było to niezwykle piękne przeżycie w ten wspaniały wiosenny dzień. Pan i Pani Federer życzą Wam wszystkim Wesołych Świąt Wielkiej Nocy!".

Ślub odbył się w Urzędzie Miasta w Bazylei, a przyjęcie w barokowej willi w szacownym Riehener Wenkenpark. „Roger nie chciał zbiegowiska na 500 osób, z fotoreporterami i paparazzi" – powiedział mi jego ojciec. Udało się to idealnie. Jedyne cztery zdjęcia z tego wyjątkowego wydarzenia, które wyciekły do opinii publicznej, zrobił któryś z zaproszonych gości.

Gra w chowanego jest kontynuowana także w przypadku narodzin dzieci. Federerowie utrzymują w tajemnicy nawet miejsce, w którym Mirka rodzi swoje pierwsze bliźniaki, dziewczynki o imionach Myla Rose i Charlene Riva. Jest to, jak się później okaże, Klinik Hirslanden w Zurychu, a nie, jak wielu uważa, Privatklinik Bethanien, przed którą czatowali już reporterzy i paparazzi. Dwudziestego czwartego lipca na stronie Federera pojawia się kolejna radosna wiadomość: „Roger Federer i jego żona Mirka z dumą ogłaszają narodziny bliźniąt". Poród odbył się późno w nocy w czwartek 23 lipca.

„To najwspanialszy dzień w naszym życiu. Mirka, Myla i Charlene są zdrowe i mają się znakomicie”.

Na razie jedyne zdjęcie powiększonej rodziny robi ojciec Federera, Robert, i zostaje ono opublikowane na Twitterze. Federer potwierdza od razu, że wcale nie zamierza z powodu tej rewolucji w życiu prywatnym umieszczać kariery na drugim planie lub jej kończyć. „Kiedy marzyłem, by zostać numerem 1, zawsze miałem też nadzieję, że moje dziecko, gdybym je miał, patrzyłoby, jak gram”.

O tym, jak przeżywał swoje pierwsze lata w roli ojca, Federer w 2017 roku mówi tak: „W trakcie pierwszych trzech lat z dziewczynkami moje tenisowe życie było jakby rozmyte. Pamiętam wszystkie momenty z nimi, ale już nie te, jak grałem w 2010, 2011 i częściowo w 2012 roku. Byłem tak szczęśliwy, że je mam, że jestem ojcem i że mogę to wszystko przeżywać z Mirką”. Pierwsze publiczne wyjście Myli i Charlene przypadło na rok 2012, kiedy z trybun w Wimbledonie obserwowały, jak ich tata świętuje swój siódmy tytuł.

Szóstego maja 2014 roku na świat przychodzą jeszcze Leo i Lenny, którzy w przeciwieństwie do swoich starszych o pięć lat sióstr są bliźniakami dwujajowymi. Federer ma już 33 lata, ale nie powstrzymuje go to przed konsekwentnym kontynuowaniem kariery – za sprawą czego staje się także pionierem wśród tenisistów będących już ojcami i penetruje teraz nowe obszary. Jego świta się rozrasta, a planowanie okazuje się jeszcze istotniejsze. Podróżują z nim Mirka z czwórką dzieci oraz jego trenerzy, fizjoterapeuci, niektóre opiekunki, później także nauczyciele odpowiedzialni za edukację dziewczynek, niekiedy również kucharz, przeważnie też menedżer Tony Godsick (często z żoną Mary Joe Fernández oraz dziećmi Isabellą i Nicholasem), do tego zawsze towarzyszą im przyjaciele i krewni. I oczywiście Lynette i Robert, którzy są

teraz dwa razy bardziej zaangażowani jako dziadkowie – albo raczej sześć razy, bo także ich córka Diana urodziła w 2010 roku bliźniaki, Romana i Emily. Nadchodzi Federer, a zatem nadchodzi karawana, po którą przyjeżdżać muszą już cztery pojazdy – co ważne, wcale nie najmniejsze.

W tej sytuacji Federerowi pomaga to, że z reguły chętnie przebywa w większym gronie i poza niezbędną tenisową codziennością nie domaga się dla siebie żadnej przestrzeni. Nie należy do osób, które godzinami siedzą w kącie z książką; czytanie zresztą nigdy nie było dla niego. „Kiedy nie gram w tenisa, wracam do domu i wkomponowuję się między dzieci. Robię to, co robią one" – powiedział pewnego razu. Kiedy na koniec 2016 roku ogląda wyścig Formuły 1 w Abu Zabi, wrażenie robi na nim przede wszystkim ceremonia wręczenia nagród. „Tam świętuje się to razem ze 150 ludźmi, którzy pracują w teamie. Pomyślałem sobie, że byłoby fajnie podróżować ze 150 osobami, bo zawsze można urządzić grubą imprezę, kiedy jest już po wszystkim".

Mimo zamiaru, by trzymać dzieci poza zasięgiem mediów i opinii publicznej, Roger ich nie ukrywa. Powinny dorastać możliwie normalnie. W wywiadach mówi o nich zawsze w naturalny, niewymuszony sposób. W 2017 roku przed Wimbledonem – kiedy to musiał wynajmować już dwa domy – na łamach „Sterna" oznajmia, że prawdopodobnie dziewczynki będą spały w pokoju razem z nim i z Mirką. I zdradza: „Kiedyś przez cały turniej spaliśmy w jednym pokoju w sześć osób. Czasami nie da się tego inaczej zorganizować".

Wiąże się to z niespokojnymi nocami, co jest raczej niekorzystne dla kogoś, kto lubi dużo spać, najchętniej dziewięć godzin bez przerwy. On i Mirka szybko się jednak uczą, na co muszą uważać, wiodąc luksusowe życie, którego nieodzownym elementem często jest przemieszczanie się. „Na początku

wszystko było nowe, traciliśmy wtedy dużo energii z powodu stresu – przyznaje. – Mirka jest teraz, można powiedzieć, rozgrywającą tego całego rodzinnego interesu. Moi szkoleniowcy, fizjoterapeuci i trenerzy od przygotowania fizycznego oczywiście zawsze pomagają, kiedy w rodzinie zajdzie taka potrzeba".

Dzięki temu, że jego otoczenie podróżuje razem z nim, Federer łączy z obu światów to, co najlepsze. Może kontynuować karierę, a mimo to być często z żoną i dziećmi (czasem tylko podróżuje sam na tygodniowe turnieje, jak choćby do Szanghaju czy Stuttgartu). W 2018 roku w Indian Wells powiedział mi, że planowanie przy czwórce dzieci jest dużo bardziej oczywiste niż przy dwójce. „Bo wiemy już, co się uda, a co nie. Czwórka dzieci zawsze stanowi priorytet i jest też jednym z powodów, dlaczego mniej gram. Wcześniej myśleliśmy zawsze, że moglibyśmy przecież jeszcze szybko to i tamto zrobić, a wtedy o mało się nie rozerwiesz". Mówi także: „Zawsze mam się dokładnie tak dobrze, jak dobrze mają się moje dzieci".

One korzystają z życia na tourze, bawią się razem, a także z innymi dziećmi. W 2018 roku w Indian Wells Federer opowiada historyjkę o tym, jak jego trzódka sprzedawała pod domem lemoniadę własnej roboty i zarobiła na tym 72 dolary. Dziewczynki mają już świadomość, że dorastają w wyjątkowych okolicznościach. „Czasami chciałyby być w normalnej szkole – mówi Federer. – Ale równocześnie rozumieją, że mają szczęście, mogąc niezwykle dużo doświadczyć, podróżując po świecie i odkrywając wiele rzeczy. I że jako rodzina zawsze możemy być razem".

W tej późnej fazie kariery Roger korzysta z tego, że na podstawie swoich sukcesów i wieloletnich zasług w tenisie zgodnie z regulaminem nie musi wyrabiać „minimów" i swój

terminarz może ustalać *à la carte*. „Ponieważ nie gram już w tylu turniejach, nasz rytm życia stał się lepszy. Jesteśmy miesiąc w Dubaju, miesiąc w Australii, miesiąc w górach, miesiąc w Stanach. Jest spokojniej, nie tak jak wcześniej".

Kiedy na świat przyszli chłopcy i również zaczęli z nimi podróżować, Federer poczuł, że musi się nieco wycofać. „Przy dziewczynkach robiłem niesamowicie dużo: zmieniałem pieluszki, kąpałem je, asystowałem w nocy. Ale przy chłopcach zauważyłem, że już nie daję rady. Ulatywało ze mnie zbyt wiele energii – wyjaśnia. – Na dłuższą metę bym tego nie wytrzymał, muszę się częściowo wyłączyć. Pomaganie przy usypianiu czy kąpanie ma niestety wpływ na stan moich pleców. Dzisiaj raczej wychodzę z małymi, moja bajka to wędrówki, muzea, grill".

Wbrew panującej opinii Federer nie podróżuje ze swoją świtą przede wszystkim prywatnym samolotem. Loty międzynarodowe regularnie odbywa liniami rejsowymi – chociaż nie w najtańszej klasie. I wracając do domu, nie ma nic przeciwko, by w Zurychu razem ze swoim otoczeniem zaczekać w hali przylotów i samemu przenieść własny bagaż z taśmy na wózek. Właśnie to ceni w Szwajcarii: że może się swobodnie poruszać, nie będąc przy tym obleganym i nie wywołując zbiegowiska. Jego rodacy są raczej dyskretni, wolą szeptać, zasłaniając usta ręką, niż obstępować sławy. I tak oto Federer może nadal bez skrępowania i bez przeszkód spacerować nad Jeziorem Zuryskim albo obserwować w Valbelli, pijąc kawę na tarasie górskiej restauracji, jak jego dzieci kończą swój pierwszy zjazd na nartach (sam zrezygnował z tej rozrywki ze względu na ryzyko kontuzji). „Gdy tylko wracam z podróży do domu, możemy wieść właściwie całkiem normalne, spokojne życie. Szwajcarzy szanują moją sferę prywatną. Są bardzo dumni, że zawsze chętnie wracam do Szwajcarii. Tam nie trzeba żadnego kokonu".

Jeśli zapytać Lynette, jego chłopcy uwielbiają piłki tak samo jak on. „Na pewno bardziej niż dziewczynki” – mówi Federer. W końcu dokładnie tak jak jego rodzice kiedyś w stosunku do niego Roger jest wyluzowany, jeśli chodzi o sportowe ambicje swoich dzieci. „W każdym razie nie chcę spędzić kolejnych 30 lat na tourze” – mówi kiedyś, zapytany, czy chciałby, by jego dzieci zawodowo uprawiały tenis.

Przykłada jednak wagę do tego, by w ogóle grały. „Tenis jest jedną z niewielu rzeczy, które chciałbym, by robiły. Nie ma tu żadnego przymusu, ale mówię im: »Wszyscy nasi przyjaciele grają w tenisa, wszystkie dzieci naszych przyjaciół grają w tenisa«. I że chciałbym, by grały na jakimś instrumencie i grały w tenisa. Niekoniecznie zawodowo, zupełnie nie. Ale byłoby fajnie, gdybyśmy później mogli trochę pograć w debla”. Nie wymaga od nich jednak zbyt wiele: „Powinny grać wtedy, kiedy mają na to ochotę”. O treningi i lekcje tenisa mają się jednak troszczyć inni, przy czym Federer wyboru nauczyciela dla nich nie zostawia przypadkowi i niekiedy angażuje do swojego teamu także prywatnego trenera.

Co prawda musi też zaakceptować, że jego wiarygodność jako trenera, mimo wszystkich sukcesów, w oczach dzieci nie jest niepodważalna. Opowiada anegdotę, jak kiedyś chciał pouczyć jedną ze swoich córek na korcie: „Powiedziałem jej: »Hej, źle to robisz, musisz to zrobić tak«. Na co ona odparła: »Nie, nie, mój trener powiedział, że powinnam to robić tak«”. I aby wyjść z tego z twarzą, dodaje: „Trzeba jednak powiedzieć: wcale nie robiła tego, co doradził jej trener”.

39

SZWAJCARSKI OBYWATEL ŚWIATA

W wywiadzie przeprowadzanym w 2006 roku w Genewie Federer opowiada mi, jak to się stało, że na swoją drugą bazę treningową wybrał właśnie Dubaj. „Po pierwszym zwycięstwie w Wimbledonie pojechałem na Sardynię. Po drugim zapytałem Mirkę: »Gdzie się teraz wybierzemy?«. Potrzebowałem ciepłego, bezpiecznego miejsca z dostępem do plaży. Zdecydowaliśmy się na Dubaj. Mogliśmy tam przetestować Burdż al-Arab (siedmiogwiazdkowy hotel w formie gigantycznego żagla). W pierwszym momencie wydawał mi się trochę pompatyczny, jak gdyby mieszkało się w muzeum. Ale z czasem bardzo nam się spodobał, dlatego później zdecydowałem się tam wrócić w fazie treningowej. Zauważyłem, że w hotelu jest wspaniałe centrum fitness, do tego są miejsca do treningu i możliwość masażu”. Wszystko to jest znacznie lepsze niż w Bazylei, gdzie jeszcze wtedy mieszkał. „Tam od fizjoterapeuty jadę na trening kondycyjny, potem z powrotem do domu, stoję w korku i się denerwuję. Powiedziałem więc sobie: po pierwsze, mam w Dubaju bardzo dobre warunki treningowe, a kiedy znajdzie się trochę wolnego, mogę poleżeć na plaży albo coś porobić”.

Ponadto trudno mu się odpoczywa w Szwajcarii podczas faz treningowych, bo ciągle coś go rozprasza. „Wolę polecieć na dwa tygodnie gdzieś, gdzie mogę się odciąć albo w pełni

skoncentrować na treningu”. Dubaj ma według niego jeszcze jedną wartą uwagi zaletę – klimat. Chodzi głównie o to, że tenisowa karuzela kręci się przede wszystkim latem. Już w styczniu w Melbourne gracze muszą się często męczyć przy temperaturach przekraczających 40 stopni.

W marcu w 2004 roku w kalifornijskim Indian Wells Federer doznał udaru cieplnego. „Zależało mi na tym, żeby przyzwyczaić się do upałów, co w Szwajcarii jest niemożliwe. Kiedy na koniec 2004 roku po raz pierwszy trenowałem z Tonym Roche’em w Dubaju, byłem totalnie wykończony. Ale dokładnie takich treningów potrzebowałem”.

Aby nie musieć zawsze mieszkać w hotelach, w 2006 roku Federer kupuje w Dubai Marina – jednym z ekskluzywnych obszarów emiratu – luksusowe mieszkanie w wieżowcu, z widokiem na sztucznie utworzoną wyspę Palm Jumeirah. Mylili się jednak ci, którzy pomyśleli wtedy, że zaczął odcinać pępowinę łączącą go ze Szwajcarią. Przeniesienie bazy treningowej do Zjednoczonych Emiratów Arabskich ma po prostu przynieść korzyści karierze Rogera. Także na tamtym etapie Federer ciągle podkreśla, że Szwajcaria jest i będzie jego ojczyzną. Tam też podlega obowiązkowi płacenia podatków, choć w Dubaju wychodziłby na tym znacznie lepiej. „Fakt, że rzadko bywam w Szwajcarii, to cena, jaką płacę za moje sukcesy – mówi wówczas. – Ja i Mirka wiemy, że szansa, by grać tak dobrze, nie pojawi się już nigdy więcej. Dlatego liczę się z rzadszymi wizytami w Szwajcarii”. Na początku pobytu w Dubaju wprawdzie zadawał sobie czasami pytanie, czy faktycznie jest to konieczne. „Kiedy przyszły sukcesy, było dla mnie jasne: to jest warte tego wszystkiego”.

W 2005 roku, po zatrudnieniu Tony’ego Roche’a, Federer swoje obozy treningowe latem, i coraz częściej także w grudniu, zaczyna organizować w Dubaju. Ze Szwajcarii bez problemu

można się tam dostać po bezpośrednim siedmiogodzinnym locie, a poza tym leży na drodze do Australii, gdzie zaczyna się sezon. Na rękę jest mu również fakt, że także Pierre Paganini jest zafascynowany tym miastem i stara się tam o miejsce do zamieszkania.

Jednemu z nielicznych dziennikarzy, których przyjmuje w Dubaju – przedstawicielowi sponsora – Federer opowiada: „Właściwie żyjemy tu naprawdę normalnie, idziemy na plażę, do centrum handlowego i zjeść coś w restauracji. Oczywiście, że jesteśmy rozpoznawalni i ludzie od czasu do czasu proszą nas o autograf. Ale w zasadzie mogę nadal robić wszystko, co chcę". Nieszczególnie frapuje go fakt, że miasto z powodu swoich skrajności często ma złą prasę i znajduje się na pierwszych stronach gazet, a do tego przeżywa kryzys finansowy krótko po tym, gdy kupił tam mieszkanie. „Tak czy owak nie doszukuję się jakichś oznak kryzysu". Dodatkową ceną, jaką przyszło mu płacić, jest to, że z powodu planu treningowego często musi też spędzać nad Zatoką Perską święta Bożego Narodzenia. Ale także w tym świątecznym dniu pielęgnuje szwajcarską tradycję, dekoruje salon choinką i cieszy się, kiedy przyjaciele przywożą mu puszki świątecznych wypieków ze Szwajcarii – przede wszystkim cynamonowe gwiazdki i bazylejski specjał: maślano-cytrynowe ciasteczka Mailänderli.

Przyjemnym skutkiem ubocznym lokalizacji jego nowej bazy jest to, że podczas turnieju ATP, który wiosną odbywa się w dubajskim Aviation Club, szybko zaczyna się czuć jak w domu i zostaje jego mistrzem-rekordzistą. Nic jeszcze na to nie wskazuje w 2002 roku, kiedy startuje tam po raz pierwszy i w mniej niż godzinę przegrywa z Rainerem Schüttlerem 3:6, 1:6. Potem ostro krytykuje go dyrektor turnieju Jeff Chapman, stwierdzając, że Federer naruszył zasadę „best effort" i nie grał z pełnym zaangażowaniem. Zarzut ten mocno dotyka

Szwajcara. Incydent pociąga za sobą dochodzenie, które wkrótce zostaje jednak umorzone. Lata później Federer, który w 2015 roku po raz siódmy może odebrać srebrny żaglowiec dla zwycięzcy, zostaje honorowym członkiem Aviation Club.

Szwajcar przez lata rozwija bliskie relacje z wieloma krajami, przede wszystkim z Australią, Francją, Anglią, Stanami Zjednoczonymi i Niemcami, zwłaszcza że w państwach tych osiąga sukcesy i potrafi wypowiadać się w językach, którymi posługują się ich mieszkańcy. Nieustannie pozostaje jednak gorliwym patriotą i miłośnikiem Szwajcarii. „Ten kraj dał mi wszystkie niezbędne możliwości, bym trafił na szczyt. I próbuję być jak najlepszym ambasadorem Szwajcarii. Codziennie rozmawiam z Mirką w szwajcarskiej odmianie niemieckiego i zawsze na arenie międzynarodowej trzymam w górze flagę Szwajcarii" – tłumaczy w 2007 roku.

Na początku kariery jest też namiętnym fanem Pucharu Davisa. W ciągu pierwszych sześciu lat nie opuszcza żadnego spotkania. Dopiero kiedy uświadomi sobie, jak wiele musi poświęcać, by występować w tych rozgrywkach, i ile traci przez to szans indywidualnych, zaczyna redukować starty drużynowe. Denerwuje się jednak, kiedy słyszy, że gra chętniej dla siebie niż w Pucharze Davisa dla Szwajcarii. Chcąc dowartościować te zawody, Międzynarodowa Federacja Tenisowa podpierała się stwierdzeniem, że tylko w Pucharze Davisa gra się dla kraju, tłumaczył mi rok po triumfie Szwajcarii w Lille. „To wierutna bzdura. Zawsze gram dla Szwajcarii, zawsze też można zobaczyć szwajcarskie flagi tam, gdzie startuję. Jestem Rogerem Federerem ze Szwajcarii i z dumą gram dla ojczyzny zawsze i wszędzie, nie tylko w Pucharze Davisa".

W Szwajcarii Federer mieszka najpierw w Bazylei. W lipcu 2008 roku Mirka i on przenoszą się z Bazylea-okręgu nad

Jezioro Zuryskie, do korzystniejszej pod względem podatkowej rezydencji miejscowości Bäch w kantonie Schwyz, gdzie wprowadzają się do mieszkania. Federer uzasadnia tę przeprowadzkę zarówno dużym gronem przyjaciół, które tymczasem zbudowali, jak i dobrymi warunkami treningowymi.

Kiedy ich rodzina się powiększa i mieszkanie staje się zbyt małe dla czwórki dzieci, w 2014 roku dochodzi do kolejnej przeprowadzki, tym razem do trzypiętrowego domu z tarasami, który został zbudowany kilkaset metrów dalej, w Wollerau, i jest z niego wspaniały widok na jezioro i góry. Z kolei w górach w gryzońskiej Valbelli gotowy jest już też wakacyjny domicyl Federera, składający się z dwóch połączonych ze sobą domków górskich, z których jeden należy do jego rodziców. Tutaj spędza też większą część przerwy od startów w 2016 roku.

Fakt, że Federer pochodzi z małej Szwajcarii, nie szkodzi jego popularności. Kraj ten symbolizuje neutralność, demokrację, otwartość na świat i wielojęzyczność, a także jakość i precyzję. W pewnym momencie Federer jednak wyrósł ponad ojczyznę. „Nie jest już szwajcarskim tenisistą – w 2018 roku w Indian Wells wyjaśnia mi wcześniejszy lider światowego rankingu Jim Courier. – Jest tenisistą wszystkich. Stał się większy niż kraj, z którego pochodzi, a to rzadkość”.

Mniej więcej w tym samym czasie Federer mówi w wywiadzie: „Czuję się zdecydowanie obywatelem świata. Wszędzie bywam. Mam mieszkanie w Dubaju, pracuję z wieloma ludźmi z całego świata. Znam jednak swoje korzenie, są w Bazylei. Jestem ze Szwajcarii i jestem bardzo dumny, że reprezentuję swój kraj. To w Szwajcarii chcę mieszkać przez resztę życia i to tam mają chodzić do szkoły moje dzieci”.

40

FILANTROP

Moje najbardziej niezwykłe spotkanie z Rogerem Federerem odbywa się na dziesiątym piętrze pozbawionego wyrazu gmachu biznesowego, który znajduje się w dzielnicy bankowej brazylijskiego wielomilionowego miasta São Paulo. W garniturze i pod krawatem ląduje helikopterem na dachu budynku, by nie narazić się na korki w zatłoczonym megalopolis i dotrzymać napiętego harmonogramu. Jest 7 grudnia 2012 roku, a Roger zalicza pierwszy przystanek „Gillette Federer Tour", 12-dniowego show-tournée po Ameryce Południowej, które wiedzie jego, jego ojca i menedżera Tony'ego Godsicka przez Brazylię, Argentynę i Kolumbię.

Niezwykłe w tym jest nie tylko miejsce, ale także to, że całe wydarzenie nie ma absolutnie nic wspólnego z tenisem. W tym sympozjum chodzi o wymianę doświadczeń i informacji dotyczących działania fundacji charytatywnych. Zaprasza na nie partner Federera – konsorcjum finansowe Credit Suisse; jest 45 gości, w tym tak niezwykłe mówczynie, jak Viviane Senna da Silva Lalli – siostra zmarłej legendy Formuły 1, czy Susanna Lemann – członkini rady Fundação Lemann. Ta ostatnia to perfekcyjnie mówiąca w szwajcarskiej odmianie języka niemieckiego żona Paulo Lemanna – zamożnego brazylijsko-szwajcarskiego inwestora i bankiera, który zamieszał na światowym rynku piwa, a wcześniej grał w Pucharze Davisa dla obu krajów. Od dawna przyjaźni się z Federerem i Godsickiem.

To obejmujące różnorodne posiedzenia dwudniowe wydarzenie pod nazwą „Philanthropy Summit” nieprzypadkowo odbywa się podczas występu Federera w brazylijskiej metropolii. Na jednym z posiedzeń przewodnicząca zarządu jego fundacji, Janine Händel, ma prezentację o swojej pracy, na innych, w ramach końcowego koktajl party, osobiście pojawia się gwiazda tenisa i prezes fundacji. Dla wszystkich ma miłe słowo, fotografuje się z każdym, kto ma ochotę na pamiątkowe zdjęcie, i rozdaje autografy.

Przy tej okazji dowiaduję się, że świat filantropii jest raczej mały i nawiązywane w nim kontakty są nadzwyczaj szczere. W dążeniu do czynienia dobra i możliwie wydajnym korzystaniu z dostępnych środków pieniężnych swobodnie wymienia się między sobą doświadczenia i know-how. Przypomnę to sobie lata później, kiedy Bill Gates, software’owy miliarder, którego fundacja należy do najważniejszych na świecie, wesprze Federera w jego charytatywnej inicjatywie „Matches for Africa”, gdy eventy z tej serii będą się odbywać w Seattle i w Dolinie Krzemowej.

Janine Händel jako prelegentka wyjaśnia tamtego dnia w Brazylii, dlaczego kompleksowa strategia działania jest dla każdej fundacji tak ważna. Taką też musiała opracować dla Roger Federer Foundation, kiedy w 2010 roku została jej dyrektorem generalnym. Fundacja została założona już w grudniu 2003 roku, kiedy 22-letni Federer miał w dorobku dopiero jeden wielkoszlemowy tytuł. Filozofia Händel bazuje na chińskim przysłowiu: „Daj człowiekowi rybę, a będzie najedzony przez jeden dzień. Naucz go łowić ryby, a będzie najedzony przez całe życie”.

Na początku celem fundacji jest promowanie sportu młodzieżowego i wspieranie potrzebujących dzieci na głównym

obszarze działania – w RPA. „W mojej krótkiej jeszcze karierze tenisisty wiele już wygrałem. Dzięki fundacji chciałbym coś z siebie dać, między innymi tym, którzy mają najmniej” – wyjaśnia swoją motywację Federer. Kilka lat później mówi: „Zarabiam tak dużo, że czasem nie chcę już tylko biegać w spodenkach do tenisa. Fajnie, kiedy sportowiec może kierować uwagę na takie sprawy. Chcę się też rozwijać jako człowiek, nie być tylko gwiazdą, która żyje w świecie glamour. Czasem muszę zejść na ziemię”.

Za sprawą matki skupił się na Republice Południowej Afryki. Będąc dzieckiem, wielokrotnie spędzał tam wakacje, odwiedzał rodzeństwo oraz krewnych matki i podróżował po kraju. Po raz pierwszy był tam już przed pierwszymi urodzinami. „Ze względu na to, że tam dorastałem, zawsze czułem się bardzo związany z RPA. To dla mnie także wzór państwa, które przezwyciężyło nienawiść i ucisk”.

W maju 2004 roku nawiązuje współpracę z IMBEWU, jedną z południowoafrykańskich organizacji pomocowych z oddziałem w Szwajcarii. Kolejne projekty realizowane są w Etiopii, Tanzanii, Zimbabwe, Mali, Malawi i Szwajcarii, gdzie poprzez program patronacki Sporthilfe wspiera się młode talenty. W 2012 roku Federer angażuje się w działania organizacji charytatywnej Winterhilfe, która dodatkowo służy wsparciem dzieciom z rodzin będących w gorszej sytuacji finansowej. W Afryce jej oddziały działają w Namibii, Botswanie i Zambii, podczas gdy te w Etiopii, Mali i Tanzanii się zamykają. „Naszą strategią jest praca z mniejszą liczbą, ale za to większych partnerów – powiedziała Janine Händel. – Inne fundacje z naszym zakresem działania podzieliłyby pewnie wydatki na 100 partnerów. My mamy ich około tuzina i rośniemy razem z nimi”.

Potrzebę niesienia pomocy Federer ma we krwi. Po tsunami na Oceanie Indyjskim 26 grudnia 2004 roku, które doprowadziło do śmierci ponad 200 tysięcy ludzi, przejmuje inicjatywę i nawołuje tenisistów do wspólnej akcji. Efekt jest niezwykły. Przed turniejem w kalifornijskim Indian Wells dziewięciu zawodników z Top 10 bierze udział w meczu pokazowym, by zebrać pieniądze dla ofiar tsunami. Rok później Federer zostaje przedstawiony jako Ambasador Dobrej Woli UNICEF w nowojorskiej siedzibie tej organizacji. W tej roli składa w grudniu dwudniową wizytę w szczególnie boleśnie dotkniętym przez tsunami indyjskim stanie Tamilnadu.

W 2007 roku Roger Federer Foundation jest promowana na nowo, a skład rady fundacji zostaje zmieniony. Od teraz należy do niej także Christoph Schmocker, człowiek działający w kilku znanych szwajcarskich organizacjach dobroczynnych. „Celem jest granie w wyższej lidze niż dotychczas” – mówi. W dalszym ciągu ma jednak chodzić o rodzinną fundację. Oprócz dawcy imienia i prezesa, który chce być o wszystkim informowany, do zarządu fundacji należą też jego rodzice, żona i Tony Godsick, później zaś dołącza do nich Susanna Lemann.

Fundacja dostaje potężne wsparcie, gdy Federer zawiera umowę sponsorską z Credit Suisse i bank zobowiązuje się przez dekadę wpłacać każdego roku na jej konto milion dolarów. Dzięki temu zakres wsparcia znacznie się poszerza. W połowie 2010 roku w Zurychu otwiera się nowa filia i jej kierowniczką zostaje właśnie była funkcjonariuszka dyplomacji Janine Händel. Następnie w grudniu odbywa się pierwszy „Match for Africa”, w którym Federer w Zürcher Hallenstadion występuje przeciwko Rafaelowi Nadalowi. Przybywa dziesięć tysięcy widzów, a bilety rozchodzą się w ciągu kilku minut. Obaj gracze rezygnują z honorariów. Federer rewanżuje się Hiszpanowi

i dzień później raz jeszcze występuje przeciwko Nadalowi, w Madrycie, tym razem na rzecz jego fundacji.

Druga odsłona „Matches for Africa” odbywa się w 2014 roku z udziałem Stana Wawrinki. Trzecia, z powodu wywołanej kontuzją Federera przerwy, zostaje przesunięta o kilka miesięcy i ostatecznie dochodzi do skutku 10 kwietnia 2017 roku, ponownie w Zurychu. Tym razem Roger gra przeciwko Andy’emu Murrayowi. Jeszcze w tym samym miesiącu odbywa się „Match for Africa 4”. Ponieważ Federer na początku maja odwiedza Met Gala, wydarzenie o charakterze dobroczynnym w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, zastanawia się, czy nie połączyć tego wyjazdu z kolejnym meczem charytatywnym na rzecz fundacji, w Stanach Zjednoczonych, gdzie jeszcze nie występował. Nawiązuje kontakt z Billem Gatesem, założycielem Microsoftu i fanem tenisa. „Możesz zabrać mnie do Seattle?” Gates jest zachwycony tym pomysłem. Spotykają się w Indian Wells i nagrywają śmieszny spot promujący to wydarzenie, w którym Federer w meczu głównym zagra z Johnem Isnerem. Piąta odsłona „Matches for Africa” odbywa się w 2018 roku w San Jose w Dolinie Krzemowej, a rywalem Szwajcara jest Jack Sock. Sprzedano 17 tysięcy biletów, chociaż według Tony’ego Godsicka wydarzenie nie ma płatnej reklamy.

Dzięki dwóm meczom charytatywnym w 2017 roku, które przyniosły zysk prawie czterech milionów franków, fundacja wykazuje w tym roku rekordowe wpływy. Jej dochody wzrastają do 8,4 miliona franków. Prawie 85 procent tej kwoty przeznacza się na rzecz różnych programów, które są realizowane wraz z 18 organizacjami partnerującymi w siedmiu krajach. Tym samym staje się jasne, że fundacja osiąga postawiony sobie przed pięcioma laty cel, by do 2018 roku pomóc więcej niż milionowi dzieci. Do końca

2017 roku wydaje już 36 milionów franków, pomoc dociera do 870 tysięcy dzieci, a także poprawia wydajność pracy ponad dziesięciu tysięcy nauczycieli w dwóch i pół tysiąca przedszkoli i szkół.

Według Janine Händel roczny zakres inwestycji Roger Federer Foundation, wynoszący od sześciu do siedmiu milionów franków, sprawia, że już w tym momencie jest w gronie czołowych fundacji sportowców na świecie. Zdaniem Tony'ego Godsicka do końca 2018 roku Federer wygenerował dla fundacji ponad 40 milionów franków. „Oczywiście kwota ta nie pochodzi bezpośrednio z jego konta – wyjaśnia Händel. – Ale są też pośrednie datki, w 100 procentach zależne od niego. Bez niego nie byłoby też »Matches for Africa«, mógłby też domagać się zysku dla siebie z tych meczów pokazowych".

Fundacja tymczasem zmieniła się z organizacji przekazującej darowizny w organizację wspierającą. To oznacza, że nie przelewa już po prostu pieniędzy, ale towarzyszy wybranym projektom, nadzoruje i szuka możliwości poprawy działania. W ten sposób został rozwinięty choćby indywidualny kurs wideo dla nauczycieli, który ma ich wspierać dydaktycznie i pedagogicznie. Projekt ten nosi nazwę IACT, wystartował w Zambii i ma na celu wsparcie około trzech i pół tysiąca wiejskich szkół ze świeckimi nauczycielami, z których wielu ma po 500 uczniów.

Jeśli chodzi o fundację, dla Federera nigdzie nie jest zbyt daleko ani żaden nakład nie jest za wielki. Kiedy tylko ma możliwość, sam jeździ do Afryki, by doglądać projekty. W 2005 i 2013 roku leci więc do RPA, w 2010 do Etiopii, a w 2018 do Zambii. Zawsze bardzo dyskretnie, bez medialnego szumu, i tylko w niewielkim gronie. „Niestety nie mogę bywać częściej w Afryce, bo nie ma tam żadnych turniejów" – powiedział kiedyś. Te podróże zainspirują go także duchowo.

„Dają mi niewiarygodny power. To fascynujące móc zobaczyć, jaki wpływ fundacja ma na dzieci, matki, nauczycieli, przywódców wiosek, na tych wszystkich ludzi. A to, co dostaję w zamian, jest niesamowite. Motywuje mnie to, by zbierać jeszcze więcej pieniędzy, i daje mi energię, by dalej grać w tenisa”.

Dzięki charyzmie i popularności swojego założyciela fundacja Federera nie jest nastawiona na aktywną reklamę i generowanie datków, co oznacza, że nakłady na administrację można ograniczyć do minimum. Od początku wynosiły mniej niż osiem procent, co jest uznawane za bardzo dobrą wartość. Federer uświadamia sobie wkrótce, że fundacja staje się dziełem jego życia. Chciałby się jeszcze intensywniej troszczyć o nią po zakończeniu kariery, a jej prowadzenie mogłyby kiedyś kontynuować jego dzieci. „Nigdy nie oczekiwałem, że pewnego dnia będę miał takie zadanie – mówi, podkreślając, jak wartościowa i inspirująca jest dla niego ta praca: – Tenis, rodzina i działalność charytatywna to po prostu coś wspaniałego”.

41

TRENERSKA KARUZELA

Kiedy na potrzeby swojej strony internetowej Federer musi opisać siebie w trzech słowach, decyduje się na „autentyczny, skromny, lojalny”. Lojalność to rzeczywiście jedna z jego najbardziej charakterystycznych cech. Czy chodzi o przyjaźnie, współpracę z firmami zaopatrującymi go w sprzęt i sponsorami, relacje z zawodnikami czy turnieje, zawsze można na nim polegać, zawsze jest szczery, a niektóre umowy zawiera nawet „dożywotnio”, jak choćby z turniejem w Halle albo z producentem rakiet Wilson. Mocno kontrastują z tym jednak relatywnie częste zmiany trenerów: tylko od czasu, gdy przeszedł na zawodowstwo, polegał na ośmiu różnych osobach, począwszy od Petera Cartera, przez Petera Lundgrena, Tony’ego Roche’a, Severina Lüthiego, José Higuerasa, Paula Annacone’ego i Stefana Edberga, a skończywszy na Ivanie Ljubičiciu.

To, że na trenerskiej karuzeli wokół Federera panuje taki ruch – przykładowo Nadal trenowany był tylko przez wujka Toniego aż do momentu, gdy ten nie miał już ochoty na dalsze podróże – bierze się z jego innych cech niż te wymienione powyżej. Pragnienie wiedzy, uczenia się nowych rzeczy, chęć zrozumienia sposobu postrzegania, przekonań i doświadczeń innych są u niego po prostu za wielkie, a kariera zbyt krótka, by był gotów brać pod uwagę osobiste relacje. Nowi trenerzy zawsze wnoszą nową perspektywę, nowe doświadczenia,

działają motywująco i niwelują niebezpieczeństwo, że Roger zaniedba rozwój albo nie wykorzysta swego potencjału.

Obok odpowiednich kwalifikacji potrzebny jest też feeling; Federer musi czuć „chemię" z trenerem. I oczywiście wymaga też od niego – tak jak od całego teamu – nieustannego bezkompromisowego zaangażowania, bo nie znosi półśrodków. Kiedy podczas jednego z tygodni Pucharu Davisa pewien członek jego sztabu w trakcie treningu pozwoli sobie na przeczytanie gazety, nie trzeba długo czekać, by została mu ona nagle wytrącona z rąk piłką zagraną przez Rogera.

Mówiąc bez ogródek: Federer trzyma swoich trenerów dopóty, dopóki są dla niego przydatni. Pokazuje to przykład Petera Lundgrena. Szwed musi odejść pod koniec 2003 roku, po tym, jak Roger dokonał właśnie przełomu, zostając zwycięzcą wielkoszlemowym, i jest już na drodze do bycia numerem 1. Dochodzi przy tej okazji do komunikacyjnego nieporozumienia. Federer i Lundgren zaplanowali konferencję prasową, ale sprytny dziennikarz ogłasza to rozstanie kilka dni wcześniej w „Neue Zürcher Zeitung". Roger i jego management muszą zmienić plany. Pośpiesznie wydają komunikat, który potwierdza koniec współpracy, do tego w Bazylei zostaje zwołana konferencja w kancelarii prawnika Federera, Bernharda Christena. Roger ma trudności – tego dnia jest wyraźnie markotny – z ubraniem w słowa przyczyn rozstania. Mówi o objawach sugerujących „zużycie materiału", o długim procesie, który miał się rozpocząć już na początku roku. Na podjęcie tej niełatwej decyzji zdobył się podczas urlopu na Mauritiusie. „Neue Zürcher Zeitung" spekuluje, że Mirka, „pierwsza dama na dworze króla Rogera", odegrała ważną rolę w kwestii tej zmiany.

Federer znów działał instynktownie – a jak można wytłumaczyć instynktowne działania? Czuje, że z Lundgrenem

dotarł do końca ich wspólnej drogi, że Szwed wykonał postawione przed nim zadanie. Był idealnym człowiekiem, by doprowadzić go przez Top 50 na światowy szczyt i do zwycięstwa w Wimbledonie. Teraz Roger dotarł jednak na nowe terytorium, nieznane także Lundgrenowi. A ponieważ Szwajcar nie znalazł odpowiedniego towarzysza, w rok 2003 wchodzi bez trenera, przy czym częściowo korzysta z pomocy swojego wcześniejszego kolegi z teamu i przyjaciela Reto Staublego. Ten rok stanie się jednym z najlepszych w karierze Federera – Roger zaatakuje pierwszą pozycję rankingu ATP i zdobędzie trzy tytuły wielkoszlemowe.

Rok po Lundgrenie, serdecznym Szwedzie, pojawia się człowiek z innej epoki – Tony Roche. Starszy o 36 lat Australijczyk towarzyszy Federerowi od 2005 do 2007 roku, w trakcie zdobywania dwóch tytułów Australian Open i Wimbledonu, do tego jako trener śledzi ze swojego domu w Australii dwa zwycięstwa Rogera w US Open. Z Roche'em Federer godzinami pracuje nad techniką uderzania piłki. I Australijczyk pomaga mu także w znalezieniu właściwego, konsekwentnego nastawienia do pracy. „Tony zapytał mnie kiedyś: »Czy potrafisz zagrać siedem pięciosetowych meczów z rzędu?«. Popatrzyłem na niego i powiedziałem: »Nie mam pojęcia«. Stwierdził, że powinienem być w stanie bez problemu odpowiedzieć na to pytanie twierdząco. Od tego momentu zacząłem nad tym pracować. I teraz wierzę, że mógłbym to zrobić". Cały bezkompromisowy Federer.

Roche bardzo długo nie może lub nie chce poświęcać Rogerowi uwagi w 100 procentach. I także z tym mańkutem, który wyróżnia się jako specjalista od uderzenia piłki i który długo pracował z Ivanem Lendlem, Federer rozstaje się nagle, nie mając na podorędziu następcy. Zakończenie współpracy następuje zupełnie nie w porę, w środku sezonu na mączce

w 2007 roku i krótko przed Roland Garros. Poprzedza je jeden z rzadkich wówczas okresów spowolnienia Federera. Trzy dni później, po wczesnym odpadnięciu z turnieju Masters Series w Rzymie, wskutek porażki z outsiderem Filippem Volandrim, w zwięzłej notce ogłasza na swojej stronie koniec współpracy z Roche'em.

Później wyjdzie na jaw, że komunikacja pomiędzy nimi prawie zupełnie zamarła. Federer mówi, że miesiącami nie rozmawiali nawet przez telefon. Oczekuje więcej zaangażowania ze strony osób należących do jego teamu, a to, że 62-letni Roche mieszkał na drugim końcu świata i już niechętnie podróżował, mocno utrudniało tę relację – mimo że Federer wiedział o tym wcześniej. „Między nami było po prostu bardzo cicho. Uważam, że to szkoda, jeżeli ma się tak duże doświadczenie jak Tony Roche i Roger Federer, ale nie da się tego wykorzystać w dobry sposób" – wyjaśnia.

Już pierwszy turniej po tym rozstaniu, German Open w Hamburgu, pokazuje, że także i ta decyzja była właściwa. Federer w tamtym momencie wygrywa ten liczący się do Masters Series turniej po raz czwarty – i w finale wynikiem 2:6, 6:2, 6:0 po raz pierwszy pokonuje na mączce Nadala i kończy w ten sposób wspomnianą serię 81 zwycięstw z rzędu Hiszpana na tej nawierzchni.

Federer nie chce jednak jechać do Paryża zupełnie bez pomocy i pyta pochodzącego z Berna Severina Lüthiego, czy by mu nie towarzyszył. Czołowy niegdyś szwajcarski tenisista jest tylko o pięć lat starszy, ale został kapitanem zespołu na Puchar Davisa. To nieskomplikowany, bezinteresowny i już dosyć doświadczony człowiek, który był także jeszcze sparingpartnerem Martiny Hingis. Harmonia pomiędzy nim a Federerem pojawia się od razu, współpraca szybko się zacieśnia. Severin, na początku traktowany jeszcze jako

asystent i zapchajdziura, w ciągu kilku miesięcy staje się pełnoprawnym członkiem teamu, któremu Federer ufa i bez pomocy którego nie będzie mógł się obyć.

Urodzony w 1976 roku Lüthi, hobbysta-spadochroniarz, odgrywa coraz ważniejszą rolę w ekipie Federera. W wieku 17 lat sam był mistrzem Szwajcarii, wybrał wtedy drogę zawodowstwa i sięgnął między innymi po zwycięstwo nad Gustavo Kuertenem, późniejszym triumfatorem turnieju wielkoszlemowego. Zrezygnował jednak z bycia profesjonalnym tenisistą, mając ledwie 20 lat, bo uznał, że mogłoby go nie zadowolić miejsce w rankingu ATP gdzieś w drugiej pięćdziesiątce, a jednocześnie zauważył, że raczej nie zdołałby się znaleźć na szczycie. W światowym rankingu nie wskoczył poza 622. pozycję. „Kiedy jest się młodym, ma się czasami dosyć dziwne wyobrażenia" – mówi.

Trenerska kariera Lüthiego ruszyła z miejsca w 2002 roku, pośrednio przez śmiertelny wypadek Petera Cartera, który krótko przedtem został szefem szwajcarskiego teamu daviscupowego. W potrzebie posadę tę objął Lundgren, ówczesny trener Federera. To właśnie Szwed ściągnął Lüthiego na stanowisko asystenta trenera Szwajcarów. Trzy lata później, mając dopiero 29 lat, Lüthi awansował na kapitana drużyny i pozostał nim bardzo długo.

Fakt, że berneńczyk stał się drugą obok Pierre'a Paganiniego stałą postacią w świcie Federera, nie powstrzymuje Rogera przed rozglądaniem się za innymi trenerami. W kwietniu 2008 roku zatrudnia José Higuerasa, dawnego hiszpańskiego specjalistę od gry na kortach ziemnych, który zamieszkał w USA. Współpraca trwa jednak tylko do końca tego trudnego roku, w którym Federer zdoła jeszcze wygrać US Open. Później Hiszpan otrzymuje ważną funkcję w amerykańskim związku i ich drogi się rozchodzą.

W 2009 roku Lüthi znów jest jedynym szkoleniowcem Federera, podczas gdy ten po raz pierwszy zostaje ojcem i udaje mu się ustrzelić dublet na Roland Garros i w Wimbledonie. Dopiero rok później, po Wimbledonie, znów zatrudnia dodatkowego trenera: Paula Annacone'a, który niegdyś doprowadził Pete'a Samprasa do dziewięciu tytułów wielkoszlemowych. Były gracz z czołówki, w latach 80. należący do najchętniej atakujących przy siatce tenisistów, zostaje – jak Higueras, a później Edberg i Ljubičić – wprowadzony przez Lüthiego do uniwersum Federera. Bystry Amerykanin trzyma się na drugim planie i wykonuje dobrą robotę, musi jednak czekać prawie dwa lata, by w 2012 w Wimbledonie również mógł brać udział w świętowaniu wielkoszlemowego tytułu – który pozostanie jedynym Rogera, zdobytym przy jego pomocy. „To zwycięstwo, które dzielę z wieloma osobami – powiedział wtedy Federer i wspomniał przy tym Annacone'a. – Moi trenerzy generalnie dostają mało wyrazów uznania, bo uchodzę za spory talent...".

Podczas ATP Finals w Londynie w 2017 roku Federer wyjaśnia, że za mało docenia się pracę Lüthiego. „Wiąże się to z tym, że sporadycznie rozmawia z mediami. Ale jemu nie chodzi o to, by polerować własną sławę. Jest ze mną, by pomagać mi w takim stopniu, w jakim to możliwe. To wspaniały przyjaciel i przede wszystkim znakomity trener. Gdyby był tylko moim przyjacielem, ten układ by nie funkcjonował. Bardzo dobrze zna moją grę i moje treningowe przyzwyczajenia. Wie, nad czym muszę pracować. Wie, co mnie uszczęśliwia i co sprawia, że jestem smutny. Zna bardzo dobrze mój team i dlatego jest tak ważny. Uważam, że nie otrzymuje wyrazów uznania, na które zasłużył".

Federer ostrzega jednak przed traktowaniem trenerów jako jedynych zbawicieli i przed tym, by ślepo im ufać. Nie robił tego

nawet w młodości. „Niekiedy młodzi zawodnicy za bardzo polegają na szkoleniowcach i rodzicach. Oczywiście to ważne, by ich słuchać, ale w końcu to zawodnicy muszą ponosić konsekwencje". Także Mirka wcześnie poradziła mu, by wziął odpowiedzialność za siebie. Powiedziała: „Musisz wziąć sprawy w swoje ręce, bo to ty będziesz płacił cenę za każdy błąd, który popełnisz. Dlaczego więc sam nie podejmujesz tych decyzji? Dzięki temu będziesz się też lepiej czuł. Nie możesz zawsze pozwalać, żeby to inni popełniali błędy, bo tak jest ci łatwiej". To była cenna lekcja.

Mimo wszystkich dobrych ludzi, których ma wokół siebie i którzy go prowadzili, ostatecznie to on podejmuje decyzje. Wcześniej jednak gromadzi wszystkie możliwe informacje. „Ale nie czuję się pod presją, by robić to, co radzą mi inni".

W październiku 2013 roku Federer w ciepłych słowach ogłasza, że po „więcej niż trzech wspaniałych latach" kończy współpracę z Annacone'em. Oprócz wielu innych sukcesów osiągnęli też dwa najważniejsze cele – tytuł wielkoszlemowy i powrót na pozycję numer 1. Za sprawą kolejnego trenera Federer dokonuje niespodziewanego wyczynu – udaje mu się skłonić swojego idola z dzieciństwa do powrotu na tour. „Nigdy bym nie pomyślał, że to zrobię" – wyjaśnia 48-letni wówczas Szwed, który jest zaskoczony, gdy Federer kontaktuje się z nim jesienią 2013 roku. „Zadawałem sobie pytanie, czy mam mu coś do zaoferowania, i doszedłem do wniosku, że tak. Im dłużej Federer gra w tenisa, tym lepiej dla całego sportu" – mówi sześciokrotny zwycięzca wielkoszlemowy podczas Australian Open 2014, swojego pierwszego turnieju z Federerem. Nie traktuje jednak nowego angażu jako pracy. „Pracowałem już wystarczająco. To mój czas wolny".

Stefan Edberg jest dla Federera ważnym źródłem inspiracji. „Kiedyś myślałem sobie: czy to nie byłoby niesamowite, gdyby

mój dawny idol mógł spędzić ze mną tydzień? Jeżeli nawet nic z tego nie będę miał, *so what*?" – wytłumaczył Roger swój spontaniczny pomysł, by zaprosić Edberga na kilka dni treningów do Dubaju. Stefan słynął z kreatywności, eleganckiej gry ofensywnej z bajecznymi wolejami, a także skromnej, uprzejmej i uczciwej natury. Było więc logiczne, że ATP nagrodę za postawę fair play nazwano jego imieniem – Stefan Edberg Sportsmanship Award.

Szwed po zakończeniu kariery w 1996 roku przeprowadził się razem z żoną i dziećmi, Emilie i Christopherem, na działkę z 40 hektarami lasu w pobliżu Växjö i założył firmę zarządzającą majątkiem. Najważniejszy niegdyś rywal Borisa Beckera teraz nadaje ofensywnej grze Federera nowy rozmach. Wyjaśnia mu podstawy swojego ofensywnego stylu – to, jak podchodził do siatki, na co trzeba uważać w pracy nóg i jaką pozycję powinien przyjmować. „Spędzanie czasu z Edbergiem, picie z nim kawy i dyskutowanie o mewach, które latają nad Monako, to dla mnie motywacja, inspiracja i spełnienie marzeń – powiedział kiedyś Federer. – To jasne, że od czasu do czasu rozmawiamy o tenisie. Ale naprawdę w małych dawkach. Można dostać za dużo informacji".

Pierwotnie Szwed planuje być z Federerem w rozjazdach tylko rok, zmienia jednak zdanie i zostaje na pokładzie także w sezonie 2015. Kiedy się rozstają, ich bilans z 11 turniejowymi zwycięstwami w dwa lata jest bardzo dobry, brakuje jednak ukoronowania w formie tytułu wielkoszlemowego Federera – mimo gry w trzech finałach, wszystkich jednak przegranych z Đokoviciem.

Już przed świętami Bożego Narodzenia w 2015 roku w Dubaju po raz pierwszy pojawia się następca Edberga, Chorwat Ivan Ljubičić. „Kiedy dowiedzieliśmy się, że Stefan rezygnuje, Roger zapytał mnie, czy chciałbym działać

w pojedynkę, czy byłoby lepiej, gdybyśmy wzięli jeszcze kogoś – opowiada Lüthi. – Dla mnie istniały dwa aspekty tego zagadnienia: z jednej strony Roger jest kimś, komu nowe impulsy wychodzą na dobre. Z drugiej w 2015 roku byłem z nim ponad 200 dni w rozjazdach, i to nie licząc Pucharu Davisa. A kiedy już nie mam energii i leżę jak worek, nie jestem dla niego inspirujący".

W osobie Ljubičicia Federer po raz pierwszy ma coacha, przeciwko któremu sam często grywał – z 16 spotkań wygrał 13 – i który jest tylko o dwa i pół roku starszy od niego. „Dla Rogera to ważne, żeby odpowiadała mu osobowość współpracownika – wyjaśnia Lüthi. – Także w czasie wolnym często i chętnie przebywa ze swoimi ludźmi. A Ljubičić jest jak członek rodziny, sam ma dwoje dzieci".

Łysy Chorwat, który jako tenisista dotarł do trzeciej pozycji w światowym rankingu, bierze na warsztat swoje zadanie entuzjastycznie, ale musi się jeszcze naczekać. Bo krótko po tym, jak dołączył do teamu, Federer odnosi kontuzję kolana, jest operowany i przerywa sezon. Tym piękniejsze są dla Ljubičicia sukcesy, które w 2017 i 2018 roku może świętować z Rogerem – wielkoszlemowe tytuły Szwajcara numer 18, 19 i 20.

O Ljubičiciu Federer mówi w Indian Wells w 2017 roku tak: „Jest bardzo ambitny i ma wspaniałą etykę pracy, wspaniałe nastawienie do tenisa. Jest dociekliwy, skupiony i daje mi dobre rady". Dorzuca, że nie żąda wiele od swoich szkoleniowców: „Tak było już ze Stefanem (Edbergiem). Nie wymagam dużo od moich trenerów. Może być to taka lub inna rada w odpowiednim momencie. Stefan robił tak wiele, wiele razy w trakcie mojej kariery".

Federer mówi pewnego razu, że ze wszystkich trenerów pod względem technicznym największy wpływ wywarli na niego pierwsi szkoleniowcy, przede wszystkim Seppli Kacovsky

i Peter Carter, z którymi trenował we wczesnych latach w Bazylei, a później Christophe Freyss i Alexis Bernhard w Écublens. Także Lüthi relatywizuje wpływ różnych trenerów: „Nie można każdej fazy traktować tak, jakby była odizolowana od pozostałych. Droga Rogera jest bardzo długa i w jego grze jest teraz coś przejętego od Higuerasa, Annacone'a, Edberga, Roche'a, Ljubičicia i także ode mnie. Edberg na przykład nie wszystko zmieniał, kiedy się pojawił, zupełnie nie".

Federer broni się też zawsze przed dokonywaniem nieprzemyślanych zmian w swojej grze. „On się tego wprawdzie nie boi, i to jedna z jego cech – twierdzi Lüthi. – Ale granica jest cienka: zmiany muszą być roztropne. Poza tym rezygnacja z czegoś sprawdzonego jest również ryzykowna".

Federer nigdy też nie popada w uzależniającą relację ze swoimi trenerami, jeżeli chodzi o komunikację na korcie. W przeciwieństwie do innych tenisistów, którzy nieustannie zwracają się do swoich trenerów, pytając albo domagając się potwierdzenia, i poniekąd porozumiewają się określonym systemem znaków, on zawsze gra autonomicznie, jak gdyby jego trener nie był obecny na meczu. W końcu Roger Federer wie najlepiej, co ma robić.

42

POKOJOWY WOJOWNIK

Justin Gimelstob dobrze pamięta swoje pierwsze spotkanie z Federerem. Doszło do niego w styczniu 1999 roku w Heilbronnie, w ćwierćfinale turnieju kategorii ATP Challenger. „Już wtedy był bardzo znany i wiadomo było, jak ogromnym jest talentem, jakie ma umiejętności i jak lekko wygląda tenis w jego wykonaniu" – opowiada mi Amerykanin z Livingston w New Jersey, przy okazji turnieju w Indian Wells 2018. Jest cztery lata starszy od Federera, który wówczas miał 17 lat i został właśnie najlepszym juniorem na świecie. Gimelstob wciąż tak dokładnie pamięta tamten mecz, bo w trzecim secie serwował po zwycięstwo i miał piłkę meczową, ale przegrał 7:6, 6:7, 5:7. „Grałem w stylu serwis-wolej, ale on mijał mnie returnem z bekhendu" – opisuje straconą okazję.

W kolejnych latach w singlu grali przeciwko sobie na tourze jeszcze tylko raz, w marcu 2000 roku w Miami. Tam dwumetrowemu Amerykaninowi przypadł wątpliwy zaszczyt bycia pierwszą ofiarą Federera podczas turnieju ATP Masters Series. „Byliśmy wprawdzie na tym samym tourze, ale graliśmy zupełnie inny tenis" – mówi skromnie Gimelstob. Przemilcza przy tym, że przynajmniej w deblu wygrał cztery z pięciu meczów, w których naprzeciwko niego stał Federer z partnerem. Pewnie najważniejsze spotkanie ze Szwajcarem w grze podwójnej Amerykanin jednak przegrał, występując razem z Janem-Michaelem Gambillem, kiedy Stany Zjednoczone

w 2001 roku w Bazylei w Pucharze Davisa uległy Szwajcarii 2:3. Wtedy po raz pierwszy w tych zawodach Federer wygrał oba mecze singlowe i (z Lorenzo Mantą) także rozstrzygającego debla.

Gimelstob był najwyżej w karierze na 63. miejscu światowego rankingu w singlu i 18. w deblu, w którym zdobył 13 tytułów, plus dwa wielkoszlemowe trofea w mikście u boku Venus Williams. Zanim został zawodowym graczem, przez kilka semestrów studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles (UCLA), a po zakończeniu kariery pozostał wierny tenisowi jako komentator telewizyjny, felietonista, trener i działacz. Dlatego też miał do czynienia z Federerem także na zupełnie innej płaszczyźnie, do której opinia publiczna rzadko ma wgląd.

Latem 2008 roku Gimelstob został wybrany na jednego z trzech reprezentantów zawodników w Radzie Dyrektorów ATP. To gremium, do którego należy też trzech przedstawicieli dyrektorów turniejów ATP oraz dyrektor touru, tworzy zarząd zawodowego tenisa mężczyzn. Prowadzi ono także negocjacje z czterema potężnymi turniejami wielkoszlemowymi, które wprawdzie są włączone do touru ATP, zachowują jednak przy tym niezależność, na przykład w ustalaniu wysokości nagród pieniężnych. Pełniąc tę wymagającą wysokich kompetencji funkcję za kulisami tenisowego touru Gimelstob przez sześć lat miał intensywny kontakt z Federerem, który z kolei od 2008 do 2014 roku był przewodniczącym Rady Zawodników ATP. Składa się ona z dziesięciu członków – graczy z różnych przedziałów światowego rankingu, trenera i byłego gracza zawodowego – którzy przy ścisłej współpracy z Radą Dyrektorów rozpoznają i reprezentują interesy zawodników.

Dokonania Federera w sferze polityki imponują Gimelstobowi jeszcze bardziej niż jego sukcesy i rekordy, które

odnosi jako zawodnik. „To, co osiągnęliśmy w tym czasie, zawdzięczamy głównie Rogerowi, jego zdolnościom przywódczym na korcie i poza nim, jego umysłowi, poświęceniu, i życzeniu, by ulepszyć ten sport – opowiada mi w studiu Tennis Channel. – Bez jego wsparcia nie bylibyśmy w stanie zdziałać tak wiele na płaszczyźnie politycznej, strukturalnej i finansowej. Jego wpływu ani trochę nie można przecenić".

Na Gimelstobie wrażenie robi także to, z jakim zaangażowaniem Federer dbał o zawodników: „Zawsze był dostępny, robił, co było do zrobienia, przychodził na spotkania. Ciężko pracowaliśmy, widywaliśmy się też często w Dubaju, spędzaliśmy wiele godzin na posiedzeniach, i to podczas kluczowych turniejów. Na ważnym etapie swojej kariery poświęcił na rzecz tych spotkań wiele innych spraw".

Ponadto przed erą Federera wszyscy byli przyzwyczajeni i akceptowali fakt, że gracze zawsze mieli gotową wymówkę, by zapewnić sobie chwilę spokoju poza kortem. „Tenis jest tak ciężki, tak wymagający, tak męczący, tak wycieńczający, a sezon tak długi… – wylicza Gimelstob. – Nie byli w stanie każdemu udzielić wywiadu, dać autograf i jeszcze troszczyć się o to, jak funkcjonuje świat tenisa, tak by nie ucierpiało na tym to, co najważniejsze: ich osiągnięcia. Ale Roger całkowicie to wszystko obalił".

Tym samym spowodował zmianę kultury tenisa, jak twierdzi Gimelstob. „W konsekwencji tego inni gracze musieli się – świadomie lub nie – zastanowić, w jaki sposób chcą reprezentować siebie i sport. Roger wywindował ten poziom nie tylko na korcie, ale także w odniesieniu do tego, czego można oczekiwać od zawodników, jeżeli chodzi o zachowanie i ich przystępność". Amerykanin jest przekonany, że to ważna część dziedzictwa Federera – taka, której nie da się nie

zauważyć. „Tenis miał przed nim wielu wspaniałych ambasadorów, ale on jest prawdopodobnie najlepszym z nich, ponieważ zachowuje się w tak otwarty, tak wyrazisty i tak przystępny sposób. Jest w nim coś nadzwyczajnego – jego autentyczność i szczerość”.

Te cechy Gimelstob widział u Federera także przy stole w trakcie negocjacji. „Również wtedy wnosił swój umysł i osobowość, którą tak bardzo kochają jego fani. To nie tak, że on się zmienia, kiedy zatrzaskują się za nim drzwi. Jest prawdziwy, pozostaje wierny sobie”. Wiele osobistości pielęgnuje wizerunek i reputację, o które muszą dbać, mając jednak też zupełnie inną stronę. Jak twierdzi Gimelstob: „Muszą też cały czas myśleć o tym, by mówić, co jest właściwe, i robić to, co jest właściwe. Ale nie Roger. On zawsze jest taki sam. To tak, jakby podjął decyzję, że przeżyje życie w tak naturalny sposób, jak to tylko możliwe”.

Wiarygodność, jaką dzięki temu uzyskał, pomogła mu w jego staraniach o tour. „Na spotkaniach prawie zawsze był w centrum uwagi. Gdy ktoś podchodzi do tego tak rozsądnie, tak uczciwie i zdecydowanie, a do tego używając logicznych argumentów, mówi: »Takie działanie byłoby fair«, wówczas zmienia się dynamika. Wygląda to inaczej niż wtedy, gdy ktoś nieustannie domaga się głośno tego samego”. Federer musiał dokładać starań, by właściwie wykorzystywać wynikające z jego pozycji możliwości i działać w decydujących sytuacjach, mówi Gimelstob. „To było kluczowe”.

Najważniejszy zakulisowy sukces, który Rada Zawodników ATP zawdzięcza przede wszystkim Szwajcarowi, to według Gimelstoba pomyślny wynik negocjacji w sprawie zwiększenia nagród pieniężnych. „Wtedy po raz pierwszy w turniejach Wielkiego Szlema i turniejach Masters nastąpiła ich znacząca podwyżka”. US Open po ponad rocznych negocjacjach zgłosiło

gotowość do praktycznie podwojenia nagród pieniężnych pomiędzy 2012 a 2017 rokiem, z 26 na 50 milionów dolarów, a inne turnieje wielkoszlemowe poszły jego śladem. W Wimbledonie nagrody pieniężne pomiędzy 2008 i 2018 rokiem zwiększono niemal trzykrotnie, z 11,8 do 34 milionów funtów. Żądania tenisistów były jednak uzasadnione, bo organizatorzy zasobnych turniejów wielkoszlemowych oddawali graczom naprawdę ułamek swoich wpływów, jako że tak było przyjęte w świecie sportu. To samo dotyczyło imprez ATP Tour.

Gimelstob opowiada na koniec, że Federer przypomina mu głównego bohatera jego ulubionych książek, o „pokojowym wojowniku" Sokratesie, które z niegdyś światowej klasy gimnastyka Dana Millmana zrobiły autora motywacyjnych bestsellerów. Millman opisuje, jak osobiście został wprowadzony przez tego nadczłowieka w świat sztuki i bardziej świadomy styl życia. Także Federerowi udało się wprowadzić męski tenis na wyższy poziom świadomości, mówi Gimelstob. „Zanim się pojawił, w tenisie akceptowano, że trzeba być wojownikiem, dzikim zawodnikiem. Roger zdefiniował to na nowo i dowiódł, że można być jednocześnie ludzkim i stanowczym". Szwajcar miał znaczący wpływ na środowisko graczy. „Pokazał także, ile mogą osiągnąć, jeżeli będą działać rozsądnie i wspólnie".

Pytam Gimelstoba, czy mógłby sobie wyobrazić Federera również jako „szeryfa" albo „komisarza" zawodowego tenisa, jako niezależnego zewnętrznego nadzorcę, którego brak wielu odczuwa i powołania którego wielu nieustannie się domaga. Amerykanin nie zastanawia się nawet przez sekundę. „Roger powinien być komisarzem wszystkiego na świecie, całego życia – denerwuje się. – To może brzmieć dziwnie i wydawać się niestosowne, ale naprawdę tak uważam, i może pan to

napisać: nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak on. Jeżeli ludzkość startowałaby zupełnie od zera i musiałaby wybrać w tym celu jedną osobę, byłby moim numerem 1. To pokazuje, jak mocno wierzę w jego charakter. Postrzegam go jako kogoś najlepszego, kogoś, kim moglibyśmy być wszyscy".

Nasza rozmowa dobiegła końca, ale kiedy chcę opuścić studio, Gimelstob mnie woła. Chce mi opowiedzieć jeszcze jedną historię, którą uważa za typową dla Federera. „Niedawno po meczu był w naszym studiu. Przyszedł prosto z kortu, po drodze wszędzie mijał dziennikarzy i fanów. Dawał im wszystkim z siebie tak wiele, jak tylko mógł. Kiedy mikrofon był wyłączony, także tutaj rozdawał autografy, robił zdjęcia. A potem podszedł do mnie, spojrzał mi w oczy i zapytał: »Co słychać u Brandona?«. Nie zapytał: »Co słychać u twojego syna?«. Wiedział nawet, jak ma na imię!". Federer jest zawsze obecny, nigdy nic go nie rozprasza. „Jest tak zrównoważony, że zawsze żyje w danej chwili. To się czuje, nawet w tych momentach, kiedy wolałby być gdzieś indziej".

Tego samego dnia spotykam Jima Couriera, kolegę Gimelstoba z Tennis Channel. „Dla naszego sportu dobre jest to, że Federer tak bardzo go kocha, że pozostaje mu wierny – mówi czterokrotny zwycięzca wielkoszlemowych turniejów. – Myślę, że Roger będzie dla tenisa tym, kim Arnold Palmer był dla golfa". Zmarły w 2016 roku w wieku 87 lat Amerykanin zdobył wprawdzie tylko siedem tytułów wielkoszlemowych, był jednak najpopularniejszym golfistą, znanym nawet bardziej niż Jack Nicklaus, który sięgnął po 18 takich trofeów. Palmer miał przydomek „The King", a jego ogromna rzesza fanów znana była jako „Arnie's Army".

Courier uważa, że Federer zmienił swój sport na wielu płaszczyznach. „Był liderem. Starał się, by zwiększono nagrody pieniężne nie tylko dla topowych graczy, ale dla wszystkich.

I szerzył atmosferę przyjacielskiej rywalizacji, czego wcześniej nie było". Pozostawi po sobie ogromną lukę, „to wielkie buty, w które trzeba będzie wejść".

43

DZIEDZICTWO

Kiedy Federer pojawia się na scenie zawodowego tenisa, nie jest ona zbyt przyjaznym miejscem. Im bardziej międzynarodowy stawał się tour, im większa toczyła się na nim walka i im więcej pieniędzy było do wygrania, tym bardziej oschła robiła się atmosfera. Sport ten, niegdyś uważany za dyscyplinę dżentelmenów, w latach 70. i 80. zdziczał. Coraz mniej przestrzegano etykiety, za to górę brały egocentryzm, rywalizacja i konkurencja. Niekiedy można było odnieść wrażenie, że jest się na odpuście wśród zawodowych bokserów. „Take the money and run" – brzmiało niepisane motto touru: bierz forsę i wiej. I daj z siebie możliwie najmniej, można by jeszcze dodać.

Każdy myślał o sobie, a o dobro ogólne dyscypliny i porządek mieli dbać działacze, owa oderwana od rzeczywistości, i bez tego nielubiana kasta. Taka tenisowa scena została ukształtowana przez „bad boyów", jak Ilie Năstase, Jimmy Connors czy John McEnroe, a skandale były na porządku dziennym. Connors, który przez dekady znajdował się w czołówce, swoją mentalnością chłopaka z ulicy wpływał na cały tenis. Prowadzony przez ambitną matkę, zawodników po drugiej stronie siatki traktował jak wrogów, którzy chcieli go pozbawić „wszystkiego, co dla niego najcenniejsze". Björn Borg był z kolei kapryśną diwą, w trakcie krótkiej i gwałtownej kariery przeszedł przez tenis jak orkan, co nie pozostawiło mu

czasu, by zatroszczyć się o innych w sposób, w jaki troszczył się o własne interesy. Zapał stracił już w wieku 26 lat, po kilku porażkach z McEnroe, i opuścił scenę. (Dekadę później zafundował publiczności wzbudzający duże zainteresowanie comeback, ale odniósł wówczas niewielki sukces). McEnroe był natomiast nowojorskim buntownikiem z gorącą irlandzką krwią, który uważał, że cały świat tenisa – a przede wszystkim sędziowie – zmówił się przeciwko niemu.

Szacunek dla przeciwników był w tym czasie na minimalnym poziomie, scenę kształtowały animozje. Connors i McEnroe mieli w zwyczaju brać sobie za cel rywali, wykorzystywali swój status i towarzyszącą im otoczkę, chcąc zastraszyć sędziów stołkowych czy liniowych – a wówczas przeciwnicy nie mogli się bronić dzięki użyciu systemu wideo. Wzajemnie też się nienawidzili, nie rozmawiali ze sobą przez całe tygodnie Pucharu Davisa, a podczas finału w Szwecji w 1984 roku doszło nawet do skandalu.

Obaj żywili niechęć do pierwszego mistrza Ery Open z bloku wschodniego – Ivana Lendla. „Iwan Groźny" grał jak automat i przynajmniej na początku kariery miał niewiele charyzmy, co w połączeniu z jego pochodzeniem sprawiało, że stał się outsiderem. Boris Becker, podobnie jak wcześniej Borg, zajmował się przede wszystkim sobą, gdy został najmłodszym zwycięzcą Wimbledonu i wywołał w Niemczech tenisową euforię. Sampras, tak jak Edberg, w gruncie rzeczy był zbyt wstydliwy na światową gwiazdę, obaj nieszczególnie chętnie znajdowali się na pierwszym planie i nie mogli lub nie chcieli być liderami. Australijczykom Patowi Cashowi i Patrickowi Rafterowi brakowało niezbędnych sukcesów, a Mats Wilander po swoim najlepszym roku, kiedy to wygrał trzy wielkoszlemowe turnieje, wpadł w depresję i kryzys egzystencjalny, który nasilił się po śmierci ojca. Samprasowi

w osobie Agassiego wyrósł rywal, którego wprawdzie sportowo potrafił zazwyczaj kontrolować, lecz który nieustannie ośmielał się go prowokować i atakować, choćby wypowiedziami, że wygląda, jakby właśnie zeskoczył z drzewa.

Federer już jako nastolatek miał inne nastawienie do sportu. Dla niego przeciwnicy nie są rywalami, których należy nienawidzić, ale kolegami i towarzyszami mającymi ten sam cel – uprawiać tę fascynującą dyscyplinę możliwie najlepiej. Chodzi mu o tenis, nie o przeciwników. Dobrze wychowany Szwajcar z pokojowym usposobieniem już jako junior miał motto, które zupełnie nie pasuje do sportowca wystawianego każdego dnia na ostrą konkurencję. „It's nice to be important, but it's more important to be nice"[6] – dla niego to żaden frazes, ale credo, według którego stara się żyć, i to nawet z powodzeniem.

Kiedy Federer przeżył już lata nauki oraz cierpienia i nagle zaczyna odnosić wiele bardziej znaczących sukcesów, niż kiedykolwiek sobie wymarzył, szybko nasuwa mu się pytanie, jak wykorzysta swoją pozycję dla dobra tenisa albo działania na większą skalę. To żaden przypadek, że założył fundację już pod koniec 2003 roku, krótko po tym, jak zdobył swój pierwszy wielkoszlemowy tytuł.

Bycie propagatorem tenisa, liderem, który swój rosnący wpływ i poszerzające się grono znajomości chce wykorzystać do wzmocnienia dyscypliny, popularyzowania jej i dowartościowania, Federer traktuje jako osobistą misję. Przychodzi mu to łatwiej, ponieważ udało mu się osiągnąć w ledwie kilka lat sukcesy z taką lekkością, że pozostaje mu wiele energii i entuzjazmu, by dać z siebie bardzo wiele tenisowi – dużo więcej, niż kiedykolwiek od niego oczekiwano.

Jego miłość do tego sportu sprawia, że ma duże poczucie odpowiedzialności, postrzega siebie jako zarządcę dziedzictwa,

które pozostawiły wcześniejsze pokolenia. W „Inside Tennis" mówi: „Często patrzę wstecz i jestem wdzięczny graczom, którzy wytyczyli tę drogę, Rodowi Laverowi i wszystkim innym. Wiem, że wielu ludzi zainwestowało niewiarygodnie dużo pracy, by nasz sport był w miejscu, w którym znalazł się dzisiaj. Jestem nowoczesną wersją tych zawodników i bardzo często myślę o przyszłości, o tym, w jakim kierunku ta dyscyplina powinna pójść. Ponieważ gram już tak długo, jestem mostem łączącym z tym, co ma dopiero nadejść".

Dzięki takiemu nastawieniu Federer prędko został najważniejszym ambasadorem tenisa. „Jeśli ktoś by mnie pytał, to jest to najlepszy ambasador, jakiego dotychczas mieliśmy – powiedział już w 2006 roku Nicola Arzani z działu public relations i marketingu ATP. – Tak łatwo się z nim pracuje, bo idealnie rozumie, za co jest odpowiedzialny. W pełni oddaje się wszystkiemu, co robi. Nie zajmuje się czymś tylko dlatego, że musi, ale zawsze chce dokładnie wiedzieć, dlaczego to robi, kto z tego skorzysta, dlaczego władze touru zamierzają coś przedsięwziąć albo dlaczego ma podjąć jakieś działania z mediami. Jest mocno zaangażowany we wszystko, czego się podejmuje".

„Entuzjazm, jakim darzy tenis, jest niewiarygodny – stwierdza Yves Allegro, jeden z najlepszych przyjaciół Rogera. – To stwarza naszej dyscyplinie niepowtarzalną szansę, i to na całym świecie". Podobne spostrzeżenia ma John McEnroe: „Roger troszczy się o tenis. Przejmuje odpowiedzialność, która na nim spoczywa jako numerze 1". Przy tej okazji McEnroe nie może podarować sobie przytyku wobec kobiecego tenisa: „Jeśli spojrzeć na panie, wszystkie martwią się tylko o siebie". Niemniej to samo mógłby powiedzieć także o wielu mężczyznach.

Federer od razu się też zgadza, gdy Adolf Ogi, Specjalny Doradca Sekretarza Generalnego ONZ ds. Sportu, Rozwoju i Pokoju, prosi go o współpracę z okazji promowania Międzynarodowego Roku Sportu i Wychowania Fizycznego. Federer obwieszcza tę inicjatywę razem z byłym członkiem Rady Federacyjnej, Ogim i sekretarzem generalnym ONZ Kofim Annanem 5 listopada 2004 roku w siedzibie głównej ONZ w Nowym Jorku i prawie rok później przedstawia sprawozdanie okresowe w Palais des Nations w Genewie. Także do takich przedsięwzięć podchodzi z pełnym zaangażowaniem.

„Jestem święcie przekonany, że sport pomaga przezwyciężać uprzedzenia i budować mosty pomiędzy kulturami i narodami. Jeżeli mogę dorzucić do tego cegiełkę, robię to – uzasadnia własne zaangażowanie. – To szlachetna misja, a jako ambasador tego sportu mam w tym swój udział, pomagając innym".

Mark Miles, dyrektor ATP Tour z 16-letnim stażem, nie wierzy jednak własnym oczom, kiedy Federer i jego dziewczyna Mirka sami z siebie po US Open w 2004 roku organizują dzień dla mediów w Hongkongu, chcąc w ten sposób zaspokoić potężne zainteresowanie osobą Szwajcara, a równocześnie wesprzeć rosnący ruch w azjatyckim tenisie. Gotowość Federera do pomocy wywołuje radość także wśród organizatorów finału sezonu w Szanghaju. Nieśmiało zapytali go, czy może zechciałby uroczyście otworzyć ich nowy obiekt Qizhong Forest Sports City Arena. Federer się zgadza – ale to nie wszystko: kiedy po turnieju w Bangkoku w 2005 roku specjalnie z tego powodu przylatuje na dodatkowy dzień do Chin, udziela wywiadu za wywiadem, odbija piłki z ważnymi gośćmi na korcie centralnym i spędza dużo więcej czasu z organizatorami, członkami rządu, przedstawicielami mediów i fanami, niż było przewidziane. Po kolacji składa nawet wizytę kucharzom.

Przy tej okazji stwierdza jasno: „To dla mnie żaden przymus, jestem za to dumny, kiedy mogę promować tenis lub inny sport. I mam nadzieję, że przyszłe numery 1 będą robiły to samo”.

Przez lata Federer angażuje się także jako tenisowy polityk i musi zaakceptować fakt, że nie wszystkie interesy da się ze sobą pogodzić – i że nie wszyscy przedstawiciele interesariuszy są gotowi pójść na kompromis dla dobra dyscypliny. I tak oto pod koniec kariery musi się bezsilnie przyglądać, jak pomiędzy ATP Tour a Międzynarodową Federacją Tenisową wyrasta przepaść, kiedy to w 2018 roku Puchar Davisa zostaje rewolucyjnie przekształcony i napędzony wartą miliardy współpracą z hiszpańskim piłkarzem Gerardem Piqué i stojącą za nim firmą Kosmos.

Wraz z upływającymi latami Federer jest coraz bardziej sceptycznie nastawiony do Międzynarodowej Federacji Tenisowej i Pucharu Davisa, kury znoszącej złote jajka, i dystansuje się od tego. Przestarzały tryb i brak elastyczności u działaczy postrzega jako przymus w stosunku do zawodników. „Byłoby wspaniale, gdyby wszyscy dobrze się rozumieli i wspólnie rozważali, co jest najlepsze dla tenisa. Puchar Davisa, Puchar Lavera, ATP, WTA” – mówi w 2018 roku w Melbourne. Jego menedżer Tony Godsick posuwa się nawet dalej: „Konkurencja za sprawą innych dyscyplin jest zbyt duża, żebyśmy mogli sami siebie zjadać, co dzieje się od lat”.

Tworząc w 2017 roku Puchar Lavera, nowe zawody drużynowe, w których team Europa występuje przeciwko teamowi Reszta Świata, Godsick i Federer sami stają się graczami na tenisowym rynku, lecz – co niespodziewane – nie spotykają się z potężnym odrzuceniem i oporem. Dostają natomiast wsparcie związków australijskiego i amerykańskiego, a przede wszystkim wielu czołowych

graczy – zwłaszcza za sprawą wpływowych sponsorów i inwestorów.

W roli tenisowego polityka Federer generalnie zawsze jest człowiekiem ATP, mniej Wielkiego Szlema, a już wcale Międzynarodowej Federacji Tenisowej. Nie działa także w imię kobiecego touru WTA, jak na przykład Andy Murray, który zawsze głośno angażuje się na rzecz tenisa pań. Niemniej również WTA czerpie znaczące korzyści ze starań ATP o zwiększenie nagród pieniężnych na wielkoszlemowych turniejach. Federer nigdy nie był też szczególnie blisko z Amerykanką Billie Jean King, czołową postacią i ikoną skutecznej walki o równouprawnienie kobiet w tenisie. Raz obserwowałem, jak w kompleksie treningowym Wimbledonu długo czekała na Rogera i szukała okazji do rozmowy z nim, kiedy schodził z kortu. On, niespodziewanie, nie zatrzymał się jednak, poszedł dalej i odrzucił nawet możliwość pozowania do selfie z legendą tenisa. „W naszym wieku nie robi się już selfie" – powiedział tylko.

Czas pokaże, czy Puchar Lavera okaże się udanym przedsięwzięciem i zostanie spuścizną Federera. Jego dziedzictwem jest natomiast to, że męski tenis pod względem jakości został wyniesiony na nowy poziom, a także fakt, że jako integralna postać i lider touru stworzył w nim nową atmosferę szacunku i poczucia przynależności. Dzięki jego sukcesom oraz prezentowanej przez niego jakości i wiarygodności udało mu się też zachwycić tenisem nowe kręgi ludzi – w tym osoby ze starszego pokolenia, które wcześniej nie miały z tą dyscypliną styczności. Wiem to z doświadczenia; także moi rodzice coraz częściej chcieli ze mną rozmawiać o tenisie, którym zaczęli się interesować dopiero dzięki Federerowi. Niedawno dowiedziałem się o pewnej samotnie mieszkającej 95-letniej

kobiecie, która do późnych godzin nocnych ogląda mecze tenisa, nawet jeśli nie gra w nich Federer.

Do jego dziedzictwa należy jednak także to, że na nowo zdefiniował, jak długo tenisista może utrzymywać się na szczycie, pod warunkiem że rozważnie planuje i trenuje. W 2017 roku powiedział: „Jeśli spojrzeć całościowo, widać, że trzeba czasami odejść, żeby wrócić mocniejszym, i ja tak zawsze robiłem, przez całą karierę. Może nie na pełne sześć miesięcy, ale robiłem to dwa, trzy razy do roku. To mi bardzo mocno pomogło, dlatego jeszcze tu jestem, zmotywowany i szczęśliwy, że gram w tenisa".

Federer w istotny sposób zasłużył się także dla swojej dyscypliny, nawiązując do przeszłości, z powodzeniem kierując na nowo uwagę na historię tenisa i dowartościowując ją. Jego dziedzictwem jest jednak przede wszystkim wiele niezapomnianych momentów, emocji i wspomnień, których nieustannie dostarczał niezliczonej rzeszy ludzi. Inspiracja, którą dał wielu, marzenia, które rozbudził, szczególnie u młodszych pokoleń. Jego może najbardziej znaczące sportowe dziedzictwo to jednak fakt, że pokazał, że można być światową gwiazdą, pozostając autentycznym i twardo stąpając po ziemi, zachowując naturalność, przyjazność, skromność i człowieczeństwo.

44

PYTANIE O NAJLEPSZYCH

Pytanie o najlepszego sportowca, muzyka, poetę, kompozytora, malarza – szereg ten można dowolnie uzupełniać – jest ulubionym, ekscytującym i wypełniającym całe wieczory tematem, ponieważ nigdy nie da się na nie odpowiedzieć w sposób definitywny. Tak jak pociągające i kontrowersyjne jest poszukiwanie najlepszego albo najlepszej w danej dziedzinie, tak w sporcie szczególnie bezsensowne są próby porównywania różnych epok.

Według jakich kryteriów miałoby się zestawiać choćby dwóch najznakomitszych kierowców w historii, przykładowo pięciokrotnego argentyńskiego mistrza Formuły 1 Juana Manuela Fangio i Brytyjczyka Lewisa Hamiltona? Obaj uprawiali tę samą dyscyplinę, obaj zasiadali w srebrnej strzale Mercedesa, a mimo to aktywny w latach 50. kierowca z Ameryki Południowej dzisiaj tylko przez chwilę oglądałby tylne światła Brytyjczyka, podobnie jak wtedy, gdy byłby przez niego dublowany. Ale czy to oznacza, że był gorszym kierowcą?

W angielskim obszarze językowym dla tych nadludzi został stworzony skrót GOAT, który nie ma nic wspólnego z kozą (*goat*), ale oznacza „Greatest of all time”. Już w tym wyrażeniu kryje się jednak fundamentalny błąd, bo określenie „wszech czasów” obejmuje też przecież przyszłe epoki. A kto śmiałby uwzględniać również je?

Poszukiwanie najbardziej znaczącego tenisisty w historii jest tak pociągające właśnie dlatego, że na początku tysiąclecia od razu pojawiło się trzech nowych kandydatów pretendujących do tego tytułu – Federer, Nadal i Đoković Nie ulega wątpliwości, że poziom w tej technicznej dyscyplinie, w której pożądana jest nie tylko siła mięśni i wytrzymałość, nieustannie rośnie. Rozwój w sektorze sprzętowym, począwszy od rakiet, poprzez naciągi, skończywszy na piłkach, nadał tenisowi nową dynamikę.

O ile w czasach Stefana Edberga serwisy z prędkością 200 km/h to było maksimum, o tyle dzisiaj to wynik regularnie przekraczany przez dziesiątki zawodników. Plany treningowe zostały ulepszone i zmaksymalizowane, żywienie i fazy odpoczynku zoptymalizowane, opieka trenerska zintensyfikowana, także w kwestii taktyki, dzięki analizie wideo i bazom danych, zrodziły się nowe możliwości. Podczas gdy wcześniej tenisiści wyjeżdżali na zawody sami lub z jednym trenerem, a wieczorami chętnie wypijali piwko, dzisiaj przypominają poniekąd małe przedsiębiorstwa, które przemierzają świat z głównym coachem i jego asystentami, trenerami od przygotowania fizycznego, fizjoterapeutami, menedżerami i ewentualnie sparingpartnerami oraz osobami odpowiedzialnymi za kontakt z mediami. I do granic możliwości wykorzystują każdy aspekt kariery.

Ten, kto przyjrzy się na nagraniach, jak niegdyś pojedynkowali się Laver i Rosewall, jak powoli była rozgrywana piłka pomiędzy Borgiem i McEnroe lub jak wysoko przelatywała nad siatką w trakcie starcia Wilandera z Vilasem, mógłby zapytać, czy nie są to przypadkiem nagrania w zwolnionym tempie. Nie są, ale nie miało to też zabrzmieć pejoratywnie. I nie oznacza to także, że dzisiejsi seryjni zwycięzcy turniejów wielkoszlemowych są koniecznie lepsi albo bardziej utalentowani niż zawodnicy grający drewnianymi

rakietami. W jaki sposób ma się w ogóle porównywać ze sobą te wyjątkowe talenty, jeżeli niektórych z nich nie widziało się nawet w akcji?

Niezaprzeczalne jest też, że tenis za sprawą zawodowstwa, rosnącego na całym świecie zainteresowania i faktu, że stanowi również formę rozrywki live, generuje coraz więcej pieniędzy dzięki telewizji, sponsorom oraz sprzedaży biletów. Stał się też dyscypliną, w której na arenie międzynarodowej toczy się o wiele bardziej zażarta walka. Jeden talent, któremu udaje się przebić do Top 100, przypada na setki tysięcy pretendentów, którzy prędzej czy później muszą pogrzebać swoje ambicje. Wcześniej wyglądało to inaczej.

Przede wszystkim po otwarciu bogatych w tradycję turniejów tenisa dla zawodowców, którzy przed rokiem 1968 musieli startować we własnych mistrzostwach, do tego sportu zaczęło napływać coraz więcej pieniędzy i stawał się on coraz bardziej międzynarodowy. W zdominowanej wcześniej przez Brytyjczyków, Amerykanów, Francuzów i Australijczyków dyscyplinie pojawiało się coraz więcej tenisistów mniejszych lub zupełnie nowych narodowości, na przykład Rumuni, Hindusi, Hiszpanie, Szwedzi, Włosi, Chilijczycy, Argentyńczycy czy Czesi i Słowacy. I wszyscy walczyli w tej samej kategorii, o to samo trofeum. Potem przyszli Niemcy, Austriacy, Szwajcarzy, Kanadyjczycy, Brazylijczycy, Japończycy i inni Azjaci…

Gdy piszę tę książkę, bez wątpienia istnieją przeważające argumenty za tym, by tytuł „najlepszego tenisisty w historii” przyznać Federerowi. Sprawił on, że wszystkie księgi rekordów we wszystkich wspomnianych aspektach zostały napisane na nowo, również na nowo zdefiniował okres, w którym zawodnik może utrzymać się w absolutnej czołówce. Przemawia za nim także to, że sukcesy osiągnął wtedy, gdy w tenisie trwała

najzagorzalsza dotychczas walka o prymat. W przeciwieństwie do większości wcześniejszych mistrzów udało mu się w końcu też co najmniej raz wygrać wszystkie najważniejsze imprezy w tym sporcie, z wyjątkiem zwycięstwa w grze pojedynczej podczas igrzysk olimpijskich, które odbywają się tylko co cztery lata. Wielu nie spodziewało się po Federerze, że w związku z dominacją Rafaela Nadala na kortach ziemnych zdobędzie Wielkiego Szlema Kariery. Ale Roger był gotowy, gdy pojawiła się szansa, dokładnie jak w Pucharze Davisa.

To, że krótko po nim także Nadal i Đoković przynajmniej raz wygrali wszystkie cztery wielkoszlemowe turnieje, na pierwszy rzut oka może trochę deprecjonować osiągnięcie Szwajcara. Równocześnie ilustruje jednak, z jakimi wyjątkowymi specjalistami musiał się mierzyć w drugiej połowie kariery. Hiszpan i Serb są również ważnymi argumentami tych krytyków, którzy kwestionują lub negują status Federera jako najbardziej dominującego gracza w historii. Uzasadnienie, że nie można go stawiać ponad Nadalem, przeciwko któremu ma wyraźnie negatywny bilans, brzmi wprawdzie przekonująco, ale nie jest najbardziej trafione.

Faktem jest, że sam Rafa pierwszy regularnie stawia Rogera wyżej od siebie. „Wiemy wszyscy, że jest najlepszym graczem wszech czasów” to jedno z jego standardowych zdań. Do tego warto przeanalizować, w jaki sposób Hiszpan w bilansie spotkań ze Szwajcarem tak znacznie wysforował się na prowadzenie; wygrał 23 z pierwszych 33 pojedynków między nimi, zanim Federer mógł poprawić bilans pięcioma zwycięstwami w latach 2015–2017 na 15:23. Ten stosunek jest jednak nieco zniekształcony przez pojedynki na kortach ziemnych – było ich 15, więcej niż na jakiejkolwiek innej nawierzchni, a Nadal wygrał 13 z nich. O ironio, bilans Federera w starciach z niekwestionowanie najbardziej

w historii dominującym tenisistą na kortach z ceglanej mączki byłby znacznie lepszy, gdyby on sam w tych turniejach grał nieco słabiej – wówczas bowiem nie doszłoby do aż tak wielu meczów pomiędzy nimi.

Liczne przegrane z Nadalem na kortach ziemnych – jak widać – psychologicznie stawiają Federera w trudnym i niekorzystnym położeniu. Porażki w tenisie mają w zwyczaju ciągnąć za sobą kolejne porażki, a Rogerowi w starciach z Rafą przytrafiają się kaskadowo. Trzy razy zdarzyło się, że w ciągu jednego roku musiał się pogodzić z pięcioma przegranymi z rzędu.

Sam Federer bardzo dystansował się od dyskusji, który z tenisistów jest najlepszy. Wcześnie zwracał uwagę, jak trudno jest porównywać ze sobą graczy reprezentujących różne pokolenia. I bronił się także przed obezwładniającą wagą, którą w przypadku tych porównań przypisuje się tytułom wielkoszlemowym. Zwłaszcza że stwierdził prędko, że znaczenie tych turniejów – a najbardziej Australian Open – wcześniej było mniejsze, bo wielu graczy z powodu zawodowstwa przed rokiem 1968 w ogóle nie dopuszczano do rywalizacji, a podróże dookoła świata nie tak dawno temu były jeszcze znacznie bardziej kosztowne i czasochłonne niż za jego czasów. „Jestem świadom, z jakimi problemami borykały się starsze pokolenia z Laverem i Rosewallem na czele – powiedział zapytany o to Federer w 2009 roku w Melbourne i dodał: – Prawdopodobnie nie będziemy nigdy wiedzieć, kto był najlepszym tenisistą, i to jest też fascynujące. Ale jasne, gdyby ktoś wygrał na przykład 35 turniejów wielkoszlemowych, bez wątpienia byłby to rekord. Możliwe, że mógłbym być najlepszym graczem mojej ery, ale nigdy najlepszym graczem wszech czasów”.

Wielu fanom zdaje się jednak zupełnie nie zależeć na znajdowaniu argumentów mogących przemówić przeciwko Federerowi. Po jego zwycięstwie w Australian Open w 2017 roku francuska gazeta „L'Équipe" stworzyła ankietę internetową, za pomocą której pytała czytelników, czy Roger Federer jest największym mistrzem w historii, i to biorąc pod uwagę wszystkie dyscypliny sportowe. Pięćdziesiąt dwa procent ankietowanych odpowiedziało: „Tak".

45

PRZEPYTYWANY

Nie wiem, jak wielu wywiadów w życiu udzielił Roger Federer. Musiało ich być tysiące. Nie wiem też, jak często w trakcie tych wszystkich lat, podczas których towarzyszyłem mu w podróżach po świecie, sam byłem wyróżniony tym, że mogłem przeprowadzić z nim wywiad na wyłączność, poza obligatoryjną konferencją prasową. Wiem jednak, że nigdy się z nim nie nudziłem w trakcie tych pozornie niewiele znaczących i zbędnych konferencji – pod warunkiem, że nie był właśnie po raz dziesiąty pytany przez jakiegoś dziennikarza o to samo.

Ale nawet w takich przypadkach reaguje z godną podziwu cierpliwością. Nigdy nie jest szorstki, mrukliwy ani agresywny. Nigdy nie sprawia wrażenia, że miga się od odpowiedzi albo że chce możliwie szybko zakończyć wywiad. Przeciwnie: często na koniec sam zaczyna zadawać pytania, zupełnie jakby nie czekały go inne obowiązki albo jakby miał mnóstwo czasu (dokładnie jak podczas wymian piłek). Nigdy nie ogranicza się do ponownego wyklepania tych samych odpowiedzi jak z magnetofonu, ale z reguły stara się znaleźć jeszcze inny aspekt lub coś dodatkowego do tego, co już wcześniej zostało powiedziane.

W przeciwieństwie do niektórych swoich kolegów po fachu, potrafiących niekiedy zwrócić uwagę, że na dane pytanie odpowiadali podczas innej konferencji prasowej, Federer nigdy

nie sprawia wrażenia rozdrażnionego – chyba że osoba zadająca pytanie wykazuje zbyt mało szacunku w stosunku do niego lub kompromituje się rażącym brakiem fachowej wiedzy. Nawet jeżeli ktoś męczy się z łamanym angielskim albo jest może trochę zdenerwowany, a pytanie zwyczajnie nie ma sensu, Roger pozostaje uprzejmy i cierpliwy i stara się opowiedzieć coś interesującego lub przynajmniej znaleźć odpowiedź.

Na przestrzeni lat Federer prawdopodobnie stał się tenisistą, który najczęściej słyszy te same pytania – to dlatego, że jako jeden z bardzo niewielu graczy jest gotów i potrafi udzielać wywiadów w trzech językach. W rezultacie jego zobowiązania względem mediów często trwają dłużej niż mecze. Oprócz międzynarodowej obligatoryjnej części konferencji prasowej, która z reguły odbywa się w języku angielskim, zawsze odpowiada jeszcze na pytania dziennikarzy ze Szwajcarii, które zadawane są w szwajcarskiej odmianie niemieckiego, i po francusku (po włosku Federer nie mówi wystarczająco dobrze, by odpowiadać na pytania także w tym trzecim języku używanym w Szwajcarii). A że zagraniczni dziennikarze nieustannie chcą się wciąć w tę szwajcarską część, to już inna historia.

Przed piszącymi żurnalistami lub po nich przychodzi kolej na przedstawicieli mediów elektronicznych, różnych reporterów telewizyjnych i radiowych, którzy chcą, by te same lub inne odpowiedzi, tylko w ich własnym języku, zostały wygłoszone do ich mikrofonów – im ważniejszy turniej, tym jest ich więcej. Do tego dochodzą mniej lub bardziej dobrowolne wywiady, których w mniejszym lub większym zakresie oczekują od światowej gwiazdy czy to organizatorzy, czy ważne koncerny medialne.

Podczas gdy Amerykanie albo Brytyjczycy, tacy jak Andy Murray, muszą udzielać wywiadów tylko w jednym języku, Federer w pewnym sensie dźwiga swój los, będąc dodatkowo przepytywanym w jeszcze dwóch dodatkowych. W przypadku Nadala krajowa część ogranicza się do hiszpańskiego, w przypadku Đokovicia do serbskiego – i te rundy pytań trwają zazwyczaj trochę krócej niż u Rogera, bo z reguły tym graczom towarzyszy mniej dziennikarzy z ich krajów. W International Tennis Writers Association, stowarzyszeniu najaktywniejszych dziennikarzy tenisowych, w 2017 roku na 109 członków ze Szwajcarii pochodziło 16, czyli około 15 procent. Nieźle jak na kraj, który ma tylko trochę więcej niż osiem milionów mieszkańców, co odpowiada 0,11 procent światowej populacji.

W przeciwieństwie do Martiny Hingis, która w pewnych okresach rezygnowała z odpowiadania na pytania w ojczystym języku, Federer nigdy publicznie nie skarżył się, że musi mówić jeszcze po niemiecku, choć w ten sposób służył niewielkiemu rynkowi – ale temu, który znaczy dla niego najwięcej i który najdokładniej śledzi. (Wawrinka ma pod tym względem łatwiej, bo nie mówi po niemiecku i poprzestaje na angielskim i francuskim).

Przy tym ciągle zauważam, że Federer w swoim ojczystym języku udziela bardziej spontanicznych i tym samym ciekawszych odpowiedzi – bo jego zasób słów jest w tym przypadku najbogatszy i Roger mniej się zastanawia nad sformułowaniem zdania. Kiedy w 2008 roku po porażce w finale Wimbledonu ponurym głosem powiedział w szwajcarskiej odmianie niemieckiego „Jestem załamany”, wyrażało to więcej niż wszystkie zdania wcześniej. Zwykł też zawsze używać typowo szwajcarskich wyrażeń i metafor, choć w ojczyźnie przebywa już niewiele.

Poza tym w stosunku do przedstawicieli szwajcarskich mediów jest również bardziej otwarty i pozwala im na spontaniczny wgląd w swoje życie. Kiedy w 2018 roku przeprowadzałem z nim w Kalifornii wywiad zawierający wiele osobistych pytań, w mojej redakcji pojawił się pomysł, by na naszej stronie internetowej opublikować go także w języku angielskim. Roger się jednak nie zgodził. Nie każdy musi o nim wszystko wiedzieć.

Wkrótce Federer zdał sobie sprawę, że w zależności od używanego języka uwypuklają się różne aspekty jego osobowości. „W różnych językach odpowiadam inaczej. Kiedy mówię po francusku, jestem bardziej w świecie tenisa, techniki i treningu fizycznego, bo wykonuję go z Pierre'em Paganinim zawsze po francusku – powiedział w 2017 roku w Montrealu. – I myślę też o szkole, bo od 14. do 16. roku życia chodziłem w Lozannie do francuskojęzycznej szkoły. Dlatego gdy mówię po francusku, czuję się ciągle jak nastolatek, który zatrzymał się w latach 90. Kiedy mówię po angielsku, jest bardziej swobodnie, na luzie. Po angielsku rozmawiamy także w domu. Angielski to dla mnie prostota, globalność, bycie w rozjazdach". Jego natura najautentyczniej wychodzi jednak na jaw w szwajcarskiej wersji niemieckiego. „*Schweizerdeutsch* to moja rodzina, moja ojczyzna, to prawdziwy ja". Udzielając wywiadów w różnych językach, lepiej poznał samego siebie.

Nie wyobrażam sobie, że rozmowy z nami, dziennikarzami, zawsze dają Federerowi wiele radości, nawet jeżeli czasem sprawia takie wrażenie. Także w tym aspekcie z powodzeniem stara się wydobyć to, co najlepsze, z czegoś, czego nie może zmienić – dla siebie, ale także dla tenisa, który leży mu na sercu. Udzielając ciekawych, zabawnych i pouczających odpowiedzi oraz sypiąc anegdotami, pomaga swojej dyscyplinie, skupiając na niej większą uwagę opinii publicznej

i szerząc fascynację, którą ludzie odczuwają w stosunku do niego.

Kiedy w 2017 roku został zapytany, czy nie przeszkadza mu, że zaraz po osiągnięciu znaczącego sukcesu musi iść na konferencję prasową, zaprzecza i mówi pochlebnie o mediach: „Oczywiście ciężko się z tego powodu pożegnać z przyjaciółmi, którzy niekiedy przejechali pół świata, by zobaczyć finał. Ale jesteście częścią tego procesu, także mojego życia. Znamy się od dawna i kiedy mogę udzielić dobrej odpowiedzi, sprawia mi to pewną przyjemność. Myślę, że to ważne, że do was przychodzę, by wyjaśnić, jak się czuję. To pomaga mi także wyrazić, kim jestem. Jest w porządku. Nigdy nie potrafiłbym zwiać od razu, żeby świętować w klubie nocnym".

Dzięki takiemu podejściu Federer także wśród przedstawicieli mediów awansuje na szczególnie lubianego gracza. Kiedy International Tennis Writers Association zaczyna wybierać zawodnika roku, w pierwszych trzech latach plebiscyt wygrywa właśnie Szwajcar. Bo również w jego pracy z mediami udaje mu się nieustannie zaskakiwać, zdumiewać i zjednywać sobie ludzi. „Czasami myślę: jest zbyt dobry, by był prawdziwy – mówi moja niemiecka koleżanka Doris Henkel, która karierę Federera śledzi z bliska od samego początku. – Przeżyłam tyle konferencji z jego udziałem i po każdej z nich myślę: no, jednak i tym razem było warto".

Federerowi udaje się pozbawić dziennikarzy poczucia, że są wichrzycielami, ograbiającymi go z czasu i na dodatek zadającymi same głupie pytania. Jako nastolatek zwykł niekiedy dziękować, gdy ktoś przyjechał na jego turniej, by zrobić z nim wywiad. Kiedy poświęci komuś dziesięć minut na rozmowę, to ten ktoś dostaje dziesięć minut i może być pewien, że w tym czasie Federer ofiarował mu całą swoją uwagę. To wcale nie takie oczywiste, przynajmniej w jego lidze rozpoznawalności.

„Był miły i traktował nas poważnie, choć w ogóle nas nie znał” – zachwyca się na przykład dwóch czeskich dziennikarzy, po tym, jak po Pucharze Lavera w Pradze mogli przeprowadzić z Federerem wywiad na wyłączność.

Chyba bazuje na przekonaniu, że nie jest to takie pewne w przypadku gwiazdy sportu.

Roger zawsze gwarantuje niezwykłą analizę danego meczu. Nawet przy sali wypełnionej dziennikarzami wita tych, których dobrze zna, i zwraca się do nich po imieniu. Rundę pytań zwykł odbywać z taką uwagą, że jeszcze dzień później nie tylko potrafi przypomnieć sobie pojedyncze dialogi, ale często jeszcze wie, jakie pytanie zadał mu dany dziennikarz.

Szwajcarska dziennikarka telewizyjna Claudia Moor była na przykład dość zaskoczona, kiedy Federer spotkał ją podczas turnieju i na powitanie zapytał, czy jest już zdrowa. „Kilka tygodni wcześniej powiedziałam mu, że jestem przeziębiona i żeby lepiej trochę się odsunął. A on to jeszcze pamięta”. Zdaje się, że ten człowiek ma pamięć słonia.

W przeciwieństwie do innych tenisistów, którzy na media mogą reagować przewrażliwieniem, potrzeba wiele, by Federer odniósł się do jakiegoś artykułu w gazecie lub komentarza. Z drugiej strony wcześniej musiał wytworzyć sobie grubą skórę w stosunku do mediów. Zahartowały go lata przed pierwszym zwycięstwem w Wimbledonie, w trakcie których na próżno dążył do osiągnięcia sukcesu, musiał tłumaczyć wiele niewyjaśnionych porażek i stał się obiektem drwin, złośliwości i zjadliwych karykatur. „Czasami po konferencjach prasowych miałem poczucie, że zostałem powieszony za nogi i wytrzepany – przyznał po trzecim triumfie w Wimbledonie. – Wychodziłem wtedy i myślałem sobie: okej, teraz muszę się zastanowić nad swoim tenisem”.

Federer szybko jednak dostrzega, że wiele mediów ma tendencję do przesady, zarówno w przypadku dobrych, jak i złych rzeczy, że wiele komentarzy składa się z migawek wyjętych z kontekstu, w taki sposób, że ich wydźwięk może się prędko zmienić. Gdy tak się dzieje, konferencje prasowe czasami mogą stać się problemem i pozostawić po sobie ślady. „Jasne, że od czasu do czasu coś tam usłyszę. Dziennikarze ciągle mnie pytali: »Co się z tobą dzieje? Czy nowy trener nie byłby lepszy? Co z twoim forhendem?«. To nieustanne odpowiadanie na negatywne pytania mnie dotknęło i może też sprawiło, że trochę przestałem w siebie wierzyć. Z drugiej strony nieco to dziwne, że będąc numerem 2 na świecie, ciągle muszę się tłumaczyć".

Federer przyznaje, że na początku zawodowej kariery bał się nawet trochę mediów i oczekiwał, że będą o nim źle pisać. Jego nastawienie zmieniło się, kiedy w grudniu 1999 roku musiał przejść trzydniowy kurs „ATP University" w Monte Carlo, podczas którego młodzi gracze zawodowi uczą się, jakie wyzwania czekają czołowych sportowców i jak sobie z nimi radzić. Jednym z wykładowców był francuski dziennikarz tenisowy Philippe Bouin. Wyjaśnił, że to media tworzą wizerunek sportowca „i kto nie traktuje dobrze dziennikarzy, nie może oczekiwać, że zostanie przez nich dobrze przedstawiony. Bo to także ludzie".

Federer jako jedyny nieustannie słuchał z uwagą, jak zauważył Bouin. „Wszystko od razu pojął i zastosował w praktyce". Szwajcar potwierdza, że przy tej okazji pozbył się strachu przed prasą. „Tam zdałem sobie sprawę, że media mogą pomóc nam, zawodnikom, w poprawieniu wizerunku, a my im, tworząc dobre historie".

Biorąc pod uwagę wszystkie artykuły, które o nim napisałem, tylko w wyjątkowych przypadkach zdarzało się, że na nie

reagował. Akceptował nawet ostrą krytykę, o ile była fair, jak na przykład w 2010 roku, kiedy z trudno zrozumiałych powodów zrezygnował z wyjazdu na Puchar Davisa do Kazachstanu i Szwajcaria spadła grupę niżej w rozgrywkach. Prawie nigdy nie zdarzało się też, że chciał ponownie przeczytać wywiad i go autoryzować, zanim zostanie wydrukowany.

Raz jednak odezwał się do mnie w sprawie wywiadu. Jest 3 lipca 2004 roku, wieczór poprzedzający finał Wimbledonu. Mój kolega Simon i ja właśnie się pakujemy, kiedy dzwoni mój telefon, a na ekranie wyświetla się „Vavrinec". Po drugiej stronie nie było jednak Mirki, ale Roger. Na następny dzień miałem zaplanowaną publikację długiego wywiadu z jego dziewczyną i kilka godzin wcześniej wysłałem go jej e-mailem do ponownego przeczytania. To, że odezwał się Roger, a nie ona, nie zapowiadało nic dobrego.

W wywiadzie Mirka otwarcie mówi o swojej codzienności, o związku z nim, o dzieciach i o ślubie. Miałem złe przeczucia i obawiałem się przez chwilę, że Roger chce wstrzymać publikację – na co byłoby już jednak za późno. W każdym razie musiało chodzić o coś ważnego, skoro wieczorem przed jego najważniejszym meczem w roku sam sięgnął po telefon. Najwidoczniej odczytał moje myśli, co go najwyraźniej rozbawiło. Szybko jednak rozwiał moje wątpliwości. Zależało mu jedynie, by doprecyzować odpowiedź na jedno z pytań, w którym zresztą nie chodziło o niego, ale o rolę Reto Staublego. Zadzwonił tylko po to, by dokładniej sformułować ten fragment i zaoszczędzić nerwów przyjacielowi. I tak oto podyktował mi odpowiedź Mirki: „Reto nie chce ryzykować swojej pracy w banku i dotychczas wszystkie urlopowe dni poświęcił nam. Teraz dzięki wspaniałomyślności i przychylności swojego pracodawcy dostał bezpłatny urlop…". Następnego dnia Federer pokonał Roddicka w czerech setach.

46

PRZYSTĘPNY

Damiana spotykam w odległym zakamarku Tennis Garden w pustynnej oazie Indian Wells, na skraju kortu numer 7, gdzie właśnie dobiega końca mecz pań; 28-letni Kalifornijczyk, jak zawsze w marcu, kilka dni wcześniej przyjechał z San Francisco do Coachella Valley. I jak zawsze tylko z jego powodu. Z powodu Federera.

Tak naprawdę Damian nazywa się inaczej, poprosił mnie jednak, bym nie podawał jego prawdziwego imienia – chce wystąpić wyłącznie pod pseudonimem „FedFan". Pod kalifornijskim słońcem snuje swoją opowieść. Jak mając osiem lat, zaczął grać w tenisa. Jak mając 12 lat, przeżywał, gdy jego idol Pete Sampras został pokonany w Wimbledonie przez jakiegoś Rogera Federera. Jak myślał sobie: „Kim jest ten facet?". Jak rok albo dwa lata później sam został fanem tego faceta, „tak jak wszyscy moi kumple od tenisa". Jak zaczął gromadzić zdjęcia Federera i nagrywać jego mecze, na samym początku na kasety VHS. Jak jego archiwum coraz bardziej się rozrastało. „Doszło do tego, że są ich już setki. Za kilka lat będę mógł znów je obejrzeć i powiedzieć: »Roger Federer był po prostu zdumiewający«". Jak nie przegapił prawie żadnego jego meczu, „może jeden lub dwa".

Damian miał 21 lat, kiedy po raz pierwszy zobaczył grającego Federera na żywo, w Indian Wells. „Gdy ujrzałem go na własne oczy, tylko kilka metrów ode mnie, i przekonałem się, jaki jest

swobodny i wyluzowany, nic już nie mogło mnie powstrzymać". Założył stronę internetową dla fanów, federerfano7.com. Zajmował się nią coraz aktywniej, pisał artykuły, wrzucał zdjęcia i newsy. W pewnym momencie zainteresowały się nim firmy Wilson i Nike, nawiązały z nim współpracę i od tego momentu zaopatrywały go w materiały, które mógł publikować.

Rok później, w 2012, szukał bezpośredniego kontaktu do Rogera Federera. Tony'emu Godsickowi, wtedy jeszcze zatrudnionemu w IMG, wysyłał najpierw e-maile, potem prawdziwy ofrankowany list, do Cleveland w Ohio. „Nagle dostałem e-maila od Godsicka: »Jeżeli możesz przyjechać kilka dni wcześniej do Indian Wells, postaram się coś zaaranżować«. Nie posiadałem się z radości i jak szalony zacząłem biegać po domu".

Damian, który pracuje jako kierownik działu sprzedaży, pojechał do Indian Wells nie w weekend, ale już w czwartek. „Byłem na adrenalinie, nie wierzyłem, że będę mógł spotkać Rogera Federera". Spotkanie odbyło się w ramach inicjatywy „Meet and Greet" w produkującej rakiety firmie Wilson. Damian spędził z Federerem około pięciu minut, sam na sam. Pięć minut, które były dla niego jak wieczność. „Rozmawialiśmy tak, jakbyśmy się przyjaźnili – opowiada Damian. – Pamiętał nawet, gdzie stałem podczas jego treningu godzinę wcześniej. To pokazuje, jak bardzo jest zawsze uważny. Doskonale zdaje sobie sprawę, co się wokół niego dzieje. Ma zdumiewającą pamięć". Chłopak był zachwycony do reszty, gdy Federer powiedział, że zna jego stronę. „To mnie zszokowało, bo dla niego to, co robię, musiało być przecież bez znaczenia".

Takich historii jak ta Damiana, który po raz drugi spotkał Federera podczas akcji „Matches for Africa" w Dolinie Krzemowej, słyszałem na przestrzeni lat wiele. Dlatego jestem pewien: fani Federera dokonali dobrego wyboru. Nie znam

innego sportowca, który byłby gotów tak wiele dać z siebie swoim kibicom. Na przykład członkom fanklubu fans4roger, w 2005 roku założonego w Szwajcarii. Przez lata rozrósł się do 750 osób, pochodzących z aż 25 krajów, w tym z Chile i Indii. „Jesteśmy dużą, obejmującą cały świat rodziną – mówi Doris Löffel, jedna z założycielek i członkini zarządu. – Wielu z nas spotyka się także prywatnie. Gdyby nie to, nigdy nie poznalibyśmy tych ludzi". Kilka razy do roku fanklub organizuje wspólne wyprawy, podczas których jego członkowie na przykład robią czekoladę, jeżdżą drezyną albo płuczą złoto. „A raz warzyliśmy piwo na 30. urodziny Rogera" – opowiada sekretarka.

Podczas Swiss Indoors w Bazylei członkowie fanklubu z reguły mogą spotkać swojego ulubieńca na stopie prywatnej. Zabronione jest jednak wówczas robienie zdjęć i publikowanie ich w mediach społecznościowych. Mimo to w 2017 roku Federer sfotografował się osobno z każdym obecnym tam fanem i fanką – przybyło ich równo 120.

Z biegiem lat Roger coraz bardziej starał się utrzymywać kontakt z fanami, by móc im się w ten sposób zrewanżować. Coraz większego zgiełku, który towarzyszył mu podczas turniejów, nie traktował zasadniczo jako czynnika rozpraszającego, nie próbował go też unikać – poniekąd nawet go szukał. „To piękne i jestem szczęśliwy, że ludzie chcą oglądać, jak gram. Cieszy mnie przede wszystkim, że nadal kocham tę grę i wszystko, co się z nią wiąże. Wiele dla mnie znaczy, że mogę się tym podzielić".

Nie był to pierwszy ani jedyny raz, kiedy podkreślał, jak ważne są dla niego reakcje fanów. „Jestem nie tylko tenisistą, ale i artystą. Nie liczy się jedynie mój własny sukces, ale również sukces turnieju. Kiedy widzowie w San Jose po »Match for Africa« albo ci z Indian Wells wracają do domu i myślą:

»Hej, to było *cool*, że widzieliśmy, jak gra Federer, tego faceta to cieszy, sprawia mu to przyjemność, kocha tenis i dał z siebie wszystko, rozmawiał z nami…«, jest to dla mnie równie ważne”.

Gdy mój kolega Bill Simmons z „Inside Tennis” poruszył z nim kiedyś temat jego popularności i powiedział, że przyjęła ona wymiar beatlemanii, Federer odrzekł: „To, jak ciepło jestem wszędzie przyjmowany, i fakt, że ludzie mnie lubią jako człowieka i jako zawodnika, jest dla mnie wszystkim”. Doceniał, że tak wiele osób kupuje jego czapki z daszkiem, T-shirty albo rakiety i w ten sposób czuje się z nim związanych. Ważne jest dla niego też to, że ma okazję robić sobie zdjęcia z fanami, dać im autograf i dzięki temu spełnić czyjeś marzenie. „Wielu ludzi nie będzie już mogło ponownie zjawić się na turnieju, ponieważ jest to zbyt droga sprawa albo po prostu mieszkają za daleko. Zawsze sobie powtarzam, że osoby, z którą robię zdjęcie, prawdopodobnie już nigdy nie zobaczę. I właśnie dlatego staram się sprawić, by ten moment był niezapomniany”.

Ma także w zwyczaju spełniać każdą prośbę o autograf, którą dostaje pocztą, podpisując się osobiście, nie korzysta bowiem z maszyny do dawania autografów. Kto jednak porówna jego wcześniejszy podpis z dzisiejszym, stwierdzi, że stał się o wiele krótszy i prostszy – dzięki temu może się podpisać więcej razy w tym samym czasie.

Kiedy Federer został zapytany przez dziennikarza tygodnika „Stern”, dlaczego jest pewnie najpopularniejszym indywidualnym sportowcem na świecie, powiedział, że także jemu ciężko to pojąć, zwłaszcza że tak naprawdę nigdy jakoś specjalnie nie zabiegał o uwielbienie. „Zawsze starałem się o to w naturalny sposób, na przykład moją postawą fair play. Niektórzy chcą może tego za bardzo. Może chodzi też o moje spokojne usposobienie, o to, że jestem Szwajcarem. Na pewno pomaga mi również sukces i to, że często grałem przed dużą

publicznością i zachowywałem się chyba wystarczająco dobrze. Możliwe, że ludzie mówią: »To dobry idol dla moich dzieci«”.

W tym samym wywiadzie potwierdził przypuszczenie, że także jego emocjonalność wzbudziła sympatię widzów. „Płakałem po wygranych i przegranych meczach. Ludzie widzą, ile to dla mnie znaczy, wierzą mi, gdy mówię, że kocham tenis. Później się cieszę, że pokazałem te emocje”.

Fakt, że Federer pochodzi z małego neutralnego kraju, sprawia także, że mogą się z nim identyfikować przedstawiciele różnych narodowości. Niemcy, bo dorastał tylko kilka kilometrów od ich granicy, często grał w Niemczech i także tam odnosił ogromne sukcesy. Francuzi, ponieważ mówi w ich języku, a jego elegancki sposób gry wpisuje się w ich wizerunek. Brytyjczycy, ponieważ w postaci Wimbledonu oddali mu do dyspozycji swoje sanktuarium, a on wspiął się tam na szczyt. Południowoafrykańczycy, bo stamtąd pochodzi jego matka i tam działa jego fundacja. Australijczycy, bo kiedyś jego rodzina omal tam nie wyemigrowała. Azjaci i Amerykanie, ponieważ cenią charyzmatyczne gwiazdy sportu, nie zważając na ich pochodzenie.

Jeżeli jednak chodzi o liczbę fanów na Facebooku i Twitterze, latem 2018 roku Federer wśród tenisistów zajmował drugie miejsce. Z łączną liczbą 27,2 miliona followersów miał ich o około 10 procent mniej niż Rafael Nadal (30,1 miliona). Na ogół Hiszpan podoba się jednak młodszej publiczności, która jest oczywiście bardziej aktywna na portalach społecznościowych. W corocznym plebiscycie na najpopularniejszego zawodnika ATP, w którym zagłosować mogą kibice, od 2003 roku przez 16 lat był jednak tylko jeden zwycięzca – Federer, niekiedy otrzymując prawie połowę wszystkich głosów.

Dla wielu fanów jest jednym z najważniejszych – o ile nawet nie najważniejszym – powodów do życia, nieważne, z jakiego kraju pochodzą. Na przykład Hinduska Madhumita, która napisała do mnie pewnego razu, dziękuje Bogu za to, że może żyć w tym samym czasie co jej ulubieniec. Kiedy w 2008 roku przegrał w finale Wimbledonu, przez cały dzień nic nie jadła i „nie spała cały tydzień". Znam pracujące na pełen etat kobiety, które na czas trwania turnieju biorą urlop, by móc zgłosić się jako wolontariuszki i zostać przydzielone na przykład do przewozu osób, by przy odrobinie szczęścia mieć w ten sposób przelotny kontakt z Federerem lub kimś z jego otoczenia.

Z kolei Belgijka Tani podąża za Federerem po całym świecie, jest także na każdym jego treningu i podczas wszystkich spotkań z kibicami, dopinguje go nawet wyrażeniem w szwajcarskiej odmianie niemieckiego: „Chumm jetzä!". Sporo fanów znajduje w Federerze oparcie w trudnych chwilach. „Po trzęsieniu ziemi w marcu wielu z nas było przygnębionych – opowiada Japończyk Fuyuki z Osaki. – Widząc grającego Federera, uświadomiliśmy sobie, jakie mamy szczęście, że jesteśmy bezpieczni, że żyjemy i możemy delektować się jego wspaniałym tenisem". Napisali do niego list, by wyrazić swoją wdzięczność. „Dwóch z nas pojechało na Indian Wells i mu go wręczyło. Roger przyjął list, znalazł miłe słowa pocieszenia i ich uścisnął". Takie przeżycia są dla fanów niezapomniane. „Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że możemy być jego fanami".

Podczas pokazowego turnieju Federera w São Paulo poznałem Edgarda Raoula Gomeza Neto, który już godziny przed jego pierwszym występem w Ameryce Południowej czekał przed stadionem Ibirapuera; 26-letni student opowiadał, jak pewnego razu podczas US Open mógł zamienić kilka słów z Federererem, co zdefiniowało jego życie. Nosił ze sobą flagę zszytą z flag brazylijskiej i szwajcarskiej i wyznał: „Z powodu

tego faceta czuję się w połowie Szwajcarem”. Był tak samo ostrzyżony jak Federer, nosił takie same ubrania i grał taką samą rakietą (chociaż lepiej radził sobie z innym sprzętem). I powiedział, że nigdy nie opuszcza meczów Szwajcara. „Raz oddałem egzamin po napisaniu tylko jednej odpowiedzi, żeby móc już zwiać, bo on grał. Dla mnie jest po prostu święty, według mnie to nie jest zwykły człowiek”.

47

LAUREAT

Ile honorów udźwignie jeden człowiek? To pytanie zadaję sobie od czasu do czasu, gdy Roger Federer otrzymuje kolejne wyróżnienie, kolejny dowód uznania, kolejną nagrodę – w skali, jakiej nie mógłbym sobie nigdy wyobrazić. Niekiedy mam jednak wrażenie, że w duchu reaguje na te wyrazy szacunku z coraz większym dystansem, choć na zewnątrz zawsze trzyma fason.

Chcę powiedzieć, że wiele z tych honorów, zmierzających w jego kierunku niczym lawina, z czasem zaczął akceptować, uśmiechając się ukradkiem. Ma świadomość, że przy takich okazjach często chodzi bardziej o nagradzających niż nagradzanego, bo za sprawą popularności laureata mogą zwrócić na siebie odrobinę uwagi.

Kto jednak jest na tyle odważny i arogancki, by odmówić przyjęcia wyróżnienia albo jak Bob Dylan nikczemnie zignorować literacką Nagrodę Nobla? Czy Federer, dziękując, miał nie przyjąć (o ile to w ogóle możliwe) tytułu doktora honoris causa medycyny, kiedy przyznał mu go Uniwersytet Bazylejski? Chyba nigdy wcześniej uczelnia, na której tenisista nie postawił nogi jako student, nie zyskała tak wiele uwagi jak za sprawą tego gestu. Uzasadnienie dało się jednak znaleźć także w tym przypadku: wydział medyczny nagrodził go za „wkład w zwiększenie sławy Bazylei i Szwajcarii na scenie międzynarodowej, a także wzorową postawę sportowca, którą

wielu ludzi na całym świecie zachęcił do ruchu, co było istotne w promowaniu zdrowego trybu życia". Wspomniano również o zaangażowaniu jego fundacji.

Federer nie odrzucił i tego przyznanego mu wtedy tytułu doktorskiego, ale nie przyjął go osobiście. Podziękował za niego w wiadomości wideo, w której, używając całego swojego uroku, mówił o „wspaniałym, ogromnym zaszczycie" i stwierdził, że kiedy jeszcze był „małym tenisistą", nigdy nie miał na celu otrzymania honorowego tytułu doktora na Uniwersytecie Bazylejskim. Skłamał przynajmniej w ostatnim zdaniu, dodając: „Ale udało mi się to i ogromnie się cieszę, jak gdybym zdobył tytuł w turnieju wielkoszlemowym".

Wysyp i różnorodność wyróżnień dla Federera pokazuje jednak, za jak wyjątkowego człowieka się go uważa nawet w kręgu najbardziej znanych gwiazd sportu, i to patrząc z najróżniejszych perspektyw. Oprócz wszystkich jego ludzkich i sportowych walorów oraz sukcesów wynika to także z faktu, że za sprawą swojej mało kontrowersyjnej osobowości i pochodzenia był idealnym kandydatem do odbierania tego rodzaju zaszczytów; nie wywoływał skandali i wcześnie rozpoczął działalność charytatywną poprzez swoją fundację w Afryce.

Zaszczyty spadają na niego wcześnie. Już w styczniu 2004 roku, kiedy w szafie na trofea miał dopiero jeden puchar z Wimbledonu, widzowie telewizyjni wybrali go „Szwajcarem Roku" – a to jedno z najbardziej prestiżowych wyróżnień przyznawanych w jego ojczyźnie. Później trudno było już za tym nadążyć. Choćby w 2006 roku, gdy dominował na kortach w największym stopniu, wygrał chyba w każdym istniejącym plebiscycie sportowym. Nawet koncerny medialne, takie jak „USA Today" (Stany Zjednoczone), BBC (Wielka Brytania), „L'Équipe" (Francja) albo „La Gazzetta dello Sport" (Włochy)

umieszczały go na pierwszym miejscu swoich plebiscytów. Wyróżnienia, które mu przyznawano, tylko na samym początku ograniczały się do świata sportu. Jak pewnie najważniejsze z nich, przyznane w konkursie fundacji Laureus na „Sportowca Świata Roku", który Federer jako jedyny otrzymał pięciokrotnie – w 2005, 2006, 2007, 2008 i 2018 roku, za każdym razem dzięki sukcesom z poprzedniego sezonu.

Także podczas rozdawania nagród ATP wkrótce zaczął zgarniać wszystkie laury. Pięć razy wybierano go „Zawodnikiem Roku", w 2017, w zaawansowanym jak na sportowca wieku otrzymał też równocześnie nagrodę za „Comeback Roku". Przekonujące są jego serie zwycięstw w dwóch innych kategoriach: jak już wspomniałem, od 2003 do 2018 roku na stronie internetowej ATP fani nieustannie uznawali go za najpopularniejszego gracza, w tamtym czasie prawie każdego roku, łącznie 13 razy, mógł też odbierać „Stefan Edberg Sportsmanship Award". To nagroda przyznawana przez zawodowych tenisistów tym graczom, którzy „w trakcie sezonu wykazali się najwyższym stopniem profesjonalizmu i uczciwości", wyróżnili się postawą i pomagali w popularyzacji tenisa także poprzez aktywność poza kortem. Wyróżnienie wręcz stworzone dla Federera.

Z imponującym wyrazem uznania spotkał się już w wieku 25 lat. Szwajcarska poczta zrobiła dla niego wyjątek od zasady, jaką jest nieuwiecznianie na znaczkach żyjących jeszcze osobistości. Okolicznościowy jednofrankowy znaczek pocztowy, który 10 kwietnia 2007 w obecności Federera został zaprezentowany w bazylejskim ratuszu, przedstawia go z pucharem z Wimbledonu. Dyrektor koncernu Ulrich Gygi uzasadnił tę premierę w swoim *laudatio* następująco: „Jeżeli na jakiejś światowej scenie jest osobowość ze Szwajcarii, która ma

porównywalny status do Rogera Federera w tenisie, to z przyjemnością to powtórzymy".

Wśród wyróżnień Federera są też prawdziwe perełki. I tak oto w 2006 roku magazyn „People" umieścił go w galerii „najseksowniejsi współcześni mężczyźni", co rozbawiło samego tenisistę. „Dlatego dzisiaj się ubrałem – żartował podczas finału sezonu w Szanghaju. – Możemy więc ze sobą normalnie rozmawiać i za bardzo się nie podniecać". Cztery lata później to samo czasopismo uwzględniło go ponownie, tym razem w rubryce „25 sexy męskich klat, za które można czuć wdzięczność". Kto miałby ją czuć, nie zostało sprecyzowane.

Także jego rodzinne miasto, Bazylea, przyznało – już dzięki samej nazwie – godne uwagi wyróżnienie: w 2008 roku Roger otrzymał tytuł „Ehrespalebärglemer"[7]. Jego mosiężna tablica na bazylejskim Starym Mieście została uroczyście odsłonięta jednak dopiero rok później, ponieważ wcześniej laureat był zajęty.

Jak dalece poza świat sportu sięga popularność Federera, ujawniło kompleksowe badanie przeprowadzone w 2011 roku przez firmę Reputation Institute. Opracowała ona najpierw listę z nazwiskami 54 najbardziej znanych i popularnych osobowości świata polityki, biznesu, kultury i sportu. Następnie została ona przedstawiona gronu 51 055 wybranych pod kątem demograficznym osób w 25 krajach, przy czym przy każdym nazwisku musiały one określić w skali od 0 do 100, jak lubiana, szanowana, podziwiana i w jakim stopniu godna zaufania jest według nich dana postać. Wynik był zdumiewający. Federer pojawił się na drugim miejscu, za niekwestionowanym zwycięzcą Nelsonem Mandelą, który niegdyś walczył z apartheidem, a potem został prezydentem RPA. Wyprzedził mocno zaangażowanych społecznie wizjonerów i liderów biznesu, takich jak Bill Gates czy Warren Buffet, osoby

wzbudzające sympatię, takie jak królowa Elżbieta II czy Dalajlama, założyciela firmy Apple Steve'a Jobsa czy Bono, frontmana zespołu U2. A także piastującego jeszcze wówczas godność papieża Benedykta XVI.

Popularności Federera w ciągu całej kariery sprzyjało też to, że jako tenisista prawie cały rok walczy gdzieś na świecie o trofea i z tej okazji jego twarz można oglądać na zbliżeniach w wielu domach. Według „Forbesa" w 2009 roku tylko dwie osoby pojawiały się w prasie częściej niż Szwajcar – prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama i raper 50 Cent. Trzy lata później uplasował się za Lady Gagą na drugim miejscu.

Federer, także dzięki działalności charytatywnej, wkrótce wyrósł poza świat sportu. Kiedy w 2018 roku magazyn „Time" umieścił go na liście 100 najbardziej wpływowych osób roku, ulokował go na pozycji numer 1 w kategorii „Tytani". Na tę okoliczność laudację napisał Bill Gates, założyciel Microsoftu, który pomagał Rogerowi przy dwóch wydarzeniach dobroczynnych w USA. Czytamy w niej: „Dzień, w którym zawiesi rakietę na kołku, będzie smutny dla wszystkich nas, jego fanów, ale będziemy mogli pocieszać się świadomością, że czuje się zobowiązany uczynić świat lepszym miejscem".

Już 11 lat wcześniej Federer pojawił się na sławnej liście magazynu w kategorii „Bohaterowie i pionierzy". Wówczas pochwałę napisała australijska legenda tenisa, Rod Laver: „Kiedy rozmawiasz z Rogerem, daje ci poczucie, że jesteś ważny – obojętnie, czy jesteś jego fanem, rywalem czy takim starym piernikiem jak ja".

Być może najpiękniejszy wyraz uznania spotkał go w kwietniu 2016 roku, kiedy ulicy w Biel, przy której znajduje się główna siedziba Szwajcarskiego Związku Tenisowego, nadano jego imię. W tym przepełnionym euforycznymi uczuciami podniosłym momencie większość sponad tysiąca

obecnych gości nie zauważyła, że w trakcie realizacji tego pomysłu popełniono typograficzną gafę: łączniki w Roger-Federer-Allee zostały umieszczone zbyt wysoko w stosunku do napisu, więc krótko potem tabliczki musiały zostać zdemontowane i trzeba było je zastąpić nowymi.

Chociaż to zaledwie 400-metrowa uliczka, nazwanie jej jego imieniem poruszyło Federera do tego stopnia, że podczas krótkiej przemowy musiał tłumić łzy, a głos zaczął mu się łamać. „To dla mnie naprawdę wzruszające, bo to tutaj wszystko się kiedyś zaczęło” – powiedział Roger, który na początku kariery miał tam swoją bazę. Tego samego popołudnia, podczas dyskusji panelowej, powiedział do zaproszonych juniorów: „Również wy możecie marzyć”.

DODATEK

WYCHWALANY

Feliciano López (0:13 przeciwko Federerowi): W starciu z nim czujesz się bezradny. Robi rzeczy, których nie potrafi nikt inny, szczególnie wtedy, gdy improwizuje. Dorastałem z nim, jesteśmy z tego samego pokolenia i spotykaliśmy się już jako dzieci. Rafa (Nadal) i on prezentują zupełnie odmienny sposób gry, ale to jasne, że to Roger jest najlepszym tenisistą, nie ma tu żadnych wątpliwości. Jest najtrudniejszym rywalem, przeciwko któremu kiedykolwiek grałem. Ma to, co najbardziej imponuje mi na korcie („El País", 2018).

Marat Safin (2:10 przeciwko Federerowi): Federera było mi pokonać najtrudniej. Ścigał mnie po całym korcie. Dzisiejsze pokolenie nie ma żadnego stylu, próbuje po prostu możliwie mocno uderzać w piłkę. Berdych, Dimitrow to ciągle to samo, niekiedy nie wiesz już, kto jest kim. Đoković, Wawrinka to taka sama gra. Federer grał slajsem, podchodził do siatki i bawił się twoim mózgiem. Nikt inny nie potrafi osiągnąć tego poziomu („L'Équipe", 2018).

Pete Sampras (0:1 przeciwko Federerowi): To, jak Roger wykorzystał swój talent, jak stabilną prezentuje formę, jest fenomenalne. Poza tym jest dobrym człowiekiem dla sportu i tenisa. Wspaniale się zachowuje i cieszę się, że się przyjaźnimy. W trakcie naszego meczu w 1/8 finału w Wimbledonie w 2001 roku zauważyłem, że był lepszy niż

większość pozostałych zawodników. Mocno serwował, miał krystalicznie czyste uderzenia z głębi kortu, a prędkość jego piłek mnie zaskoczyła. Mieliśmy wiele wspólnego, jesteśmy wyrzeźbieni z tego samego drewna i mamy takie samo poczucie humoru. By być numerem 1, nie można komplikować spraw, trzeba być zrównoważonym i wspaniałomyślnym w stosunku do innych. Wiem, że głęboko w środku wierzy w to, że jest najlepszym graczem na świecie. Taka mentalność jest bezcenna. Poza tym wciąż ma w sobie bardzo dużo świeżości, znacznie więcej, niż ja miałem w wieku 29 lat. Czułem się już wtedy wypalony. Jego ciało zdaje się lepiej znosić tenis niż moje. To nadzwyczajne, że po tym wszystkim, czego już dokonał, prezentuje tak stabilną formę i że utrzymuje motywację tydzień po tygodniu (Zurych, 2011).

Sam Groth (0:2 przeciwko Federerowi): W sercu cały czas jest jeszcze jak duże dziecko. Kiedy ze mną rozmawia, wtrąca ciągle jakieś słówka z australijskiego slangu, których pewnie nauczył się od Petera Cartera. Interesuje się tym, co robią inni, i pyta, co u nich słychać. W sporcie, który ukształtowany jest przez własne interesy, arogancję i ogromne pieniądze, Federer porusza się o klasę wyżej ponad nieczystymi elementami tej branży („Herald Sun", 2018).

Ivan Lendl (były numer 1): W tenisie, mając 28 czy 29 lat, jest się relatywnie starym i niestety także Federer jest już wiekowy. Dlatego byłbym zaskoczony, gdyby wygrał kolejne turnieje wielkoszlemowe. Młodzi nadrobili straty, Rogerowi przybywa lat, dlatego będzie mu tylko trudniej. Z wiekiem ruchy stają się trochę wolniejsze. Niekoniecznie podczas zwyczajnego biegu, ale w trakcie zwrotów. To dotyczy wszystkich. A kiedy tu i tam traci się ułamki sekund, to wszystko się sumuje i nie zdobywa

się już decydujących punktów. A wiedzą państwo, że mecze rozstrzygane są kilkoma punktami. Mówimy tu jednak o Federerze, który wygrał więcej niż wszyscy inni. W jego przypadku może być inaczej niż u pozostałych zawodników. Moim zdaniem jest najlepszym tenisistą Ery Open (Zurych, 2011).

Michael Stich (były zwycięzca Wimbledonu): Dla niego półfinał czy porażka w finale podczas turnieju wielkoszlemowego są już niedobre. To zadziwiające, bo wszyscy inni cieszyliby się z takiego wyniku. Dopóki ma ochotę grać, fizycznie i mentalnie jest w formie i udaje mu się wszystko pogodzić – rodzinę, dzieci i resztę spraw – może utrzymywać się w czołówce. W Wimbledonie zawsze będzie miał szansę. Niemniej młodzi, którzy nadchodzą, nie mają już takiego respektu jak starsi gracze, chcą go natomiast koniecznie pokonać. Ten głęboki szacunek w stosunku do niego zniknął. Kiedy wracam myślami kilka lat wstecz, wszyscy schodzili z kortu i mówili: „Tak wspaniale jest móc zagrać przeciwko Rogerowi i przegrać". Myślałem sobie wtedy: co oni mówią?! Jak może być wspaniale z kimś przegrać i do tego popadać jeszcze w zachwyt: „Miałem szczęście, że mogłem przeciwko niemu zagrać"? (Zurych, 2011).

Stan Wawrinka (3:21 przeciwko Federerowi): To, co zrobił dla tenisa na przestrzeni 15 lat, jest zadziwiające. Nie tylko jego wyniki, ale też to, co dał z siebie fanom, sponsorom, i to jeszcze z uśmiechem. Zawsze bardzo wiele robi na rzecz turniejów, w których startuje. A to, co pokazuje na korcie, jak gra… Ma wspaniały styl, prezentuje się idealnie. Niewiarygodnie się porusza, ma niesamowite wyczucie piłki. Robi wszystko, co w ogóle możesz zrobić na korcie (Indian Wells, 2017).

Andy Roddick (3:21 przeciwko Federerowi): To dla mnie niewiarygodne, na jaki poziom trafiłem w tym sporcie w trakcie kariery tenisowej. Jak uderzane były niektóre piłki, jak seryjnie pobijano rekordy i jak nadal są poprawiane – dzięki Murrayowi, Novakowi, Rogerowi i Rafie ta gra osiągnęła tak wysoki poziom jak nigdy wcześniej. Choć czasem znalezienie się w ich zasięgu było naprawdę do dupy. Mimo to uważam się za szczęściarza. Widziałem Jordana, Alego, Babe'a Rutha. Mam poczucie, że wiem, jak to było obserwować Picassa (Newport, 2017).

Greg Baum (reporter sportowy): Wątpliwe, czy kiedykolwiek był jakiś sportowiec tego formatu i z takimi sukcesami, który w tak niewielkim stopniu dawał się zwodzić sławie i bogactwu. Wyznaczył standardy, a inni podążali za nim, ulepszali tenis, izolując jednak przy tym pozostałych w nim jeszcze nicponiów, punków i ptasie móżdżki. Novak Đoković, niegdyś zdołowany nastolatek, jest teraz prawdziwym mędrcem. Rafael Nadal gra według The Gentlemen's Code, a Andy Murray stosuje wszystkie pisane i niepisane zasady. Pośrednio to wszystko zasługa Federera („Sunday Age", 2014).

Mark Philippoussis (1:4 przeciwko Federerowi): Gdyby ktoś zapytał mnie po finale Wimbledonu w 2003 roku, czy Roger będzie jednym z największych, odpowiedziałbym: „Nie". Niewiele wcześniej pokonałem go w Hamburgu, był wprawdzie bardzo utalentowany, ale nie miał jeszcze dzisiejszej siły mentalnej. To, co stało się w późniejszych latach, było naprawdę niewiarygodne. Z uzdolnionego tenisisty stał się niepokonanym gigantem. I nigdy nie sięgał po psychologiczne gierki, był na to zbyt miły. W szatni zawsze się z każdym przywitał. W dużo większym stopniu sami psychicznie

wykańczali się jego rywale, naprawdę wierząc, że nie można go pokonać, że z nim przegrają. Chłopaki widzieli go w szatni i zanim jeszcze zaczął się mecz, czuło się, że mentalnie już ponieśli porażkę. To była aura kompletnej niezniszczalności. Nikt nie powinien zapominać, jakie dziedzictwo po sobie pozostawi. Roger dla tenisa zrobił to, co Tiger Woods dla golfa. Oni zmienili swoje dyscypliny i całe pokolenie zawodników kopiowało sposób ich przygotowań i styl gry („Herald Sun", 2014).

Mischa Zverev (0:6 przeciwko Federerowi): Federer pokazuje zagrania, które tylko on potrafi wykonać. Do tego jego uderzeń mijających nie da się „przeczytać", w ostatnim momencie jest w stanie zmienić kierunek lotu piłki. Także wcześniej niż inni gracze uderza piłkę. I ma z osiem różnych serwisów – płaskie, szybkie, ze slajsem, topspinem, kickiem… (Melbourne, 2017).

Mats Wilander (były numer 1): Wiedzą państwo, co jest najlepsze w jego comebacku? Że znów można spojrzeć na niego innymi oczami. Widzi się go i mówi: „O Boże, ależ poziom, ależ on potrafi grać…". Tak szybko się o tym zapomina, to przerażające. Chwilę go nie było, a my zapomnieliśmy, że gra inaczej niż wszyscy. I wtedy znów się pojawia, komentujesz mecz i jesteś tak zaskoczony, że zapominasz mówić. Zdumiewa cię, jak szybko gra, jak prędko zdobywa punkt za punktem, jak serwuje, jak odbijają się jego piłki, które prostu syczą w powietrzu. To zadziwiające, że ktoś gra w ten sposób. Ludzie w ogóle nie zdają sobie z tego sprawy. Ponieważ jest w tym sporcie już tak długo, w pewnym momencie zaczyna się marudzić: może jego bekhend nie jest już jednak taki dobry… Teraz wszystko znów jest inaczej. Za sprawą jego sześciomiesięcznej przerwy nauczyłem się, że jego trzeba po

prostu oglądać i się tym delektować. Pozwólmy Federerowi po prostu grać i nie dociekajmy, co robi, jeśli chodzi o taktykę. I tak tego nie zrozumiesz. Ja także tego nie rozumiem. Już nawet nie chcę tego zrozumieć („SonntagsZeitung", 2017).

John McEnroe (były numer 1): Mógłbym pomarzyć, żeby grać jak Federer. Obserwowanie go to dla mnie najpiękniejszy prezent. Jeżeli w kolejnych trzech lub czterech latach nadal będzie tak się prezentował, okaże się największym mistrzem, jakiego w życiu widziałem. Każde dziecko, które zaczyna przygodę z tenisem, powinno brać go na wzór (BBC, 2003).

Jimmy Connors (były numer 1): Nic nim nie zachwieje tam na zewnątrz. Czasami zadaję sobie pytanie, czy on w ogóle ma puls. (BBC, 2005).

Tim Henman (6:7 przeciwko Federerowi): Jeśliby wziąć serwis Roddicka, return Agassiego, mój wolej i szybkość oraz zaciekłość Hewitta, miałoby się niezłe szanse z Federerem. Ale do tego potrzeba wykorzystać sporo zawodników (Nowy Jork, 2005).

Andre Agassi (3:8 przeciwko Federerowi): W pewnym momencie nie można już dłużej zaprzeczać: jest najlepszym zawodnikiem, z jakim kiedykolwiek grałem. Zwyczajnie nie pozostawia ci żadnych możliwości. Nie możesz nic więcej uczynić, jak tylko próbować robić wszystko poprawnie. Ale przy każdym uderzeniu wpadasz w tarapaty, on w każdej chwili może rozstrzygnąć mecz. Na wszystko, czego próbujesz, ma odpowiedź. Gra w wyjątkowy sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Standardy, które wprowadził, jego możliwości, to, jak wykorzystuje swój talent we wszystkich najważniejszych meczach – to po prostu szalone. Pete (Sampras) był wspaniały,

bez wątpienia. Ale grając z nim, wiedziałeś, co trzeba zrobić, by kontrolować mecz. Z Rogerem tak nie jest. Jest najlepszym zawodnikiem, przeciwko któremu grałem, jedynym, w starciu z którym oddychasz z ulgą, jeżeli uda ci się utrzymywać serwis na 1:0 (Nowy Jork, 2005).

Boris Becker (były numer 1): Pete'a Samprasa już nie ma, tego jestem pewien. Nie będziemy już więcej o nim mówić, a Andre Agassi ma może jeszcze rok. Liderem jest teraz Roger Federer, człowiek, który od zawsze wiedział, że będzie najlepszy na świecie, i jest gotów długo takim pozostać. Jest poezją w ruchu. Po prostu nie ma żadnych słabości. Jest kompletny („Times", 2003).

Serhij Stachowski (1:1 przeciwko Federerowi): Kiedy grasz w Wimbledonie przeciwko Federerowi, jest tak, jakbyś równocześnie mierzył się z dwoma zawodnikami. Najpierw grasz przeciwko Rogerowi Federerowi, a potem jeszcze mierzysz się z jego ego. Kiedy pokonasz jednego, cały czas musisz jeszcze pokonać tego drugiego. I mówisz sobie: „Naprawdę jestem bliski pokonania go? To możliwe?" („Inside Tennis", 2014).

Simon Barnes (komentator tenisowy): Był mistrzem gry samej w sobie, mistrzem każdego niuansu. Piłki do tenisa są mu posłuszne tak samo, jak psy są posłuszne swojemu panu. Można go pokonać, ale nie ograć. Swoją pozycję lidera wykorzystuje jako miecz. Zawsze pojawia się reakcja, gdy wielcy mistrzowie zaczynają przegrywać mecze, które kiedyś łatwo wygrywali. Wydaje się to zniewagą dla ich chwalebnej przeszłości, naszych własnych wspomnień będących powodem do dumy. Chodź, powieś buty, gra była dla ciebie zbyt dobra. Musimy się więc przygotować na coraz większy smutek, bo Roger nie wróci już

do lat chwały. Trzeba szanować to, co sprawia, że chce mu się jeszcze kontynuować karierę: przyjemność z walki, czystą miłość do gry, chwalebną i zwodniczą ambicję oraz kryjącą się za tym pewność, że nic już nie będzie tak dobre. Federer, wielki Roger Federer, Harry Potter kortu centralnego, stał tutaj i wyglądał jak Mugol. Już go nie zobaczymy, nawet jeśli znów zagra w tenisa („Times", 2013).

Simon Briggs (reporter tenisowy): Jako zdobywca 17 tytułów wielkoszlemowych odegrał już swojego najlepszego *Hamleta*, *Makbeta* i *Henryka V*. Czy naprawdę chce zakończyć karierę dwa albo trzy lata później, jako Drugi Grabarz? Ale to pytanie nie bierze pod uwagę chorobliwej wręcz pewności siebie Federera, jak i jego umiejętności dostrzegania pozytywnego aspektu każdego wyzwania. Bo jego opanowany charakter delektuje się uczuciem, jakie niesie ze sobą bycie kimś, kto podejmuje wyzwanie („Daily Telegraph", 2013).

Cédric Pioline (0:1 przeciwko Federerowi): Nie ma już wystarczającej energii, by zdobywać kolejne wielkoszlemowe tytuły. Ma prawie 32 lata, rodzinę, a po dziesięciu sezonach na szczycie motywacja słabnie, podobnie jak ochota, by pędzić z jednego lotniska na drugie. Niech nie będą państwo rozczarowani, jeżeli z końcem 2014 roku zakończy karierę („Inside Tennis", 2013).

Boris Becker: Federer jest nie z tej planety. Nigdy nie będzie już kogoś takiego („Tennis Magazin", 2017).

John McEnroe: Roger uosabia najwspanialszą tenisową historię ostatnich 40 lat. Wygrał trzy wielkoszlemowe turnieje po tym, jak prawie przez pięć lat nie zdobył w nich żadnego tytułu. To szaleństwo („Tennis World", 2018).

Ian Chadband (komentator tenisowy): To wspaniały zaszczyt, to uczucie, że ma się cenne zaproszenie, dzięki któremu można zobaczyć mistrza w szczytowej formie i przeżywać jego sztukę na największych scenach, jakby oglądało się Nuriejewa w teatrze Bolszoj albo słuchało Pavarottiego w La Scali („Wimbledon Daily”, 2017).

STATYSTYKI

Starty w turniejach wielkoszlemowych

	1999	2000	2001	2002	2003	2004	2005	2006	2007	2008	2009	2010
Melbourne	Q	R3	R3	1/8	1/8	Z	½	Z	Z	½	F	Z
Paryż	R1	1/8	¼	R1	R1	R3	½	F	F	F	Z	¼
Wimbledon	R1	R1	¼	R1	Z	Z	Z	Z	Z	F	Z	¼
Nowy Jork	Q	R3	1/8	1/8	1/8	Z	Z	Z	Z	Z	F	½

	2011	2012	2013	2014	2015	2016	2017	2018
Melbourne	½	½	½	½	R3	½	Z	Z
Paryż	F	½	¼	1/8	¼	-	-	-
Wimbledon	¼	Z	R2	F	F	½	Z	¼
Nowy Jork	½	¼	1/8	½	F	-	¼	1/8

Q = kwalifikacje
R1, R2, R3 = I runda, II runda, III runda
1/8, 1, 1 = 1/8 finału, ćwierćfinał, półfinał
F, Z = finalista, zwycięzca

Zarys kariery

Rok	Turniej[8]	Wygrane tytuły	Zwycięstwa	Porażki	Puchar Davisa		Ogółem		Nagrody pieniężn
					Zwycięstwa	Porażki	Wygrane	Porażki	Dolar ameryka
1997		0							650
1998	3	0	2	3			2	3	27 305
1999	14	0	12	14	1	3	13	17	225 139
2000	28	0	34	29	2	1	36	30	623 782
2001	21	1	46	20	3	1	49	21	865 425
2002	25	3	54	22	4	0	58	22	1 995 02
2003	23	7	73	16	5	1	78	17	4 000 68
2004	17	11	70	6	4	0	74	6	6 357 54
2005	15	11	80	4	1	0	81	4	6 137 01
2006	17	12	90	5	2	0	92	5	8 343 88
2007	16	8	66	9	2	0	68	9	10 130 6
2008	19	4	65	15	1	0	66	15	5 996 87
2009	15	4	59	12	2	0	61	12	8 768 11
2010	18	5	65	13	0	0	65	13	7 698 29
2011	16	4	61	12	3	0	64	12	6 369 57
2012	17	6	69	11	2	1	71	12	8 584 84
2013	17	1	45	17	0	0	45	17	3 203 63
2014	17	5	67	11	6	1	73	12	9 393 12
2015	17	6	63	11	2	0	61	11	8 692 01
2016	7	0	21	7	0	0	21	7	1 527 26
2017	12	7	52	5	0	0	52	5	13 054 8
2018	13	4	48	10	0	0	48	10	8 629 23
Ogólnie	347	99	1140	252	40	8	1180	260	12 514 9

Najważniejsze rekordy, kamienie milowe i serie

1998

- Jako pierwszy Szwajcar zostaje mistrzem świata juniorów.

2003

- Jako pierwszy Szwajcar wygrywa Wimbledon i turniej wielkoszlemowy mężczyzn.

2003–2005

- Wygrywa 24 mecze z rzędu z tenisistami z Top 10.
- Wygrywa 24 mecze finałowe z rzędu.

2005

- Wygrywa 81 z 85 meczów i osiąga najwyższy współczynnik zwycięstw (95,3 procent) od 1984 roku (John McEnroe).

2005–2006

- Awansuje do finału w 17 turniejach po kolei.

2004–2006

- Jako pierwszy tenisista w trzech sezonach z rzędu wygrywa po co najmniej dziesięć turniejów (łącznie 34).

- W Ameryce Północnej wygrywa 55 meczów po kolei i dziewięć turniejów z rzędu.

2004, 2006 i 2007

- Jako pierwszy tenisista wygrywa po trzy wielkoszlemowe turnieje w trzech sezonach.

2005–2007

- Jako pierwszy tenisista awansuje do finału w dziesięciu wielkoszlemowych turniejach z rzędu.

2006–2007

- Za sprawą 41 zwycięstw po kolei ustanawia swoją najdłuższą serię bez porażki.

2007

- Jako pierwszy tenisista przekracza granicę dziesięciu milionów dolarów zarobionych z nagród pieniężnych w jednym sezonie.
- Po raz czwarty z rzędu kończy rok jako numer 1.

2003–2008

- Jako pierwszy zawodnik wygrywa dwa różne turnieje wielkoszlemowe pięć razy po kolei (Wimbledon i US Open).
- Przez 65 meczów z rzędu jest niepokonany na kortach trawiastych (z tego 40 w Wimbledonie).
- Wygrywa w Niemczech 41 spotkań i siedem turniejów po kolei.

2004–2008

- Przez 237 tygodni z rzędu jest numerem 1 w światowym rankingu (rekord).

2008

- W parze ze Stanem Wawrinką zostaje mistrzem olimpijskim w grze podwójnej w Pekinie.
- Wyprzedza ówczesnego rekordzistę Pete’a Samprasa pod względem wysokości nagród pieniężnych w karierze.

2009

- Zwycięstwem na Roland Garros jako szósty tenisista zdobywa Wielkiego Szlema Kariery i wyrównuje rekord 14 tytułów wielkoszlemowych Pete’a Samprasa.
- Za sprawą 15. tytułu wielkoszlemowego zdobytego w Wimbledonie staje się pod tym względem samodzielnym rekordzistą wśród mężczyzn.

2003–2010

- Osiem razy z rzędu kończy rok na miejscu pierwszym lub drugim (rekord).
- Osiem razy po kolei zdobywa co najmniej jeden tytuł wielkoszlemowy w sezonie, czym wyrównuje rekord Björna Borga i Pete’a Samprasa.

2004–2010

- Jako pierwszy tenisista awansuje do 23 półfinałów turniejów wielkoszlemowych z rzędu.

2010

- Poprawia rekord zdobytych tytułów wielkoszlemowych na 16.

2004–2011

- Jest niepokonany w Pucharze Davisa w grze pojedynczej (15:0).

2011

- Jest pierwszym sześciokrotnym zwycięzcą ATP Finals[9].

2003–2012

- Przez dziesięć lat z rzędu kończy sezon w Top 3.

2004–2013

- Jest pierwszym tenisistą, który osiąga 36 ćwierćfinałów turniejów wielkoszlemowych.

2012

- Zdobyciem siódmego tytułu wyrównuje rekord Wimbledonu.
- Poprawia rekord w liczbie zdobytych tytułów wielkoszlemowych na 17.
- W Londynie zdobywa drugi medal olimpijski (srebro w grze pojedynczej).
- Zmienia Samprasa na pozycji tenisisty, który najdłużej był numerem 1 (302 tygodnie w porównaniu z 286).

2013

- Jako pierwszy zawodnik wygrywa 250. mecz singla w turniejach wielkoszlemowych.

2014

- W Lille zapewnia Szwajcarii pierwszy triumf w Pucharze Davisa.

2002–2015

- Jako pierwszy tenisista kończy 14 sezonów z rzędu w Top 10.

2015

- W Brisbane wygrywa swój tysięczny mecz.
- W Londynie zostaje pierwszym dziesięciokrotnym finalistą ATP Finals.

2000–2016

- Jako pierwszy zawodnik startuje w 65 turniejach wielkoszlemowych z rzędu (wliczając w to turnieje kwalifikacyjne, jest ich 69, wliczając turnieje juniorskie – 73).

2002–2016

- Przez 734 tygodnie z rzędu utrzymuje się w Top 10 (rekord).

2017

- Podczas comebacku w Australii zdobywa swój 18. wielkoszlemowy tytuł i zostaje drugim najstarszym

wielkoszlemowym mistrzem tenisowej Ery Open (po Kenie Rosewallu).
- Zostaje pierwszym graczem, który trzy turnieje wielkoszlemowe wygrywał przynajmniej pięć razy.
- Po raz trzeci zdobywa „Sunshine Double", wygrywając turnieje Masters Series w Indian Wells i Miami.
- Zostaje pierwszym ośmiokrotnym i najstarszym zwycięzcą Wimbledonu, jako pierwszy tenisista od 1976 roku (Björn Borg) nie tracąc ani jednego seta.
- Poprawia rekord w liczbie wielkoszlemowych tytułów na 19.
- W Cincinnati zostaje najstarszym zwycięzcą turnieju ATP Masters Series 1000.

2018

- Szóstym tytułem wyrównuje rekord Novaka Đokovicia i Roya Emersona w Australian Open.
- Poprawia rekord zdobytych tytułów wielkoszlemowych na 20 i udziałów w finałach wielkoszlemowych na 30.
- Poprawia swój rekord w długości bycia numerem 1 na 310 tygodni.
- Mając 36 lat i 195 dni, 19 lutego zostaje najstarszym numerem 1 w 45-letniej historii rankingu ATP.
- Jako pierwszy gracz po 14 latach od premiery i po ponad pięcioletniej przerwie jeszcze raz zostaje numerem 1.
- 24 czerwca, mając 36 lat i dziesięć miesięcy, zostaje po raz ostatni, jak do tej pory, numerem 1.
- Poprawia swój rekord w liczbie zwycięstw w singlu w turniejach wielkoszlemowych na 339.
- W Bazylei jako pierwszy gracz w tym samym turnieju po raz 14. awansuje do finału i zdobywa swój dziewiąty tytuł

tam i 99. w karierze.
- Poprawia rekord w liczbie kwalifikacji do ATP Finals na 16.
- Po raz 15. jest w półfinale ATP Finals.
- W wieku 37 lat jest najstarszym zawodnikiem, który zakończył rok w Top 3.
- Jako pierwszy zawodnik po raz 14. kończy sezon w Top 3.

NAJWAŻNIEJSZE WYRÓŻNIENIA

Ulubieniec kibiców ATP	16 razy (rekord)	2003–18
Nagroda im. Stefana Edberga za postawę fair play	13 razy (rekord)	2004–09, 2010–17
Tenisista roku ATP	5 razy (rekord)	2004, 2005, 2006, 2007, 2009
Nagroda filantropijna im. Arthura Ashe'a	2 razy (rekord)	2006, 2013
Comeback roku ATP	1 raz	2017
Najlepszy zagraniczny sportowiec roku – wybrany w plebiscycie BBC	4 razy (rekord)	2004, 2006, 2007, 2017
Najlepszy sportowiec roku na świecie – tytuł przyznany przez fundację Laureus	5 razy (rekord)	2005, 2006, 2007, 2008, 2018
Sportowiec roku w Szwajcarii	7 razy (rekord)	2003, 2004, 2006, 2007, 2012, 2014, 2017
Szwajcar roku	1 raz (maksymalnie)	2004

I miejsce w rankingu ITF	5 razy	2004, 2005, 2006, 2007, 2009
I miejsce w ITF Juniors Circuit	1 raz	1998

Dane aktualne na koniec 2018 roku

WYSTĘPY W FINAŁACH

Turnieje ATP Tour i Wielkiego Szlema

2000		
Marsylia	hala	Rosset 6:2, 3:6, 6:7
Bazylea	hala	Enqvist 2:6, 6:4, 6:7, 6:1, 1:6
2001 (1 tytuł)		
Mediolan	hala	**Boutter 6:4, 6:7, 6:4**
Rotterdam	hala	Escudé 5:7, 6:3, 6:7
Bazylea	hala	Henman 3:6, 4:6, 2:6
2002 (3 tytuły)		
Sydney	kort twardy	**Chela 6:3, 6:3**
Mediolan	hala	Sanguinetti 6:7, 6:4, 1:6
Miami (MS)	kort twardy	Agassi 3:6, 3:6, 6:3, 4:6
Hamburg (MS)	kort ziemny	**Safin 6:1, 6:3, 6:4**
Wiedeń	hala	**Novak 6:4, 6:1, 3:6, 6:4**
2003 (7 tytułów)		
Marsylia	hala	**Björkman 6:2, 7:6**
Dubaj	kort twardy	**Novak 6:1, 7:6**
Monachium	kort ziemny	**Nieminen 6:1, 6:4**

Rzym (MS)	kort ziemny	Mantilla 5:7, 2:6, 6:7
Halle	kort trawiasty	**Kiefer 6:1, 6:3**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	**Philippoussis 7:6, 6:2, 7:6**
Gstaad	kort ziemny	Novak 7:5, 3:6, 3:6, 6:1, 3:6
Wiedeń	hala	**Moya 6:3, 6:3, 6:3**
Houston (ATP-F)	kort twardy	**Agassi 6:3, 6:0, 6:4**
2004 (11 tytułów)		
Melbourne (WS)	kort twardy	**Safin 7:6, 6:4, 6:2**
Dubaj	kort twardy	**López 4:6, 6:1, 6:2**
Indian Wells (MS)	kort twardy	**Henman 6:3, 6:3**
Hamburg (MS)	kort ziemny	**Coria 4:6, 6:4, 6:2, 6:3**
Halle	kort trawiasty	**Fish 6:0, 6:3**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	**Roddick 4:6, 7:5, 7:6, 6:4**
Gstaad	kort ziemny	**Andriejew 6:2, 6:3, 5:7, 6:3**
Toronto (MS)	kort twardy	**Roddick 7:5, 6:3**
Nowy Jork (WS)	kort twardy	**Hewitt 6:0, 7:6, 6:0**
Bangkok	kort twardy	**Roddick 6:4, 6:0**
Houston (ATP-F)	kort twardy	**Hewitt 6:3, 6:2**
2005 (11 tytułów)		
Doha	kort twardy	**Ljubičić 6:3, 6:1**

Rotterdam	hala	**Ljubičić 5:7, 7:5, 7:6**
Dubaj	kort twardy	**Ljubičić 6:1, 6:7, 6:3**
Indian Wells (MS)	kort twardy	**Hewitt 6:2, 6:4, 6:4**
Miami (MS)	kort twardy	**Nadal 2:6, 6:7, 7:6, 6:3, 6:1**
Hamburg (MS)	kort ziemny	**Gasquet 6:3, 7:5, 7:6**
Halle	kort trawiasty	**Safin 6:4, 6:7, 6:4**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	**Roddick 6:2, 7:6, 6:4**
Cincinnati (MS)	kort twardy	**Roddick 6:3, 7:5**
Nowy Jork (WS)	kort twardy	**Agassi 6:3, 2:6, 7:6, 6:1**
Bangkok	hala	**Murray 6:3, 7:5**
Szanghaj (ATP-F)	hala	Nalbandian 7:6, 7:6, 2:6, 1:6, 6:7
2006 (12 tytułów)		
Doha	kort twardy	**Monfils 6:3, 7:6**
Melbourne (WS)	kort twardy	**Baghdatis 5:7, 7:5, 6:0, 6:2**
Dubaj	kort twardy	Nadal 6:2, 4:6, 4:6
Indian Wells (MS)	kort twardy	**Blake 7:5, 6:3, 6:0**
Miami (MS)	kort twardy	**Ljubičić 7:6, 7:6, 7:6**
Monte Carlo (MS)	kort ziemny	Nadal 2:6, 7:6, 3:6, 6:7
Rzym (MS)	kort ziemny	Nadal 7:6, 6:7, 4:6, 6:2, 6:7

Paryż (WS)	kort ziemny	Nadal 6:1, 1:6, 4:6, 6:7
Halle	kort trawiasty	**Berdych 6:0, 6:7, 6:2**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	**Nadal 6:0, 7:6, 6:7, 6:3**
Toronto (MS)	kort twardy	**Gasquet 2:6, 6:3, 6:2**
Nowy Jork (WS)	kort twardy	**Roddick 6:2, 4:6, 7:5, 6:1**
Tokio	kort twardy	**Henman 6:3, 6:3**
Madryt (MS)	hala	**González 7:5, 6:1, 6:0**
Bazylea	hala	**González 6:3, 6:2, 7:6**
Szanghaj (ATP-F)	hala	**Blake 6:0, 6:3, 6:4**
2007 (8 tytułów)		
Melbourne (WS)	kort twardy	**González 7:6, 6:4, 6:4**
Dubaj	kort twardy	**Južny 6:4, 6:3**
Monte Carlo (MS)	kort ziemny	Nadal 4:6, 4:6
Hamburg (MS)	kort ziemny	**Nadal 2:6, 6:2, 6:0**
Paryż (WS)	kort ziemny	Nadal 3:6, 6:4, 3:6, 4:6
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	**Nadal 7:6, 4:6, 7:6, 2:6, 6:2**
Montreal (MS)	kort twardy	Đoković 6:7, 6:2, 6:7
Cincinnati (MS)	kort twardy	**Blake 6:1, 6:4**
Nowy Jork (WS)	kort twardy	**Đoković 7:6, 7:6, 6:4**
Madryt (MS)	hala	Nalbandian 6:1, 3:6, 3:6

Bazylea	hala	**Nieminen 6:3, 6:4**
Szanghaj (ATP-F)	hala	**Ferrer 6:2, 6:3, 6:2**
2008 (4 tytuły)		
Estoril	kort ziemny	**Dawydienko 7:6, 1:2 ret**
Monte Carlo (MS)	kort ziemny	Nadal 5:7, 5:7
Hamburg (MS)	kort ziemny	Nadal 5:7, 7:6, 3:6
Paryż (WS)	kort ziemny	Nadal 1:6, 3:6, 0:6
Halle	kort trawiasty	**Kohlschreiber 6:3, 6:4**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	Nadal 4:6, 4:6, 7:6, 7:6, 7:9
Nowy Jork (WS)	kort twardy	**Murray 6:2, 7:5, 6:2**
Bazylea	hala	**Nalbandian 6:3, 6:4**
2009 (4 tytuły)		
Melbourne (WS)	kort twardy	Nadal 5:7, 6:3, 6:7, 6:3, 2:6
Madryt (MS)	kort ziemny	**Nadal 6:4, 6:4**
Paryż (WS)	kort ziemny	**Söderling 6:1, 7:6, 6:4**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	**Roddick 5:7, 7:6, 7:6, 3:6, 16:14**
Cincinnati (MS)	kort twardy	**Đoković 6:1, 7:5**
Nowy Jork (WS)	kort twardy	Del Potro 6:3, 6:7, 6:4, 6:7, 2:6
Bazylea	hala	Đoković 4:6, 6:4, 2:6
2010 (5 tytułów)		

Melbourne (WS)	kort twardy	**Murray 6:3, 6:4, 7:6**
Madryt (MS)	kort ziemny	Nadal 4:6, 6:7
Halle	kort trawiasty	Hewitt 6:3, 6:7, 4:6
Toronto (MS)	kort twardy	Murray 5:7, 5:7
Cincinnati (MS)	kort twardy	**Fish 6:7, 7:6, 6:4**
Szanghaj (MS)	kort twardy	Murray 3:6, 2:6
Sztokholm	hala	**Mayer 6:4, 6:3**
Bazylea	hala	**Đoković 6:4, 3:6, 6:1**
Londyn (ATP-F)	hala	**Nadal 6:3, 3:6, 6:1**
2011 (4 tytuły)		
Doha	kort twardy	**Dawydienko 6:3, 6:4**
Dubaj	kort twardy	Đoković 3:6, 3:6
Paryż (WS)	kort ziemny	Nadal 5:7, 6:7, 7:5, 1:6
Bazylea	hala	**Nishikori 6:1, 6:3**
Paryż-Bercy (MS)	hala	**Tsonga 6:1, 7:6**
Londyn (ATP-F)	hala	**Tsonga 6:3, 6:7, 6:3**
2012 (6 tytułów)		
Rotterdam	hala	**Del Potro 6:1, 6:4**
Dubaj	kort twardy	**Murray 7:5, 6:4**
Indian Wells (MS)	kort twardy	**Isner 7:6, 6:3**
Madryt (MS)	kort ziemny	**Berdych 3:6, 7:5, 7:5**

Halle	kort trawiasty	Haas 6:7, 4:6
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	**Murray 4:6, 7:5, 6:3, 6:4**
Londyn (IO)	kort trawiasty	Murray 2:6, 1:6, 4:6
Cincinnati (MS)	kort twardy	**Đoković 6:0, 7:6**
Bazylea	hala	Del Potro 4:6, 7:6, 6:7
Londyn (ATP-F)	hala	Đoković 6:7, 5:7
2013 (1 tytuł)		
Rzym (MS)	kort ziemny	Nadal 1:6, 3:6
Halle	kort trawiasty	**Jużny 6:7, 6:3, 6:4**
Bazylea	hala	Del Potro 6:7, 6:2, 4:6
2014 (5 tytułów)		
Brisbane	kort twardy	Hewitt 1:6, 6:4, 3:6
Dubaj	kort twardy	**Berdych 3:6, 6:4, 6:3**
Indian Wells (MS)	kort twardy	Đoković 6:3, 3:6, 6:7
Monte Carlo (MS)	kort ziemny	Wawrinka 6:4, 6:7, 2:6
Halle	kort trawiasty	**Falla 7:6, 7:6**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	Đoković 7:6, 4:6, 6:7, 7:5, 4:6
Toronto (MS)	kort twardy	Tsonga 5:7, 6:7

Cincinnati (MS)	kort twardy	**Ferrer 6:3, 1:6, 6:2**
Szanghaj (MS)	kort twardy	**Simon 7:6, 7:6**
Bazylea	hala	**Goffin 6:2, 6:2**
Londyn (ATP-F)	hala	Đoković w.o.
2015 (6 tytułów)		
Brisbane	kort twardy	**Raonic 6:4, 6:7, 6:4**
Dubaj	kort twardy	**Đoković 6:3, 7:5**
Indian Wells (MS)	kort twardy	Đoković 3:6, 7:6, 2:6
Stambuł	kort ziemny	**Cuevas 6:3, 7:6**
Rzym (MS)	kort ziemny	Đoković 4:6, 3:6
Halle	kort trawiasty	**Seppi 7:6, 6:4**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	Đoković 6:7, 7:6, 4:6, 3:6
Cincinnati (MS)	kort twardy	**Đoković 7:6, 6:3**
Nowy Jork (WS)	kort twardy	Đoković 4:6, 7:5, 4:6, 4:6
Bazylea	hala	**Nadal 6:3, 5:7, 6:3**
Londyn (ATP-F)	hala	Đoković 3:6, 4:6
2016		
Brisbane	kort twardy	Raonic 4:6, 4:6
2017 (7 tytułów)		
Melbourne (WS)	kort twardy	**Nadal 6:4 3:6 6:1 3:6 6:3**

Indian Wells (MS)	kort twardy	**Wawrinka 6:4, 7:5**
Miami (MS)	kort twardy	**Nadal 6:3, 6:4**
Halle	kort trawiasty	**A. Zverev 6:1, 6:3**
Wimbledon (WS)	kort trawiasty	**Čilić 6:3, 6:1, 6:4**
Montreal (MS)	kort twardy	A. Zverev 3:6, 4:6
Szanghaj (MS)	kort twardy	**Nadal 6:4, 6:3**
Bazylea	hala	**Del Potro 6:7, 6:4, 6:3**
2018 (4 tytuły)		
Melbourne (WS)	kort twardy	**Čillić 6:2, 6:7, 6:3, 3:6, 6:1**
Rotterdam	hala	**Dimitrow 6:2, 6:2**
Indian Wells (MS)	kort twardy	Del Potro 4:6, 7:6, 6:7
Stuttgart	kort trawiasty	**Raonic 6:4, 7:6**
Halle	kort trawiasty	Coric 6:7, 6:3, 2:6
Cincinnati (MS)	kort twardy	Đoković 4:6, 4:6
Bazylea	hala	**Copil 7:6, 6:4**

(MS) = turnieje Masters
(WS) = turnieje wielkoszlemowe
(ATP-F) = ATP Finals (do 2008 Masters Cup, 2009 do 2016 ATP World Tour Finals)
(IO) = igrzyska olimpijskie

10 TURNIEJÓW, W KTÓRYCH OSIĄGAŁ NAJWIĘKSZE SUKCESY (66 TYTUŁÓW):

9	Bazylea	2006, 2007, 2008, 2010, 2011, 2014, 2015, 2017, 2018
9	Halle	2003, 2004, 2005, 2006, 2008, 2013, 2014, 2015, 2017
8	Wimbledon (WS)	2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2009, 2012, 2017
7	Cincinnati (MS)	2007, 2008, 2009, 2011, 2012, 2014, 2015
7	Dubaj	2003, 2004, 2005, 2007, 2012, 2014, 2015
6	Australian Open (WS)	2004, 2006, 2007, 2010, 2017, 2018
6	ATP Finals	2003, 2004, 2006, 2007, 2010, 2011
5	US Open (WS)	2004, 2005, 2006, 2007, 2008
5	Indian Wells (MS)	2004, 2005, 2006, 2012, 2017
4	Hamburg (MS)	2002, 2004, 2005, 2007

(MS) = turnieje Masters Series

(WS) = turnieje wielkoszlemowe

Źródła cytatów:

Rozdział 5
Rod Laver, *Rod Laver. An Autobiography*, 2013. Tłumaczenia z angielskiego pochodzą od autora.

Rozdział 10
„To był najbardziej niewiarygodny moment…" – „St. Galler Tagblatt"
„Wygranie po raz pierwszy Wimbledonu i Roland Garros…" – „Inside Tennis"

Rozdział 14
„Mam na imię »Rodżer«…" – „SonntagsBlick" 1999
„Czasami ze złości rzucał po pokoju pionkami i kostkami do gry…" – „Schweizer Illustrierte"
„Był bardzo żywotny, jak fryga…" – „Basler Zeitung"

Rozdział 15
„Robiło mi się smutno przez moje zachowanie i moją grę…" – „Die Zeit"

Rozdział 16
„Nigdy nie kwestionowaliśmy działań jego trenerów…" – „CS Bulletin Special"

Rozdział 18
„W centrum tenisowym była nowa siatka…" – Roger-Federer Dokumentation »Replay«

„Widziałem dotychczas bardzo niewielu juniorów…” – „Basler Zeitung”
„Nigdy nie zapomnę, jak bardzo szczęśliwy się czułem…” – „Le Matin Dimanche”

Rozdział 19
„Piłki będą podawać mi ludzie…” – „Schweizer Familie”

Rozdział 21
„To robiło spore wrażenie” – „L’Équipe Magazine”
„Nie wiedziałam, że jest taki zabawny…” – „Blick”

Rozdział 23
„Marcolli jest zaskoczony…” – „Sport-Magazin”
„Zachowałem się strasznie i płakałem…” – „Inside Tennis”

Rozdział 24
„Może miało mnie to skłonić do postanowienia…” – „Inside Tennis”

Rozdział 27
„Kiedy zaczyna się wygrywać, wszyscy…” – „Inside Tennis”

Rozdział 33

„Jakkolwiek było, pokonałem go w ostatnim…” – „Inside Tennis”

Rozdział 34
„W pewnym sensie zawsze miałem w sobie coś z lidera…” – „CS Bulletin Special”

Rozdział 36
„W ogóle nie było tego widać, ale ktoś z brytyjskiej prasy…” – „British GQ”
„Wiedziałem, że wyjdzie to trochę zbyt nachalnie …” – „New York Times”

Rozdział 37
„Roger stał się perfekcjonistą…” – „Basler Zeitung”
„Nam się na pewno opłaca…” – „SonntagsBlick”
„Próbujemy być agencją typu boutique…” – „New York Times”
„Jest dobrym tenisistą, ale…” – Tennis.com

Rozdział 38
„W trakcie pierwszych trzech lat z dziewczynkami…” – „Inside Tennis”
„Kiedy nie gram w tenisa, wracam do domu…” – „Stern”
„Przy dziewczynkach robiłem niesamowicie dużo…” – „Stern”
„Powiedziałem jej: »Hej, źle to robisz, musisz to zrobić tak«…” – „Frankfurter Allgemeine Zeitung”

Rozdział 39
„Czuję się zdecydowanie…” – „Inside Tennis”

Rozdział 40
„Niestety nie mogę bywać częściej…” – „Inside Tennis”
„Nigdy nie oczekiwałem…” – „Tele Züri”

Rozdział 43
„Roger troszczy się o tenis…” – „Newsday”

Rozdział 45
„Jasne, że od czasu do czasu coś tam usłyszę…” – „CS Bulletin Special”

[1] Dzień dobry, panie Federer (przyp. tłum.).

[2] Pies i Lis (przyp. tłum.).

[3] Jeśli uda mi się tam, uda mi się wszędzie (przyp. tłum.).

[4] Wymowa słowa „mercedes” i wyrażenia „Mehr CDs”, które oznacza „więcej płyt CD”, w języku niemieckim jest do siebie bardzo podobna (przyp. tłum.).

[5] Obecnie można już na niej znaleźć odnośniki do oficjalnej strony Pucharu Lavera oraz UTR (Universal Tennis Rating) by Oracle (przyp. tłum.).

[6] Miło jest być ważnym, ale o wiele ważniejsze jest być miłym (przyp. tłum.).

[7] Tytuł przyznawany osobom, które reprezentują miasto Bazylea na arenie międzynarodowej (przyp. tłum.).

[8] ATP Tour, Wielki Szlem, igrzyska olimpijskie.

[9] Wcześniej nazywane Masters, Masters Cup, ATP World Championships i ATP World Tour Finals.

Roger Federer. Die Biografie

© Piper Verlag GmbH, München, 2019
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020
Copyright © for the Polish translation by Barbara Toczek 2020

Wydanie dofinansowane z programu:
Redakcja i korekta – Grzegorz Krzymianowski, Joanna Mika
Korekta merytoryczna – Tomasz Wolfke
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Rysunki wewnątrz książki – Marcin Karaś
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Fotografia na okładce – Pablo Franco / Art direction Tuti Gianakis for remixagency.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,
niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików. Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.
Dziękujemy!
Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2020
ISBN EPUB: 978-83-8129-678-6
ISBN MOBI: 978-83-8129-677-9

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:
Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa
Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka
Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagatek, Tomasz Czernich, Lucyna Byrdy
Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś
Administracja i finanse: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Słowo wstępu
CZĘŚĆ I. Powrót
1. Nadchodzi koniec
2. W ukryciu
3. Niedoszły Australijczyk
4. Cudowna przemiana
5. Laver i inne legendy
6. Długie oczekiwanie
7. Nowa czarodziejska różdżka
8. Cisza przed burzą
9. Magiczne 30 minut
10. Norman w śniegu
11. W Słonecznym Pasie
12. Kolacja mistrzów
13. Kort łez
CZĘŚĆ II. Początki
14. Świat jest piłką
15. Dwaj przyjaciele
16. Na obczyźnie
17. Marzenie o doskonałości
18. Na własnych nogach
19. „Grüezi, Panie Federer”
20. Wśród wielkich
21. Pod olimpijskimi pierścieniami
22. Skrzypek
23. Nawrócenie
24. Kryzysy i dramat
25. Wybawienie
CZĘŚĆ III. Zdolniacha
26. Pojedynki w Teksasie

27. Na szczycie
28. Król trawy
29. Na Broadwayu
30. Ślady na mączce
31. Pizza Basilea
32. Miska sałaty
33. Jeden za wszystkich
CZĘŚĆ IV. Planeta Federer
34. Bezkompromisowy
35. Mona Lisa tenisa
36. Sierżant Pieprz
37. Marka RF
38. Prawie normalna rodzina
39. Szwajcarski obywatel świata
40. Filantrop
41. Trenerska karuzela
42. Pokojowy wojownik
43. Dziedzictwo
44. Pytanie o najlepszych
45. Przepytywany
46. Przystępny
47. Laureat
Dodatek: Wychwalany
Źródła cytatów
Strona redakcyjna

FENOMENALNA, PORYWAJĄCA, NIEUCIEKAJĄCA OD KONTROWERSJI

Rod Thorn, wybierając Michaela Jordana w drafcie dla Chicago Bulls, narzekał:
„Żaden center nie był już dostępny. Co mieliśmy zrobić?
Jordan pewnie nie odwróci losów naszej drużyny. Nie tego od niego oczekuję.
Jest bardzo dobry w ataku, ale nie jest dominatorem". A potem…
Potem z milionów ludzi grających w koszykówkę został tym jedynym,
który potrafił latać…

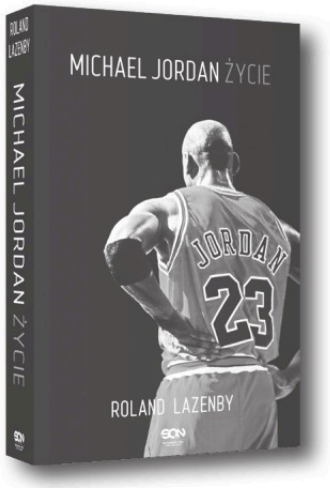

WRESZCIE W POLSCE!

Szukaj w dobrych księgarniach

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

NIEZWYKŁA INFOBIOGRAFIA IKONY TENISA!

Dzięki infografikom, niezwykłym fotografiom oraz dogłębnej analizie i komentarzom rywali, idoli, trenerów oraz osób z bliskiego kręgu Federera zyskasz zupełnie nowe spojrzenie na jego wielkość. Zrozumiesz, dlaczego jego gra porusza tak wielu ludzi, a on sam jeszcze w trakcie kariery stał się kimś więcej niż kolejnym utalentowanym sportowcem.

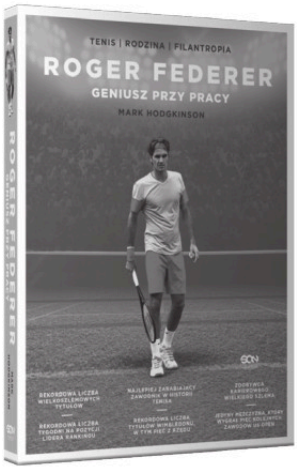

KSIĄŻKA, JAKIEJ JESZCZE NIE BYŁO!

Szukaj w dobrych księgarniach

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki. W 2020 roku obchodzimy okrągłe urodziny, to już 10 lat razem!

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN

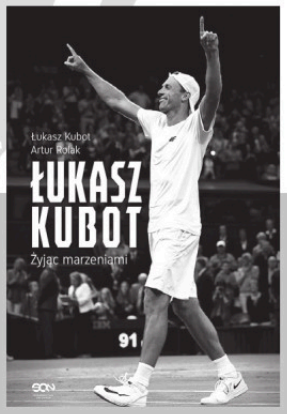

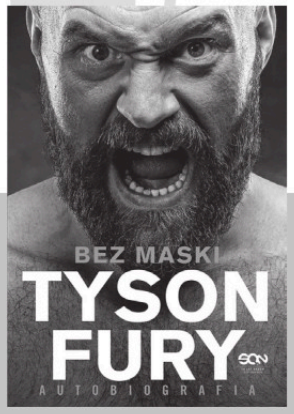

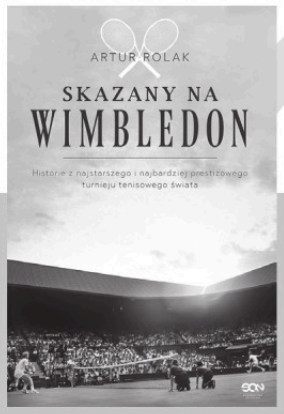

SQN
10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL labotiga.pl